

RECZNA
ROBOTA



Ryszard Ćwirlej
Ręczna robota

Prolog

Katowice, piątek, 20 września 1985 roku, godzina 7.15

Deszcz padał od świtu. Czerwony autobus linii 297 zwolnił trochę, przepuszczając nadjeżdżającego z przeciwka zielonego malucha, a potem przeciął oś jezdni i wjechał w niewielką uliczkę prowadzącą na nowe osiedle Ochojec. Przednie koła autosana wjechały w wielką kałużę, pryskając brudną błotnistą wodą na chodnik.

- Jak jedziesz, ciulu! - warknął Alojz Piontek, grożąc kierowcy autobusu pięścią. Woda zalała mu buty i nogawki spodni. Szybko pościierał błoto, ale niewiele to dało, bo spodnie i tak zrobiły się mokre. Machnąwszy w końcu ręką, postanowił, że wejdzie do sklepu po drugiej stronie ulicy Waltera Jankego i siądzie sobie na parapecie, pod którym zainstalowane były grzejniki. Może jakoś się osuszą, pomyślał i szybko przeszedł przez jezdnię.

Sklep, zwany przez miejscowych trochę na wyrost „halą”, miał kształt wydłużonego pawilonu i był jednym z najważniejszych punktów na mapie osiedla. Powszechnie uważano, że jest najlepiej zaopatrzony w artykuły spożywcze. To jednak dla Alojza nie było takie istotne.

Kwestie dotyczące zakupów mięsa, wędlin czy warzyw nie interesowały go zupełnie. Pozostawiał je całkowicie swojej żonie. Interesował się halą, bo tam można było dostać piwo tyskie gronie, a niekiedy nawet trafiało się książęce. A on bardzo lubił piwo, szczególnie rano po przepiciu. Dziś wiedział, że musi się napić, bo po wczorajszym chlaniu suszyło go jak diabli.

Podszedł do drzwi hali. Otworzyły się przed nim pchnięte od środka i na ulicę wyszedł odziany w marną jesionkę Gerard Matusiak. Niski sześćdziesięciolatek, mierzący jakieś metr pięćdziesiąt, uśmiechnął się szeroko na widok Alojza:

- Alojz, pierunie, co słychać?

Przywitali się, podając sobie ręce.

- Aleś się umarasił. - Gerard spojrział na brudne i przemoczone spodnie kolegi.

- To tyn ciul z autobusa! - odpowiedział Alojz, wskazując głową ulicę. - Musza się napić, bo zech się wkurwił.

- Niy dziwia sie - poparł go uśmiechnięty kolega. - Jeżdżóm te ciule i na nic niy patrzóm. Ale dej se ino pozór tukij - mówiąc to, szybko odpiął jesionkę.

Za paskiem miał zatkniętą butelkę wina owocowego.

Alkohol sprzedawano od trzynastej, ale Gerard miał w hali chody. Jego znajoma sprzedawała na spożywczym i w razie pilnej potrzeby mógł liczyć na towar spod lady. Chciał najpierw kupić piwo, które można było sprzedawać od rana. Po przeliczeniu pieniędzy okazało się, że wystarczy mu na jabola, więc nie było się co zastanawiać.

- Czamu niy, może być i jabołek, ale jo ta ino jeszcze wleza i kupia jake piwo, bo ta jedna flaszka to trocha mało - powiedział Alojz i zniknął za sklepowymi drzwiami, pozostawiając Gerarda samego.

Po pięciu minutach był już z powrotem. W ręce trzymał siatkę wypełnioną kilkoma butelkami tyskiego tańcowanego. Tę torbę nosił zawsze w kieszeni kurtki na wszelki wypadek, gdyby musiał coś nagle kupić. Teraz przydała się do noszenia piwa.

- Wroź ino ta flaszka do tego nylonbojtla, bo ci jeszcze z galotów wyleci, a to by było szkoda.

Mężczyzna włożył ostrożnie butelkę do siatki, a potem obaj ruszyli chodnikiem. Nie musieli nawet umawiać się, gdzie mają pójść się napić. Jakies pięćset metrów dalej w stronę centrum Katowic było miejsce, które już dawno upatrzyli sobie miejscowi pijacy: zarośnięty chaszczami rów położony kilka metrów poniżej poziomu ulicy. Wystarczyło zejść tam wydeptaną przez liczną rzeszę amatorów wina markowego ścieżką, by zagłębić się w miejsce niewidoczne dla postronnych obserwatorów. Można było tam się napić bez obawy, że jakiś milicjant zaczepi degustatorów taniego alkoholu.

Minęli wieżowce po lewej stronie i rozłożone tuż przy ulicy niewielkie targowisko. Ruch panował tu już od rana.

Kolejka kilkudziesięciu kobiet ustawiła się przy kiosku, w którym sprzedawano kurczaki bez kartek. Druga, znacznie większa, stała pod mięsnym. Ale dwaj mężczyźni nie zwrócili najmniejszej uwagi na stojące kobiety. Przyspieszyli tylko, jakby bali się, że natrafią tu na jakąś znajomą czy sąsiadkę. Lepiej przecież nie pchać się w oczy tym starym omom, co mogą później człowieka niepotrzebnie obgadać. Zwrócili za to baczniejszą uwagę na drugą stronę ulicy. Tam, w starej dwupiętrowej kamienicy, mieścił się bar piwny U Pluty. W tej chwili jeszcze był zamknięty, bo otwierano go dopiero o dziewiątej, ale na chodniku stała już niewielka grupka amatorów piwa. Nie czekali jednak na otwarcie Pluty. Tu organizowali zrzutkę na pierwsze piwo, które zamierzali wypić pod halą; Pluta to było tylko miejsce zbiórki spragnionych z całej okolicy.

Alojz skinął głową stojącym mężczyznom i przyspieszył kroku. Znał ich, ale niezbyt poważał. Nie musiał się zadawać z tymi bryniolami. Należeli do najgorszej kategorii pijaczków, którzy nigdy nie śmierdzili groszem. Dwóch czy trzech było miejscowych, reszta to były zwykłe wulce z pobliskiego wulcoka, czyli hotelu robotniczego. Ci zarobione pieniądze przepijali natychmiast, a później, żeby się napić, musieli robić ściepę. Co innego oni. Alojz i Gerard mieli pieniądze. Co prawda niezbyt wielkie, ale zawsze.

Byli emerytami górniczymi, dlatego mieli za co pić. Większość pieniędzy z górniczych emerytur oddawali żonom, ale resztę mieli na własne potrzeby, czyli codzienne piwo albo wino, a niekiedy na grę w skata.

Nie oglądając się już na tych spod Pluty, zeszli na dół rowu i zagłębili się w gęste, żółto-czerwone jesienne zarośla. Musieli przejść jakieś sto metrów w głąb niewielkiego lasu. Przed nimi rozciągała się mała polanka upstrzona setkami wdeptanych w ziemię metalowych kapsli i plastikowych korków od wina. Pod jednym z drzew stała drewniana ławka, którą parę lat temu ktoś przytargał z jakiegoś skweru dla wygody pijących.

Odetchnęli z ulgą, widząc, że ich ulubione miejsce jest puste. Byli tu dziś pierwsi, więc mogli spokojnie zająć ławeczkę. Rozsiedli się na wilgotnych deskach; olejna farba odchodziła z nich wielkimi płatami. Przynajmniej nie kapało za kołnierz, bo któryś ze stałych użytkowników tego miejsca rozciągnął na kilku gałęziach drzewa, tuż nad ławką, wielki płat folii. Alojz ustawił siatkę pośrodku ławki i wydobył z niej dwie butelki piwa. Sprawnie pościągał kapsle otwieraczem ze scyzoryka o dwunastu ostrzach, który zawsze nosił przy sobie. Podał piwo koledze, po czym obaj bez słowa pociągnęli po sporym łyku.

Nagle spojrzenie Gerarda zatrzymało się na jakimś dziwnym punkcie kilkanaście metrów od nich. Mężczyzna mało nie zakrztusił się piwem. Szybko przełknął resztkę płynu i zerwał się na równe nogi.

- Pierunie, co żeś tak skoczył? - zdziwił się Alojz.

- Patrz sam ino! - krzyknął Gerard, wymachując ręką w stronę zarośli przed nimi.

Jego kolega spojrział we wskazanym kierunku.

Matusiak odstawił do połowy opróżnioną butelkę piwa na ławkę i ruszył biegiem przed siebie. Po dwóch sekundach był już na miejscu. Na ziemi spoczywało coś czarnego, co z daleka wyglądało jak wielki szmaciany tobół.

- Jeruna! - zaklął pod nosem zza pleców Gerarda Alojz Piontek, który nadal trzymał w rękach butelkę tyskiego.

Tuż przed nimi leżał zwinięty w kłębek starszy siwy mężczyzna. Opuchnięty sinozielony język wystawał mu z ust, a zamglonymi, wybałuszonymi i przekrwionymi oczami zdawał się spoglądać na dwójkę pijaków z niemym wyrzutem.

Gerard przeżegnał się szybko, a potem uklęknął tuż obok leżącego i jednym ruchem zdarł z niego czarny kolejarski płaszcz, którym był przykryty.

Wtedy Alojz zaklął po raz drugi.

- Kurwa mać!... - krzyknął i poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy.

Początkowo nie zobaczyli nóg, bo były mocno podgięte do tyłu. Ktoś związał je plastikowym sznurem do bielizny, a drugi koniec zacisnął pętlą na szyi kolejarza. Sznur wrzynał się w krtań, niemal ją przecinając. Jednak nie to najbardziej przerażyło obu mężczyzn. Piontek zbladł, gdy spojrział na ręce, które ukazały się, gdy jego kolega ściągnął z trupa szynel. Obie, tak jak nogi, związane były w przegubach. Jednak poniżej sznura, tam, gdzie powinny bielić się dwie dłonie, była tylko jedna. Zamiast drugiej wyzierała krwawa masa.

- Urzli mu rynka! - powiedział Alojz Piontek i wypuścił z dłoni do połowy pełną butelkę piwa. Dotąd nigdy jeszcze mu się coś takiego nie zdarzyło. Spieniony płyn spokojnie wylewał się z flaszki i wsiąkał w ziemię. Ale ani Alojz, ani Gerard nie zwrócili na to najmniejszej uwagi.

Sobota, 8 marca 1986 roku, godzina 5.13

Jednostajny stukot pociągu działał usypiająco. Większość pasażerów przedziału spała w najlepsze. Nic dziwnego, skoro wszyscy wracali z wyczerpującej podróży. Nie, żeby była to jakaś szczególnie daleka podróż, zgodnie z rozkładem jazdy trwała zaledwie osiem godzin. Pociągiem pospiesznym z Berlina do Poznania nie jechało się zbyt długo. Wyczerpujące były jednak przeżycia większości podróżnych. Bo sam powrót do Polski był już właściwie tylko etapem wypoczynkowym po męczącym pobycie w Berlinie.

Podróżni jadący z tego miasta dzielili się na trzy kategorie. Pierwszą stanowili Niemcy z RFN podróżujący do Polski. Ci byli elitą pociągu. Rozpoznać ich można było już na pierwszy rzut oka po markowych, eleganckich ubraniach niedostępnych dla przeciętnego Polaka. Podróżowali najczęściej pierwszą klasą z niewielkim bagażem, licząc, że w tym dzikim kraju będą mogli załatwić jakieś swoje interesy. Niektórzy z nich jechali tu po to, żeby trochę poszaleć, bo Polska stanowiła dla nich prawdziwe eldorado.

W hotelach i najlepszych restauracjach płacili twardą walutą, a przelicznik cen był dla nich niezwykle korzystny.

Tu każdy niemiecki robotnik na urlopie mógł choć przez chwilę poczuć się jak właściciel zakładów Kruppa.

Do drugiej należeli Polacy, którzy wracali do kraju z RFN czy Berlina Zachodniego. Niewielu ich było, bo władze niezbyt chętnie patrzyły na wyjazdy rodaków na Zachód. Choć zdarzały się coraz częściej przypadki wydawania paszportów ludziom chcącym wyjechać do krajów „ustrojowo

zaco fanych”, które nie odrzuciły jeszcze kapitalistycznego systemu wartości i nie zdecydowały się wkroczyć na piękną drogę rozwoju socjalistycznego. Naturalnie musieli oni przedstawić w biurze paszportowym jakiś ważny powód takiego wyjazdu i koniecznie popierające ten powód zaproszenie od prywatnej osoby mieszkającej na Zachodzie. Zapraszający musiał się w takim zaproszeniu zadeklarować, że pokryje na miejscu wszystkie koszty utrzymania obywatela PRL-u. Oczywiście i władze wydające paszport, i starający się o wyjazd wiedzieli, że zaproszenie to fikcja. Od jakiegoś czasu bowiem zaproszenia takie można było zdobyć za kilkanaście dolarów na czarnym rynku. Szczęśliwiec, który kupił zaproszenie i na tej podstawie wydano mu paszport, nie miał najmniejszego zamiaru jechać do zapraszającego. Wyjeżdżający mieli własne pomysły na pobyt za żelazną kurtyną. Najczęściej czysto handlowe. Polscy podróżnicy wyjeżdżali z kraju zaopatrzeni w polską wódkę i papierosy z Peweksu. Towar sprzedawali na niemieckich flohmarktach dwu-, trzykrotnie drożej. Do kraju najczęściej wracali z kupioną na miejscu elektroniką - magnetowidami, magnetofonami czy coraz popularniejszymi walkmanami. Na jednym takim wyjeździe przy dobrze zainwestowanych pieniądzech miało się bez większych problemów dziesięciokrotne przebicie. Nic więc dziwnego, że wyjazdy do Niemiec Zachodnich były coraz popularniejsze.

Trzecią kategorię stanowili ci, którym poszczęściło się trochę mniej i mieli paszport tylko na kraje demokracji ludowej. Oni mogli najwyżej wykupić w Orbisie wycieczkę do Berlina Wschodniego. W stolicy NRD sprzedawało się dzinsy z Peweksu, przeciwsłoneczne okulary z prywaciarskich sklepów i ruskie wiertarki czy nawet scyzoryki, którymi handlowali na miejskich targowiskach stacjonujący w Polsce radzieccy żołnierze. Do kraju opłacało się przywozić teflonowe garnki i czajniki, szybkowary, sokowniki i zupełnie niedostępne w kraju akcesoria pielęgnacyjne dla niemowląt.

Wszystkich jadących do Polski pasażerów pociągu relacji Berlin-Poznań, zwanego oficjalnie Beroliną, łączyło jedno: głośno manifestowana radość z przekroczenia granicy. O ile już na stacji Berlin Lichtenberg w pociągu powoli i raczej nieśmiało rozpoczynała się alkoholowa impreza, o tyle po przekroczeniu granicy polsko-niemieckiej pijacka euforia porывała niemal wszystkich pasażerów. Niektórzy pili z radości, bo udało im się przechytryć celników bezwzględnie rekwirujących kontrabandę, inni, ograbieni z części przewożonego towaru, zalewali gorzyc porażki.

Bo na celników nie było mocnych. Hordy grabieżców w zielonych mundurach rzucały się na pociąg jak karaibscy piraci na statek przewożący złoto. Odbierali towar według własnego uznania, ale nigdy nie rekwirowali wszystkiego. Zadowalali się małą częścią wwożonego do Polski dobra, bo wiedzieli, że nie wolno strzyc owiec do gołej skóry. Wybierali więc tylko niektórych podróżnych do szczegółowej kontroli, a pozostałych, tych, którym lepiej patrzyło z oczu, zostawiali w spokoju. W ten sposób większość wracających do kraju bez problemów przechodziła przez celniczą sieć.

Tak właśnie było z Karolem Wójcikiem, który z Berlina Zachodniego jechał w tym roku już po raz siódmy. Jakimś dziwnym i niewytłumaczalnym dla niego trafem w ambasadzie niemieckiej w Warszawie dano mu półroczną wizę pobytową. Wszystkim dawano na dwa miesiące, a on dostał na całe sześć. Nie znał niemieckiego, więc nie mógł wiedzieć, że zaproszenie, które kupił na Łazarzu, wystawił Wolny Uniwersytet w Berlinie dla studenta doktoranta archeologii śródziemnomorskiej w ramach bezpłatnych zajęć pogłębiających dotychczas zdobytą wiedzę. Wystarczyło tylko wpisać w odpowiednie miejsce imię i nazwisko doktoranta i już można było starać się o wyjazd. Na szczęście dla Karola funkcjonariusz SB, który przyznawał paszporty, też nie znał niemieckiego, dlatego nie dopatrzył się niczego dziwnego w tym, że malarz pokojowy Wójcik Karol, syn Mieczysława, będzie

zroszerzał swoją wiedzę archeologiczną. Zresztą jego brak czujności socjalistycznej nie wynikał z niedbalstwa czy niedouczenia, ale spowodowany był szarą kopertą ze stumarkowym banknotem, którą Wójcik dołączył do podania paszportowego. Urzędnikowi ambasady zaś było wszystko jedno, kto wyjedzie na takie zaproszenie, bo od pewnego czasu wszyscy urzędnicy w tej placówce wykonywali skrupulatnie polecenie rządu w Bonn, by nie robić trudności Polakom starającym się o wyjazd do Niemiec, bo prawdopodobnie większość z nich to prześladowani w PRL-u działacze podziemia. Skoro zaproszenie Wójcika mówiło o półrocznych studiach, skrupulatny urzędnik wydał zgodnie z przepisami półroczną wizę pobytową.

Po raz kolejny Karol wracał do Poznania szczęśliwy, bo znów w torbie miał dwa tanie magnetowidy i cztery radiomagnetofony. I tym razem celników nie zainteresował jego bagaż. Zresztą cały jego przedział ominęła kontrola, dlatego zaraz w Kunowicach, gdy tylko celnicy wysiedli, a pociąg ruszył, on i pozostali handlowcy natychmiast wyciągnęli ze swoich toreb butelki z niemieckim piwem i łyskacze z aldika. Warto było poświęcić te parę butelek, bo było co opijać.

Pociąg szarpnął gwałtownie i zaraz potem zaczął zwalniać. Karol, kompletnie pijany, obudził się i zaczął rozglądać wokół siebie. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Ale po chwili, gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zrozumiał, że siedzi w ciemnym przedziale pociągu. Wraz z współpasażerami w miłej i sympatycznej atmosferze opróżnili parę butelek. Poczł suchość w ustach, ale na szczęście pamiętał, że w szparze między siedzeniem a ścianą wagonu powinien mieć ukrytą jeszcze jedną butelkę „Berliner Weisse”. Namacał obły kształt i zadowolony wyciągnął flaszkę piwa. Scyzorykiem ostrożnie zdjął kapsel, a później jednym pociągnięciem osuszył zawartość butelki.

Niemal natychmiast poczuł, że świat znowu zaczyna przyjemnie wirować, ale jednocześnie pęcherz nieopróżniany od samego Berlina niebezpiecznie zapulsował. Wójcik podniósł się gwałtownie i mamrocząc coś pod nosem, zaczął przepychać się w stronę drzwi, przełaząc przez wyciągnięte nogi śpiących mężczyzn i podróżne torby zalegające na podłodze, bo nie pomieściły się już na górnych półkach bagażowych. Po chwili był na oświetlonym mdłym światłem korytarzu. Rozejrzał się wokół i stwierdził, że bliżej ma do ubikacji po lewej. Dzielilo go od niej sześć przedziałów i barykada z wielkich toreb wypełnionych deficytowym towarem, poustawianych piętrowo na całej trasie. Ruszył w tamtym kierunku, przedzierając się z wysiłkiem. Na szczęście na korytarzu nie było żywego ducha, nie musiał więc przepychać się dodatkowo między ludźmi. Pęcherz coraz bardziej dawał znać o sobie świdrującym bólem, ogarniającym całe podbrzusze. Wreszcie dotarł do przedniego pomostu. Musiał tylko jeszcze minąć kilkanaście pak ustawionych w wielką piramidę.

Wtem drzwi łączące dwa wagony otworzyły się i z łącznika wyszli dwaj kolejarze. Karol mimo narastającego bólu przyłgął do ściany, by ustąpić obu facetom. Jednak po sekundzie zrozumiał, że zrobił błąd, bo oni wcale nie chcieli iść w głąb wagonu. Ten pierwszy, niższy i przysadzisty jak atleta, zdecydowanie ruszył w prawo i wszedł do toalety, po chwili i drugi zniknął w niewielkim pomieszczeniu, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.

- Kurwa mać - zaklął głośno Karol Wójcik i poczuł, że już nie musi się spieszyć. Prawa nogawka jego peweksowskich lewisów zrobiła się nieprzyjemnie mokra...

Godzina 12.15

Chorąży Teofil Olkiewicz z Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Poznaniu miał

pilną robotę. No i właśnie dlatego był zły. Poza tym dziś była wolna sobota, a on musiał być w pracy. Siedział w swoim pokoju, który dzielił z dwoma innymi milicjantami, i pisał na potężnej maszynie marki Łucznik. A pisanie na maszynie nie szło mu najlepiej. Co chwilę mylił się, uderzając nie w ten, co trzeba, klawisz, na dodatek dźwignie czcionek szcziępały się ze sobą i Olkiewicz, klęcząc na czym świat stoi, musiał podnosić popielatą obudowę maszyny i rozczepiać zaklinowane czcionki. Po kilku takich operacjach palce miał całe poplamione tuszem, więc jego irytacja rosła z każdą chwilą i w tym momencie sięgała mniej więcej piątego piętra Okrąglaka. W biurze był sam, bo jego współpracownicy poszli już jakąś godzinę temu piętro wyżej do pań z kadr, które mimo wolnego dnia pojawiły się dziś na komendzie, gdyż rano było uroczyste spotkanie wszystkich pracowników z komendantem wojewódzkim z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. Koledzy wcześniej kupili za składkowe pieniądze kilka bukietów goździków na Rynku Jeżyckim i poszli je wręczyć paniom z okazji ich święta. Teofil też się dorzucił do kwiatków i chciał iść na górę, bo impreza w kadrach zapowiadała się całkiem sympatycznie. Kobiety jak co roku kupowały z tej okazji jakąś wódeczkę, by odwdziżyć się swoim kolegom za życzenia. Tego dnia nawet starsi stopniem oficerowie wypijali zdrowie pięknych pań i nikt nie robił żadnej sprawy z tego okazjonalnego picia w firmie. Teofil zdecydowanie lubił wypić i dlatego teraz denerwował się podwójnie, że musi siedzieć nad maszyną, wystukiwać na klawiszach jakieś idiotyczne zeznanie drobnego oszusta i złodziejaszka Filipiaka Mariana, syna Tadeusza, który zajmował się okradaniem samotnych kobiet na terenie całego województwa.

A musiał to zrobić sam, bo dzisiaj nie mógł pójść do pań z hali maszyn i prosić o przepisanie. Wiadomo było, że świętują już od rana i nie wypadało im dziś zawracać głowy pierdołami. Zresztą efekt pisania na maszynie w trakcie świętowania mógł być raczej mizerny. Więc był zły.

No a poza tym chciał się zwyczajnie napić, tymczasem wszyscy dookoła świętowali, a on siedział i stukał w klawisze i wcale mu to dobrze nie szło. Najchętniej rzuciłby to pisanie w cholere, ale jego szef, major Marcinkowski, umówił się z przejmującym tę sprawę prokuratorem z Wildy i chciał akta, by wydać decyzję o zastosowaniu sankcji wobec zatrzymanego Filipiaka Mariana, syna Tadeusza, któremu właśnie kończyło się przepisowe 48 godzin do wyjaśnienia. Widać było, że Marcinkowskiemu też głupio zawracać głowę prokuratorowi Witkowskiemu w święto kobiet, ale co było robić. Teofil, który nadzorował to śledztwo z ramienia wojewódzkiej komendy, wiedział, że musi to napisać i nie ma na to rady.

Przerwał na chwilę i sięgnął do szafki swojego biurka.

Stała tam od wczoraj mocno już nadwreżona butelka wódki bałtyckiej. Wyciągnął ją, spojrział najpierw na naklejkę przedstawiającą okręt unoszący się na niebieskich bałtyckich falach, a zaraz potem na szkło pod światło. Wydał wargi z dezaprobatą, stwierdziwszy, że płynu zostało na jakieś dwa palce. Nie może się przecież ta resztką zmarnować, pomyślał Olkiewicz i szybko dopił wódkę wprost z butelki. Wstawił ją na powrót do szafki i wyciągnął z kieszeni paczkę ekstra mocnych bez filtra. Te papierosy lubił najbardziej. Choć śmierdziały niemiłosiernie, były jednak według chorążego zdecydowanie najlepsze spośród dostępnych w kioskach Ruchu wyrobów tytoniowych. Od niedawna w sprzedaży zaczęły się pojawiać jakieś nowe papierosy z importu, ruskie kosmosy czy jugosłowiańskie DS-y. Ale Teofil nie lubił tych obcych produktów. Wolał swoje paskudztwo, chociaż śmierdziało jak tłący się stary siennik. Bo ekstra mocne palił już od ponad dziesięciu lat.

Mimo że ponad rok temu zniesiono kartki na papierosy, to i tak ze zdobyciem tych najbardziej popularnych były spore kłopoty. Olkiewicz kombinował, jak mógł, i załatwiał fajki w kilku kioskach

jednocześnie. Dzięki swym rozległym znajomościom udawało mu się zawsze wycygnąć od znajomych kioskarek po kilka paczek spod lady.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl srebrny pistolecik, popatrzył na niego z radością, a później pociągnął za spust. Z lufy buchnął długi na kilka centymetrów język ognia, którym przypalił papierosa.

Olkiewicz był bardzo dumny ze swojej nowej zapalniczki. Od kilku dni, to jest od momentu, kiedy kupił ją na gemeli na Łazarzu, nieustannie wykorzystywał każdą okazję, by przypalić komuś papierosa. Zapalniczka, którą wyprodukowano w ZSRR, na pierwszy rzut oka wyglądała jak prawdziwy pistolet. Nic więc dziwnego, że udało mu się przestraszyć nią kilka osób. Mirek Brodziak, jego kolega z wydziału, tak się zdenerwował po tym, jak Teofil wycelowwał w niego pistolet, że chciał mu nawet zabrać tę zabawkę i wyrzucić przez okno. Olkiewicz uratował drogocenny sprzęt i obraził się na porucznika do tego stopnia, że ten przez godzinę musiał namawiać chorążego, by wypili po małym na zgodę.

Schowal zapalniczkę do kieszeni i wrócił do pisania.

W tym momencie zadzwonił telefon na biurku obok. Teofil zaklął pod nosem, zły, że ktoś śmie mu przeszkadzać, ale że był obowiązkowy, poderwał się z krzesła i podszedł do aparatu.

- No, Olkiewicz, co tam? - warknął nieprzyjemnie. - Nie ma nikogo, sam tu jestem, bo Dzień Kobiet jest, nie? Znaczą się święta - tłumaczył cierpliwie natrętowi. - A majora Marcinkowskiego nie ma i dzisiaj już go nie będzie, bo jedzie do prokuratury. A właściwie to kto mówi, co?

Sierżant Mleczak? Aha. Skąd? Z Opalenicy. A wy tam, Mleczak, to nie obchodzą Międzynarodowego Dnia Kobiet?

No dobra, jak kapitan przyjdzie, to mu powiem, ale pewnie i tak nawet dziś nie zadzwoni.

Olkiewicz odłożył słuchawkę i zły jak diabeł wrócił do pisania. Co to za wiara, myślał, że też im się chce w taki dzień gitarę zawracać człowiekowi. No i co z tego, że znaleźli tam jakąś rękę. Jak znaleźli, to niech szukają dalej, aż znajdą resztę, i wtedy się zobaczy, co z tego wyjdzie. A tak znaleźli coś te szuszfale z zadupia, nie wiedzą, co z tym zrobić i zaraz telefon do wojewódzkiej, nie?

Zdenerwowany, stuknął mocniej w klawisz maszyny i wysłużona czarna taśma pękła. No, tego było mu już za wiele. Trzasnął ręką w blat stołu i zerwał się z krzesła. Nie może być tak, żeby oni tam pili, a ja tu zapierniczał z tą gównianą maszyną, powiedział do siebie.

Wyciągnął z szuflady grzebień, poprawił szybko zaczeskę, którą przykrywał łysiejące czoło. Pięćdziesięcioletni chorąży Olkiewicz wstydził się swojej łysiny, toteż włosy z tyłu układał starannie na czole tak, by wydawało się, że ma bujną czuprynę. Wstał z krzesła i nałożył marynarkę. Z przyzwyczajenia zapiął ją na dolne guziki, ale zaraz rozpiął. Już jakiś czas temu zauważył, że szyty na miarę jeszcze w siedemdziesiątym roku garnitur skurczył się nieco i niezbyt dobrze się prezentował na jego okazałym brzuchu. Wolał więc chodzić w rozpiętej marynarce, by nie dawać nikomu powodów do niepotrzebnych uwag na temat swojej tuszy.

Wszystko przez porucznika Brodziaka. Olkiewicz sam pewnie nie zwróciłby na to uwagi, bo nie dbał o takie drobiazgi jak dopasowana marynarka. Najważniejsze, by w ramionach było wszystko w porządku, a materiał nieprzetarty i niezniszczony. Tych kilku małych dziurek wypalonych żarem z papierosów prawie wcale nie było widać.

Brodziak zobaczył go kiedyś, jak dopina guziki na brzuchu, i powiedział mu, że tak opięty wygląda jak worek pyrów obwiązany sznurkiem. Teofil burknął coś pod nosem i rozpiął guziki. Od tego czasu nosił marynarkę już zawsze rozpiętą.

Jeszcze raz przyglądał włosy, spojrział w dół na czarne trzewiki z sortów mundurowych i wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Poszedł na górę do kadrowych sprawdzić, czy jeszcze zostało coś z imprezy.

Opalenica, godzina 12.20

Sierżant Włodzimierz Mleczak z Komendy Miejskiej w Opalenicy jak każdy normalny mężczyzna obchodził babskie święto. Kupił nawet dla swojej żony bukiet złożony z trzech czerwonych goździków z asparagusem, przewiązany czerwoną wstążką. Wstał o szóstej rano, żeby zdążyć jeszcze przed pójściem na dyżur i przed kolejkami do kwiaciarni. Jako funkcjonariusz na służbie mógł oczywiście podejść do lady i zażądać sprzedaży przed innymi, ale było mu trochę głupio, bo przecież w tej niewielkiej Opalenicy znali go wszyscy, więc zaraz po ludziach by poszło, że nadużywa władzy do kupowania w sklepach.

I dlatego wołał wstać trochę wcześniej, żeby ludzie nie mieli o czym gadać.

Mleczak chciał wręczyć swój bukiet zaraz po pracy.

Rano po przyjściu na komendę wziął stojącą butelkę po mleku za szafą w kącie pokoju, nalał do niej wody i wcisnął do środka goździki. Teraz spojrział na kwiatki stojące na oknie i pomyślał, że nie ma pojęcia, kiedy zanieś je swojej żonie. Co gorsza, nie wiedział również, kiedy będzie mógł wnieść toast za zdrowie małżonki, bo w PSS tuż koło kwiaciarni kupił jeszcze dodatkowo butelkę żytniej eksportowej, którą odłożyła mu znajoma, pani Krystynka. Butelka leżała teraz na dnie jego brązowej skórzanej torby stojącej tuż przy biurku i czekała na swoją chwilę.

Mleczak, zły jak diabli, pomyślał nawet, że ta sympatyczna butelka może się wcale nie doczekać. Wszystko przez tego Maślankę Zdzisława, tego pierdolonego Maślankę, przeklinał w myślach milicjant, co przylazł dwie godziny temu na komendę i powiedział, że znalazł coś dziwnego.

Maślanka był kolejjarzem. Pracował na stacji w Opalenicy i zajmował się naprawami sprzętu elektrycznego. Przyszedł na posterunek milicji, a właściwie przybiegł zziębnięty i ledwo mógł z siebie głos wydobyć. Mleczak nalał mu więc wody sodowej z syfonu, który trzymał na biurku, nie byle jakiego syfonu, bo nie szklanego napełnianego w punkcie napełniania syfonów, ale zupełnie nowiuńskiego, na naboje gazowe, lśniącego srebrno-czerwoną barwą, przywiezionego z wycieczki do Czechosłowacji. Podał mu szklaną bąbelkowaną wodę i kazał wypić, a potem uspokoić się i opowiadać wszystko po kolei jak na spowiedzi, żeby dwa razy czasu nie tracić. Maślanka wypił jednym haustem, zapalił popularnego i zaczął opowiadać, jak mu Mleczak nakazał, czyli bez nawijania makaronu na uszy.

- No to jak, jak przed południem wjechał tyn osobowy z Nowygo Tomyśla - mówił kolejjarz - to byłem już po paru głymbszych i nie brołem się za elektrykę, w zgodzie z przepisami, żeby po alkoholu nie dotykać urządzeń elektrycznych, żeby mnie czasem nie pierdolło. Łaziłem tylko dla niepoznaki ze swoją monterską torbą koło transformatora. Takem se łaził i czekał, aż przyndzie okazja zniknąć majstrowi Jarzębiakowi z pola widzenia. Myślałem, żeby skoczyć jeszcze raz do kanciapy, gdzie siedziała wiara od konserwacji torowiska, bo oni tam, panie władzo, wznosili toasty za zdrowie pań, jak to przy święcie się należy. Majster jak mnie w końcu przywazażył, to powiada, że idzie pogadać z dyżurnym, to ja zaraz pobiegłem przez tory w stronę magazynu, gdzie był tyn ich pokój socjalny.

Poleciołem, ale nie doleciołem. Jakem przeskakiwoł przez torowisko, to zoboczyłem coś jasnego, co leżało na drewnianym podkładzie. No tom podszedł tam, co by sprawdzić, co to leży, bo

wiadomo, że z pociągów wypadają różne rzeczy. Roz nawet mój kumpel Zdzichu Deptała znalazł całą reklamówkę, co komuś wylecioła. Na szczęście nie było w niej żodnych flepów, to i nie wiadomo było, komu oddać. A jak nie stoi napisane, czyje to, to tak jakby niczyje było. W ogóle ten Deptała powiedział, że i tak by nie oddał, bo po cholere. Jak ktoś wyrzucił, znaczy się nie potrzebował! Tym bardziej że w środku nie było nic bardzo cennego, ino parę kartonów ćmików, marlboro i jakichś ciuchów. A kto by marlborasy oddawał.

- Nie pierdolcie mi tu, Maślanka, o jakichś ćmikach. Do rzeczy się zwracać - zdenerwował się Mleczak.

Maślanka wypił jeszcze łyk wody ze szklanki.

- No to, panie sierzancie, melduję, że jak podeszłem do tygo, co tam leżało, tom pomyślał, że może mam dziś farta i komuś z pociągu berlińskiego portfel wywiało. Ale jak podeszłem bliży, to już wiedziałem, że to żadyn portfel, ino że zwyczajno rynkawiczka. Nawet chciałem już oną zostawić, ale coś mie tknęło i jednak pochylułem się nad nią. No i poruta, panie sierzancie - machnął ręką Maślanka.

- To nie rękawiczka?

- Łe, jako tam rynkawiczka, choć ze skóry i z palcami...

Rynka od człowieka i jeszcze od krwi uślomprano. Musiała komuś z bany wylecieć.

Mleczak spojrział na kolejarza z niedowierzaniem:

- Co ty pierdolisz, Maślanka, jak ręka mogła komuś wypaść z pociągu?

- No i ja tak samo se pomyślałem, panie sierzancie. Ino że jak onemu odpadło, to może by się dało i ją przyszyć, no to ja, ja wziełem, a wy już tam swoimi telefonami sprawdzicie, czy to z tygo sznylcuga z Berlina, co jechał, czy z Poznania. Bo tyn, co mu te grabę urwało, to musioł w tym pociągu zostać się bez onej. No to będzie wiadomo czyja...

Może teraz szuko jej gdzieś tam czy jak, bo ja wiem... Przerwał trochę zmieszany i spojrział na sierżanta.

- Jak wzięłeś? - zapytał z niedowierzaniem Mleczak. Zabrałeś ją z torów?

- No normalnie. A co miałem zostawić, żeby jakiś kejter zeżarł? Tak się nie godzi i nie po chrześcijańsku...

Spojrział na milicjanta, którego twarz zrobiła się jakaś niewyraźna, a potem wziął na kolana swoją monerską torbę, otworzył pokrywę i wydobył z wnętrza niewielki pakunek owinięty w „Głos Wielkopolski”. Położył go na biurku przed Mleczakiem. Spod rdzawobrunatnych plam wyłaniał się portret promiennie uśmiechniętej kobiety trzymającej wielki bukiet kwiatów, opatrzony tytułem „Kwiatek dla Ewy”.

Milicjant bez słowa nachylił się nad zawiniątkiem i ostrożnie za pomocą długopisu zenith odwinął skrawek papieru. Popatrzył na posiniałe palce, zakrwawiony przegub, za którym nie było ramienia, później na kolejarza Maślankę, a potem na kwiaty w butelce po mleku.

- No to Dzień Kobiet poszedł się pieprzyć - mruknął pod nosem sierżant.

- Że o co się rozchodzi? - zapytał Maślanka.

- Że cię diabli nadali.

- Aha - zrozumiał natychmiast kolejarz. - To ja już może pójde se precz? - zapytał niepewnie, spoglądając na milicjanta.

- Siedz tu, Maślanka, do cholery, bo ja teraz zadzwonić muszę do zwierzchności jakiejś. A później pójdziemy na miejsce zdarzenia, znaczy się tego znalezienia, w celu poszukiwania kolejnych

części... No i ten jeszcze protokół spisać trzeba.

- Ja już tam wszystko przepatrzyłem i gównem tam jest przy tych torach, panie sierżancie. Wszystko przepatrzone. A tak po prawdzie, to do domu się spieszę. Muszę, staryj, jakieś wino markowe kupić i z sąsiadem Stachowiakiem mieli my wypić za zdrowie dam..

- O domu to ty na razie zapomnij, Maślanka. Nie trzeba było się szwendać i rąk ludzkich znajdować - podsumował sierżant Mleczak i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Zdecydował, że czas kogoś ważniejszego obarczyć tym „ręcznym” problemem.

Rozdział I

Poznań, godzina 12.35

To Marzenka Konopka poszła wtedy na drugą stronę do spożywcza, bo jej powiedzieli na dyżurce, że mają tam dziś rzucić kawę z okazji Dnia Kobiet. No i ustawiła się w kolejce, bo ogonek już wychodził przed sklep, a to znaczy, że coś będzie. No i jak była już w połowie, to kierowniczką zarządziła, że kawy jest tak mało, że teraz sprzedają tylko po jednej paczce, a nie po dwie, jak na początku.

To te, co były z przodu, zaczęły się wydzierać, że co ich to obchodzi, że ma być tak, jak było na początku. A te z tyłu zaczęły też się drzeć, że mają dawać po jednej, bo one nie po to stoją, żeby nic nie dostać. No i zaczęła się robić gemela taka, że kierowniczką powiedziała, że w ogóle nie będzie sprzedawać. I nic jej nie zrobią i co najwyżej mogą ją z rozbiegu w dupę pocałować. Baby jeszcze powstały trochę, podarły się, ale na szczęście nawinął się dzielnicowy Władziu Milczyński i powiedział, że koniec sprzedaży, skoro kierownictwo sklepu tak mówi, i rozejść się należy, bo jak nie, to potraktuje wszystkie jak nielegalne zbiegowisko i po kolei, każdą z osobna, spisze. No i baby poszły, i Marzenka też chciała iść, ale Władziu na szczęście ją przytrzymał i zawołał do środka do sklepu. Powiedział kierowniczkę, że ta pani jest z kadr z komendy i że jej trzeba sprzedać, co sobie życzy. I kierowniczką w podziękę za przywrócenie porządku i praworządności dała jej pięć paczek orientów i Władziowi także samo, i jeszcze obydwójgu po butelce sangrii.

- Ja bynajmniej tego ulepku tobym do ust nie wziął, bo to takie kobiece wino, ale kawę to i owszem - powiedział Olkiewicz, który przed chwilą stanął w drzwiach do pokoju kadrowego. Powiedział o kawie, ale uśmiechnął się przy tym szeroko, a ręką dotknął szyi, dając obecnym do zrozumienia, że kawa może jeszcze trochę poczekać.

Pani Irenka Truszkowska, kadrowa, która opowiadała historię zdobycia kawy i wina, spojrzała z uśmiechem na chorążego:

- A co pan, panie Teofilu, tak późno do nas przychodzi?

Już myślałam, że pan o nas zapomniał.

- Ale bynajmniej, pani Irenko - usprawiedliwił się Olkiewicz. - Alem musiał jeszcze jakieś papiery uzupełnić, bo pilne są.

Podszedł do wielkiej kadrowej, która musiała ważyć przynajmniej sto kilo. Jej głowę przyozdabiała dziś z okazji święta trwała ondulacja, przypominająca snopek siana.

Teofil pochylił się i z gracją złożył pocałunek na ozdobionej złotymi pierścionkami pulchnej dłoni.

- I wszystkim tu obecnym paniom wieszczę w związku z ich świętem. A kwiatki to już koledzy przynieśli. Nadmienię, że również ode mnie - powiedział, poprawiając zsuwającą się zaczeskę.

Spojrzał na rudowłosego porucznika Brodziaka i ogromnego, zwalistego kierowcę sierżanta

Grzecha Kowala, którzy rozsiedli się wygodnie na krzesłach przed biurkiem pani Oli. Pani Ola pracowała w kadrach od niedawna. Jednak już zdążyła złamać kilka milicyjnych serc. Szczupła dwudziestoletnia blondynka, z pełnymi ustami zawsze wymalowanymi jaskrawoczerwoną szminką, w mocno opiętych na obfitym biuście sweterkach z importu, robiła na wielu mężczyznach duże wrażenie. Na Olkiewiczu zrobiłaby na pewno, jeśli pod tą bluzką zamiast kształtnych piersi znajdowałyby się dwie pełne półlitrowki. Popatrzył na nią, uśmiechnął się krzywo, a potem znów promiennie do pani Irenki. Jego instynkt starego pijaka podpowiadał mu nieomylnie, kto tu szafuje alkoholem.

- Pan siada se, panie Teofilu. Kawka zaraz się zrobi i pączki też będą, ale najpierw karniaczka dla spóźnialskiego.

Wskazała mu puste krzesło obok swojego biurka i szybkoitko podreptała w stronę niewielkiej szafki, na której były szklanki, kilka butelek oraz talerz z pączkami.

W pokoju stało sześć biurk. Dwie ściany - ta na wprost okien, w której były drzwi wejściowe, i również ta z prawej strony - zabudowane były pod sam sufit szafami i półkami. Stały na nich segregatory z dokumentami, jednak nie były to akta personalne. Zawierały dokumentację bieżącą, gromadzoną tu nie wiadomo po co od wielu lat.

Natomiast teczki z danymi wszystkich pracowników komendy przechowywano w specjalnym pomieszczeniu, zamkniętym solidnymi metalowymi drzwiami. Dostęp do niego mieli tylko funkcjonariusze upoważnieni przez samego komendanta i oczywiście najważniejsza osoba, która wiedziała wszystko o wszystkich, bo sama te teczki układała i kompletowała, czyli pani Irenka. Wśród nich była także teczka personalna chorążego Teofila Olkiewicza, w której zapisano skrupulatnie cały przebieg jego służby w organach.

Teofil do MO trafił w połowie lat pięćdziesiątych. Na początku był zwykłym stójkowym, do którego obowiązków należały patrole i dyżury na komisariacie Poznań Nowe Miasto. Patrolował więc centrum miasta, Starówkę i Chwaliszewo, dzielnicę o niezbyt dobrej reputacji, w której on sam się urodził i wychował. Przełożeni szybko docenili fakt, że Olkiewicz zna w tej części Poznania każdy dom, podwórko i co ważniejsze, każdego człowieka. Po kursach podoficerskich w szkole milicyjnej w Pile dostał trzy kaprałskie belki i awans na dzielnicowego. Wtedy dla Teofila zaczął się złoty okres. Doskonale obyty z miejscowymi zwyczajami, a co najważniejsze świadomy tego, kto jest kim na Chwaliszewie, szybko zorganizował sobie grupę informatorów, którzy donosili mu o każdym istotnym wydarzeniu w miejscowym półświatku. Meliniarze, drobni złodzieje i panny lekkich obyczajów, wszyscy miejscowi, żyjący z lewych interesów, musieli odpalać co miesiąc dzielnicowemu Olkiewiczowi działkę ze swoich dochodów. W zamian gwarantował im nietykalność i ochronę.

Ta idylla trwała jednak do chwili, gdy na działania Olkiewicza zwrócili uwagę koledzy z SB, którzy złożyli mu propozycję nie do odrzucenia. Zaproponowano mu przejście do bezpieki i Teofil musiał się zgodzić. Wkrótce jednak okazało się, że o ile Olkiewicz doskonale radził sobie jako dzielnicowy, o tyle do pracy politycznej nie nadawał się zupełnie. Jego raporty opowiadały tylko o nastrojach, ale nie zawierały żadnych konkretnych informacji. Po kilku latach jako niezbyt efektywnego pracownika przeniesiono go do pracy biurowej. Wydawało się już, że za biurkiem doczeka emerytury. Na szczęście dla niego przyszedł stan wojenny. Trzynastego grudnia został, jako najmniej przydatny funkcjonariusz, odkomenderowany przez swojego szefa do wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej.

Miał być łącznikiem między sekcją kryminalną a bezpieczeństwem, z zadaniem pomagania kolegom kryminalnym w kwestiach związanych z bezpieczeństwem wewnętrznym. Teofil nie miał zielonego pojęcia, co to znaczy, ale chętnie się zgodził, bo dotarło do niego, że znów będzie mógł wrócić na ulice. W grudniowym rozgardiaszu szybko udało mu się załatwić stałe przeniesienie i odtąd chorąży Teofil Olkiewicz znów był w swoim żywiole.

Szefowa działu kadr miała największe, zavalone ogromną stertą papierów biurko. Olkiewicz usiadł przy nim, oparłszy się jedną ręką o blat, na którym leżały zafoliowane paczki rajstop, jakie panie tradycyjnie już dostawały prócz kwiatów w prezencie od komendanta z okazji ich święta.

Pani Irenka natychmiast podeszła do niego i podała mu literatkę pełną przeźroczyściego, bezbarwnego płynu. Mężczyzna spojrział z wdzięcznością na ogromną „kelnerkę”, a potem opróżnił zawartość szklaneczki jednym łykiem.

- Dziewczęta, nalejcie panu Mirkowi i Grzesiowi - zaszcebiotała szefowa i ciężko opadła na swój fotel po drugiej stronie biurka.

- A majora Marcinkowskiego tu nie było jeszcze dzisiaj? - zapytał Teofil, rozglądając się niepewnie po pokoju, jakby bał się, że jego szef nagle wyskoczy zza jakiegoś biurka. Mimo że Marcinkowski był od Olkiewicza znacznie młodszy - miał dwadzieścia lat mniej od pięćdziesięcioletniego Olkiewicza - Teofil czuł wyraźny respekt przed szefem. Już dawno przeszli na ty i razem wypili niejedną butelkę, mimo to chorąży czuł, że dzieli ich wyraźny dystans, spowodowany przede wszystkim dużą różnicą szarż, a także jakimś dziwnym, niewytłumaczalnym strachem, który budził się gdzieś wewnątrz Teofilowej głowy w momencie, gdy na horyzoncie pojawiał się Marcinkowski.

- No właśnie, Teos - powiedział nieco bełkotliwie porucznik Brodziak, po którym już widać było, że alkohol powoli zaczynał przejmować kontrolę nad jego szarymi komórkami. - Miałem ci powiedzieć, ale jakoś tak zeszło... - uśmiechnął się, patrząc na panią Olę, która zatrzepotała zalotnie poczerwionymi rękami. - Miałem ci powiedzieć, że Fred Marcinkowski wpadł tu jakąś chwilę temu i powiedział, żeby ci przekazać, że to, co tam piszesz, to może poczekać do jutra, bo prokurator zadzwonił mu, że wystawi sankcję bez akt, a teczkę z tymi flepami trzeba mu zawieźć rano.

- W końcu prokurator też człowiek i musi się napić w Dzień Kobiet, a nie zajmować się pierdołami - wyjaśnił plutonowy Kowal, wlewając w siebie resztkę sangrii ze szklanki. Nie pił wódki, bo, jak wyjaśnił zaraz po przekroczeniu progu pokoju kadrowego, jako kierowca musi się oszczędzać, nigdy nic nie wiadomo.

- He, he, he - zaśmiał się chorąży Olkiewicz i z uciechy aż klepnął się w udo, bo kamień spadł mu z serca. - Znaczą się, pani Irenko, że w tym wypadku mogę na drugą nogę przyjąć.

Powiedziawszy to, wysunął w kierunku kadrowej rękę z opróżnioną literatką.

Godzina 13.48

Na bocznicę Dworca Głównego w Poznaniu stało kilkanaście brudnych i odrapanych wagonów osobowych. Z prawej strony tuż za nimi ciągnął się w nieskończoność betonowy płot Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego.

Zza płotu wyłaniały się ponure, pełne liszajów i zacieków szaro-popielate mury hal naprawczych, spoglądające na pociągi pustymi oczodołami okien bez szyb. Na szczycie jednego z budynków widać było hasło namalowane jeszcze za czasów gierkowskich białą farbą, a teraz już mocno przybrudzoną, a mimo to mocno kontrastującą z szarością podłoża: „Jutro socjalistycznej

ojczyzny budujemy dziś”. Na torze najbliższej ZNTK stały dwa żółto-niebieskie składy elektryczne. Oba pociągi wróciły z trasy wcześniej rano, a wyruszały w drogę powrotną dopiero po południu. Były to typowo robociarskie pociągi, które obsługiwały trasy podmiejskie, rozwożąc ludzi wracających z pracy w Poznaniu. W wolną sobotę zamieniały się w pociągi handlowe - do Poznania przyjeżdżali nimi ludzie, którzy liczyli, że uda im się w poznańskich sklepach upolować coś ciekawego, czego próżno by szukać w ich miejscowościach. Panowało powszechne przekonanie, że stolica województwa musi być lepiej zaopatrzona niż prowincja. Trochę w tym prawdy było, ale nie do końca.

WPHW czy PSS rozwoziły towary po swoich sklepach zgodnie z zaplanowanym wcześniej rozdzielnikiem, i tak na przykład do Szamotuł trafiały garnitury, do Murowanej Gośliny półbuty męskie, a do Opalenicy krawaty, z kolei do dużego odzieżowego w poznańskiej Alfie wszystkie te rzeczy naraz. Stąd przekonanie, że w Poznaniu można się zaopatrzyć we wszystko. Szczególnie zaś, gdy w świąteczne dni, takie jak ósmy marca, rzucano towar, by uczcić święto czymś niecodziennym. Dlatego jeśli ktoś dziś trafił do Alfę czy Okrągłaka, mógł wrócić do domu z kozakami damskimi albo bułgarskimi torebkami z imitacji skóry czy nawet z dzinsami z Odry.

Dwa puste pociągi czekały teraz na zakupowiczów, którzy po południu mieli wrócić z łupami do swoich domów.

Sprzątanie w wagonach polegało tylko na wybraniu śmieci z aluminiowych śmietniczek i ewentualnym zabraniu rzeczy pozostawionych przez zapominalskich. Robiła to poranna grupa sprzątaczek. Teraz ścieżką między dwoma pociągami, w stronę międzynarodowego składu, który wieczorem miał wyruszyć z Poznania do Berlina, szły cztery kobiety. To był porządny pociąg, którym prócz naszych podróżowali też goście z zagranicy. Dlatego sprzątanie w nim to była poważna praca. Trzeba było odkurzyć wszystkie przedziały łącznie z kanapami, przetrzeć okna, a nawet wymyć ubikacje.

Roboty dużo, a satysfakcji mało, jak mówiła Krystyna Wróbel, brygadzistka zespołu sprzątaczek. Ale ktoś to w końcu musiał robić, by ci z zagranicy widzieli, że u nas też wysoka kultura jest, wyjaśniała swoim podwładnym.

Satysfakcja rzeczywiście była mizerna, bo w międzynarodowym sprzątało się dopiero przed odjazdem, nie zaraz po przyjeździe. A po przyjeździe właśnie można było liczyć na najciekawsze znaleziska. Ludzie zostawiali niedopalone paczki zagranicznych papierosów, jakieś piwa w puszkach czy niedopite butelki z mocniejszym alkoholem. Ale niestety, ten kolorowy świat był niedostępny dla sprzątaczek. Porządki zaraz po przyjeździe na stację robiła załoga pociągu i za nic w świecie ci pazerni faceci nie chcieli pozwolić, by wyręczyły ich uczynne kobiety.

Jednak nie można powiedzieć, by potem niczego z takich składów nie dawało się już wynieść. Pozostawały przecież śmietniki w przedziałach, które kolejarze przeglądali tylko pobieżnie. Natomiast sprzątaczkę musiała każdy śmietnik opróżnić. Dlatego zawsze coś tam dało się znaleźć. Najważniejszym trofeum bywały kolorowe foliowe torby z nadrukowanymi reklamami. Takie torby zagraniczni traktowali nie wiedzieć czemu jak zwyczajne śmieci.

A u nas każdą taką reklamówkę można od ręki sprzedać na Łazarzu za dobrą cenę. Nic dziwnego, przecież modna i elegancka kobieta wolała pójść do ogonka pod rzeźnikiem z foliową kolorową torbą z napisem „Coca-Cola” niż z obskurną siatką z wiskozy czy jeszcze zwyczajniejszą i już zupełnie prostacką z płótna.

Niekiedy z takiego jednego berlińskiego składu udawało się wyciągnąć kilkanaście reklamówek.

Prócz tego tam znajdowały się zawsze jakieś drobiazgi, które przeoczyli pierwsi porządkowi. Grzebienie, dezodoranty, napoczęte paczki podpasek, mydełka, a nawet ręczniki w łazienkach czy w końcu zachodnie gazety. Od sprzątaczek kupowali je na pniu jacyś dziwni faceci, którzy przychodzili co kilka dni po świeżą dostawę. Kobiety mówiły między sobą, że to jacyś ludzie, którzy podobno znają niemiecki i pracują na uniwersytecie. Tylko nikt nie wiedział, po co im takie niemieckie gazety. Ale jak płacą, to co się pytać. Niech czytają na zdrowie, mówiła Wróblowa i kasowała jak za świeży „Express Poznański”.

Przy pierwszym wagonie berlińskiego składu kobiety z miotłami w rękach zatrzymały się.

- Pani Krzysztofiakowa, pani weźnie dziś pierwszy, ty Beatka drugi, Mariolka trzeci, a ja czwarty. Mamy akuratnie osiem, to po dwa na twarz wypadnie.

Brygadystka Wróblowa wyciągnęła z kieszeni fartucha klucz kolejarski, otworzyła pierwszy wagon i ruszyła dalej. Za nią podążyły dwie młode sprzątaczk. Najstarsza z grupy, emerytka Krzysztofiakowa, mimo znacznej tuszy wdrapała się na schody z łatwością, o jaką trudno byłoby ją na pierwszy rzut oka posadzać. Szybko weszła na korytarz i przedział po przedziale zaczęła rutynowy przegląd. Najpierw szukała rzeczy leżących na wierzchu i na podłodze pod siedzeniami. W drugim przedziale znalazła na przyokiennym stoliczku gazetę, ale zaraz wyrzuciła ją do worka na śmieci, bo okazało się, że to enerdowskie „Neues Deutschland”, a za to paskudztwo nikt nie dałby złamanego grosza. Krzysztofiakowa po latach praktyki potrafiła bezbłędnie odróżnić prawdziwe wartościowe gazety od nic niewartych szmat z NRD. Na szczęście w innych przedziałach znalazła kilka zachodniobерlińskich dzienników i nawet jednego „Playboya”, który wpadł pod kanapę i pewnie dlatego nie zauważyli go kolejarze. Zadowolona wepchnęła gazety do siatki, którą zawsze nosiła w kieszeni roboczego fartucha, i poszła w stronę ubikacji, by zacząć bardziej gruntowny przegląd.

Chwyciła klamkę i chciała otworzyć drzwi, ale te nie ustąpiły.

- Łe, co jest, psiakrew - zaklęła pod nosem.

Naparła na nie jeszcze raz ramieniem, ale nieco silniej znowu nic. Niezrażona niepowodzeniem wydobyła z kieszeni fartucha taki sam klucz kolejarski jak ten, którym wagon otworzyła jej brygadystka. Przekręciła trójkątny zamek i pchnęła pewna sukcesu. Drzwi ustąpiły trochę, jednak nie udało się ich otworzyć całkowicie. Coś tarasowało je od środka.

- Nachlany jakiś pener tam się został leżeć, czy jak? - Powiedziała niby do siebie, ale jednak na tyle głośno, by pijany, jeśli tam rzeczywiście był, mógł wszystko usłyszeć.

Nikt nie odpowiedział, więc spróbowała jeszcze raz:

- Łe jery, ady łachudro jedna, wstawej mi tu, ino migiem, bo jak nie, to ścierą przez ryfę dam jak nic. Ruszże się, pijanico jedna.

Znowu odpowiedziała jej cisza. Tego już było za wiele.

Wsadziła kij od szczotki w szparę w drzwiach i pchnęła z całej siły. Poczuli, że drzwi powoli przesuwały się do środka. W szparę zaraz włożyła nogę i jeszcze raz pchnęła z całej siły. Wejście do ubikacji rozwarło się na tyle, że mogła spróbować zacząć wciskać się do małego pomieszczenia. Wysunęła nogę, a potem spojrzała w dół. I zrobiło jej się niedobrze. Jakoś nigdy nie lubiła widoku krwi.

Nawet najzwyczajniejsza drobna rana potrafiła ją przyprawić o zawrót głowy. Tymczasem tu krwi było tak dużo, że Krzysztofiakowa mało nie upadła. Podłoga w łazience wyglądała, jakby ktoś wylał tam wiadro czerwonej olejnicy podczas malowania pierwszomajowych haseł. Co gorsza, krew przylepiła się też do podeszwy jej buta i gdy cofnęła nogę z obrzydzeniem, zostawiła na podłodze

czerwoną smugę.

Kobieta chwyciła się framugi drzwi, by nie upaść na powalaną podłogę. I wtedy za drzwiami przesunęło się coś ciężkiego, potem w szparze pojawiła się bezwładna ręka, a właściwie tylko jej część. Tam, gdzie powinna znajdować się dłoń, była tylko jakaś postrzępiona krwawa masa.

Sprzątaczką Krzysztofiakową poczuła, że nie może złapać oddechu, ale tylko przez ułamek sekundy, bo po chwili nie czuła już nic. Upadła z łoskotem na podłogę.

Godzina 14.30

Porucznik Leon Kudelski z komisariatu kolejowego na Dworcu Głównym w Poznaniu poczuł nieprzyjemne suche drapanie w gardle. Już od rana coś go drapało, ale myślał, że to przez ten cholerny Dzień Kobiet. Dzisiaj wszyscy od rana pili zdrowie pań, a on nie wtoczył w siebie ani grama. Nie licząc oczywiście tego jednego lecha, którego wypił, jak tylko przyszedł na posterunek. Jednak nawet przy takim święcie nie ruszał niczego mocniejszego. Porucznik Kudelski był człowiekiem zasad i uważał, że w pracy nie powinno się pić, a tym bardziej w tak odpowiedzialnej pracy jak ta jego. W końcu to na jego głowie był cały dworzec ze wszystkimi peronami i przejściami podziemnymi, do tego pociągi wjeżdżające na stacje i wyjeżdżające stąd.

Słowem: bezpieczeństwo tysięcy ludzi zależało od tego, czy będzie w stanie odpowiednio zareagować w razie sytuacji kryzysowej. A co jak co, ale zareagować potrafił. Nie dalej jak wczoraj tak wlał jednemu wywijasowi, że musiało go stąd zabierać pogotowie.

Bo ten pener jest sam sobie winny, mówił podwładnym porucznik. Jakby nie zarzygał nam biurka, tobym mu ino raz przylał w tytę i koniec. Ale jak on tak z nami, z milicją obywatelską postąpił, to przecież nie można beczynnie patrzeć, jak taka ofyfla obraża mundur.

No i wlał mu za to pałą kilka razy, choć z umiarem. Tak, by zapamiętał, ale bez większej krzywdy. A ten umiar to właśnie przez niepicie, myślał z dumą milicjant. Bo jakbym chlał na służbie, to kto wie, czy z nerw bym nie wyszedł zanadto. A tak łachudra dostał, co mu się uczciwie należało, po bożemu.

Porucznik Kudelski wyrzucił papierosa, zdeptał go na chodniku, obciągnął mundur i ruszył w stronę wejścia do hali Dworca Zachodniego. Patrzył, jak tłum wchodzących i wychodzących ludzi rozsuwa się przed nim z szacunkiem dla uniformu. Po lewej stronie, za kioskiem z książkami, stał rząd kas automatycznych, w których bez kolejki można było kupić bilety do stu kilometrów. Spojrzał w tamtym kierunku, bo przy tych maszynach zawsze kręciły się jakieś dzieciaki, próbujące naciągnąć podróżnych na drobny grosz. Ale tym razem nie było ani jednego. Kudelski uśmiechnął się pod czarnym sumiastym wąsem.

Pomyślał, że musiała się rozejść wśród nich błyskawicznie wieść, że on, szef komisariatu, pali ćmika przed dworcem, i szczony wołały nie ryzykować spotkania.

Dla porządku przeszedł jeszcze wzdłuż automatów, popatrzył gospodarskim okiem na urządzenia i na kupujących bilety, a potem ruszył w stronę tunelu prowadzącego z Dworca Zachodniego do Głównego. Porucznik lubił sam chodzić na patrole. Co prawda miał od tego kilkunastu chłopaków, ale uważał, że on też powinien dawać przykład i dlatego kilka razy dziennie obchodził cały swój rejon. Poza tym był przekonany, że nie ma niczego lepszego dla poprawienia dyscypliny jak osobisty chwalebny wzór. Przed witryną kiosku z książkami zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na szybę wystawową. Z daleka wyglądał tak, jakby szukał w wyłożonych na ladzie tomach czegoś dla siebie. Ale książki nie interesowały go wcale. Jakiś czas temu odkrył, że w ten sposób można, nie budząc

niczych podejrzeń, obserwować to, co się dzieje w dworcowych drzwiach. W szybach kiosku wszystko odbijało się jak w lustrze. To było niezwykle sprytnie posunięcie.

Niby patrzył na książki, a w rzeczywistości obserwował wejście, odwrócony do niego plecami. Nie był to do końca jego pomysł. On go tylko wprowadził w życie, ściągając z filmu Akcja pod Arsenalem. Tam jeden taki, żołnierz ruchu oporu w cywilu, patrzył na wystawę sklepową i widział, jak nadjeżdża z głębi ulicy furgonetka z więźniem. No i porucznik zaraz na drugi dzień po tym, jak ten film zobaczył w kinie Bałtyk, postanowił spróbować.

Wybrał księgarnię dworcową na Zachodnim, bo była prawie na linii wejścia. I okazało się, że to rzeczywiście świetny punkt obserwacyjny. Wszystkim mogło się wydawać, że milicjant z zainteresowaniem patrzy na książki, a on patrzy sobie na wszystko, tylko nie na literaturę.

Książki go nudziły, bo uważał, że prawdziwe życie jest na peronach. Znał nawet jednego literata, który siedział u niego w areszcie dworcowym, po tym jak przymknięto go za pijacką awanturę w barze Warsu na głównym dworcu.

- Ten literat, co pisał książki - opowiadał Kudelski swojemu koledze z Komendy Miejskiej - to pisał o jakichś tam sprawach z historii. Ale o tym, jak robił gnój w bufecie i jak gośmy zamknęli na komisariacie, to pisać nie chciał.

Jak mu to zaproponowałem, to ten pisarz mi powiedział, że ten syf codzienny to każdy sobie może obejrzeć na własne oczy, a ludzie potrzebują czegoś wzniosłego. A c o wzniosłego jest w gorzole i rzyganiu...

I dlatego porucznik nie lubił czytać, no chyba że gazety, a w nich też nie wszystko. Pierwsze strony były bardzo nudne, środkowe mniej, ale też nudne, a najciekawsze były te ostatnie, czyli sport i nekrologi. Sport lubił, bo był kibicem Lecha i interesowało go to, co dzieje się w lidze, a nekrologi, bo zawsze można tam było znaleźć kogoś znajomego.

- Mam O jeden most za daleko - powiedziała sprzedawczyni pani Wandzia, uśmiechając się porozumiewawczo do milicjanta. - Tylko dla lepszych klientów, spod lady, bo to o wojnie jest na Zachodzie. O spadochroniarzach dodała dla wyjaśnienia.

- Pani, ja tam na pierdoły nie mam czasu, a wojna prawdziwa to tu jest w hali i na torach - machnął ręką i chciał odejść, lecz nagle w szybie księgarskiego kiosku zauważył, że na dworzec wkroczył sokista Majchrzak. Stał w przejściu i zaczął się nerwowo rozglądać. Wreszcie dojrzał Kudelskiego i ruszył biegiem w jego kierunku.

- Co jest, panie Majchrzak, tak pan leci, że zaraz panu czapka zleci - zaśmiał się milicjant.

- A co mam nie lecieć, panie poruczniku, jak, kurwa, mamy trupa w wagonie berlińskim - wyrzucił z siebie zdenerwowany sokista. Mówił tak głośno, że pani Wandzia przysunęła się bliżej okienka, mając nadzieję na jakąś sensację, którą zaraz będzie mogła sprzedać dziewczynom z kas.

- Jak w berlińskim? Przecież berliński jedzie dopiero o dziewiętnastej pięćdziesiąt dwie - zdziwił się Kudelski.

- Ja pierdziele, panie poruczniku, w tym na bocznicy, co stoi od rana! Facet leży bez życia.

- Zachłął się na śmierć z okazji Dnia Kobiet? To trzeba by pogotowie wezwać, żeby go zbadali.

- Zachlany jak nic, tak jak ten w zeszłym roku, co to na półce bagażowej w przedziale został leżeć i dopiero jak pociąg wracał w drugą stronę do Rajchu, celnicy go obudzili i prosto do izby wytrzeźwień... - wtrąciła szybko sprzedawczyni, ale zaraz umilkła, bo Kudelski machnął ręką, spojrzał na nią groźnie, zmarszczywszy brwi, po czym odwrócił się do Majchrzaka, zasłaniając tyłkiem okienko kiosku.

- Może się i zachlał. Tylko że gorzołę to musiałby mu wlać ktoś do ryja, bo on sam nie mógł - powiedział sokista.

- U nas każdy może - nie dawała za wygraną sprzedawczyni.

- Co prawda, to prawda. U nas każdy może - poparł ją znający życie oficer.

- No, tylko potrzebne są jeszcze do tego łapy, żeby flaszkę unieść, a ten tam łap ni ma.

- Jak nie ma? - nie rozumiał dalej porucznik.

- Bo mu, kurwa, jakiś kutas je urąbał!

- O Jezus Maria, może mu pociąg po nich przejechał, tak jak temu facetowi na Wildzie, co to zasnął na torowisku tramwajowym i tramwaj mu przez te giry przejechał, że tyn ani nie wiedział, co się stało, i dopiero na drugi dzień jak wytrzeźwiał... - wyrzuciła z siebie z prędkością karabinu maszynowego pani Wandzia, ale nie dokończyła, bo milicjant spojrzął na nią tak groźnie, że natychmiast schowała głowę do kiosku.

- Cicho, do cholery - warknął porucznik Leon Kudelski, który wiele już w życiu widział, ale żeby jakiś trup z odrąbanymi rękami na jego dworcu się poniewierał, tego jeszcze nie było. Zdenerwowany nie na żarty, wiele się już nie zastanawiając, ruszył biegiem do tunelu przechodzącego pod dworcowymi peronami. Błyskawicznie przebiegł na czwarty i wy dostał się schodami na zewnątrz. Majchrzak biegł tuż za nim. Na peronie zrównali się.

- Tam koło płotu ZNTK jest berliński - wyjaśnił sokista, wskazując ręką kierunek.

Musieli poczekać trochę, aż na peron wtoczy się pospieszny z Warszawy, który odciął im drogę. Pomimo napierających na drzwi wsiadających i wysiadających wepchnęli się na siłę do najbliższego wagonu, przecisnęli przez zatłoczony korytarzyk i wyskoczyli z drugiej strony pociągu. Potem przez tory na przelaj dostali się na bocznice. Berliński skład łatwo było rozpoznać z daleka, bo wyróżniał się już na pierwszy rzut oka spośród wagonów stojących na torach. Te kursujące na liniach krajowych były brudne i odrapane. Zagraniczny wyglądał, jakby przed chwilą wyjechał z wrocławskiego Pafawagu.

Przy ostatnim wagonie stała grupka kilku kobiet i mężczyzn. Były to sprzątaczk i pracownicy kolejowi w roboczych strojach. Widać wieść o niecodziennym znalezisku musiała obieć dworzec lotem błyskawicy. Stojący przed wagonem na widok milicjanta i sokisty odeszli od drzwi, a nadbiegających przywitała brygadzistka sprzątaczek.

- Tam leży ten gość, w kiblu. - Wskazała na otwarte drzwi wagonu. - Zaszlachtowany jak wieprzek.

- Nieżywy - dodała druga sprzątaczk.

- Ręce mu ucięli - wyjaśniła trzecia.

- Nie dwie, ino jedną - dodała kolejna tonem najlepiej poinformowanej na świecie agencji TASS.

- Ciekawe, kto to teraz będzie sprzątać, bo ja się krwi nie dotknę za nic w świecie - zainteresowała się Krzysztofiakowa, która znalazła nieboszczyka i teraz już zdążyła dojsć do siebie.

Porucznik Kudelski ledwo spojrzął na kobiety. Złapał się poręczy i wskoczył na stopnie. Pierwsze, co zauważył, to cała masa krwawych śladów na podłodze.

- Kurwa, wycieczka z Szamotuł tu przysła na oglądanie? - rzucił za siebie. Przez chwilę się zawahał, czy iść do tej ubikacji, ale pomyślał, że nie ma innego wyjścia, bo na podstawie relacji bab nie będzie wzywał śledczych.

Pchnął drzwi i znowu poczuł nieprzyjemne suche drapanie w gardle. Ale tym razem wcale nie

chciało mu się pić.

Teraz poczuł, że robi mu się niedobrze. Bo facet obwiązany jak baleron plastikowym sznurem do bielizny, z pętlą zaciśniętą na szyi i z obciętą ręką, to był jego dobry znajomy.

Godzina 15.10

Major Alfred Marcinkowski, zastępca szefa wydziału kryminalnego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Poznaniu, nazywanego przez większość milicjantów zwyczajnie Komendą Wojewódzką, pakował swoje papiery do czarnej skórzanej torby. Szykował się do wyjścia. Spieszył się, bo to w końcu dzisiaj Dzień Kobiet, a on nie zdążył jeszcze kupić kwiatka dla żony. Na szczęście prezent już miał: w bufecie sprzedawczyni odłożyła dla niego prawdziwą bombonierkę z Goplany. Zanim upchał ją w swojej teczce, sprawdził jeszcze na wszelki wypadek, tak dla pewności, czy aby na pewno nie jest to wyrób czekoladopodobny.

Na szczęście wszystko się zgadzało. Z pudełka patrzyły na niego cztery małe, pręgowane koty siedzące w koszyku. Na etykiecie napisano wyraźnie: „Bombonierka czekoladowa, skład: mleko, ziarno kakaowca, cukier, wyprodukowano Zakłady Przemysłu Cukierniczego Goplana”. Taka bombonierka to było coś. Niezbyt często można było ją dostać.

W mieście prawie nie do zdobycia. Ale w milicyjnym bufecie od czasu do czasu się zdarzały, tyle że trzeba było mieć dobre układy z panią Halinką, która nie każdemu odłożyłaby pod ladę taki rarytas. On akurat w bufecie układy miał całkiem niezłe. I wcale nie zawdzięczał ich swojemu osobistemu urokowi. Jeszcze rok temu pani Halinka traktowała go jak każdego innego funkcjonariusza. Wszystko się zmieniło gdzieś tak w czerwcu zeszłego roku, kiedy po komendzie rozeszła się wieść, że Marcinkowski i jego zespół dopadli tego „Upiora znad Warty”, co to obciął głowy dwóm kobietom. To właśnie wtedy dostał błyskawiczny awans i został chyba najmłodszym wiekiem majorem w komendzie wojewódzkiej. Odtąd jego przełożeni wróżyli mu błyskotliwą karierę, a pięćdziesięcioletnia bufetowa patrzyła na niego jak nastolatka na Grzegorza Ciechowskiego, z szacunkiem i uwielbieniem.

Materialnym efektem tego podziwu były spożywcze rarytasy odkładane specjalnie dla majora. Wczoraj zadzwoniła z bufetu i poprosiła go, by zszedł na dół, ma coś specjalnego. No i święta prawda. Ucieszył się z tej bombonierki, bo jego dwudziestopięcioletnia żona Grażyna bardzo lubiła czekoladę, o którą było w mieście niezwykle trudno.

Zupełnie przypadkowo na pierwszą randkę, na którą umówili się w Miodosytni u Rajców na Starym Rynku, przyniósł zamiast bukietu kwiatów tabliczkę czekolady mlecznej z 22 Lipca, dawniej E.Wedel. I tym chyba ją rozbroił zupełnie. Najpierw zrobił na niej wrażenie, kiedy w szkole, w której uczyła historii, odgrywał rolę kapitana Żbika i opowiadał dzieciom o tym, jak się łapie przestępców. Potem zaskoczył samego siebie, bo wyłowiwszy ją wzrokiem z tłumu nauczycielek po prelekcji, przełamując wrodzoną nieśmiałość do kobiet, podszedł do niej i zapytał, czy nie poszłaby z nim na kawę. Gdy spojrzała na niego, ta drobniutka dziewczyna o zielonych oczach, mało nie ugięły się pod nim nogi, ale w końcu był twardym milicjantem i musiał dać sobie radę. Chciał jeszcze dodać coś żartobliwego, ale nic nie przychodziło mu do głowy, a ona stała tak przed tym nieporadnym dryblasem i uśmiechała się, zdając sobie doskonale sprawę z jego zakłopotania. W końcu powiedziała, że kawy nie lubi, ale chętnie wypije kieliszek wina. Nie minęło pół roku, a byli już małżeństwem. Szybko sprzedali jego kawalerkę w starym budownictwie i jej M3 na Wildzie. Wsparła ich też matka Freda, która poświęciła na cel mieszkaniowy młodych kilka złotych carskich

pięciorublówek, jakie przechowywała w domu od lat na czarną godzinę. Widząc niewyraźną minę syna, stwierdziła, że ta czarna godzina pewnie jeszcze długo nie nadejdzie, bo najczarniejsza już była trzynastego grudnia i teraz może już być tylko lepiej, więc gotowa jest z czystym sumieniem przekazać mu rodzinny skarb. Gotówkę i złoto wymienili po bardzo korzystnym kursie na dolary u cinkciarza, kumpla Brodziaka, i za walutę kupili zupełnie nowe, piękne trzypokojowe mieszkanie w bloku na Ratajach.

Marcinkowski był sam w pokoju. Od kilku miesięcy, to jest od chwili, w której otrzymał nominację na stopień majora, mógł cieszyć się własnym gabinetem. Co prawda nie był to jakiś wielki pokój, ale jednak miał w nim własne biurko, własną szafę na papiery i własne radio amator stereo.

Z tego radia cieszył się najbardziej. W poprzednim pokoju, który zajmował razem z porucznikiem Brodziakiem i chorążym Olkiewiczem, też stało radio. Jednak był to stary monofoniczny taraban, na którym od jakiegoś czasu nie mogli złapać UKF-u. Dlatego pracujący w tym pokoju skazani byli na pierwszy program Polskiego Radia. A tu proszę bardzo, nie dość że własny pokój, to jeszcze amator z dwoma głośnikami ustawionymi na ostatniej półce szafy na papiery. Można było do woli kręcić obrotową gałką i zmieniać programy. Tak naprawdę Marcinkowski słuchał tylko Trójki, od czasu do czasu przerzucając się na czwarty z muzyką klasyczną. Wybór programu zależał od tego, czym był właśnie zajęty. Jeśli chciał się nad czymś skupić, wtedy włączał Czwórkę. Klasyka sprawia, mawiał, że myśli łatwiej uporządkować i pogrupować w efektywny sposób. Natomiast Trójka była włączona właściwie na okrągło dla muzyki, którą major cenił najwyżej, czyli dobrego rocka. Ostatnio rockowym odkryciem tego programu był zespół Marillion. Na początku myślał nawet, że to jakaś nowa odsłona starego Genesis, ale redaktor Kaczkowski szybko wyprowadził go z błędu podczas sobotniej popołudniowej audycji Zapraszamy do Trójki. Marcinkowski stał się prawdziwym miłośnikiem Marillion, a obie ich płyty, nagrane z radia magnetofonem stereofonicznym finezja, puszczał w domu niemal codziennie. Od pewnego czasu robił to jednak niemal bezgłośnie. Żona zarządziła w domu muzyczną ciszę, odkąd przybył im jeszcze jeden mieszkaniec, i trzeba się było z tym pogodzić. No cóż, Filip Marcinkowski miał w jego mieszkaniu zdecydowanie większe prawa niż on sam. Ale Fred nie potrafił żyć bez muzyki, dlatego kupił do słuchania w domu słuchawki.

Nie była to taka prosta sprawa, znalezienie ich w sklepie graniczyło niemal z cudem. Ale tu jak zwykle nieoceniony okazał się jego przyjaciel porucznik Brodziak. Ten facet potrafił załatwić dosłownie wszystko. Toteż gdy Marcinkowski podjął decyzję o zakupie deficytowego sprzętu, poszedł do Brodziaka.

Porucznik Brodziak był zupełnym przeciwieństwem Marcinkowskiego. Może właśnie dlatego tak świetnie się uzupełniali. Fred był wysokim, dobrze zbudowanym blondynem z równo przyciętym jasnym wąsem. Ubierał się do biura w ciemny garnitur, zawsze ze starannie zawiązanym krawatem. Mówiono o nim, że jest w swojej pracy bardzo dokładny i skrupulatny, a każdą rzecz woli sprawdzić pięćdziesiąt razy, zanim podejmie jakąś decyzję. Z charakteru typowy porządny i sumienny poznański urzędnik.

Brodziak natomiast, piegowaty szczupły rudzielec niższy od swojego szefa o jakieś dziesięć centymetrów, był typem ulicznego wywijasa ze Starego Miasta. Tam się zresztą wychował, a jego poczynania z dzieciństwa i młodości wcale nie wróżyły mu kariery w milicji. Ubierał się jak cinkciarz w peweksowskie dzinsy i kurtki, codziennie używał peweksowskiego dezodorantu Old Spice. Mógł sobie pozwolić na te luksusy, bo powszechnie było wiadomo, że większość staromiejskich handlarzy walutą to dawni koledzy Brodziaka. Dla niego kupno paru dolców na dobry

ciuch czy kosmetyki nie stanowiło więc żadnego problemu. Wychowany na ulicy, uliczne zwyczaje wprowadzał do milicji. Pochodzący z tak zwanej dobrej rodziny, Marcinkowski urodził się i wychował na Sołacz, czyli w ekskluzywnej willowej dzielnicy z przedwojennymi tradycjami. Zatrzymanych bandziorów podczas przesłuchania traktował często z nadmierną kurtuazją, gdy Brodziak rozmawiał z nimi ich językiem, a dla wsparcia argumentów czasami używał pięści, co dla Freda było nie do pomyślenia. Obaj stanowili więc niemal modelową parę złego i dobrego gliniarza i doskonale zdając sobie sprawę z tego atutu, stosowali go w praktyce nader często.

Major Marcinkowski zamknął teczkę i podszedł do radia, by je wyłączyć. Już chciał wcisnąć klawisz, gdy z głośnika popłynęły pierwsze dźwięki Autobiografii Perfectu.

Bardzo lubił tę piosenkę, więc przez chwilę nie mógł się zdecydować - dosłuchać do końca czy też wyłączyć odbiornik. To był jego błąd.

Gdy Markowski śpiewał, że oto wyśnił się jego wielki sen, drzwi do pokoju otworzyły się z rozmachem bez uprzedzającego pukania. Fred spojrzął niechętnie w ich kierunku, bo doskonale wiedział, kto może wchodzić w ten sposób. Brodziak zawsze włąził tak samo, grzeczne napominanie nie przynosiło efektu. A teraz Marcinkowski nie życzył sobie żadnych wizyt, tym bardziej dobrego kumpla, bo spieszył się do domu.

I rzeczywiście w drzwiach do jego biura stał oparty o framugę porucznik Brodziak, a tuż przy nim niższy o głowę chorąży Olkiewicz z radosnym uśmiechem na okrągłej gębie.

Zadowolony z siebie Teofil podrapał się po łysym czubku głowy. Widząc skwaszoną minę swojego szefa, pospiesznie wyjaśnił:

- Obywatelu majorze, melduję, że dzisiaj jest Międzynarodowy Dzień Kobiet.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wszedł mu w słowo porucznik:

- Fred, kurde, szukamy cię cały czas, dzisiaj musisz wypić jak nic.

Major zamknął teczkę na dwa blaszane zatrzaski, postawił ją na podłodze, a potem usiadł na swoim fotelu zrezygnowany.

- No dobra, chłopaki, po małym i spadam do chaty zdecydował szef, który od miesiąca, to jest od chwili przyścia na świat Filipa, nie wypił ani grama alkoholu.

No, ale przecież dziś nie wypadało odmówić.

Godzina 15.20

- Obywatelu pułkowniku, dzwonią z DOKP - powiedziała sekretarka, stając w drzwiach do gabinetu szefa wydziału kryminalnego. Pułkownik Eugeniusz Żyto spojrzął na kobietę i uśmiechnął się szeroko. Dziś przecież trzeba było być miłym dla wszystkich pań, a szczególnie dla tych, z którymi ma się codzienny kontakt. Zresztą pułkownik zawsze starał się być miły dla kobiet, chyba że akurat był czymś zajęty albo bardzo zmęczony. Wtedy nie zauważał nikogo. Często był zapracowany, toteż niezbyt dobrze znającym go ludziom wydawał się typem mrukliwym i zarozumiałym. A tu nic z tych rzeczy - Żyto był człowiekiem miłym i spokojnym, ale jak sam mówił, ta cholerna robota wchodziła mu na głowę i przyciskała do podłogi.

Chciałby nawet częściej się uśmiechać, ale czy w końcu miał do tego jakieś powody? Wszyscy wokół ciągle coś od niego chcieli i dlatego musiał stale robić to, czego najbardziej nie lubił - podejmować decyzje. A w jego wypadku z racji funkcji, jaką pełnił, były to decyzje brzemiennie w skutki.

Najgorsze było jednak to, że w tej robocie musiał nieustannie lawirować. Komendant

województwi i jego kontrolerzy z Komitetu Wojewódzkiego PZPR bez końca wtrącali się w robotę kryminalnych, co polegało na żądaniu natychmiastowych wyników przy najtrudniejszych sprawach. Jeśli w Poznaniu czy w województwie dochodziło do jakiegoś morderstwa, sekretarz wojewódzki dostawał o tym informację na swoje biurko jeszcze tego samego dnia. Czasami sprawa go nie obchodziła i wtedy wydział pułkownika miał względny spokój. Ale zdarzały się sytuacje, że przypominał sobie o tym po jakimś tygodniu, wówczas wzywał do siebie szefa kryminalnego i oczekiwał natychmiastowego przedstawienia wyników śledztwa. Nie można było stanąć przed Pierwszym i powiedzieć, że nic w sprawie nie udało się zrobić, bo ten cały Pierwszy też miał kogoś nad sobą w centrali w Warszawie i ten ważniejszy mógł go również spytać o wynik. Dlatego sekretarzowi trzeba było przedstawić obszerny raport. Żyto wypracował cały system, który w każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji dawał partyjnym władzom pełną satysfakcję.

Morderstwo, o ile oczywiście nie była to sprawa związana z jakąś rodzinną awanturą czy pijacką bójką, gdzie od razu było wiadomo, kto zabił, zatem morderstwo, które wymagało szczególnego śledztwa, natychmiast powodowało rozpoczęcie rutynowych działań, o których pułkownik Żyto mówił „zasłona dymna”.

Było to niezwykle proste działanie, przez jego ludzi opanowane do perfekcji. Zaraz po otrzymaniu informacji, milicjanci zatrzymywali kilka pospiesznie wytypowanych osób z tak zwanego kręgu podejrzanych. Dzięki temu Żyto w kilka godzin po ujawnieniu jakiegoś morderstwa dysponował raportem mówiącym, że ludzie, którzy mogą mieć coś wspólnego ze sprawą, już siedzą. I wszystko było w porządku, bo w razie zainteresowania władz partyjnych od razu można było przedstawić optymistyczny wynik w postaci kilku kreatur z półświatka zamkniętych w areszcie. Takie działanie dawało też czas prowadzącym śledztwo. Mogli nieniepokojeni przez nikogo zajmować się sprawą, w razie przedłużającego się poszukiwania sprawcy jednego z zatrzymanych typowano na głównego podejrzanego. W grupie zatrzymanych zawsze był ktoś o mocno zaszarganej hipotezie, więc uzyskanie od prokuratora trzymiesięcznej sankcji bez wyraźnych dowodów nie stanowiło problemu.

A zatem na pytanie z góry, jak tam posuwa się śledztwo, pułkownik Żyto miał zawsze gotową odpowiedź: podejrzany w areszcie, ale na razie nie przyznaje się do winy. Dzięki tej zasłonie dymnej wszyscy byli zadowoleni.

Aparat partyjny mógł raportować do Warszawy, że milicja już w parę godzin od zdarzenia ma podejrzanych, zaś po kilku dniach jednego podejrzanego, który jest najprawdopodobniej sprawcą.

System sprawdzał się od dawna, choć nie uzgadniano nigdy szczegółów. Ludzie Żyty starali się szybko dostarczyć mu wiarygodnych pierwszych wyników śledztwa, a on udawał, że im wierzy. Zasłona działała więc bez zarzutu.

- Z DOKP? - zdziwił się pułkownik. - A co oni tam chcą od nas w Dzień Kobiet?

- To dzwoni sekretarz partii z dyrekcji - poinformowała pani Wiesia, jego nowa sekretarka, która mimo młodego wieku i krótkiego stażu szybko wciągnęła się w tajniki pracy biurowej. Doskonale wiedziała na przykład, że w świąteczny dzień nie ma co zawracać szefowi głowy pierdołami. Była jak berliński mur - nie do przebycia. Ale telefon od sekretarza PZPR w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych to nie była jakaś tam pierdoła i trzeba było o nim zameldować natychmiast.

- No dobra, pani Wiesiu, niech pani łączy towarzysza Łopuszaka. Zobaczmy, co mu leży na wątrobie.

Czarny ebonitowy aparat na biurku pułkownika zadzwonił. Żyto podniósł słuchawkę.

- Witam towarzysza sekretarza - zaczął milicjant wesoło. - Co tam nowego na kolei?

Przez chwilę słuchał, a z każdą sekundą jego twarz robiła się coraz bardziej poważna:

- Rozumiem, towarzyszu sekretarzu, tak jest, zaraz coś z tym zrobimy. Tak, daję do tego najlepszych ludzi. Natychmiast.

Pułkownik odłożył słuchawkę, usiadł ciężko w swoim fotelu i zaraz pochylił się nad szarym pudełkiem biurowego interkomu:

- Pani Wiesiu, majora Marcinkowskiego do mnie niech pani zawoła. Mam nadzieję, że jeszcze jest w firmie.

Major jeszcze był. Na szczęście dla pułkownika Marcinkowski lubił piosenki Perfectu.

Rozdział II

Godzina 15.40

- Hela, nie bądź taka, suszy mnie jak diabli. Jak zara co nie wypije, to mnie chyba skręci.

- Ani mi nie godej. Bez bejmów nic nie dom. Ni ma gadki.

- Hela, przecież wiesz, że przyniesę. Zawsze przynoszę, nie?

Chudy jak szczapa, ze zmierzwioną czupryną i kilkuniedniowym zarostem na twarzy Zyga Majcherek oparł się o ladę sklepową i spojrzał na sprzedawczynię siedzącą po drugiej stronie. Oprócz ich dwojga w sklepie przy Fabrycznej na poznańskiej Wildzie nie było nikogo. O tej porze mało kto przychodził do spożywczego, bo poranna fala robiących zakupy już dawno się przewaliła, a i robotnicy z ZNTK też już dawno poszli do swoich domów i do okolicznych piwiarni. Teraz, dwie godziny przed zamknięciem, zachodzili tu jedynie stali klienci poszukujący mocniejszych doznań, jakich nie były im w stanie zapewnić butelki mleka ustawione w szarych skrzynkach pod ścianą. Agentka sklepu pani Hela znała ich wszystkich doskonale i dobrze wiedziała, czego może się po którym spodziewać. Zyga nie wypadł najlepiej w rankingu wiarygodności płatniczej, dlatego sprzedawczyni zignorowała jego nachalne prośby i wyciągnęła spod kontuaru kolorową „Panoramę Śląską”. Ledwie rzuciła okiem na ostatnią stronę prezentującą stroje ludowe z regionu łódzkiego, odwróciła kartkę i zaczęła przeglądać dowcipy rysunkowe.

- Ty to, Hela, ale mądra jesteś - spróbował z innej strony Zyga, widząc, że jego wcześniejsze prośby trafiły w mur zupełnej obojętności.

- Co godosz? - spojrzała na niego niechętnie.

- Bo tak ciągiem ino czytasz, jak nic do roboty ni mosz.

- A co mom nie czytać. Wolę czytać, niż godać z takim i papudrokami bez grosza. Bo jak się dużo czyta, to wiedza sama do głowy wchodzi.

- Ja tam nie lubię czytać. - Zyga podrapał się w głowę, jakby się nad czymś zastanawiał. - Bo to człowiek czasu na czytanie ni ma. Jak tak chodzę za interesami po mieście i miałbym jeszcze czytać, to zaraz bym się mógł wywalić, a i pogadać przy czytaniu nie można.

- Czytanie w rozmowie przeszkadza - rzuciła na odczepnego sprzedawczyni, nie podnosząc wzroku znad gazety.

- Pewnie, że przeszkadza, bo jak człowiek tak czyta dajmy na to na głos i jeszcze z kimś gada, to później nie wie, czy to było powiedziane, czy przeczytane. A ty jak tak czytasz po cichu, to wszystko dobrze pamiętasz, coś przeczytała, i dlatego tyle wiesz o życiu.

Kobieta spojrzała uważniej na klienta:

- Zyga, ciągiem stąd, chłopie, i nie zagaduj mnie, bo ja twarda jestem. Jak ci już powiadałam, nic bez bejmów tu nie zdziałasz.

Metalowy dzwonek przy drzwiach zagrał poruszony przez wchodzącego klienta. Do sklepu

wtoczył się uśmiechnięty od ucha do ucha Rajmund Dutka, z racji swej okazałej tuszy zwany Leberą. Mężczyzna ubrany był w czarne spodnie zaprasowane w kant, utrzymujące się na obfitym brzuchu dzięki szelkom z metalowymi sprzączkami, i w rozpiętą pod szyją węgierską krwistoczerwoną koszulkę polo odsłaniającą owłosiony tors. Czarne włosy miał zaczesane modnie do tyłu i ułożone dzięki wtartej w nie sporej porcji bułgarskiej pomady. Pod wielkim jak pyra, nieco zsiniałym nosem świecił się równie czarny, starannie przycięty i spływający strumieniami w kierunku drugiego podbródka wąs typu Lechu.

- Co tam, szefowo, jak interesy się kręcą? - zagadnął nowo przybyły.

- Lee tam, panie Rajmund - machnęła ręką pani Hela i odłożyła gazetę na blat. - Jak się człowiek nie obróci, to i tak dupa zawsze z tyłu.

- Święte słowa, pani szefowo, święte słowa - powiedział Rajmund i z gracją ucałował wyciągniętą w jego stronę kościstą rękę sklepowej. - I z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet szczególne powinszowania - dodał, a sprzedawczyni rozpromieniła się cała w radosnym uśmiechu.

Rajmund Lebera był jedną z najważniejszych osobistości mieszkających w okolicy ZNTK. Cała Wilda czuła przed nim respekt. Facet pił jak smok, i co najważniejsze, za swoje, w dodatku potrafił tak przylać, że pięknie było patrzeć. Nie robił zbyt często użytku ze swoich pięści, bo i nie musiał. Większość miejscowych wywijasów schodziła mu z drogi, bali się jego siły, ale także rozległych kontaktów i znajomości. Wszyscy dobrze wiedzieli, że to za jego sprawą zniknął z dzielnicy Mięta Hulajnoga, facet, który przez kilka miesięcy po wyjściu z więzienia terroryzował wszystkich uczciwych pijaków z Wildy, każąc sobie stawiać kolejki pod groźbą użycia przemocy.

Na Miętę mówili Hulajnoga, bo podczas pobytu na wczasach w Rawiczu skoczył z muru tak nieszczęśliwie, że noga złamała mu się w kilku miejscach, a potem usztywniła na dobre. Chodził więc, utykając i zawijając tą girą do środka. Pojawił się na Wildzie zaraz po odsiadce i poderwał mieszkającą tu melę z dzieckiem. Mówiono, że wpuściła go w gościnne progi z litości, na jedną noc, a on został kilka miesięcy dłużej. Początkowo tylko się po Wildzie rozglądał, ale w końcu, gdy już poznał wszystkie kąty fyrtila, rozzuchwiał się tak, że wchodził do knajpy i bez pytania wypijał ludziom zamówione przez nich kielonki.

Aż trafił na Rajmunda.

Rajmund przyszedł do restauracji Metalowiec przy Dzierżyńskiego zaraz po trzynastej, gdy już zaczęli podawać wódkę. Poprosił o swojego ulubionego kaszoka z pyrami i kwaśną kapustą oraz pierwszą pięćdziesiątkę, żeby mu się czekanie nie dłużyło. Już chciał sięgnąć do kieliszka, gdy wtem zza jego ramienia wychyliła się długa chuda łapa, która pochwyciła szkło i pociągnęła je do góry. Rajmund spojrzał zdziwiony za siebie i zobaczył żylastego jegomościa z kropkami dziarganymi koło oczu na znak, że to grypsujący człowiek. Chudzielec ubrany był w biały podkoszulek i dżinsy ogrodniczki, znaczy łachudra modnie się nosił. Mięta Hulajnoga wychylił zawartość kieliszka i odstawił go z powrotem na stół. Rajmund nic nie powiedział, tylko kiwnął na kelnera pana Gustawa, by ten przyniósł mu jeszcze jedną lufę. I Gustaw przyniósł.

Postawił elegancko na stole i odszedł dwa kroki, bo ciekawy był z natury, więc chciał wiedzieć, jak się ta zabawa zakończy. Mięta znów wyciągnął swoją długą łapę, kielich przyłożył do ust i wtedy Rajmund najspokojniej w świecie odwinął mu się w górę wierzchem wielkiej dłoni, nawet nie wstając z krzesła. A Mięta zwinął się tak jak stał, krwią cały zalany, bo kieliszek wbił mu się w usta, wycinając piękne kółko nad i pod wargami.

Gdy leżał na podłodze, jęcząc, przeklinając i jednocześnie wypluwając resztki szkła zmieszane z

krwią, zobaczył pochylającą się nad nim uśmiechniętą od ucha do ucha twarz Rajmunda.

- Jak cię jeszcze raz na Wildzie zobaczę, to nie kielonek, ale całą flachę wsadzę ci w dupę i kopniakiem rozbiję powiedział Rajmund, po czym najspokojniej w świecie poprosił kelnera o pięćdziesiątkę wódki i zabrał się do jedzenia.

Dzielnicowy Kotecki spisał protokół zajścia, zgodnie z prawdą, jaką przedstawili mu kelner i Rajmund Lebera.

Szło to mniej więcej tak:

Mieczysław Kuderek, syn Zbigniewa, opadłszy z sił podczas konsumpcji, twarzą zderzył się z kieliszkiem, stojącym na stoliku na trasie przelotu jego głowy, co poświadczyli naoczni świadkowie zdarzenia Rajmund Dutka, syn Antoniego, przebywający na miejscu zajścia w charakterze gościa i Gustaw Kwinta, syn Wacława, przebywający na miejscu zajścia w charakterze pracownika. Obydwaj potwierdzają też zgodnie, że głowa poleciała mu samoczynnie bez udziału i pomocy innych konsumentów restauracji, a jedynie z powodu nadmiernego napicia klienta.

Dzielnicowy był zadowolony, bo po tym zajściu Hulajnoga przestał mu się pętać po dzielnicy, ale najbardziej zadowoleni byli miejscowi pijacy, którym już nikt nie odbierał ich ciężko zakupionej wódki - Mięta Hulajnoga więcej się na Wildzie nie pojawił.

Rajmund oparł się o blat lady sklepowej i spojrzał na Zyge, który odsunął się trochę na bok, by zrobić miejsce ważniejszemu klientowi.

- A ty, Zyga, co tak tu wystajesz? Bejmów nie masz na korbola i głowę kierownicze zawracasz?
- zaśmiał się Rajmund.

- Właśnie mam jutro odebrać spadek, ale dzisiaj jakoś tak bez grosza jestem. Zupełnie wyjątkowo.

- Lepiej byś w Koziółki zagrał, prędzej tam trafisz główną wygraną, niż się jakiego spadku doczekasz, bo o ile wiem, to wszyscy twoi krewni za cały majątek ino własne portki mają - zaśmiał się głośno Rajmund.

Zyga nic nie odpowiedział, bo nie było się co sprzeczać.

Wszyscy wiedzieli, że groszem nie śmierdzi, tak on, jak i cała jego rodzina. Ale co było robić, takie niesprawiedliwe jest życie, pomyślał Zyga i spojrzał na swoje popielate buty bez sznurówek.

- Pani da dwa leszki, szefowo, jednego dla mnie i jednego dla tego tu - Rajmund wskazał głową na Zyge, który słysząc zamówienie, mało nie podskoczył z wdzięczności.

Hela schyliła się pod ladę, bo tam miała schowanych kilka skrzynek poznańskiego pasteryzowanego dla specjalnych klientów. Były to przebrane butelki, wszystkie brązowe. Zielone, te, w których piwo szybciej się psuło, sprzedała zaraz po dostawie zwykłym szuszfolom, a cztery skrzynie brązowego zostawiła dla elity. Skąd wzięła się ta informacja, że piwo w zielonych flaszkach jest gorsze?

Nikt nie miał pojęcia, ale wszyscy wiedzieli, że tak jest. No i każdy szanujący się piwosz wolał piwo z butelki brązowej, a nie z tej szybko psującej się zielonej.

- A słyszeliście państwo - powiedział Zyga, odstawivszy na ladę do połowy opróżnioną flaszkę - że dzisiaj na bocznicy, tu zaraz za płotem zakładów, w wagonie baby znalazły nieboszczyka?

- Co ty nie powiesz? - zdziwiła się sklepowa i szybko się przeżegnała.

- Pewnie zawału dostał w czasie jazdy - stwierdził znający życie Rajmund.

- Dobrze, że to w pociągu, bo jakby samochodem jechał i nie daj Boże kierował jeszcze tym autem, to jak nic mógłby wypadek drogowy spowodować, jak ten szofer, co autobus prowadził do

Wronek i jak zasłabł, tak w drzewo rąbnął, że czterech ludzi zginęło. Koło Pamiątkowa to było. Powiadała mi to Majchrzakowa, ta spod piątego, bo wtenczas jej szwagierka jechała tym autobusem, tyle że szczęśliwie na tyle siedziała, a nie z przodu, bo to ci, co najbliżej szofera siedzieli, to się okazali właśnie, że są zabici - dodała Hela.

- A ten szofer też zginął? - zainteresował się Lebera.

- Ady nie, uchowaj Boże. Przecie gadam, on już wcześniej dostał zawału i se spokojnie umarł za kierownicą, a ci inni, co zginęli, to ci, co jechali tym autobusem.

- Ale to nie był żaden zawał - mówił dalej Zyga, który już wszystko wiedział od jednej ze sprzątaczek kolejowych. - On nie miał ręki - wyjaśnił i spojrzął na Rajmunda, przekonany, że jego rewelacja warta jest co najmniej drugiego piwa.

- Pewnie na wojnie stracił - stwierdził Rajmund Lebera z rezygnacją.

- Mój Boże, tyle lat po wojnie i jeszcze ludzie bez rąk i nawet bez nóg chodzą. Kary na nich nie ma, tych hitlerowców - poparła go sprzedawczyni.

- A ten Wójcik, co pod piętnastym mieszka, to co? Wcale nóg nie ma, a jak lata na wózku. A nogi to nie na wojnie stracił, ino od bimby, jak po pijoku obalił się na torach, bo mu się zdawało, że się kładzie u siebie w chacie. A teraz to nawet po schodach wchodzi na górę bez tych girów, a lata tak, że niejeden szczon zostałby z tyłu, jakby się chciał z nim ścigać. Najgorzej, jak się opije, wtedy pionu nie trzyma i sąsiedzi mają z nim kłopot, bo wjeżdża do bramy i drze się tak długo, aż ktoś go na górę wniesie...

- Ady ten nie na wojnie! - zdenerwował się Zyga, który spostrzegł, że jego rewelacje nie bardzo przemawiały do obojga. - Onemu ktoś łapę odciął i zabił go na śmierć w tym pociągu. A szkiełków to tam było ze dwudziestu i nawet sokiści. A ten bez rynki, nieboszczyk, to jeszcze na dodatek był w mundurze, znaczy się kolejarz. I znalazła go jedna baba, co sprząta w wagonach. A w tym kiblu, co on leżał bez tej rynki, to krwi było jak na świniobiciu. Tak że ten wagon od Beroliny trzeba było odczepiać i przetaczać na inny tor, bo taki uślomprany to do Niemiec nie mógł pojechać.

Zyga skończył i spojrzął z triumfem na Rajmunda, który z wrażenia aż przestał pić.

- Mój koleś jeden jeździ tym ekspresem - powiedział zmieniony na twarzy Lebera. - On tam jest konduktorem.

Chyba się przelecę do niego i dowiem się, co i jak. Pewnie coś będzie wiedział.

Odstawił na ladę niedokończone piwo i bez słowa, nie pożegnawszy się z nikim, wyszedł ze sklepu. Zyga natychmiast skorzystał z okazji i dopił pozostawioną przez Rajmunda resztkę, myśląc przy tym, że dobrze jest dużo wiedzieć, bo jak kiedyś powiedzieli w dzienniku telewizyjnym - informacja to też jest towar.

Godzina 15.45

Odczepiony od składu wagon drugiej klasy z pociągu międzynarodowego Poznań-Berlin stał na bocznicy tuż przy rampie do starego magazynu. Budynek z czasów kajzera Wilhelma był w lepszej kondycji niż niejeden wzniesiony po wojnie, ale mimo swojego w miarę dobrego stanu przestał pełnić magazynowe funkcje. Kiedyś przechowywano tu kolonialne towary, które przyjeżdżały do poznańskich sklepów. Dziś jednak kolej nie wozila do Poznania czegokolwiek z Indii czy Afryki, dystrybucją wszystkich wyrobów spożywczych zajmowało się Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego i nawet te, które trafiały do delikatesów, były tylko bladym wspomnieniem po dawnych ekskluzywnych towarach kolonialnych. Stary magazyn, który kiedyś pachniał cytrusami i

korzennymi przyprawami, dziś śmierdział kocimi szczynami i starym olejem silnikowym. Wykorzystywano go niekiedy jako rampę naprawczą do przeprowadzania szybkich i doraźnych remontów wagonów. Dziś zaanektowali go milicjanci.

- Jak przy świniobiciu - stwierdził chorąży Olkiewicz, przypatrując się z niesmakiem kałuży zaschniętej krwi na podłodze wagonowej ubikacji, po czym splunął z obrzydzeniem pod nogi.

Wycofał się z wąskiego przejścia, by przepuścić technika milicyjnego. Mężczyzna przecisnął się obok Teofila i po chwili zniknął w otwartych drzwiach ubikacji. Olkiewicz wyciągnął z wewnętrznej kieszeni nieco już sfatygowanego prochowca paczkę papierosów ekstra mocnych bez filtra i zapalił. Nie użył do przypalenia zapalniczki pistoletowej, ale zwykłych zapalek. Zapalniczkę zostawiał na specjalne okazje. Byle komu nie było po co jej pokazywać.

- Jak przy świniobiciu - powtórzył chorąży, patrząc na siedzącego na drewnianej skrzyni majora Marcinkowskiego. Fred z rękami założonymi na piersi patrzył na uwijających się na rampie sanitariuszy w białych kitlach, którzy przygotowywali zawinięte w całun zwłoki do przeniesienia do sanitarki. Doktor Jabłoński skończył coś pisać w dużym notatniku, potem wyrwał kartkę i podszedł do Marcinkowskiego.

- No i jak, doktorze? - zapytał milicjant, odbierając od lekarza wstępny raport z oględzin zwłok.
- Z pierwszych oględzin wynika, że zgon nastąpił jakieś osiem godzin temu. Facet został uduszony. To ta pętla, co miał ją na szyi, zaciągnęła się sama najprawdopodobniej w chwili, gdy ten skurwiel obcinał mu dłoń. Bo ta ręka została oberżnięta na żywca.

- Zaraz, zaraz - zainteresował się major. - To znaczy, że on żył powiązany, a zabójca obcinał mu powoli łapę?

- Nie wiem, czy powoli, ale wygląda to tak właśnie. Ten kolejarz miał nogi związane, podkurczone do tyłu, dalej pętla wiązała mu ręce, a z drugiego końca zawiązana była na szyi. I jak ten ciał mu rękę, to kolejarz musiał próbować się jakoś ratować. Wierzgał nogami, wyrывał się i jednocześnie sam zaciskał sobie coraz mocniej pętlę. Szatański pomysł.

- Co za skurwiel - jęknął Marcinkowski, który mimo lat praktyki w branży jakoś nie mógł się przyzwyczaić do paskudnych pomysłów niektórych zwyrodnialców. - Ale czemu nie krzyczał? - zastanawiał się dalej.

- Pewnie próbował, ale nie mógł za wiele z gardła wydobyć, miał pętlę na szyi, a w usta wciśniętą jakąś szmatę.

Mógł co najwyżej głośno jęczeć, takie dźwięki z łatwością zagłuszy stukot pociągu, zwłaszcza na rozjazdach. Facet ma też ranę na potylicy. Wygląda więc na to, że kolejarz został zaatakowany w chwili, gdy wchodził do kibla, padł i stracił przytomność. Wtedy ten bandzior spokojnie go powiązał i zabrał się do roboty - podsumował wyniki oględzin lekarz.

- Musiał go nie lubieć mocno - skomentował całą sprawę Olkiewicz, ocierając zabrudzone krwią podeszwy o cementową nawierzchnię rampy.

- Co? - spojrzał na niego Fred.

- Mówię, że jakąś złość mocną musiał mieć do niego wytłumaczył chorąży. - Tak jak bolszewicy w dwudziestym.

- Co ty, Teofil, pierniczysz? - Marcinkowski w dalszym ciągu nie mógł zrozumieć, o co chodzi Olkiewiczowi.

Chorąży rzucił niedopałek pod nogi, przydepnął go, a potem podszedł bliżej, by nikt niepowołany nie mógł go usłyszeć.

- Taka wojna była w dwudziestym roku - zaczął spokojnie tłumaczyć. - W szkole was o tym nie uczyli - wyjaśnił oficerowi i lekarzowi, którzy spojrzeli na niego z zaciekawieniem. - Nasi z ruskimi się bili, znaczy się z Czerwoną Armią, co nas chciała socjalizmem już wtedy uszczęśliwić.

- Wiemy, wiemy - zaśmiał się doktor Jabłoński - to ta wyprawa kijowska Piłsudskiego.

- Dobrze kojarzysz, chłopcze, ale nie do końca. - Olkiewicz miał już po pięćdziesiątce, natomiast obaj jego rozmówcy byli przynajmniej o dwadzieścia lat od niego młodszy, stąd chorąży mógł pozwolić sobie na lekko protekcyjny ton. - Ja mówię o tej kampanii po cudzie nad Wisłą, jak już ruskie w dupę brali, kiedyśmy ich gonili tak, że aż trzewiki gubili.

- No ale co to ma wspólnego z tym tu? - zniecierpliwiony Marcinkowski wskazał głową nieboszczyka, którego właśnie sanitariusze ponieśli do samochodu.

- No właśnie mówię - obruszył się Olkiewicz - tylko mi ciągle nie dawacie dojść do słowa.

Fred machnął ręką zrezygnowany, bo wiedział, że gadatliwy Teofil nie da za wygraną, dopóki nie pozwoli mu się skończyć.

- Mój tatuś był w powstaniu wielkopolskim, a potem razem z całym swoim pułkiem został przerzucony nad Wisłę, dla wzmocnienia obrony przed bolszewikami, co do stolicy podchodzili. No i jak w sierpniu doszło do przełamania frontu, to nasi poszli do przodu jak burza. Gonili tych ruskich, że aż się kurzyło. A bolszewicy byli tak źli na naszych, że im się te giry nieobute pod Warszawą podwinęły, że jak ktoś z naszych wpadł w ich łapy, to marny był jego los. No i tatuś mnie właśnie kiedyś powiadał, że jak weszli do jednej wsi po tym, jak bolszewików z niej przegnali precz, to w stodole znaleźli pięciu chłopaków ze swojego plutonu, co wcześniej poszli na rozpoznanie i się nie wrócili. No i ci nasi byli tak samo za nogi i za szyję związani, tak że sami się podusili, tylko najpierw te świny odcięły im ręce. A chłopom z tej wsi te muzyki kacapskie mówiły, że polskim panom rękawiczki będą z tych rąk ściągać. Ale nie zdążyli, bo nasi im do dupy nakopali.

To i powiadam, że ten gość z pociągu to musiał mieć niezłą złość na tego nieboraka, tak jak ci nasi przyjaciele ze wschodu.

- No to wiemy już, skąd pomysł - powiedział lekarz.

- Tylko jeszcze musimy znaleźć tego bolszewika - stwierdził major Marcinkowski, podnosząc się ze skrzyni. Ale najpierw pojedę do domu dać żonie kwiatka.

A ten bidok, zamyślił się Olkiewicz, to nawet nie miałby jak tego kwiatka dzisiaj podać kobiecie, bo ma prawą uciętą. No chyba że mańkut był, to jakoś by dał radę...

Fred Marcinkowski podał rękę doktorowi, klepnął w ramię pozostawionego na posterunku Olkiewicza i ruszył wzdłuż torów w stronę dworca. Na parkingu przed głównym wejściem zostawił swojego poloneza koloru piasek pustyni, przez złośliwych kolegów nazywany sraczkowatym.

Całe szczęście, że dziś wolna sobota i do tego jeszcze ten ósmy marca. Gdyby to był normalny dzień, musiałby teraz lecieć na komendę i organizować grupę śledczą, a tak wszystko załatwi za niego Olkiewicz, który doskonale wiedział, co w takich wypadkach powinien zrobić.

Teofil jako analityk śledczy do niczego się nie nadawał, ale we wstępnej fazie śledztwa był po prostu bezkonkurencyjny. Fred mógł być pewien, że gdy w poniedziałek rano zrobi zebranie zespołu, Olkiewicz zamelduje mu, że w areszcie siedzi już cała grupa zatrzymanych, spośród których będzie można wytypować jakiegoś „tymczasowego podejrzanego”, co zapewni im spokój na parę tygodni.

Dzięki temu Marcinkowski mógł pojechać do żony i dziecka, mając nadzieję, że uda mu się spokojnie spędzić z nimi dzisiejsze popołudnie i całą niedzielę.

Swoją drogą - analizował w myślach zarejestrowany w wagonowej ubikacji obraz, który miał

jeszcze przed oczyma - swoją drogą ciekawe, dlaczego morderca wybrał tak mało komfortowe miejsce dla załatwienia porachunków. O wiele łatwiej było tego kolejarza zabić poza pociągiem. A sprawa wygląda na przygotowaną i przemyślaną.

Nikt przecież nie wsiada do pociągu ze sznurem, szmatą do kneblowania i ostrym nożem do obcięcia ręki. Od razu wykluczyć więc można przypadkowe morderstwo.

Ktoś miał wyraźny powód, żeby tego człowieka zabić, i to w taki perfidny sposób. Jeśli znajdziemy powód, znajdziemy mordercę. Banalnie proste. Trzeba więc dokładnie przyjrzeć się temu zabitemu kolejarzowi, jego znajomym, prześwietlić środowisko. Do tego dochodzi jeszcze cały ten pociąg. Skoro wydarzyło się to podczas jazdy, mordercę musiał ktoś widzieć. Znalezienie takiej osoby nie będzie łatwe, bo to kilkuset podróżnych. Od celników możemy dostać dane zaledwie kilku osób, które trafiły do kontroli osobistej. Ich personalia zostały spisane, milicja ustali tożsamość tych, z którymi wspólnie podróżowali. Do tego dochodzą jeszcze zagraniczni podróżni. Na szczęście Olkiewicz zaraz po powrocie na komendę ma się porozumieć ze strażą graniczną i Urzędem Celnym, by dane o kontrolowanych pasażerach najpóźniej w poniedziałek dotarły do Poznania... Od cholery roboty!

Zszedł do tunelu prowadzącego do hali dworcowej. Nad jego głową wolno przetoczył się pociąg. Hałas spotęgowany przez ściany podziemnego przejścia spowodował, że major zatrzymał się na chwilę. Poczł nagle jakiś dziwny duszący ból w piersi. Przez moment nie mógł złapać oddechu. Ból był tak silny, że aby nie upaść, musiał przytrzymać się ściany. Trwało to jakieś trzy sekundy i zaraz minęło. Na skroniach pojawiły się kropelki potu. Bardziej zdziwiony niż przestraszony poluzował krawat i odpiął guzik przy kołnierzyku. Potem sięgnął do kieszeni marynarki i wydobyl paczkę klubowych. Zapalił papierosa i od razu poczuł się lepiej.

Cholera, pomyślał Fred, co to mogło być? Zaraz przeleciało mu przez głowę, że pewnie tak musiał się czuć ten kolejarz, gdy zaciskała mu się pętla na szyi... I od razu w duchu wyśmiał swoje własne, niedorzeczne myśli: „Co to za głupie pomysły. Chyba jestem trochę przemęczony.

Muszę jechać do domu i przestać myśleć o głupotach”.

Właściwie to przydałby się już urlop. Ale zaplanował go wspólnie z żoną dopiero na lipiec. Mieli wtedy jechać do ośrodka FWP w Mielnie. Dwa tygodnie spokoju nad morzem. Świetna perspektywa wypoczynku. Trzeba będzie się tylko zaopatrzyć w coś do czytania na plaży, bo o świeżej prasie jak zwykle będzie można tylko pomarzyć.

Przed kioskami Ruchu w nadmorskich miejscowościach już o świcie ustawiały się kolejki wczasowiczów spragnionych najnowszymi informacjami i lektury. Warto więc był o zabrać ze sobą parę książek, bo ci, którzy tak jak Fred wstawali późno, nie mieli szans w rywalizacji kolejkowej z rannymi ptaszkami. Dla nich zostawała tylko „Rzeczywistość”, „Żołnierz Wolności” i niekiedy „Trybuna Ludu”, a kto by to czytał. Poszedł więc jeszcze na Dworzec Zachodni do kiosku z książkami i kupił ostatni egzemplarz powieści O jeden most za daleko.

Godzina 15.55

Ryszard Grubiński, przez znajomych zwany Grubym Rychem, wyszedł z bramy przy ulicy Lampego i rozejrzał się wokół siebie. Zielony tramwaj 23 zatrzymał się właśnie po drugiej stronie ulicy i z jego przepelnionego brzucha zaczęli wylewać się pasażerowie, którzy przyjechali do centrum na popołudniowe łowy. Mimo wolnej soboty i święta, domy handlowe były dzisiaj otwarte. Bo zakupy w centrum miasta to prawdziwe polowanie na towary, które od czasu do czasu rzucano na

rynek. Do majestatycznego, modernistycznego kompleksu Alfry, który powstał w miejscu wyburzonych dziewiętnastowiecznych secesyjnych kamienic, były stąd tylko dwa kroki. Mieściło się tam kilkanaście różnych sklepów, od odzieżowych po spożywcze. Natomiast po prawej stronie widać było modernistyczny, szklano-betonowy cylinder Okrągłaka, czyli domu towarowego uznawanego powszechnie przez poznaniaków i przyjezdnych za jeden z najlepiej zaopatrzonych sklepów w mieście.

Ludzie z siatkami i torbami w rękach rozeszli się błyskawicznie w obie strony, a tramwaj, dzwoniąc przeciągle, ruszył, by skrócić w lewo w Armii Czerwonej, reprezentacyjną ulicę Poznania, która jeszcze krótko po wojnie nazywała się Święty Marcin. Do dziś wielu starszych mieszkańców miasta używało tylko tej nazwy, bo ta Czerwona Armia jakoś nie mogła przejść im przez gardło.

Gruby Rychu strzepnął jakiś niewidoczny pyłek ze swojej nowej dżinsowej kurtki Levisa, a potem z niesmakiem spojrzął na drzwi baru mlecznego, z którego wychodził właśnie jakiś przygarbiony mężczyzna w rozdartych spodniach i z plastikową torbą na pasku przewieszoną przez ramię. Ze środka powiało charakterystycznym barowym smrodem, będącym mieszaniną zapachów kiszzonej kapusty, kompotu truskawkowego, pasty do podłóg i spoconych ciał klientów.

Rychu z odrazą zmarszczył nos, po czym wydobyl z wewnętrznej kieszeni swojej kurtki paczkę cameli z filtrem.

Szybko przypalił papierosa metalową zapalniczką marki Zippo, którą kupił sobie jakiś czas temu w RFN, a potem spokojnie przeszedł na drugą stronę ulicy.

Chciało mu się jeść, lecz za żadne skarby nie wszedłby do baru, który zostawił za sobą. Jako młody szczon często jadał w barach mlecznych, ale powtarzał chętnie, że te czasy bezpowrotnie minęły wraz z portretami Gomułki i Cyrankiewicza. Teraz, gdy był już człowiekiem całkiem zamożnym, mógł sobie pozwolić na jedzenie w najlepszych restauracjach, takich jak Smakosz czy Adria. Jednak Gruby Rychu był stuprocentowym poznaniakiem i uważał, że nie ma co bez sensu wydawać pieniędzy, jeśli można gdzieś zjeść równie dobrze i taniej.

Owszem, często załatwiał jakieś swoje ważne walutowe interesy w Smakoszu, bo akurat miał blisko i dla podkreślenia swojej pozycji wypadało tam od czasu do czasu przyjąć jakichś interesantów. Ale na co dzień wolał stołować się gdzie indziej. Po drugiej stronie ulicy Lampego trzeba było tylko wejść w bramę jednej z kamienic.

Tam w podwórku mieściła się niepozorna restauracja przedsiębiorstwa Konsumy, czyli knajpa milicyjna. Ceny i jadłospis nijak się tu miały do rzeczywistości. Podawano i świetne jedzenie, za które płaciło się grosze, ale nie każdy mógł skorzystać z dobrodziejstw tej kuchni i bufetu. Jeszcze rok temu Rychu nawet nie pomyślał o tym, że mógłby jadać w takim miejscu. Raz, że nikt by go tam nie wpuścił, a dwa, że jakoś tak głupio jeść, gdy wokół pełno milicjantów. Wszystko się zmieniło, gdy do restauracji przyprowadził go jego dawny kolega z podwórka, a obecnie porucznik MO Mirek Brodziak. Na wódkę zaprosił ich wtedy jeszcze kapitan, a dziś już major Fred Marcinkowski, ponieważ Rychu pomógł mu odzyskać skradzione koła od jego nowego poloneza. Dla Rycha nie była to żadna wielka przysługa. Zrobił to chętnie, bo poprosił go o to jego dawny przyjaciel Mirek. Zwyczajna sprawa dla człowieka mającego rozległe kontakty na mieście. Poproszony przez Brodziaka o pomoc, zadzwonił gdzie trzeba i poinformował odpowiednie „czynniki”, że nie opłaca się kraść kół z milicyjnego auta. Koła błyskawicznie się znalazły, a Fred Marcinkowski musiał postawić wódkę.

Pili tu aż do zamknięcia, czyli do 22, potem przenieśli się naprzeciwko do mieszkania Rycha,

gdzie opijanie przyjacielskiej przysługi skończyło się dopiero nad ranem. Dodatkowym efektem tego spotkania było to, że Gruby Rychu zapoznał się bliżej z panem Karolem, portierem, który wpuszczał do knajpy za okazaniem służbowej legitymacji. Panowie szybko się dogadali i odtąd Rychu mógł wchodzić do środka, kiedy tylko chciał, a pan Karol mógł sprzedawać spod lady dostarczane przez ludzi Rycha nieosiągalne papierosy marlboro, za które płacił zwyczajną cenę hurtową.

Bo Rychu miał dostęp do deficytowych towarów. Zresztą Rychu miał dostęp do wszystkiego, czego brakowało na rynku. Wyłącznie dzięki dolarom.

Zaczynał jako pomocnik cinkciarza przy Peweksie na Półwiejskiej na początku lat osiemdziesiątych. Szybko nauczył się handlu walutą, a że zawsze radził sobie świetnie z liczeniem, wkrótce zaczął pracować na własny rachunek. Gdy rozpoczął się stan wojenny, był akurat na gościnnych występach w Monachium, gdzie załatwiał jakiś duży interes związany ze srebrem, które opłacało się przywozić z Polski, bo przelicznik zakupu był niezwykle wysoki. Postanowił zatem jeszcze trochę tam zostać i pokręcić się po ulicach, skoro Niemcy chętnie przyznawali wszystkim Polakom status uchodźcy politycznego. Jednak w połowie osiemdziesiątego drugiego Rychu był już z powrotem w Poznaniu. Ludzie mówili później, że Niemcy wyrzucili go z kraju za jakieś machlojki, a nawet że dostał misia do paszportu, czyli pieczętkę zakazującą wjazdu do RFN i Berlina Zachodniego. Ale jakby go wywalili, to przyjechałby tu zupełnie goły. Tymczasem on po powrocie musiał mieć niezłe pieniądze, bo zaraz zorganizował grupę kilku miejscowych wywijasów i zajął się przejmowaniem handlu walutą w całym mieście. Ludziom, których przyjął do roboty, musiał jakoś płacić, więc gadanie o powrocie z „gołą dupą” musiało mijać się z prawdą.

Sam Rychu na temat swojego pobytu w Niemczech i niespodziewanego powrotu niewiele mówił. Pewne było natomiast to, że w ciągu jednego roku większość cinkciarzy pod Peweksami pracowała już nie na własny rachunek, ale dla holdingu Grubego Rycha. On zapewniał im pieniądze na zakup, ochronę przed nieuczciwą konkurencją, bezpieczną pracę i opiekę prawną w razie komplikacji.

Nie miał tylko jednego - dobrych układów z milicją. Kilku jego ludzi co prawda współpracowało z SB, o czym Rychu na bieżąco był przez nich samych dokładnie informowany, ale na razie nie była to współpraca systemowa. Esbecy żądali informacji przede wszystkim politycznych, nie odwdzięczając się niczym w zamian. Wszystko zaczęło się zmieniać od chwili, gdy przysłużył się Marcinkowskiemu.

Nieformalna współpraca między cinkciarzami a milicją ruszyła wtedy z kopyta. Milicja zapewniała im względny spokój, a oni dostarczali jej potrzebnych w trakcie niektórych śledztw informacji, zwłaszcza o poszukiwanych przestępcach kryminalnych. Korzyści były obopólne, wykrywalność przestępstw rosła, a handlujący walutą mogli w miarę bezpiecznie uprawiać swój nielegalny proceder.

Rychu przeszedł ciemną bramę i wszedł na śmierzące podwórko. Konsumy były w oficynie po lewej stronie.

Otworzył drzwi i od razu spostrzegł pana Karola, który siedział za szatniarską ladą i czytał „Express Poznański”.

Portier na znak wielkiego szacunku natychmiast podniósł się z krzesła i uśmiechnął radośnie.

- Jak zdrowko, panie Rychu? - zapytał.

- A ujdzie w tłoku. A jak interesy?

- Da się przeżyć. Wiara pali te ćmiki, że aż miło. Pół poznańskiej milicji pali nasze marlboraski.

Chłopaki z ledwością nadążają dostarczać.

- Nic pan nie bój, w Peweksie tego towaru wystarczy.

- A pan porucznik Brodziak to już tu od godziny samotnie gorzołę konsumuje. Chyba nie ma komu kwiatka dziś zanieść - poinformował go pan Karol.

- Łe, nie może być - zdziwił się Gruby Rychu. - W Dzień Kobiet sam chleje?

Skinął głową Karolowi i wszedł do sali.

Pora obiadowa już się miała ku końcowi, więc wewnątrz było zaledwie kilka osób zajętych degustacją serwowanych tu alkoholi. Brodziaka dostrzegł od razu. Porucznik siedział przy stoliku pod oknem w samym rogu sali i spoglądał na brudne podwórko.

- Serwus, Miruś - powiedział, stając tuż przy stoliku.

Brodziak spojrział do góry, uśmiechnął się jakoś krzywo, a potem bez słowa odsunął wolne krzesło, dając tym samym do zrozumienia, że nie ma nic przeciw towarzystwu.

- Co tak chlejesz sam w święto? - zagadnął Rychu, rozsiadając się przy stole. - Jak z taką tytą chcesz się pokazać Marzenie? Przecież ona cię jak kejtra kopnie w dupę.

- Nic mi nie robi, nic! - zaśmiał się porucznik, wymachując palcem wskazującym przed nosem kolegi. - Nic mi nie robi, rozumiesz, nic, bo wcale do niej nie idę, i szlus.

Tu się sam gitesowo nawalę, a ona se może sama co najwyżej poheklować.

Marzena była ich koleżanką z klasy. W dawnych czasach stanowili nierozłączną trójkę. Obaj zresztą się w niej podkochiwali. A ona nie wiedziała, którego z nich wybrać.

Pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy Brodziak niespodziewanie poszedł do milicji, Rychu spotykał się z nią niemal codziennie. Wtedy wydawało mu się nawet, że może coś z tego będzie. Ale w osiemdziesiątym pierwszym on wyjechał do Niemiec, a wtedy do Poznania wrócił Mirek.

No i tak jakoś potoczyły się te ich splątane losy, że w końcu Marzena dokonała wyboru.

Brodziak chwycił kieliszek do połowy wypełniony wódką i dopił resztkę. Rychu skinął na siedzącą za bufetem panią Stasię i gestem wskazał jej, żeby podała to samo, czyli kolejną porcję gastronomicznej. Kobieta skinęła głową na znak, że zrozumiała i przyjęła zamówienie. Pan Rysio Grubiński był jej ulubionym klientem, bo załatwiała z nim drobne interesiki alkoholowe. Rychu od czasu do czasu podrzucał jej załatwioną na lewo skrzynkę wódki, za którą pani Stasia płaciła mu po cenach hurtowych.

Później obrotna kobieta sprzedawała na sali własną wódkę zamiast tej z magazynu restauracji, oczywiście po cenach gastronomicznych, czyli z narzutem. Nic więc dziwnego, że swojego dostawcę traktowała ze szczególnymi względami.

Już po chwili przed obu mężczyznami stały po dwa pełne kieliszki i dwie butelki oranżady.

- Gadasz tak, jakbyś nie znał Marzeny. Przecież jak ona cię w takim stanie zobaczy, to jak nic ci ślepie wydrapie - powiedział Rychu, przyglądając się uważnie swojemu koledze. Oględziny nie wypadły zbyt pomyślnie. Nie trzeba było znać się na fazach upojenia alkoholowego, by stwierdzić, że porucznik jest kompletnie pijany.

- Ja jej nie znam? Ja jej nie znam? - powtórzył Brodziak bełkotliwie. - Otóż wyobraź sobie, że ja ją znam dobrze i dlatego nie idę do niej dzisiaj, nawet jakby mnie prosiła na kolanach. Nie idę, i już. Niech se nie myśli. Ja mam swoją godność, rozumiesz, Rychu?

- Czemuś się tak zawziął, Miruś?

- Bo ona mnie wywaliła ze swojego mieszkania tydzień temu. Za nic, kompletnie za nic. I w tej sytuacji postanowiłem, że nie będę do niej więcej chodził. Rozumiesz?

- Łe, stary, no to masz teraz przechlapane jak w czołgu rudy sto dwa.

- Święte słowa Rychu, jak w czołgu. Albo nawet jak w masce pe-gaz.

Godzina 16.10

Klemens Brokowski mieszkał na Czajczej. Z Przemysłowej było tu bardzo blisko. Trzeba było tylko minąć budynek studium wojskowego politechniki, przejść koło kościoła wildeckiego górującego nad targowiskiem, minąć niewielki placzyk ze sklepem z dewocjonaliami Ars Christiany i pójść w kierunku stadionu Warty. Dwieście metrów w dół ulicy, po prawej stronie, stał doklejonny do starych kamieniczek, zbudowany w latach siedemdziesiątych czteropiętrowy blok. Od pewnego czasu Rajmund Lebera był tu częstym gościem. Z Klemensem znali się od wielu lat. Razem chodzili do powszechniaka, ale później ich drogi się rozeszły. Rajmund zaczął kręcić interesy na Wildzie, a Klemens rozpoczął pracę na kolei. Jakies dwa lata temu spotkali się zupełnie przypadkowo w piwiarni przy Dzierżyńskiego. Brokowski, który pijał tylko od czasu do czasu, wszedł akurat na kufelek po drodze z pracy. Jak zwykle w tym miejscu, gdy pojawiała się piwo, wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Rajmund siedział przy stole, bo dla niego zawsze było tu wolne krzesło. Gdy spostrzegł dawnego kumpla stojącego na środku sali z kuflem w ręce, rozglądającego się bezradnie wokół, przywołał go do siebie, a siedzącemu obok Zdzichowi Kalafiorowi, nazywanemu tak, ponieważ jego pomarszczony nos do złudzenia przypominał to warzywo, kazał zmiatać w podskokach i opróżnić zajmowane miejsce.

Dawni koledzy szybko przekonali się, że stara przyjaźń, nawet niepodlewana przez lata, nadal jest silnym uczuciem. Na tyle silnym, że już po trzecim kuflu zaczęli omawiać techniczną stronę pewnego intratnego interesu, który mogli z powodzeniem zacząć robić we dwójkę.

Sprawa była banalnie prosta. Rajmund miał pieniądze, albo raczej mógł mieć, a Klemens jeździł kilka razy w miesiącu do Berlina Zachodniego. Pieniądze i Niemcy to już pachniało dobrze, trzeba było tylko dogadać wszystkie szczegóły i można było zacząć rozkręcać biznes.

Rajmund dostarczał kolejarzowi przed każdym wyjazdem kilkadziesiąt dolarów. Za te pieniądze Klemens kupował od znajomego z Berlina kilka przechodzonych magnetowidów. Towar umieszczał w przedziale bagażowym i w ten sposób kontrabanda przejeżdżała bezpiecznie do kraju. Tu magnetowidy odbierał Rajmund i wstawiał je zupełnie legalnie do komisju, który prowadziła jego znajoma. Towar schodził w ciągu zaledwie kilku dni. Zyskiem dzielili się pół na pół. W ten sposób na jednym wyjeździe Klemens zarabiał więcej niż przez miesiąc pracy w PKR i wszystko kręciło się całkiem nieźle, ale jak zwykle w takich wypadkach tylko do pewnego momentu.

Któregoś razu Klemens, który miał trochę czasu w Berlinie, chodził po peronie, czekając na odjazd swojego pociągu. Przystanął przed peronowym automatem i zaczął przyglądać się kolorowym paczkom papierosów. Pomyślał, że chętnie zapaliłby sobie camela albo marlboro, ale szkoda mu było niemieckiej waluty. Jedna paczka kosztowała aż cztery marki. Nagle do maszyny podszedł jakiś Niemiec, wrzucił do otworu monetę pięciomarkową, wyciągnął z szufladki paczkę papierosów, a automat zwrócił mu jedną markę. Klemens włożył bezwiednie rękę do kieszeni i wydobyl z niej monetę. Spojrzał na błyszczący na ręce pieniądz: była to dziesięciozłotówka z Prusem. Nie zastanawiając się wiele, wcisnął w otwór dychę i szarpnął za szufladkę z camelami. Jakież było jego zdziwienie, gdy szufladka otworzyła się i ukazała wewnątrz paczkę papierosów. I co ważniejsze - maszyna wydała mu jeszcze jedną markę.

To było epokowe odkrycie. W Peweksie paczka cameli kosztowała czterdzieści centów, czyli około jednej marki.

Za jedną markę w Polsce płacono trzysta pięćdziesiąt złotych, czyli trzydzieści pięć dziesięciozłówek. Za to można było mieć trzydzieści pięć paczek papierosów i trzydzieści pięć marek czystego zysku ze zwrotów z automatu.

Wystarczyło teraz tylko sprzedać te papierosy w Polsce, a zarobek był wprost niewyobrażalny.

Po powrocie do Poznania Klemens podzielił się swoim odkryciem z Rajmundem i na następny wyjazd do Berlina kolejarz jechał z kieszeniami wypełnionymi polskimi monetami. Odtąd do kraju zaczęły przyjeżdżać wraz z magnetowidami także niemieckie papierosy, które sprzedawali w kilku poznańskich restauracjach zaprzyjaźnieni z Rajmundem szatniarze. Interes kręcił się tak, że lepiej nie trzeba. Tyle że, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, do chwili, w której dały znać o sobie pierwsze, jeszcze niezbyt poważne kłopoty.

Kłopoty miały krótko ostrzyżoną kwadratową głowę osadzoną na krótkiej szyi, ubrane były w turecką kurtkę dżinsową z białą podpinką, dżinsowe spodnie i białe adidasy.

Jednym słowem typowy cinkciarz. Rajmund, który mówił o sobie, że ma nosa do interesów, tym razem bezbłędnie wyczuł, że z kimś takim interesów nie da się robić. Gdy zapakowany w turecki dżins kwadratowy facet przysiadł się do niego w piwiarni, Rajmund grzecznie wysłuchał propozycji, a potem kazał mu spierdalać natychmiastowo.

Propozycja była tak bezczelna, że Dutka mało nie zadławił się popijanym piwem. Gość zaproponował mu spółkę, ni mniej, ni więcej, i znaczne zwiększenie dostaw z Niemiec z wykorzystaniem kanałów przerzutowych Rajmunda.

Nie rozumiał najwidoczniej, że ten biznes był opłacalny jedynie wtedy, gdy strumień wideo-tytoniowy nie był zbyt szeroki. Potrojenie czy nawet tylko podwojenie dostaw łączyło się z dużym ryzykiem wpadki, a na tę żaden z uczestników tego procederu nie mógł sobie pozwolić.

Niezrażony gość wstał, ale zamiast grzecznie oddalić się, jak mu nakazano, bezczelnie powiedział, że nazywa się Korbol i wszyscy na mieście go znają. I jakby Rajmundowi zabrakło rąk do pracy, to ma się o niego popytać.

Wtedy Lebera zdenerwował się nie na żarty, ale Korbol, widząc go wstającego z krzesła, wolał nie zaogniać sytuacji i oddalił się pospiesznie.

Rajmund szybko wbiegł na pierwsze piętro i zapukał do drzwi po prawej stronie. Po chwili w głębi mieszkania dał się słyszeć jakiś ruch, zaraz potem drzwi uchyliły się.

W szparze ukazała się głowa Stachy Brokowskiej.

- Dobry, pani Brokowska, ja do Klemensa z interesem.

- Dobry, dobry, pan wejdzie - powiedziała i otworzyła drzwi szerzej. Niewielki korytarzyk prowadzący do środka mieszkania wyłożony był sosnową boazerią. Na wprost wejścia na ścianie wisiało duże lustro, w którym wchodzący przejrzał się jak zwykle i poprawił odruchowo zmierzwioną fryzurę. Między szybą a ramką pozatykane były pocztówki świąteczne, święte obrazki, a w prawym górnym rogu zdjęcie uśmiechniętego papieża. Z kuchni dochodził smakowity zapach pieczonego mięsa. Wołowina duszona, pomyślał Rajmund i przypomniało mu się, że nie zdążył jeszcze dziś zjeść obiadu.

- Ale łonogo ni ma - powiedziała gospodyni.

- A kiedy wróci? Poszedł na miasto?

- Ady tam, panie Rajmund, łon jeszcze z trasy się nie wrócił, a gadał, że rano będzie. Tera jo już pyry dawno ugotowała, mięso na gazie stoi, bo ja myślała, że to łon wraco, jak usłyszoła, że ktoś lezie po schodach, a to ino pan.

- Jak to, nie wrócił z Berlina? - zdziwił się Lebera.

- No tak to bywa z tymi długimi trasami - wyjaśniła kobieta obeznana z kolejarską profesją. - Jak coś się zepsuje, to i cały dzień się opóźni. Ale ja temu zwyczajna jestem. Łon już tyle lot na kolei robi, że co miałam się nie nauczyć.

Nie zdążyli nawet wejść do pokoju, gdy na schodach rozległy się kroki, a zaraz po tym energiczne pukanie do drzwi. Rajmund spojrział na kobietę i cofnął się trochę, by otworzyć, ale gdy pociągnął do siebie drzwi, mina mu zrzedła.

W drzwiach stał, także z niewyraźną miną, facet w mundurze, ale nie był to mundur kolejarski. Mundurowy nazywał się Kotecki i był milicjantem, wildeckim dzielnicowym.

- Pani Brokowska, musimy pogadać - powiedział dzielnicowy i wszedł do środka, mijając po drodze Rajmunda.

Godzina 17.15

Dzielnicowy starszy sierżant Kryspin Obrębski z Łazarza stał koło kiosku Ruchu na Rynku Łazarskim i palił papierosa popularnego. Niedawno dostał informację z Komendy Wojewódzkiej, że za chwilę podjedzie po niego nyska z oficerem w jakiejś ważnej sprawie. Stary milicjant dobrze wiedział, jakie ważne sprawy sprowadzają tu gościa z wojewódzkiej. Od wielu lat był łazarskim dzielnicowym i niejedno już w życiu widział. A Łazarz był dzielnicą cieszącą się w mieście niezbyt dobrą sławą, więc łatwo było zgadnąć, że jeśli w wolną sobotę po południu pojawia się tu ktoś z wojewódzkiej, to trzeba będzie mu pomóc w wytypowaniu paru podejrzanych. Dlatego teraz sierżant Obrębski, paląc papierosa, zastanawiał się, jakiego rodzaju jest ta sprawa, z którą przyjeżdża do niego wojewódzka. Bo jeśli była to jakaś kwestia obyczajowa, to z tym nie było najmniejszego problemu. Tylko w okolicach samego rynku działały dwa tajne burdele, w których zawsze można było znaleźć kogoś o podejrzanym reputacji. Były to podłe miejsca o niskim standardzie estetycznym, dziewczynki w nich pracujące przekroczyły wiek rębny w czasach, kiedy towarzysz Wiesław obejmował władzę, toteż towarzystwo, które tam się zbierało, nie należało do elity Poznania. Wystarczyło tylko wkroczyć do takiego przybytku, by zgarnąć kilka podejrzanych osób spośród klienteli i pracownic. Te domy publiczne trudniły się nie tylko sprzedawaniem wątpliwych wdzięków podstarzałych podlotków, ale prowadziły także nielegalny wyszynk alkoholu, zresztą obie gałęzie działalności były ze sobą ściśle powiązane. Wiadomo bowiem nie od dziś, że człowiek, który się napije, ma większą ochotę na uprawianie seksu i wcale nie musi mu wtedy przeszkadzać niezbyt atrakcyjny wygląd potencjalnej kochanki.

Dlatego w każdym z tych burdeli można się było napić do woli, a później zabrać do zacisznego pokoju którąś z wybranek serca.

Dzielnicowy znał doskonale wszystkie pracujące tam kobiety oraz szerokie grono stałych bywalców. Często zdarzało się jednak, że pojawiali się tam pijacy przyjeżdżający do Poznania na gościnne występy. Tych lubił najbardziej.

Bo o ile miejscowym starał się nie robić krzywdy bez potrzeby, zawsze się przecież mogli przydać, o tyle dla tych nieznajomych nie miał pobłażania. Gdy zachodził tam na kontrolę, zazwyczaj zgarniał jakiegoś delikwenta, który akurat zatrzymał się w gościnnych progach łazarskiego przybytku rozkoszy. Nie przynosiło to zazwyczaj rewelacyjnych rezultatów, prawdziwi poważni przestępcy nie dawali się wybrać niczym pisklaki z gniazda w tak głupi sposób. Ale dzięki tym doraźnym kontrolom statystyka zatrzymań dokonanych przez sierżanta Obrębskiego stale trzymała się na wysokim

poziomie. Zatrzymanych pakowało się na czterdzieści osiem godzin do aresztu i w tym czasie sprawdzało, co to za ptica. Tylko raz sierżant trafił tu na grubą rybę. Feliksa Maciaka, uciekiniera z Wroniek, pochwylił zupełnie przypadkowo, gdy już właściwie wychodził z burdelu przy Strusia. W jednym z pokoi leżał na wersalce upity do nieprzytomności facet. Obrębski próbował go wylegitymować, ale bezskutecznie. Gość nie dawał oznak życia, więc milicjant machnął na niego ręką.

Ale pijak najwyraźniej nie miał szczęścia tego dnia. Gdy dzielnicowy chciał już sobie pójść po spisaniu reszty towarzystwa, śpiący nagle podniósł się, a zobaczywszy milicjanta, ruszył na niego z pięściami. Był jednak tak pijany, że ledwo chodził. Obrębski, nie namyślając się wiele, odczepił pałkę od swojej raportówki i zdzielił go przez łeb.

No i napastnik znów odjechał w zaświaty, a milicjant wezwał radiowóz, by zabrać awanturnika, który nie potrafił uszanować milicyjnego munduru.

Dopiero następnego dnia na komendzie dzielnicowej okazało się, że ten zatrzymany to właśnie Maciak, czyli więzień, który sześć miesięcy wcześniej uciekł z Wroniek.

Uciekł głupio, bo miał tylko pół roku do wyjścia i pracował w mieście przy sprzątaniu chodników. Za ucieczkę dostał więc dodatkowe dwa lata, a Obrębski awans z sierżanta na starszego sierżanta.

Stara milicyjna nyska zatrzymała się tuż przy chodniku.

Sierżant rzucił niedopałek na ziemię, przydepnął go butem i powoli podszedł do auta.

- Ruszże dupę, Kryspin, bo czas ucieka i gorzola czeka powiedział chorąży Olkiewicz, uchylając okienko.

Dzielnicowy uśmiechnął się szeroko na widok starego kolegi, z którym przed laty szlifowali krawężniki na Chwaliszewie.

- Teoś, ty stara pierdoło, to ty w wolną sobotę i dodatkowo Dzień Kobiet zawracasz mi gitarę?

- Wskakuj do środka i dawaj mi tu szybko jakiś dobry namiar, bo trzeba by gardło przepłukać z okazji święta.

A to jest sierżant Grzechu Kowal. - Olkiewicz wskazał na potężnego kierowcę, który z ledwością mieścił się za kierownicą milicyjnej nyski.

Dzielnicowy wszedł bocznymi drzwiami i rozsiadł się wygodnie na podwójnym fotelu.

- No to co ma być, panowie, i w jakiej kwestii?

- Wszystko jedno co, byle było wesoło, bo dziś Dzień Kobiet jest, nie? - odpowiedział chorąży Olkiewicz, a kierowca skinął tylko aprobująco głową.

Godzina 17.20

Polonez koloru piasek pustyni zaparkował pod dziesięciopiętrowym blokiem na Ratajach. Grażyna Marcinkowska wyjrzała przez poręcz balkonu i dostrzegła męża wysiadającego z auta. Fred jak zwykle po zamknięciu kluczykiem drzwi od strony kierowcy obszedł cały samochód dokoła, sprawdził, czy wszystkie pozostałe drzwi są zamknięte, i dopiero po tym ruszył w stronę klatki schodowej.

Kobieta powiesiła na nylonowej lince ostatnią tetrową pieluszkę, wzięła do ręki pustą miskę i wróciła do mieszkania. Wewnątrz panowała absolutna cisza, nie grało radio ani telewizor. Grażyna zdążyła już przyzwyczać się do tego niezwykłego jak na ich mieszkanie spokoju. Do niedawna jeszcze, to jest do czasu, gdy urodził się mały Filipek, muzyka była wszechobecna w ich domu. Fred

uwielbiał rocka i zawsze w jego obecności musiało coś grać. Ale teraz, od miesiąca, wszystko się zmieniło. Dziecko miało mieć spokój i dlatego wydała zarządzenie o ciszy w domu. I ku jej wielkiemu zdziwieniu Fred nawet nie próbował się z nią sprzeczać na ten temat. Przyjął to bez szemrania i, jak jej się wydawało, z całkowitym zrozumieniem. Zauważyła zresztą, że słuchał tej muzyki zdecydowanie mniej. Gdy był w domu, cały swój czas poświęcał dziecku. Przewijał małego, nosił go na rękach albo siadał przy łóżeczku i wpatrywał się w niego jak w obrazek.

Ale najważniejsza zmiana, jaka nastąpiła od chwili, gdy Grażyna zaszła w ciążę, to niemal całkowita abstynencja męża. Owszem, zdarzało mu się wypić coś od czasu do czasu, ale było to już zupełnie inne picie niż jeszcze rok temu. Wtedy potrafił codziennie przychodzić do domu po kielichu i ona nawet zaczęła zastanawiać się, czy jego picie to nie jest przypadkiem początek alkoholizmu. Tłumaczył jej, że w tej pracy nie da się inaczej, że wszyscy piją i często głupio jest mu zwyczajnie odmówić. A ona miała nadzieję, że w końcu jakoś to się zmieni. No i miała rację.

Fred przestał pić niemal z dnia na dzień. Po tym, jak mu powiedziała, że będą mieli dziecko, upił się tylko raz, gdy musiał w pracy postawić wódkę z okazji swojego awansu na majora. Uprzedził ją o tym i później picie prawie całkiem się skończyło.

Weszła do pokoju i spojrzała na śpiącego Filipa. Maluch był wyjątkowym śpiochem. Po południu potrafił przespać nawet trzy godziny. Dzięki temu w tym czasie mogła spokojnie zrobić pranie czy poprasować pieluchy i śpioszki.

Od miesiąca siedziała w domu na urlopie macierzyńskim i już zaczynała sobie całkiem nieźle radzić ze wszystkimi obowiązkami. Trochę bała się powrotu do pracy, bo nie bardzo się jej podobało, że będzie Filipka musiała dać do żłobka. W rejonowym panowało przepełnienie, a poza tym jak każda tego typu instytucja był koszmarną wylęgarnią chorób, z którymi lekarze z dzielnicowego ośrodka zdrowia nie byli w stanie sobie poradzić. Brakowało przecież najpotrzebniejszych lekarstw, nie mówiąc już o zwyczajnych środkach higienicznych. Taką witaminę D3, która potrzebna była niemowlakowi w pierwszych tygodniach życia, niemożliwą do zdobycia w aptece czy szpitalu, załatwił im swoimi kanałami Brodziak. Za lekarstwo z Niemiec musiał zapłacić w twardej walucie. Fred chciał mu oddać pieniądze, ale Mirek powiedział, że te ampułki mają potraktować jako prezent na chrzciny.

Chrzcziny, których na razie nie było i nic nie wskazywało na to, że w ogóle się odbędą. Fred co prawda obiecał, że coś w tej sprawie zrobi, ale na razie niczego nie zdziałał. Nie nalegała. Wiedziała, że w jego firmie ochrzcenie dziecka to poważne wykroczenie służbowe. Konsekwencją mogło być nawet wyrzucenie z pracy albo w najlepszym wypadku przeniesienie do jakiegoś wygnajewa na peryferiach województwa. Dlatego Marcinkowski musiał to zorganizować bardzo ostrożnie i, co najważniejsze, znaleźć zaufanego księdza, najlepiej gdzieś spoza Poznania.

Tu w mieście „życzliwych” było aż za wielu. Prędzej czy później ktoś by doniósł.

Fred przekręcił klucz w drzwiach. Nie dzwonił, bo dzwonek na wszelki wypadek odłączył przed miesiącem, żeby swym przeraźliwym dźwiękiem nie denerwował dziecka.

- Cześć, Grażynko - uśmiechnął się od progu, widząc żonę stojącą w drzwiach do dzieciennego pokoju.

- Już dwie godziny chrapie, zaraz pewno się obudzi - poinformowała męża.

Fred wyciągnął zza pleców goździk zawinięty szczelnie w przeźroczystą folię i wręczył żonie.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Kobiet - powiedział i ucałował ją trochę nazbyt oficjalnie, jak koleżankę z biura. Ona zorientowała się od razu, dlaczego zachowuje ten dystans:

- I tak wiedziałam, że coś tam dziś wypijesz, nie musisz się ukrywać, w końcu jest święto, prawda?

- Tylko jednego, wzniosłem toast i już chciałem jechać do domu, ale wezwał mnie Żyto, no i wpadłem po uszy.

Musiałem jechać na dworzec PKP w jednej sprawie - tłumaczył się, ściągając cienki ortalionowy płaszcz i buty. - A Brodziak z Olkiewiczem tak się nachlali, że Mirasa kazałem radiowozem odwieźć do chaty, bo ledwo łąził i blubrał tak, że nie dało się go słuchać. Ale jak go znam, to pewnie polazł jeszcze na gorzołę do jakiejś knajpy. A po tym cholernym Teofilu nic nie było widać, jak zwykle...

- Już nie gadaj tyle, tylko chodź jeść. A co się tak w ogóle dzieje z Mirkiem, z tego, co mówisz, to pije ostatnio jak smok. Coś się stało? - pociągnęła go w stronę kuchni, jednocześnie przysmykając drzwi do pokoju Filipa.

- A, i mam jeszcze czekoladki Goplany! - dodał dla podkreślenia niecodzienności prezentu, wydobyl pudełko z kotami z torby i ruszył za żoną. - A co się ma z nim dziać, dzisiaj jest Dzień Kobiet, to się upił z radości. Ale ja na szczęście już się z domu dziś nie ruszę. Koniec roboty, święto! - powiedział to ostatnie słowo chyba trochę za głośno, bo nagle przebudzony Filip Marcinkowski krzyknął najgłośniej jak potrafił i Fred zapomniał o obiedzie...

Godzina 17.40

- Tu jeszcze nie byłem, jak żyję. Co to za lokal? - spytał, sapiąc chorąży Olkiewicz. Wejście na trzecie piętro dziewiętnastowiecznej, pokrytej liszajami kamienicy przy Strusia było dla niego poważnym przedsięwzięciem. Sierżant, który szedł przodem jako gospodarz terenu, zatrzymał się na półpiętrze i spojrzał w dół na zmęczonego kolegę.

- Lokal jak lokal. Normalna penerska nora - zaśmiał się Obrębski. - A nie byłeś tu, bo działa to dopiero od jakiegoś roku. Ale pręźnie działa. Już znają ją wszyscy na Łazarzu. A po gorzołę zachodzi tu nawet wiara z telewizji.

Spod dziesiątego mają tu parę kroków.

Na klatce schodowej śmierdziało mieszaniną moczu i stęchlizny. Olkiewicz doczłapał do piętra i stanął obok kolegi. Ręką poprawił zaczeskę przykrywającą łysiejące czoło i zaraz obaj milicjanci podeszli do drzwi po prawej stronie. Nie spodziewali się żadnej awantury, dlatego poszli we dwójkę. Kowal ze swoimi pięściami nie był im do niczego potrzebny, zwłaszcza że jako kierowca nie zamierzał wznosić dziś świątecznych toastów.

Dzielnicowy zapukał i zaraz stare, pomalowane ordynarną, łuszczącą się, zieloną olejnicą drzwi otworzyły się.

- O mój Boże, nasz kochany pan dzielnicowy! - wykrzyknęła głośno sześćdziesięcioletnia, korpulentna pani Zuza, właścicielka mieszkania. Kobieta ubrana była w różowy szlafrok, spod którego wystawała biała halka. Usta miała umalowane mocną karminową szminką, a oczy podkreślone czarną, stanowczo zbyt grubą kreską. Tlenione białe włosy przykrywała kolejarska czarna czapka.

Jej okrzyk nie był bynajmniej przejawem entuzjazmu na widok milicjanta, lecz zwyczajnym sygnałem dla towarzystwa, które gościło w jej domu. Gwar, jaki powitał obu nowo przybyłych, ucichł momentalnie.

Obrębski bez słowa odsunął panią Zuzę na bok i ruszył w stronę kuchni. Wiedział dobrze, że to w tym pomieszczeniu toczyło się całe życie towarzyskie. Kobieta drobnymi kroczkami pobiegła za nim,

zostawiając Olkiewicza samemu sobie.

Teofil rozejrzał się. Dzielnicowy zniknął w ostatnim wejściu po lewej stronie długiego korytarza. Na jego przeciwległym końcu widać było drzwi z szybą w górnej części, kryjące chyba ubikację. Po prawej stronie dwuskrzydłowe drzwi prowadziły pewnie do największego pokoju, domyślił się Olkiewicz, po lewej były jeszcze dwa inne wejścia do mniejszych pokoi.

Z kuchni dobiegał podniesiony głos jakiegoś pijanego mężczyzny, ale Olkiewicz nie przejął się tym wcale. Wiedział, że Kryspin sobie poradzi z pijakiem. Niejeden raz byli już w podobnych miejscach i każdy z nich dobrze wiedział, co powinien robić.

Przycisnął klamkę pierwszych drzwi z lewej, pchnął je mocno i zajrzał do środka. Jedynym meblem w tym pomieszczeniu była rozłożysta kanapa przykryta szarym, brudnym kocem, stojąca pod oknem. Oparta łokciami o okrągły podglówek, klęczała na niej naga rówieśniczka pani Zuzy. Wielkie jak dynie piersi poruszały się rytmicznie, bo obejmujący ją z tyłu malutki i chudy jak szczapa mężczyzna, z rumcajsową brodą i długimi włosami sięgającymi ramion, nie przestał, mimo pojawienia się intruza, napierać na wielkie dupsko.

Olkiewicz stał przez chwilę zapatrzony w to niecodzienne widowisko, a potem nie wytrzymał i zaczął się głośno śmiać. Bo widok był isticie groteskowy: babsko było ogromne, a chłop wyglądał przy niej jak młody kurczak próbujący wejść na starą kwokę. Teofilowi szczególnie spodobały się te wielkie dyndające cycki. Pomyślał nawet, że jego żona Jadwiga, która nieco przypominała kształtami babę z tapczanu, miała w porównaniu z nią niewielkie piersi.

- No dobra, dość tych ksiutów - zawołał wreszcie. Milicja obywatelska wzywa szanownych państwa na rozmowę i okazanie dokumentów - wyjaśnił, a chudzielec, który wreszcie go dostrzegł, zamarł z przerażenia.

- Co jest, do kurwy nędzy! - wykrzyknęła kobieta. Poderwała się błyskawicznie z tapczanu, zrzucając z siebie chudego, i stanęła na równe nogi, jakby chciała zaatakować intruza. Olkiewicz był jak zwykle po cywilnemu, więc wystartowała do niego jak do zwykłego klienta, który przeszkadza jej w robocie. Zrobiła dwa kroki i zatrzymała się jakiś metr przed nim, oceniając swoje szanse w starciu z tym łysym gościem. Teofil z podziwem zauważył, że jej cycki sięgają prawie do pępka.

- Kontrol jest! - odpowiedział, nie spuszczać oczu z ogromnych piersi. - Siadaj, kochana i czekaj tutaj. Zaraz wrócę i cię dokładnie sprawdzę - rozkazał stanowczym głosem. Postanowił, że skontroluje tylko następne pokoje i wróci tu przyjrzeć się dokładnie tym wielkim piersiom.

Kobieta spojrzała na niego uważnie, jeszcze nic nie rozumiejąc:

- Jaka, kurwa, kontrol, złamasie pierdolony? Wypierdalaj stąd w podskokach, łachudro, bo to prywatny apartament jest.

- Milicyjna kontrol, kwiatuszku, powiedziałbym nawet obyczajowa - odparł uśmiechnięty od ucha do ucha Teofil, jednocześnie wkładając dłoń pod pachę, gdzie mieściła się kabura z jego pistoletem. Nie musiał jednak wyciągać broni. Od razu zauważył, że spuściła z tonu. Dotąd bezwstydną w wojowniczym nastroju, teraz przypominała sobie nagle o swojej nagości i rękoma spróbowała zasłonić potężne piersi. Olkiewicz groźnie zmarszczył brwi, przenosząc spojrzenie z cycków na chudego klienta.

- A ty, szmaciarzu, spierdalaj do kuchni, bo tam pa n sierżant spisuje towarzystwo. Ino migiem - spojrzał na niego groźnie, ale nie wytrzymał i znowu zarechotał, widząc, jak mężczyzna z członkiem cały czas pozostającym we wzwodzie nieporadnie próbuje wciągnąć spodnie.

Kobieta chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Olkiewicz pogroził jej palcem, wskazał nim miejsce

na tapczanie, gdzie miała na niego czekać, i wyszedł z pokoju.

Mężczyzna z koszulą i butami w rękach minął go pospiesznie i zgodnie z poleceniem pobiegł do kuchni. Milicjant, nie zwracając już na niego uwagi, poszedł na drugą stronę korytarza i pchnął podwójne drzwi do pomieszczenia, które w latach świetności tej nory mogło być salonem. Zobaczył przed sobą leżącą na łóżku zupełnie nagą młodą i całkiem ładną dziewczynę, która jakoś nie pasowała do tego obskurnego wnętrza. Patrząc na jej uśmiechniętą twarz i rude włosy, pomyślał nawet, że tamte wielkie cycy są niczym w porównaniu z kształtną pupą tej młodej i w tej sytuacji zdecydowanie woli przesłuchać dokładnie rudą zamiast cycatej szantrapy. Zrobił krok naprzód i wtedy coś ciężkiego zważyło mu się na plecy. Poczul ból przeszywający cały kręgosłup, lecz mimo wszystko zdołał odwrócić się w stronę, z której nastąpił niespodziewany atak. Dostrzegł potężnego mężczyznę w kolejarskiej marynarce, który zamachnął się, by powtórzyć cios. Olkiewicz zasłonił głowę ramieniem, mimo to ręka trzymająca w dłoni niemieckiego lugera spadła na jego skroń.

- Jezus Maria! - krzyknął milicjant i upadł z hukiem na podłogę. Kolejarz nie zastanawiał się długo. Porwał płaszcz leżący na fotelu, przeskoczył leżącego i wybiegł na korytarz.

Zaniepokojony dziwnymi odgłosami Obrębski zostawił legitymowane towarzystwo i skoczył do przedpokoju. Kolejarz z płaszczem pod pachą był już przy drzwiach.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął dzielnicowy, który dostrzegłszy nogi Teofila w drzwiach na podłodze, błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Zaczął rozpinać przytroczoną do pasa kaburę pistoletu, ale nie zdążył już wyciągnąć swojej tetetki. Zobaczył lufę lugera mierzącą prosto w niego, a zaraz potem rozległ się potężny odgłos wystrzału.

Dzielnicowy spojrzał zdziwiony na dziurę w mundurze tuż nad lewą kieszenią, do której przypięta była odznaka za wzorową służbę, i była to ostatnia rzecz, jaką zobaczył.

Opadł plecami na drzwi do łazienki i zsunął się na podłogę, zostawiając na białej powierzchni czerwony, rozmazany krwawy pas...

Sierżant Grzegorz Kowal słyszał w swoim życiu już wiele wystrzałów. Jednak te, z którymi miał dotąd do czynienia, zazwyczaj dawały się łatwo zidentyfikować. Były to strzały oddawane na strzelnicy przez jego kolegów i czasem również przez niego. Nawet uczestniczył w prawdziwej strzelaninie, kiedy ścigali tego sławnego poznańskiego „Łowcę Główny”. Wtedy po raz pierwszy w życiu, miał nadzieję, że ostatni, był o włos od śmierci. Gdyby tylko tamten facet potrafił lepiej strzelać... Aż strach pomyśleć!

Dlatego wiedział dobrze, że tego odgłosu nie da się porównać z niczym innym. Teraz, siedząc w szoferce służbowej nyski, rozpoznał ten klaskający i jednocześnie dudniący dźwięk i nie zastanawiał się ani sekundy. Odruchowo wydobyl swój pistolet z kabury, wyskoczył z auta i pognął w kierunku bramy, w której przed chwilą zniknęli dwaj milicjanci. Gdy dostał się do kamienicy, spostrzegł, że po schodach schodzi jakiś kolejarz.

- Panie, słyszał pan, tu ktoś strzelał... - zawołał w jego kierunku sierżant Kowal.

Kolejarz skinął głową, uśmiechnął się i nagle wyciągnął z kieszeni pistolet. Nie mierząc, pociągnął za spust, ale chybił. Przekonany, że kula trafiła, spojrzał zdziwiony na Kowala, który zamiast upaść, błyskawicznie przyklęknął, złożył się do strzału i wymierzył, celując w napastnika.

Pierwszy pocisk uderzył w lewe ramię. Kolejarz zachwiał się i strzelił znowu. Sierżant poczuł, że ogień rozrywa mu skroń, ale nie wypuścił pistoletu z ręki. Przewrócił się na betonową posadzkę, a upadając, opróżnił cały magazynek, strzelając na oślep raz za razem w miejsce, w którym, jak mu się zdawało, był jeszcze bandyta. Potem bramę wypełniła dziwna cisza. Ostatnie, co zarejestrowała

odpływająca świadomość milicjanta, to czyjeś człapiące kroki na schodach...

Rozdział III

Godzina 18.15

Wilda i Łazarz to dwie dzielnice Poznania, które graniczą ze sobą. Jednak żeby dostać się z jednej do drugiej, trzeba przejść pieszo albo przejechać tramwajem ładnych parę kilometrów. Wszystko przez tory kolejowe, które centrum miasta rozcinają na pół, to one właśnie tworzą szczerłą granicę między dwiema dzielnicami. Drogi łączące obie części Poznania prowadzą albo z jednej strony wiaduktem nad torami, albo z drugiej pod nimi. Kłopot w tym, że te arterie komunikacyjne łączą dwa przeciwległe skraje dzielnic. Centra Łazarza i Wildy nie mają takiego połączenia, mimo że dzieli je od siebie odległość w linii prostej może najwyżej kilometra. Przeszkadzają tory, i to tory całkiem ruchliwe, bo prowadzące do Dworca Głównego. Każdego dnia przejeżdża po nich kilkaset pociągów, nie licząc tych, które są tędy tylko przetaczane. Trudno więc sobie wyobrazić, aby jakikolwiek decydent z zarządu kolei chciał ułatwić życie mieszkańcom, godząc się na przejście dla pieszych, które mogłoby zdezorganizować ruch kolejowy.

Takie przedsięwzięcie miałoby szansę tylko gdyby nad torami przeprowadzono pieszą kładkę, o chodzeniu po torach mowy być przecież nie mogło. Ale o kładce nikt nigdy nie pomyślał, bo po co ułatwiać ludziom życie zupełnie niepotrzebnymi i kosztownymi inwestycjami w sytuacji, gdy kraj w kryzysie i nowe inwestycje z reguły są nieopłacalne. Ludzie chodzą i jeżdżą od stu lat naokoło i nic im się nie dzieje - dlaczego coś zmieniać? Tyle że nie wszyscy chodzą tak jak powinni. Wielu jest takich, którzy za nic mają sobie groźnie brzmiące zakazy i rozpędzone pociągi. Oni doskonale wiedzą, jak się poruszać, bo te torowiska znają od lat. To mieszkańcy obu dzielnic zatrudnieni w PKP. Żaden szanujący się kolejarz z Wildy nie będzie chodził na Łazarz dookoła, skoro przez tory najbliżej.

A w razie spotkania z patrolem sokistów wystarczy tylko machnąć służbową legitymacją i sprawa załatwiona.

Stachu Łopata pracę na kolei zaczął zaraz po wojnie.

Mieszkał na Granicznej niedaleko Rynku Łazarskiego.

Jednak górka rozrządowa, na której pracował, usytuowana była dokładnie po drugiej stronie torowiska, niedaleko ZNTK. Nic więc dziwnego, że codziennie skakał przez tory. Teraz właśnie wracał do domu po całodziennym dyżurze. Zatrzymał się, by przepuścić śląski skład z węglem jadący do Szczecina, a gdy minął go ostatni wagon, przekroczył skrajny tor i po chwili już szedł wydeptaną ścieżką koło betonowego muru. Jakies dwieście metrów stąd była szczelina w ogrodzeniu, o której wiedzieli wszyscy zainteresowani, czyli mieszkańcy najbliższych kamienic.

Stachu musiał teraz przeleźć przez tę dziurę, pokonać niewielkie podwórko należące do jakichś starych składów, a później już tylko dwa kroki i zaraz dochodziło się do jego kamienicy. Pomyślał o tym, że dziś sobota i do tego Dzień Kobiet, więc na pewno będzie coś dobrego na obiad. Może

kotlety. Rozmarzył się na myśl o rumianych schaboszczakach, które jego żona obtaczała dwa razy w bułce tartej i jajku, żeby nabrały odpowiedniej grubości. Ważny był też sposób smażenia, bo te, które lubił ponad wszystko, były robione nie na byle jakim tłuszczu, jakimś roślinnym oleju, ale na prawdziwym domowym smalcu. To zdaniem jego żony zapewniało im ten jedyny i niepowtarzalny smak, bo na oleju to można co najwyżej smażyć plendze, mawiała kobieta.

Do schabowego musiały być pyry pokrychane z masłem i odrobiną mleka oraz z zasmażaną, też na smalcu, kiszoną kapustą. Oczywiście taka uczta mogła być tylko pod warunkiem że jego Janka dostała na kartki trochę schabu. Ale znając jej umiejętności w kwestii kombinowania zaopatrzenia domowego, nie powinna mieć z tym większych problemów.

Był już kilka kroków od dziury w murze, gdy nagle zobaczył przełazącego przez nią kolejarza. Mężczyzna oparty ręką o betonową krawędź z trudem przełożył najpierw jedną nogę. Potem chciał przełożyć drugą, ale najwyraźniej stracił równowagę, a że nie trzymał się zbyt pewnie, i runął całym ciężarem ciała na ścieżkę.

- Ten to mo ale tytę - zaśmiał się pod nosem Stachu, widząc, jak kolega radzi sobie z pokonaniem płotu. Przejście było dziecinnie proste nawet dla kilkuletniego chłopca, więc ktoś, kto przewracał się w takim miejscu, musiał być kompletnie pijany, rozumował słusznie Łopata. Przyspieszył kroku, by pomóc potrzebującemu. Facet, wsparty jedną ręką o ziemię, gramolił się na kolanach do góry.

- Aleś se sprawił śrubę, chłopie - powiedział Stachu, stając nad pijanym. - Dej no grabę, to cię dźwignę.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał do góry. W jego wzroku było coś takiego, od czego Stachowi zrobiło się chłodno, ale chęć pomocy szybko przemogła irracjonalne odczucia. Chwycił kłęczącego kolejarza pod ramię i szarpnął w górę.

Tamten krzyknął tak przeraźliwie, że zdezorientowany Stachu go puścił. Mężczyzna nie upadł jednak, bo zaparł się plecami o płot i zaczął nagle szukać czegoś w kieszeni.

Łopata odskoczył jak oparzony na bok. Poczul, że ręce, którymi trzymał mężczyznę, są wilgotne. Spojrzał na dłonie i przeraził się, bo całe były we krwi.

- Co jest, kurwa? - krzyknął, patrząc na stojącego pod płotem. I wtedy przeraził się jeszcze bardziej. Zdało mu się nawet, że jego rzadkie włosy stają mu pod czapką dęba.

Kolejarz, któremu chciał pomóc, wyciągnął z kieszeni pistolet i próbował nieporadnie w niego wycelować.

Gdy człowiek widzi zbliżające się niebezpieczeństwo, stara się instynktownie uciec. Stachu w pierwszym odruchu też chciał uciekać jak najdalej od tego szaleńca, jednak zareagował zupełnie inaczej. Był tak przerażony widokiem krwi, a później pistoletu, że zadziałał w sposób, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Wypuścił z ręki wysłużoną skórzaną torbę i ruszył w stronę mierzącego doń mężczyzny. Jednym uderzeniem ręki wybił mu z dłoni pistolet i w pełnym pędzie przeskoczył przez dziurę w płocie. Przewrócił się na podwórku, ale natychmiast poderwał się na równe nogi i, nie oglądając się za siebie, pognął za najbliższą stojący budynek magazynu.

Za węglem przystanął, by złapać oddech. Poczul, że jest bezpieczny, bo wiedział, że ten tam, słaby jak niemowlę, nie jest w stanie go dogonić. Wyjrzał w stronę, z której przybiegł. Podwórko było puste, nikt więc za nim nie gonił.

Dostrzegł go w odległości jakichś dwudziestu metrów od płotu. Chwiejący się na nogach kolejarz szedł wzdłuż toru, po którym wolno jechały puste węglarki w stronę Śląska. Stachu myślał, że mężczyzna poczeka, aż skład przejedzie, i pójdzie w stronę Wildy. Jednak ten w pewnym momencie

chwycił się jedną ręką poręczy budki strażniczej starego towarowego wagonu, poderwał do góry i wskoczył. Mało brakowało, a odpadłby z pomostu, ale jakimś nadludzkim wysiłkiem zdołał utrzymać równowagę. Po chwili po pociągu i zakrwawionym kolejarzu nie było już śladu.

Widząc, że niebezpieczeństwo minęło, Stachu, na wszelki wypadek rozglądając się jeszcze dookoła, podszedł do dziury w płocie. Przelazł na drugą stronę. Torba leżała tam, gdzie ją upuścił. Podniósł ją i otrzepał z pyłu, a potem zaczął uważnie przyglądać się miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał ranny kolejarz. Pistolet leżał tam, gdzie, jak się mu zdawało, powinien być leżeć, w kępie pokrzyw, tuż przy płocie. Czarny błyszczący luger zwany powszechnie parabelką, z zaschniętymi plamami krwi na karbowanej, brązowej okładzinie kolby. Stachu Łopata schylił się, złapał pistolet i schował go szybko do kieszeni płaszcza.

Diabli wiedzą, na co mi to, ale zawsze może się przydać, pomyślał i poszedł szybko do domu, by opowiedzieć całą historię żonie.

Godzina 18.30

Chorąży Teofil Olkiewicz z przymrużonymi oczyma siedział w głębokim fotelu, trzymał się za głowę i jęczał.

- Ja pierdołę, ja pierdołę, co za kutas pierdolony - mruzczał pod nosem zły, że dał się tak łatwo podejść jakiemuś gnojowi. Zabandażowana głowa bolała go niemiłosiernie i przez cały czas miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu czaszka. Ostry świdrujący ból zaczął jednak powoli mijać, czuł tylko jakieś tępe ćmienie z tyłu głowy w miejscu, w którym oberwał kolbą pistoletu. Ból ustępował, bo Olkiewicz siedział spokojnie i od jakichś dziesięciu minut, to jest od chwili, gdy na miejscu pojawiła się ekipa techniczna z komendy miejskiej, przyjmował lekarstwo znieczulające w postaci wódki wyborowej. Butelkę trzymaną w lewej ręce, bo prawą cały czas przykładał do głowy, przyniósł mu sierżant Olędzki, technik milicyjny, który zajmował się zbieraniem odcisków palców. Widząc, jak kolega milicjant cierpi po otrzymaniu solidnego ciosu, usadził go troskliwie na fotelu w salonie, a później włożył mu do ręki otwartą butelkę wódki.

- To na znieczulenie, Teoś - powiedział i mrugnął porozumiewawczo. Co jak co, ale chłop wiedział, co robić. Po tym, co się tu zdarzyło, Teofil musiał się koniecznie napić.

Pociągnął pierwszego dużego łyka wprost z butelki i od razu poczuł, że jest mu lepiej.

Jęcząc, przeklinając i popijając wódkę małymi łyčzkami, zaczął analizować, co wydarzyło się w burdelu.

No więc po tym, jak dostał w łeb, oprzytomniał niemal natychmiast, podniósł się i wyszedł na korytarz. Tam zobaczył Kryspina siedzącego przy drzwiach łazienki. Podbiegł do niego, poklepał go po policzku, bo nic innego nie przyszło mu do głowy i wtedy dzielnicowy się ocknął. Spojrzał na Olkiewicza i wycharczał, żeby spierdalał i gonił tego gnoja. Teofil wydobył swój służbowy pistolet z kabury pod marynarką i pobiegł na dół, cały czas zastanawiając się, co robi, gdy wpadnie na bandytę. Wcale nie miał ochoty stanąć z nim oko w oko i po cichu liczył, że nie będzie już po nim śladu. W bramie natknął się na Grzecha Kowala leżącego w kałuży krwi. Sprawdził puls, dotykając szyi, tak jak go uczono na kursach, jednak nic nie wyczuł, bo pewnie przyłożył palce nie w tym miejscu, co trzeba. Ale wtedy ściśnięty zbyt mocno Kowal jęknął i Teofil stwierdził z ulgą, że kolega żyje. Zostawił go i pobiegł najpierw w kierunku podwórka. Przewornie stanął na końcu korytarza i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Kolejarza ani śladu, za to jakiś brzydki chudy pies podbiegł do Teofila, radośnie merdając ogonem. Olkiewicz kopnął go z rozmachem, wyładowując całą złość.

Kundel, wyjąc przeraźliwie, uciekł w przeciwny kąt podwórka. Teofil dzięki temu zauważył, że tam właśnie znajduje się niewielkie przejście na sąsiednie podwórze. Na wszelki wypadek postanowił jednak sprawdzić drugi z możliwych kierunków ucieczki.

Przebiegł przez całą długość bramy, mijając leżącego i jęczącego coraz głośniejszemu Kowala, i wyleciał na ulicę. Przy radiowozie wpadł wprost na dwóch młodych zomowców, których, jak się później dowiedział, o strzelaninie poinformowali mieszkańcy kamienicy. Widząc pistolet w dłoni Olkiewicza, obezwładnili go bez pytania, przyciskając brutalnie do ziemi. Nim zdążył się wylegitymować, dostał kilka ciosów w szczękę i w brzuch. W końcu znieruchomiał, bo zrozumiał, że póki będzie stawiał opór, niczego im nie wytłumaczy. Zainkasował jeszcze kilka kopniaków, zanim się uspokoili, a wtedy on przystąpił do ataku.

- Jestem, kurwa, szkiełem, wy pojebańcy! - wrzasnął. - Milicja obywatelska jestem! Chorąży, kurwa, Olkiewicz.

Przestali go bić, a on z kieszeni marynarki wyciągnął swoją służbową czarną legitymację. Podniósł się z chodnika, podszedł do najbliższego zomowca, wyrwał mu z ręki jego własny pistolet, a później z rozmachem strzelił chłopaka w pysk. Drugi nie czekał na cios, tylko od razu odskoczył w stronę bramy na jakieś dwa metry od wściekłego chorążego.

Gdy zziąjany Teofil nieco się uspokoił, kazał jednemu zomowcowi zostać w bramie i pilnować Grzecha, drugiemu zaś lecieć na górę i mieć na oku całe towarzystwo z burdelu, nikogo nie wypuszczać i nie wpuszczać do środka, no i pomagać jak się da dzielnicowemu, który może w każdej chwili umrzeć. Sam wlaźł do szoferki radiowozu Kowala i radiotelefonem wezwał pomoc.

- Mówi Olkiewicz, chorąży z ka-wu, dwaj milicjanci postrzeleni, trzeci ranny, dwie karetki dawać natychmiast na Strusia, bo chłopaki poumierają, stan ciężki! - wykrzyczał do mikrofonu, zapominając o wszelkich procedurach z podaniem kodu przy zgłaszaniu się na centralę. Zapytany przez dyżurnego o kryptonim, kazał mu się pierdolić i skończył rozmowę.

Widać dyżurny musiał zareagować w pełni profesjonalnie, bo radiowóz z sześcioma milicjantami był na miejscu, zanim Olkiewicz zdążył wypalić pierwszego papierosa. Po pięciu minutach do karetki pogotowia ładowano już Kowala, niebawem druga zabrała zniesionego przez milicjantów z góry Obrębskiego. Wtedy Olkiewicz wpadł na pomysł i jeszcze raz połączył się z dyżurnym miejskim. Poprosił o przewodnika z psem, bo trop był jeszcze świeży, jak wyjaśnił. Zdziwił się bardzo, gdy dyżurny odpowiedział mu, że w ciągu pół godziny na miejscu będzie ekipa. Teofil nigdy nie widział takiego tropiącego psa w akcji, ale przypomniał mu się jego ulubiony film Przygody psa Cywila, w którym wilczur potrafił po zapachu dogonić uciekającego przestępcę. Dlatego był ciekaw, czy coś takiego jest możliwe.

Teraz siedział w fotelu, czekając na psa i popijając wódkę dla znieczulenia. Zastanawiał się, o co w tym wszystkim, do cholery, chodziło. Przecież przyszli tu z Kryspinem najspokojniej w świecie, mieli tylko wylegitymować parę podejrzanych elementów i ewentualnie kogoś zgarnąć na potrzeby śledztwa z tym zabitym kolejarzem. Przy okazji mogło być całkiem wesoło, jak to zwykle bywa w takim miejscu, czyli połączenie przyjemnego z pożytecznym.

A tu tymczasem napada go jakiś idiota, zupełnie nie wiadomo dlaczego i za co bije po głowie, i jeszcze na dodatek strzela do kolegów. Musiał być niezłe wkurzony, pomyślał Teofil.

Może dlatego, żeśmy mu przerwali zabawę z tą panienką, zadumał się. A kto by się nie wkurzył, jakby mu w trakcie przerwali. Ale żeby aż tak mocno? No, ale z drugiej strony musiał mieć coś na sumieniu, bo miał pistolet. A kto w tym kraju nosi przy sobie broń? Tylko milicja i bandyci, I to ci

najniebezpieczniejsi, którzy mogą nawet człowieka zastrzelić. Wszystko więc wskazuje na to, że ten kolejarz jak w myślach nazywał go Teofil - to żaden kolejarz, ale niebezpieczny bandzior. I dodatkowo jeszcze skurwysyn jeden, co się nie boi strzelać do funkcjonariuszy. Z tego wynika, że bał się zatrzymania i wolał użyć broni, bo miał już coś bardzo poważnego na sumieniu.

Zmęczył się tą analizą i znowu pociągnął łyk z butelki. Poczł, że ból głowy ustąpił niemal całkowicie, ale za to bolały go żebra poobijane przez zomowców, dlatego bardzo ostrożnie podniósł się z fotela i poszedł wolno do kuchni. Tam zamknięto całą menażerię: właścicielkę, która wpuściła ich do mieszkania - była już bez kolejarzkiej czapki na głowie - tę drugą z wielkimi cyckami i jeszcze jedną starą glapę, chudego w długich włosach i dwóch równie sympatycznych obszcymurków. Wszyscy siedzieli wokół kwadratowego stołu przykrytego niebieską ceratą. Na blacie stało kilka pustych butelek, kieliszki, musztardówki i wielka popielniczka z luksfera, po brzegi wypełniona petami. Teofil rozejrzał się uważniej, ale tej ładnej dziewczyny od kolejarza nie było. Zdziwił się, bo wydawało mu się, że nikt nie miał szansy wyjść po tym, jak on pobiegł na dół.

- A gdzie jest ta, co była z tym bandytą w dużym pokoju? - zapytał szefową.

- A o co się rozchodzi, panie kapitanie? - próbowała udawać głupią burdelmama. - My tu wszystkie są, tak jak przykazano.

Myślała pewnie, że zrobi z niego idiotę, ale źle wybrała moment. Olkiewiczowi wcale nie było do śmiechu. Wręcz przeciwnie, cały czas był zły jak licho. Podszedł więc do niej i bez słowa trzepnął ją na odlew w twarz.

- Poprawić, czy dalej chcesz se robić ksiuty? - zrobił groźną minę i podsunął jej pięść pod nos. - Powąchaj, chorlipo, i pomyśl dwa razy, nim mnie jeszcze raz skłamięs...

Przestraszona kobieta spojrzała na niego, pociągnęła nosem i nagle zaczęła się drzeć:

- Jezus Maria, mordują, milicja, Jezu...

Przestała tak gwałtownie, jak zaczęła, gdy Teofil zamachnął się drugi raz. Ale nie uderzył. Uprowadziła go i zaczęła trajkotać jak maszyna do szycia wifama z Modeny, zaraz po naprawie gwarancyjnej w Eldomie:

- Ona, panie kapitanie, tu na gościnnych występach była. Nie jest pewnie z Poznania. Ja ją bynajmniej nie znam, a że ładna i szukała lokum, to się jej podnajęło. Ale to jakaś lepsza suka, bo z nami nawet wina nie wypila, nie mówiąc już, że i nie postawiła ani grama dla zapoznania się bliższego, tylko przyprawiała tu swoich gachów po nocy i ponoć z Magnolii, bo tam chodziła na balety. Płaciła, nie można powiedzieć, uczciwie i rozliczona co do grosza ze mną jest, no tyle że za tą ostatnią noc, co klienta nie miała, to jej liczyć nie będę, bo ten tam, co był u niej, to ja myślała, że nikogo nie ma, bo w nocy sama wróciła, znaczy się bez fagasa, to on musiał tu rano przyjść.

Ale kto on, to ja nic ni mom pojęcia... Nie wiem też, gdzie ona, my myślały, żeście ją puścili, bo tu do nas ten młody szkieł jej nie podprowadził.

- Dobra, już siedź, babo, cicho, bo mnie łeb pęka.

- Ale panie kapitanie, co z nami będzie?

- Jak co? - Teofil spojrzał na burdelmamę ze złym błyskiem w oku. - Zaraz was grzecznie wszystkich w obrączkach na Młyńską powiozą.

- Jak to, za co? - zawołała ta z wielkimi cyckami.

- Trzech milicjantów u nich prawie zabili i ona się pyta za co? Za niewinność, kurwa, za niewinność - zaśmiał się szydyczko Teofil i wyszedł z kuchni. Tu stanął twarzą w twarz z młodym zomowcem z patrolu, tym, który wyrwał mu pistolet na ulicy i który później miał pilnować porządku

w burdelu.

- Taka młoda kurwa tu była, ruda, widziałeś ją? - warknął Teofil.

- Tak jest, obywatelu chorąży. Nie widziałem. Tylko te stare raszple tu były. Melduję, że od chwili jak tu weszłem, nikt stąd nie wychodził. Wszyscy siedzą w kuchni.

Olkiewicz zamyślił się przez chwilę. Doszedł do wniosku, że musiała wyjść zaraz po tym, jak on pognął na dół.

Mogła się wymknąć tylko na podwórko albo schować w którymś z mieszkań w kamienicy. Spojrzał jeszcze raz na młodego i powiedział:

- Weź tego swojego kumpla z patrolu i przelećcie wszystkie mieszkania w tym domu, przeszukać każdy kąt i sprawdzić, czy gdzieś się nie ukrywa.

- Tak jest. Ale kto, obywatelu chorąży?

- No mówię, że taka ruda, lat może do dwudziestu, bardzo ładna.

- Tak jest. A nakaz rewizji?

- Co? - zdziwił się Olkiewicz. - No przecież nakazałem, nie? No to spierdalać w podskokach i za pół godziny chcę ją mieć tu na miejscu, jak gdzieś tu się ukrywa.

Godzina 18.50

Konsumy, zwane też knajpą Pod Pałami, były teraz ostatnią nadzieją Rajmunda. W ciągu godziny zdążył już przelecieć wszystkie najważniejsze restauracje w okolicach Starego Rynku, placu Wolności i Czerwonej Armii, oczywiście takie miejsca, co do których miał pewność, że bywa w nich Gruby Rychu, co go właśnie szukał. Bo Rychu, do którego miał akurat sprawę, wieczorami przesiadywał w knajpach i tam załatwiał swoje interesy. Rajmund był najpierw u niego w domu, ale gdy zadzwonił do drzwi, odpowiedziała mu głucha cisza. Pognął więc do klubu plastików w Arsenale, wiedząc, że od jakiegoś czasu tam można go spotkać. Ale portier powiedział mu, że Grubego Rycha w ogóle dziś nie było.

Później zaliczył jeszcze Moulin Rouge, W-Z i na końcu wpadł do Smakosza. No i w tym Smakoszu właśnie trafił na pewnego znajomego cinkciarza, Tunia zwanego Ząbkem.

Jego przydomek wzięło się stąd, że przed kilku laty na miejscu górnej prawej trójki, którą nieco wcześniej stracił w jakiejś awanturze pod Peweksem na Świerczewskiego, wstawił sobie złoty ząb. Kolegom tłumaczył później, że ten ząb to jego inwestycja na stare lata, a właściwie początek inwestycji, bo w miarę wypadania kolejnych planuje wstawiać sobie następne ze złota. I nie ma zamiaru zadowalać się półśrodkami, więc nie będzie wkładał sobie złotych koronek, ale całe odlane z litego złota i zaczepiane do sąsiednich zębów na złote haczyki. Jednak jak na razie dorobił się tylko tego jednego górnego złotego zęba i przydomeka.

Tunio Ząbek, jako człowiek robiący w walutowym interesie od wielu lat, dobrze znał poszukiwanego. W wytwornym wnętrzu Smakosza, które sprawiało niecodzienne wrażenie w szarej PRL-owskiej rzeczywistości, można się było poczuć jak w zupełnie innym, znacznie lepszym świecie. Na pokrytych dębową boazerią ścianach wisiały olejne obrazy w bogatych ramach, a podłogi wyłożone były bordowymi dywanami. Co więcej, w restauracji nie śmierdziało od kuchni, wręcz przeciwnie, w powietrzu unosił się dyskretny zapach dobrego jedzenia, które serwowano tu na podgrzewanych talerzach. Tunio siedział tuż przy oknie w sali po prawej stronie. Dzięki temu mógł obserwować, co się dzieje na ulicy. Z zewnątrz też go można było dostrzec, więc Rajmund zobaczył Tunia i błysk jego górnej trójki, gdy ten uśmiechnął się do niego zza restauracyjnej szyby.

- Pan Ryszard załatwia również swoje interesy ze szkiełami na Lampego w Konsumach, czyli milicyjnej knajpie za żółtymi firankami - wyjaśnił Tunio tonem zdradzającym, że jego sposób Wypowiedzi wznosi się już nieco ponad uliczny krawężnik.

Zadowolony Rajmund klepnął go z radości w plecy i wybiegł z restauracji. Do Konsumów było stąd zaledwie kilka kroków. Minał księgarnię muzyczną na rogu, której okna wystawowe wabiły miłośników muzyki rozrywkowej nowymi albumami Ireny Santor, Andrzeja Rosiewicza i składanki z Festiwalu Piosenki Żołnierskiej Kołobrzeg 78, przeszedł na drugą stronę ulicy koło Domu Książki i po chwili był już w bramie prowadzącej do milicyjnej restauracji.

Pan Karol, siedzący za szatniarskim kontuarem, był czujny.

- A pan do kogo, że grzecznie spytam? Bo tu wstęp ino za okazaniem legitymacji resortowej - powiedział, groźnie wstając ze swojego krzesła.

- Panie - Rajmund podszedł do niego i nachylił się nieco, skinąwszy jednocześnie ręką, jakby chciał dać szatniarzowi do zrozumienia, że ma zamiar przekazać mu poufną informację. Zaciekawiony Karol również schylił się i nadstawił ucha. - Ja do pana Ryszarda...

Groźna twarz szatniarza rozpromieniła się momentalnie.

- Pan Ryszard jest w środku, z kolegą siedzi - wyjaśnił, wskazując jednocześnie drzwi.

Skinął szatniarzowi głową i wszedł na salę. Pod oknem zobaczył Grubego Rycha, który rzeczywiście siedział przy stoliku, ale jego kolega spał w najlepsze, oparty na rękach zwiniętych na stole.

- Szacuneczek, panie Rychu - przywitał się Rajmund.

- Siadaj pan - Rychu wskazał mu wolne krzesło obok siebie. - Kolega opadł z sił - wyjaśnił, widząc nieco zdziwioną minę Rajmunda. - Przypilnuję go troszkę, a jak nie dojdzie do siebie, to muszę go odholować do chaty. A co tam u pana słyhać?

- Niezła gemela się zrobiła - odpowiedział, robiąc smutną minę i tłumacząc jednocześnie powód, dla którego śmiał niepokoić podczas biesiady tak ważną figurę.

- Co za gemela? - zainteresował się Rychu, który uważał, że powinien wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w jego branży na mieście. - Dolary poszły w górę, czy jak?

- Ady tam zaraz dolce, sprawa znacznie gorsza związana z moją branżą, ale nie wiem, czy mogę spokojnie mówić, bo wie pan - tu wskazał na śpiącego - licho nie śpi.

Rychu machnął ręką i uśmiechnął się szeroko:

- To nie licho, ino Miruś Brodziak. Nic się pan nie martw.

Możesz śmiało referować, bo kolega śpi snem sprawiedliwego. Za dużo przyjął jednorazowo, przelyk ma chwilowo nieczynny razem z mózgownicą i jest obecnie w innym wymiarze czasoprzestrzennym, znaczy się gumowego ucha nadstawić nie może. A nawet jakby chciał, to koleś obyty. W milicji robi. A poza tym szczon z mojego fyrta.

Razem my po podwórku latali.

Rajmund na wszelki wypadek nachylił się trochę, by nikt niepowołany nie usłyszał tego, co chce powiedzieć.

- Sprawa jest, że tak powiem, gardłowa. Rozchodzi się o mojego znajomego, co my razem we dwójkę kręcili przemysł wideo. Ten mój znajomy kolejarz, co jeździł do Berlina, kojarzysz pan figurę? No więc on miał dziś przyjechać z nową dostawą i nawet do Poznania dojechał, ino zarżnięty jak wieprzek.

- Na śmierć?

- Sztywny jak ratuszowa wieża.

- O - zdziwił się Gruby Rychu i uważniej spojrział na swojego rozmówcę. - A wiadomo już, kto go sprawił?

- Nic jeszcze nie wiadomo. O to się właśnie rozchodzi.

Szkieły dopiero co zaczynają węszyć i myślę, że mogą coś tam wywęszyć względem tego sprzętu elektrycznego.

- I pan się boisz, że dojść mogą, kto mu w interesach pomagał.

- Ale tam, jak mają dojść, to i tak dojdą, a to nie takie ważne jest, nie? Ważniejsze dla mnie to jest, kto mu w śmiertelnym zejściu dopomógł i za co. A pewne podejrzenia to ja mam.

- I co?

- I to, że jeden taki był u mnie i mówił, że jakby mi ręk do pracy zabrakło, to on chętnie dopomoże.

- I teraz zabrakło - stwierdził Rychu.

- Dosłownie, panie szanowny, zabrakło jak nic, bo onemu, znaczy się temu mojemu koledze, ktoś te łapy odciął.

A to chyba nie przypadek. Tak se myślę.

- A ten, co to o tym braku rąk do pracy mówił, to co to za typek?

- Jedna taka łachudra, co pod Peweksami stoi. Sprawdziłem gnoja, zaraz jak interes mi zaproponował. No i powiadała mi wiara, że lepiej mu michy nie klepać, bo on dla poważnych ludzi pracuje.

- Dla kogo?

- Dla pana...

Godzina 19.00

Sierżant Nowak, który przyjechał zabezpieczyć teren wraz z ekipą zomowców z Taborowej, ustawił swoich ludzi w szeregu na chodniku, odwrócił się i podszedł do opartego o burtę radiowozu Olkiewicza, który z zaciekawieniem, paląc papierosa, obserwował nowo przybyłych.

Nowak zasalutował, wyprężając się przed oficerem, pewnie by pokazać młodemu, jak powinno się składać meldunek przed szarżą.

- Sierżant Nowak Krzysztof melduje swoje przybycie plus dwunastu ludzi do dyspozycji kierującego akcją.

- Dajcie spocznij - zarządził Olkiewicz.

- Drużyna, spocznij! - krzyknął Nowak i znów odwrócił się do Teofila:

- Wy jesteście kierownikiem? - zapytał, a Olkiewicz zdziwił się. Chciał najpierw zaprzeczyć, bo jakoś nigdy niczym nie kierował, ale nagle uświadomił sobie, że jak dotąd na Strusia nie przyjechał żaden oficer, a jedyną osobą wydającą tu rozkazy był on sam. Oznaczało to, że rzeczywiście był w tej chwili najważniejszym milicjantem na miejscu zdarzenia, a to wymagało nie lada umiejętności i obycia. Co jak co, ale umiejętności w wydawaniu rozkazów to Olkiewicz miał. W końcu w organach pracował już od lat i przekazał młodemu milicjantom niejedno polecenie. Ale dowodzenie akcją... Trochę mu to zaimponowało, ale zaraz się przestraszył, że może zarządzić coś głupiego i będzie śmiech. Z drugiej strony już zaczął dowodzić, bo wezwał pomoc z komendy i kazał nawet sprowadzić na miejsce psa tropiącego. Ta sprawa właśnie zaczęła mu się wydawać najbardziej głupia. Zastanawiał się, co powiedzą koledzy, jak się zrobi raban z tym psem tropiącym.

Pomyślał, że chyba się trochę pospieszył z tym kejtrem.

No, ale pies już jedzie z przewodnikiem i nic nie można było zrobić. Niech już tu przyjadą i powęszą. Spojrzał na sierżanta zomowca, który wpatrzony w niego czekał na odpowiedź. Trzeba było mu coś powiedzieć i dać jakąś robotę. I nagle Teofila olśniło. Kolejarz! Ten facet, który był w środku, co go trzasnął w łeb i postrzelił dwóch chłopaków, był w kolejarskim mundurze. A więc trzeba szukać kolejarza.

- Słuchajcie, sierżancie, poszukiwany to człowiek w kolejarskim mundurze, uciekł z tego domu, ale przedtem postrzelił dwóch funkcjonariuszy. Wasze zadanie przeszukać okolicę i zatrzymać wszystkich ludzi w kolejarskich mundurach. Jakies pytania?

Nowak nie miał pytań. Nie miał w zwyczaju zadawać pytań w związku z rozkazami przełożonych. Wiedział, co to dyscyplina i czym jest służba, w której przełożony jest od wydawania rozkazów, zaś podwładny od ich wykonywania, a nie zabierania czasu oficerom jakimiś wątpliwościami.

- Tajes! - krzyknął, wyprężył się, zasalutował, wykonał regulaminowy obrót w tył i podszedł do swoich ludzi:

- Kapral Fik, kapral Gula, każdy zabierze po pięciu ludzi. Przeszukać okolicę. Każdego w kolejarskim mundurze zatrzymać i dostarczyć na miejsce. Poszukiwany kolejarz ma broń. Strzelał dziś do funkcjonariuszy, więc uważać na jebańca. Wykonać!

Kierownik akcji Teofil Olkiewicz wszedł znowu do szoferki nyski Grzecha Kowala i włączył radiotelefon.

- Chorąży Olkiewicz do dyżurnego - odezwał się znacznie mniej pewnie niż za pierwszym razem.

- Tu dyżurny, mówcie - odezwał się funkcjonariusz, ale tym razem, nauczony poprzednim doświadczeniem, nie poprosił o podanie kodu rozpoznawczego.

- Chciałem zapytać, czy jakiś oficer tu przyjedzie, co będzie koordynował ten cały burdel na miejscu?

- Na razie wy dowodzicie, chorąży. Jak będziemy kogoś mieć, to się pojawi na miejscu. Szukamy już waszego majora Marcinkowskiego i Brodziaka, porucznika.

No ładnie, kurde, wdepnąłem w gówno, wiara się będzie śmiać jak nic. Już widzę minę Mirasa Brodziaka, jak opowiada chłopakom o wezwaniu na miejsce psa tropiącego. Szlag by trafił, myślał zły jak diabli Olkiewicz.

Miał się już odmeldować, gdy wtem przypomniał sobie o dwóch postrzelonych kolegach. Tak był zajęty przez ostatnie kilkadziesiąt minut, że nawet o nich nie pomyślał.

- A co z chłopakami, macie jakieś wiadomości, jak się czują? - zapytał, ściskając słuchawkę radiotelefonu.

- Dzielnicowy Obrębski postrzelony w płuco, miał szczęście, bo kula przeszła tuż nad sercem, jest na bloku operacyjnym. Lekarze mówią, że będzie dobrze. A Kowal miał więcej szczęścia niż rozumu. Kula otarła mu się o głowę. Ma tylko zdartą skórę, ale łeb nienaruszony. Czaszka w całości nawet niedraśnięta.

Olkiewicz odetchnął z ulgą, a świst powietrza musiał chyba usłyszeć dyżurny.

- Teofil, dobrze się czujesz? - zawołał z troską w głosie.

- Dobrze, kurwa, świetnie, ale mnie boli tylko trochę łepetyna.

- Złapiecie tego gnoja?

- Złapiemy i wyrwiemy mu jajca razem z płucami. A wy postawcie wszystkich na nogi, nie może być przecież tak, żeby jakiś bydlak strzelał se bezkarnie do milicjantów, nie?

Godzina 19.15

Poszukiwany przez dyżurnego Komendy Miejskiej porucznik Mirosław Brodziak padł jak kłoda na tapczan. Rychu Grubiński po rozmowie z Rajmundem postanowił, że czas już skończy zabawę Pod Pałami. Zapłacił bufetowej i spróbował obudzić śpiącego Brodziaka. Ten jednak nie zamierzał reagować na prośby kolegi.

- Możemy go położyć na zapleczu, tam jest taka pakamera kierowniczkii z leżanką dla ważnych gości. Zamykamy dopiero o dziesiątej wieczór, to się jeszcze trochę wyśpi i do tej pory wytrzeźwieje - powiedział szatniarz, pan Karol, który podszedł do stolika, widząc, jak Rychu bezskutecznie próbuje obudzić śpiącego.

- Łe tam, zabiorę go do siebie. U mnie może przekimać do rana. Mam tylko przez ulicę, to dam radę.

Szatniarz spojrział z szacunkiem na wielkiego Rycha, potem na szczupłego i drobnego Brodziaka. Pomyślał, że z przeniesieniem go nie powinno być najmniejszych kłopotów.

Gruby bez większego wysiłku uniósł śpiącego w górę i przerzucił go sobie przez ramię niczym worek z ziemniakami. Po pięciu minutach był już w swoim mieszkaniu na drugim piętrze. Chwilę trwało, nim otworzył drzwi, musiał najpierw znaleźć klucze. Ustawił więc swój pakunek pod ścianą, przytrzymując go w pionie lewą ręką, gdy prawą wyciągnął pęk kluczy z kieszeni spodni. Po chwili nieprzytomny Brodziak leżał już na tapczanie.

Rychu od pięciu miesięcy mieszkał sam. Lokal należał do jego narzeczonej Ireny, do niedawna kierowniczkii baru As na placu Wolności, z którą był od jakiegoś roku. Gdy pół roku temu nadarzyła się okazja, kobieta wyjechała do Berlina Zachodniego na zaproszenie swojej kuzynki. Bardzo szybko się odnalazła w kapitalistycznej rzeczywistości. Dzwoniła od czasu do czasu do Rycha i informowała go, co się teraz z nią dzieje. A on był nawet zadowolony z tego, że Irena pojechała na Zachód. Po pierwsze nie miał kobiety na głowie, a po drugie wiedział dobrze, że ona tam nie próżnuje i na pewno rozkręca już jakiś interes. Okazało się wkrótce, że weszła w handel używanymi samochodami. Tłumaczyła Rychowi, że to biznes, który ma przyszłość, ale on nie bardzo w to wierzył. Sam nie miał samochodu, nie zrobił nigdy prawa jazdy i dlatego jakoś nie bardzo leżał mu ten motoryzacyjny interes. Ona jednak, niezrażona jego niechęcią do samochodów, kazała mu sprawdzić, w jaki sposób jej auta można przewozić do Polski, mimo iż cła na sprowadzane samochody były tak wysokie, że proceder ten na razie nie bardzo się opłacał. Rychu w końcu nawiązał kontakty z właścicielami dwóch warsztatów samochodowych, by wysondować rynek. I okazało się, że zapotrzebowanie na niemieckie auta jest bardzo duże, tyle że z legalizacją ich były poważne problemy. Ale Rychu był specjalistą od rozcinania gordyjskich węzłów socjalistycznej biurokracji. Jego pomysł był genialnie prosty: potrzebny był człowiek z niemieckim paszportem, najlepiej bezrobotny Polak, który dostał już niemieckie obywatelstwo albo kartę stałego pobytu. Takiemu figurantowi sprzedawano fikcyjnie samochód, po jakimś czasie człowiek ten jechał samochodem do Polski w odwiedzinach do krewnych. Pod wskazanym adresem konwojent zostawiał samochód i po dwóch dniach szedł na milicję zgłosić kradzież wozu. W tym czasie ekipa warsztatu zmieniała samochód nie do poznania. Auto dostawało nowy lakier i nowe dokumenty wraz z zupełnie nowymi numerami silnika. Gdy milicja rozpoczynała poszukiwania, samochód miał już polskiego właściciela.

Kradzież zgłaszano także w Niemczech i właściciel samochodu, ten podstawiony, inkasował odszkodowanie. Zarobek był więc podwójny - i w Polsce, i w RFN.

Na razie biznes samochodowy rozkręcali bardzo ostrożnie, żeby nie dać od razu do myślenia milicji, która przecież musiała w końcu skojarzyć, że coś jest nie tak, bo coraz więcej samochodów na niemieckich numerach rozpływało się w Polsce. Poza tym Niemcy też nie byli głupi i niebawem ubezpieczalnia dojdzie do wniosku, że coś śmierdzi w tych kradzieżach. Rychu wykalkulował, że w taki sposób można sprowadzać do kraju tylko drogie, dobre samochody na specjalne zamówienie klienta i nie wolno przesadzać z liczbą ściąganych aut. Interes może więc się powoli kręcić, a póki co trzeba szukać innych metod sprowadzania samochodów.

Rychu zostawił śpiącego Brodziaka w małym pokoju gościnnym i poszedł do salonu. Tam na niewielkim stoliczku obok peweksowskiego japońskiego telewizora stał czerwony aparat telefoniczny bez tarczy, za to z przyciskami do wybierania numerów. Usiadł na skórzanej pufie i wydobyl zeszyt z numerami telefonów w popielatej, plastikowej szkolnej okładce. Przerzucił kilka kartek, aż znalazł szukany numer. Wystukał po kolei siedem cyfr i po chwili z drugiej strony odezwał się męski głos:

- Szatnia Smakosz, słucham.
- Mówi Rychu, niech pan przekaże panu Korbolowi, że jutro czekam na niego w swoim biurze o jedenastej rano powiedział Gruby Rychu i odłożył słuchawkę na widełki.

Godzina 19.30

- Gienia, dej mi ino jeszcze piwo jedno, co? Jakoś tak mnie suszy po tym kotlecie.
- A co, nie był dobry? - zawołała Łopatowa, przekrzykując brzęk mytych w aluminiowej balii garów.

- Akuratny, jak zwykle, ino że coś mnie tam suszy, taki niesmak mam w gębie, diabli wiedzą od czego - wyjaśnił Stachu Łopata, siadając przed telewizorem. Przed chwilą włączył swojego czarno-białego neptuna czerwonym przyciskiem, a potem wcisnął jeszcze jeden pionowy klawisz, nastawiając go na pierwszy program. Teraz, rozsiadłszy się w fotelu, musiał odczekać chwilę, zanim lampy się nagrzeją i będzie obraz. Gdy kobieta pojawiła się w pokoju ze szklanką w jednej i brązową półlitrową butelką w drugiej ręce, kineskop rozświetlił się na srebrno, a zaraz po tym na ekranie pokazał się uśmiechnięty spiker relacjonujący najważniejsze wydarzenie dnia. Na filmie pokazali, że towarzysz Wojciech Jaruzelski ceni polskie kobiety, szczególnie te wyróżniające się w pracy, i dlatego przedstawicielki klasy robotniczej dostały dziś od niego kwiaty i odznaczenia.

- Ciekawym, czemu tobie nie dali nigdy żadnego orderu - zaśmiał się Stachu, patrząc na żonę, która nalewała mu piwo do szklanki.
- Za siedzenie w chacie można co najwyżej odcisków na dupie dostać, a nie order od Jaruzelskiego.

- Prawda, ale jakbyś w partii była, to kto wie...
- Łe jery, a na cholere mnie ta ich zasrana partia. Niech se te komunisty same dają i biorą te ordery, a mnie to wystarczy, jakby tylko do sklepów dali codziennie coś dobrego do jedzenia. A medala do garnka się nie włoży.

Ta Grzelokowa spod siódmego, co to była kierowniczką w peesesach, to przed emeryturą dostała medal, bo była partyjna. I chodziła dumna i blada, bo se myślała, że jak już ma takie coś, to dostanie dodatek do emy, ale gówno dostała, bo to nie był medal tej klasy co trzeba na chlebowy. Ale ona dostała niższy, bo w partii była od roku przed emeryturą. Myślała, że jak się zapisze i legitymację czerwoną dostanie, to będzie miała dobrze, ale przechytrzyła się sama i tak ani bejmów, ani szacunku

u ludzi.

Zostawiła go samego i poszła dalej zmywać. Za oknem rozległ się turkot przejeżdżającego pociągu. Stachu spojrzął na swój ręczny zegarek, przedwojenną omegę. „Dwie minuty spóźnienia już na wyjściu z dworca. Tyle nadrobi na trasie bez problemów”, pomyślał o maszyniście prowadzącym osobowy do Kępna.

- Idę, idę! - krzyknęła kobieta.

- Co? - odpowiedział jej Stachu.

- Do drzwi idę, bo ktoś tam puka - wyjaśniła.

Nie usłyszał pukania, bo zagłuszył mu je przejeżdżający pociąg. Pewnie sąsiadka na pogaduchy przyszła, bo kto inny by o tej porze przyłaził. No, chyba że sąsiad Marian z parteru wpadł pogadać jak zwykle o polityce, zastanawiał się, gdy nagle usłyszał ujadanie psa. Zdażył jeszcze wstać i odwrócić się, gdy nagle na pierś zwałił mu się ogromny czarny wilczur. Przerażony mężczyzna próbował się opędzić od atakującego zwierzęcia, potknął się jednak o oparcie fotela i całym ciężarem ciała upadł na ziemię.

- Jezus Maria! Milicja! - krzyczała Gienia od drzwi.

- Szarik, pilnuj! Nie gryź! Waruj! - zawołał jakiś mężczyzna w polowym mundurze milicyjnym, trzymający w rękach linkę, na której drugim końcu uwiązany był pies.

Wielka morda wilczura z obnażonymi kłami zawisała tuż nad twarzą Stacha. Kolejarz był tak przerażony, że nie śmiał wykonać najmniejszego ruchu.

- Mamy tego skurwiela, obywatelu chorąży - powiedział zadowolony przewodnik psa milicyjnego na widok wchodzącego do mieszkania czerwonego i zziąjanego chorążego Olkiewicza, któremu zaczeska zsunęła się do tyłu, ukazując kształtne, okrągłe łyse czoło. Teofil nawet nie spojrzął na lamentującą w korytarzu kobietę. Od razu wszedł do pokoju, gdzie na ziemi leżał człowiek pilnowany przez psa. Przewodnik szarpnął za linkę i odciągnął zwierzę. Chorąży podszedł do leżącego i nachylił się nad nim. Spojrzął mu prosto w oczy, chwilę patrzył bez słowa i zaraz uśmiechnął się zadowolony:

- Oj, nie masz ty szczęścia, skurwysynu. Wpadłeś jak śliwka w gówno. Będiesz ty jeszcze przeklinał dzień, w którym żeś się urodził.

Wyprostował się nad leżącym i wydobyl z kieszeni marynarki papierosa. Zapalił bez pośpiechu, potem obrócił się do stojących w korytarzu dwóch milicjantów, którzy weszli do mieszkania chwilę po nim.

- Przeszukać dokładnie całe mieszkanie, a tego tu zaobrączkować i na komendę.

Teofil Olkiewicz triumfował. Jednak jego pomysł okazał się rewelacyjny. Pies tropiący spisał się doskonale. Gdy przewodnik przyjechał razem z Szarikiem, początkowo Olkiewicz nie bardzo mógł uwierzyć, że ten kręcący się po mieszkaniu, a później po bramie wilczur może cokolwiek znaleźć. Ale po chwili, gdy zaczął obwąchiwać kolejarską czapkę, którą przyniósł z mieszkania na górze jeden z młodych milicjantów, pies podjął trop i zaraz ruszył w głąb podwórka. Teofil, nie namyślając się długo, ruszył biegiem za nim i przewodnikiem.

Pies prowadzony na długiej lince przebiegł kilkoma susami podwórze i zniknął za rzędem szop, w przejściu między podwórkami, które wcześniej odkrył Teofil. Po chwili byli już w bramie wychodzącej na jakąś ulicę. Pies biegł bardzo szybko, nawet jego przewodnik miał spore kłopoty z utrzymaniem narzuconego przez zwierzę tempa, nie mówiąc już o Olkiewiczu, który mimo że dawał z siebie wszystko, zostawał wyraźnie w tyle, sapiąc jak lokomotywa. Po paru minutach pies

doprowadził ich do miejsca, w którym znajdowało się przejście w betonowym płocie prowadzące na torowisko. Szarik przystanął, bo akurat na torach pojawił się pociąg, który przeciął im drogę. Zziębnięci mężczyźni bacznie przyglądali się zwierzęciu, które, strzygąc uszami i cicho powarkując, czekało, by podążyć za swoim tropem. Gdy pociąg przejechał, na miejsce dobiegli jeszcze dwaj zomowcy. Olkiewicz miał już dość tej gonitwy, więc ucieszył się na ich widok i kazał im iść za psem.

Wilczur skoczył na tory, ale tu nagle zatrzymał się i zaczął niespokojnie krążyć w miejscu.

- Chyba zgubił trop - krzyknął przewodnik w stronę Teofila, który stał przy dziurze w płocie i obserwował ich z tej odległości. Machnął ręką z niecierpliwością i już chciał odejść zły na siebie, że dał się tak łatwo ponieść emocjom, gdy nagle pies ruszył znów biegiem, tym razem w jego kierunku. Zwierzę z nosem przy ziemi przebiegło tuż przy jego nogach i po chwili zniknęło za narożnikiem magazynu.

- Musiał się cofnąć ten facet - wyjaśnił przewodnik, przebiegając koło Olkiewicza.

Milicyjny pies doprowadził ich do starej odrapanej czteropiętrowej kamienicy przy Granicznej, do mieszkania na trzecim piętrze.

- Obywatelu chorąży, niech pan tu zobaczy.

Teofil odwrócił się w stronę drzwi na korytarz. Zomowiec w jednej ręce trzymał kolejarski płaszcz, a w drugiej niemieckiego lugera.

- Miał w kieszeni ten pistolet, a na płaszczu to chyba jeszcze krew jest zaschnięta. Takie jakieś czarne plamy wyjaśnił szeregowy.

- No to się ty już teraz nie wywiniesz, gnoju - powiedział ze złowieszczym uśmiechem chorąży Teofil Olkiewicz, patrząc z góry na leżącego na podłodze kolejarza, który wyglądał tak, jakby właśnie potracił go pospieszny z Przemyśla do Szczecina.

Godzina 20.05

Przodem szedł kapral Fik, przez swoich podwładnych nazywany Kurfikiem z uwagi na często używane przez niego popularne przekleństwo. Złośliwi podkomendni mówili nawet, że Fik oprócz wyrazu na „k” zna zaledwie kilkanaście innych słów i tylko dzięki temu, że wkłada między nie wulgaryzmy, udaje mu się sklecić całe zdania.

Fik kroczył z dumą, rozglądając się na boki. Wydawało mu się, że wszyscy dokoła powinni patrzeć na niego z podziwem. Wyglądał przecież tak pięknie w tym swoim milicyjnym mundurze, z rogatywką założoną na bakier i białą pałką w garści, którą co krok uderzał w cholewkę prawego buta, wybijając jednostajny ponury rytm marszowy. Był w tej chwili prawdziwym uosobieniem silnej i zdecydowanej na wszystko władzy ludowej. Tej mądrej i sprawiedliwej władzy, która poznała się na nim, pozwoliła włożyć piękny mundur i dała kontrolę nad młodymi milicjantami oraz nad przechodzącymi ulicą ludźmi. Stanowił zbrojne ramię socjalistycznej zwierzchności i gotów był dla niej poświęcić wszystkie swoje siły i cały ogromny talent organizacyjny. Niektórzy nie potrafili rozpoznać, jaki Fik jest doskonały. Szczególny żal miał do nauczycieli w podstawówce i później w zawodówce, którzy nie mogli za nic w świecie dopatrzeć się w nim człowieka wrażliwego i inteligentnego. Prawda, miał kłopoty z liczeniem i pisaniem wypracowań, trudno mu było spamiętać wszystkie regułki i definicje, ale za to udzielał się w ZSMP i TPPR. Uważał, że nauczyciele, poza paroma chlubnymi wyjątkami, uwzięli się na niego od samego początku. Dlatego okres szkolny wspominał jako pasmo szczególnych nieszczęść. Do tego jeszcze niespecjalnie lubili go koledzy, o

koleżankach już nie wspominając. Ale Fik zawział się i postanowił im wszystkim pokazać, kim jest naprawdę i co jest wart. No i po odebraniu świadectwa ukończenia Zespołu Szkół Zawodowych w klasie magazynier sprzedawca poszedł do ZOMO. Tu jego życie zmieniło się natychmiast. Podoficerowie od razu zauważyli, że Fik chętnie i z radością wykonuje każdy, nawet najgłupszy rozkaz. A że taka postawa była w szeregach szczególnie ceniona, już po roku służby dosłużył się kaprała. Na razie był to kres jego możliwości, ale kapral Fik cenił sobie swoją szarżę i liczył na to, że w przyszłości zostanie plutonowym albo może i nawet sierżantem. Dla tak wysokich stopni trzeba było wyróżniać się na każdym kroku i robić to, co każą, a nawet więcej. I Fik robił znacznie więcej.

Teraz z niepokojem spojrzął na grupkę mężczyzn stojących w bramie kamienicy po prawej stronie ulicy. Faceci, było ich czterech, palili papierosy i z ponurymi minami patrzyli na dziwny kondukt podążający chodnikiem. Wyglądali na miejscowych wywijasów, którzy czekają tylko na jakąś okazję do rozróby. Fik pomyślał nawet, że warto byłoby ich wszystkich zatrzymać, bo może coś widzieli, ale gdy spojrzął jeszcze raz na nich i na swoich chłopaków, uznał, że wynik starcia między obiema grupkami nie był zbyt pewny. W tej sytuacji z przykrością zrezygnował z wprowadzenia w życie pomysłu. Zwłaszcza że miał jeszcze na karku zatrzymanych kolejarzy.

Czterej mężczyźni, skuci kajdankami w dwie pary, szli za kapralem. Każdy z boków tej procesji ochraniali dwaj zomowcy. Pochód zamykał szeregowiec, który nerwowo rozglądał się na wszystkie strony. Widać zdawał sobie sprawę, że taki przemarsz może wystawić na próbę cierpliwość mieszkających tu ludzi. Nikt przecież nie lubił zomowców, a tym bardziej takich, którzy brali miejscowych.

Na szczęście kolejarze zatrzymani przez ludzi kaprała Fika nie byli tutejsi.

Patrol Fika wysłano bowiem w stronę dworca kolejowego i dlatego kapral wiedział, że ma łatwe zadanie. Już na Głogowskiej, jeszcze przed Horteksem, zatrzymali dwóch pierwszych kolejarzy. Obaj twierdzili, że wracają z pracy, ale kto by ich tam słuchał. Założono im kajdanki i już.

Przed Dworcem Zachodnim nawinęli się kolejni dwaj.

Na sam dworzec już nie wchodzili, bo tam kolejarzy było za dużo i Fik wolał nie ryzykować zatrzymywania wroga w jego gnieździe. Ci ostatni stali akurat koło poczty, w pewnej odległości od wejścia na dworzec, więc Fik kazał ich szybko skuć i grupka milicyjno-kolejarska ruszyła w stronę Strusia.

Kapral Fik nie zastanawiał się, czy zatrzymani mają coś wspólnego ze sprawą. Uważał, że od takich analiz są inni. On wykonywał tylko rozkazy, a rozkaz był wyraźny: wszystkich w mundurach kolejarskich zatrzymać i doprowadzić. Trochę żal mu było tego dworca, bo tam można by złapać przynajmniej jeszcze ze dwudziestu, albo i więcej podejrzanych. Postanowił więc, że gdy tylko doprowadzi tych swoich, poprosi o zwiększenie sił i wtedy będzie można bezpiecznie ruszyć. Już widział oczyma wyobraźni, jak kilkudziesięciu funkcjonariuszy pod jego kierunkiem otacza cały dworzec i aresztują wszystkich ludzi w kolejarskich mundurach. Trzeba by chyba podstawić kilka ciężarowych więźniarek do przewozu zatrzymanych. Przy okazji trzeba by też wziąć tych nierobów, co stali w bramie. Odwrócił się w tamtym kierunku, ale już ich nie było. Pod kamienicą na Strusia stali milicjanci. Fik zobaczył swojego sierżanta i zadowolony podbiegł do niego:

- Obywatelu sierżancie, kapral Fik melduje doprowadzenie czterech zatrzymanych.

Sierżant Nowak, który siedział na stopniu milicyjnej nyski i palił papierosa, spojrzął na preżącego się przed nim kaprała, a potem splunął na chodnik.

- Rozkuć i wypuścić - rozkazał.

Fik wydawał się nie rozumieć rozkazu. Stał i dalej wpatrywał się w swojego szefa.

- Na dworcu jest ich jeszcze więcej, można by ich wszystkich... Tyle że trzeba by ciężarówki podstawić pod budynek i więcej funkcjonariuszy... - zabełkotał.

- Co wy mi tu, Fik, pierdolicie? Wypuścić, powiedziałem, bo akcja się skończyła. Mamy już tego, co strzelał.

A tych to nawet nie trzeba spisywać. Niech idą w cholere, i już.

- Tak jest, obywatelu sierżancie. A kto go złapał, tego podejrzanego? - nie wytrzymał kapral i zapytał, bo do głowy przyszła mu nagle straszna myśl, że zatrzymania dokonała grupa jego śmiertelnego wroga i konkurenta kaprala Gruli, którego sierżant wysłał ulicą w przeciwnym kierunku.

Sierżant Nowak od razu zrozumiał, o co chodzi Fikowi.

- Grula był blisko - powiedział - nawet bardzo blisko i mało brakowało, bo dobry z niego funkcjonariusz... - Mówił powoli, ciesząc się z efektu, jaki jego słowa wywołują w umyśle Fika. Wiedział, że ten szczerze nienawidzi Gruli i każdy jego sukces odbiera jako własną porażkę. - Ale ostatecznie zatrzymania dokonał pies Szarik - wyjaśnił i zobaczył, jak Fik z sykiem wypuszcza powietrze.

- Aha - odetchnął kapral, któremu kamień spadł z serca.

Godzina 20.10

- Mówię pani, szanowna pani Owczarkowa, że to był kolejarz. Kolejarze teraz już z nimi nie idą, bo za mało zarabiają. W dupie już mają tych czerwonych.

- A kiedy z nimi szli? Co też pani gada, pani Zosiu. Nigdy z nimi nie szli. Nawet strajki robili i pociągi do szyn przyspawali, żeby do ruskich szynki nie wywozili.

- Święta prawda - wtrącił się gruby i niski dozorca spod piętnastki. - Mój szwagier, co na kolei robi, mówił o tym, że jak stan wojenny nastąpi, to zaraz zabrali się za strajki na kolei i spawanie tych kół do torów było.

- Jedni szli z nimi, a inni nie, ale wcześniej nie strzelali zgodziła się w końcu pani Zosia. - A ten, co tu uciekał, to aż pięciu ponoć postrzelił. Sama widziałam.

- Jak strzelał? - nie mogła uwierzyć Owczarkowa.

- Jak strzelał, to nie, ale później, jak karetki stąd odchodziły, jedna po drugiej. Pięć ich było albo sześć.

- Dobrze tym gnojom. Niech się boją, czerwone skurwiele. Mało to krwi ludziom napsuli. Wreszcie ktoś im pokazał, że z narodem tak łatwo im nie pójdzie. - Dozorca rzucił papierosa na chodnik i rozdeptał go butem, a potem splunął w to miejsce i jeszcze raz przydepnął.

- A może to jakiś bandyta był, tylko w przebraniu za kolejarza się podawał. - Owczarkowa nie mogła cały

czas uwierzyć w to, co opowiadała jej sąsiadka. Była zła na siebie, że tak długo zmarudziła na mieście i przez to przegapiła całe to niecodzienne zdarzenie. Wróciła dopiero jakieś pięć minut temu i od razu zauważyła zamieszanie i milicyjne samochody naprzeciw jej kamienicy. Na szczęście pod bramą stała już grupka kilkunastu sąsiadów i przechodniów, trzymana na dystans przez dwóch zomowców. W tym niewielkim tłumie dostrzegła natychmiast panią Zosię z drugiego piętra i dozorcę z kamienicy obok, więc podeszła, żeby się wywiedzieć, co i jak.

- Bandyty to mają różne sposoby.

- A co by tu bandyta robił? Jak nic, normalny człowiek to być musiał, ino że z Solidarności i się

ukrywał, a te cholery, co tu przyszły, to jeden był w cywilu, więc pewnie esbek. Chcieli go chwycić, tego kolejarza, a on się nie dał. - Pani Zosia przerwała swoją opowieść na widok podjeżdżającego pod kamienicę naprzeciwko sraczkowatego poloneza.

No i Dzień Kobiet diabli wzięli, pomyślał major Alfred Marcinkowski, zatrzymując swoje auto w kolorze piasku pustyni tuż przed milicyjną nyską. Na chodniku kręciło się kilkunastu mundurowych milicjantów. Po drugiej stronie ulicy pod sklepem spożywczym stała spora grupka gapiów. Major wyszedł z auta, zamknął drzwi na kluczyk i obszedł jeszcze samochód dokoła, by sprawdzić, czy pozostałe drzwi są też zamknięte. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Olkiewicza. To przez niego musiał tu przyjechać o tak późnej porze w świąteczny dzień. Gdy odebrał telefon od dyżurnego z informacją o strzelaninie, kazał mu iść do cholery i przekazać sprawę Komendzie Miejskiej. Niestety okazało się, że w strzelaninie uczestniczyło dwóch jego ludzi, chorąży Olkiewicz i sierżant Kowal. W tej sytuacji major musiał wziąć odpowiedzialność za śledztwo, bo wszystko wskazywało na to, że strzelanina związana była z czynnościami służbowymi wykonywanymi przez Olkiewicza, a więc z jego własnym, majora, śledztwem.

Marcinkowski postanowił sprawę załatwić tak szybko, jak się tylko da, i uciec do domu.

Dostrzegł Teofila stojącego w bramie i rozmawiającego z jakimś sierżantem z ZOMO.

- Obywatelu chorąży, pozwólcie no tu - powiedział oficjalnym tonem Marcinkowski.

Olkiewicz natychmiast odwrócił się i podbiegł do oficera.

- Chodź gdzieś w jakieś spokojne miejsce i mów, co tu się dzieje - zażądał Fred.

Teofil zaprowadził go do mieszkania, w którym cały czas pracowała ekipa techniczna. Weszli do pierwszego z brzegu pustego pokoju i zamknęli za sobą drzwi.

Olkiewicz szybko zrelacjonował swojemu szefowi wydarzenia, choć najważniejsze, o zatrzymaniu podejrzanego, zostawił na koniec.

- Jak się czuje Grzechu Kowal? - zapytał Fred.

- Mówią, że to tylko otarcie skóry. Miał chłop szczęście. No a tego kolejarza to już mamy w areście - wypalił wreszcie chorąży z nieukrywanym triumfem w głosie. I pistolet też mamy - dodał radośnie. - Pies Szarik go wytropił w domu przed telewizorem.

- Jaki, kurde, Szarik i w jakim domu? Byli tu czterej pancerni z psem? - zdziwił się Marcinkowski.

- No, tu zaraz, dwie ulice dalej. Siedział i oglądał telewizję, dla niepoznaki. To znaczy się ten kolejarz, siedział i oglądał dziennik, a Szarik to pies milicyjny, co go znalazł i zatrzymał. Razem ze mną, ma się rozumieć, zatrzymania dokonał.

- Aha - zrozumiał wreszcie major. - To w takim razie jutro albo w poniedziałek się go przesłucha i mamy sprawę z głowy. Wsadzimy go na trzy miesiące, bo prokurator bez problemów da sankcję. I można to wszystko połączyć na razie z tym zabitym w pociągu, bo to w tej sprawie tu byłeś, nie?

- Prawda, tam zabity kolejarz, a tu strzelający kolejarz.

To się układa w całość - ucieszył się Olkiewicz.

Marcinkowski wiedział, że nic się na razie nie układa, ale ta strzelanina to był szczęśliwy przypadek. Nic lepszego na samym początku śledztwa w sprawie rzeźnika z pociągu nie mogło mu się trafić. Mieli na głowie zabójstwo w wagonie i jakiegoś kretyna, który strzelał do milicjantów. Co najważniejsze, Teofilowi udało się kogoś zatrzymać. Więc na razie te dwie sprawy można było połączyć w jedną i dzięki temu już na samym początku był wynik. Trochę naciągany, ale co z tego. Najważniejsze, że nikt z góry nie będzie się bawił w jakieś szczegóły. Skoro mieli zatrzymanego, a

do tego jeszcze z pistoletem, można było spokojnie zabrać się do wyjaśniania wszystkich niewiadomych. Elementy tej układanki mogły wcale do siebie nie pasować. Ale żeby to ustalić, potrzebne było spokojne śledztwo. Spokoju nigdy zaś nie mieli, jeśli na ręce patrzył im ktoś z aparatu partyjnego, kto natychmiast żądał wyników. A tu proszę, nie minęło parę godzin i jest wynik. I to jeszcze jaki.

- No dobra, Teofil. - Major spojrział uważnie na swojego podwładnego. - Skoro wszystko tak ładnie się poukładało, to mogę spokojnie pojechać do chaty, nie? Poradzisz sobie tu jakoś na miejscu. Zresztą jak na razie świetnie sobie radziłeś.

- No pewno, że se poradzę - odpowiedział dumny jak paw Olkiewicz. - Przypilnuję wszystkiego i jutro weznę się za przesłuchanie tego kolejjarza.

- Spokojnie, bez nerwów - powstrzymał go Marcinkowski. - Jutro jest niedziela, odpocznij, przemyśl wszystko, a w poniedziałek weźmiemy go w obroty.

- Racja, kierowniku - ucieszył się Olkiewicz i z radości klepnął się w udo. - No to co, może po małym? Bo tu mają parę ładnych butelek, widziałem je w kuchni.

Marcinkowski zmarszczył nos. Chętnie by coś wypił, ale z drugiej strony pomyślał, że głupio tak chuchać alkoholowym smrodem małemu Filipowi. Szybko więc podjął decyzję:

- Teofil, dziabnij sobie na zdrowie, ale ja dzięki. Chcę jeszcze pogadać z synem.

Klepnął chorążego w ramię i wyszedł z pokoju szczęśliwy, że może spokojnie wrócić do domu, bo udało mu się na kogoś przerzucić odpowiedzialność za początek śledztwa.

Coś jest z nim nie tak, szkoda chłopca. Kiedyś by nie odmówił. Kiedyś to był gość, a teraz to już ani ćwierć gościa.

Wszystkiemu winne baby, że się chłopcy marnują, pomyślał chorąży Olkiewicz i poszedł do kuchni przyrzeć się z bliska zawartości kredensu.

- Obywatelu chorąży - od drzwi wejściowych w głębi korytarza szedł ku niemu zomowiec, który miał przeszukać wszystkie mieszkania w kamienicy i przyprowadzić rudą dziewczynę.

- A co tam? - Olkiewicz odwrócił się zły, że zawracają mu głowę.

- Melduję, że nigdzie jej nie ma.

- Kogo?

- No tej dziewczuchy, co jej nie było, bo uciekła.

- Aha - przypomniał sobie chorąży i machnął ręką zniecierpliwiony. - Najważniejsze, że mamy tego jej fagasa.

- No! - ucieszył się szeregowy. - Znaczy się już jej nie szukać?

- A chuj jej w dupę! - warknął Olkiewicz i zaśmiał się głośno, rozbawiony swym przypadkowym żartem. Śmiał się jeszcze, gdy zniknął w drzwiach kuchni, a szeregowy pozostawiony sam sobie na korytarzu nie bardzo mógł zrozumieć, o co chodzi.

Ci oficerowie to jednak niezłe debile są, pomyślał, potem splunął na podłogę i wyszedł z mieszkania.

Godzina 20.50

Jeśliby zapytać jakiegoś starego poznaniaka, w jaki sposób dotrzeć do ronda Kopernika, zapytany mógłby mieć problemy z udzieleniem prawidłowej odpowiedzi, natomiast jak dojść do Kaponiery, wiedział każdy. Nie każdy jednak zdawał sobie sprawę, że Kaponiera i rondo Kopernika to jedno i to samo miejsce. Nazwa kaponiera pochodziła od dawnych pruskich magazynów amunicyjnych, które

Niemcy zbudowali pod ziemią w rejonie Poznania dziś stanowiącym ściśle centrum miasta. Część starych korytarzy wykorzystano w latach sześćdziesiątych i włączono je w system przejść podziemnych pod powstającym w centrum ogromnym rondem. Poświęcono je Kopernikowi, jednak nazwa, mimo całego szacunku poznaniaków dla astronoma, jakoś się nie przyjęła. Stara pruska kaponiera zdecydowanie wygrała z Kopernikiem.

W przejściu podziemnym pod Kaponierą o tej porze było prawie zupełnie pusto. Wszystkie małe sklepiki, kioski i bufety z zapiekankami były już dawno pozamykane.

Gdzieś tam ludzie przemykali z jednego przystanku na drugi, szli ci wracający z miasta do domów na Jeźycach albo tacy, którzy postanowili dziś wybrać się na wieczorny seans do kina Bałtyk. O dwudziestą pierwszą grano tu ostatni film, nic więc dziwnego, że tę właśnie porę upodobali sobie młodzi poznańscy randkowicze. Wśród studentów i licealistów seanse wieczorne cieszyły się dużą popularnością, niezależnie od repertuaru. W soboty i w niedziele wieczorem chodziło się przecież do kina, a nie na film.

Ruda dziewczyna w zielonym płaszczyku wbiegła pod Kaponierę wejściem od strony dworca PKP. Na dole niemal wpadła na patrol dwóch zomowców. Stała przed nimi wystraszona, ale ci roześmiali się głośno, widząc zmieszana minę dziewczyny.

- Gdzie się tak spieszysz? - zagadnął wyższy, starszy szeregowy.

- Do kina - wyjaśniła, spoglądając na nich wielkimi oczyma.

- Może pójdziemy razem? - zaproponował drugi, niższy.

- Następnym razem - odparła już nieco uspokojona. - Jestem już umówiona, chłopaki.

To ich zbiło z tropu. Wszyscy zatrzymywani przez nich ludzie zwracali się do nich tonem, w którym wyczuwało się mieszaninę strachu i szacunku z przewagą tego pierwszego, na pewno zaś z dystansem. Mówili „panie władzo”, „panie milicjancie”, „obywatelu milicjancie”, a ta ruda odezwała się do nich jak do zwykłych chłopaków z podwórka. Co więcej, szybko wyminęła zaskoczonych funkcjonariuszy i pobiegła w stronę Bałtyku, pozostawiając ich na środku przejścia.

- Kurde, Zdzisiek, zwiła. Może by ją wylegitymować i spisać?

- E tam - machnął ręką starszy szeregowy. - Zaraz se spisemy kogoś innego. A ta niech se leci.

Przecież widzisz, że to nie żaden antysocjalistyczny element, tylko fajowa laseczka.

- Szkoda, chętnie bym ją bliżej poznał. Jakbyśmy ją spisali, to przynajmniej miałbym jej adres i po służbie mógłbym ją namierzyć. Widziałeś, jak na mnie patrzyła? Mówię ci, chłopie, mam u niej duże szanse - przekonywał swojego dowódcę niższy z funkcjonariuszy. Spojrzał rozmarzony w ślad za dziewczyną, ale już jej nie było widać.

Gdy zniknęła za zakrętem korytarza, obejrzała się za siebie. Dwaj zomowcy stali nadal w miejscu, w którym ich zostawiła, ale widać było, że nie zamierzają iść za nią.

Odetchnęła z ulgą i przyspieszyła kroku. Dwadzieścia metrów dalej na marmurowej ścianie po prawej stronie korytarza zainstalowany był aparat telefoniczny. Z torebki wygrzebała notes, by odszukać w nim numer telefonu. Na szczęście miała kilka żetonów, a aparat działał. Po chwili w słuchawce odezwał się męski głos.

- Dzień dobry, mówi Marlina.

- Cześć, Mała, co słychać? Wszystko w porządku?

- Nic nie jest w porządku.

- Mów.

- Milicja wpadła na Strusia, tam gdzie mieliśmy czekać, była strzelanina. Korbol uciekł i

zastrzelił dwóch szkiełków.

Sam jest ranny.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem, wybiegł z kamienicy, ja zaraz za nim, ale kazał mi uciekać do domu, a on gdzieś przepadł. Był ranny w rękę i chyba w brzuch, wyglądał fatalnie, ale nie chciał, żebym mu pomogła...

- A ci milicjanci, widziałaś, że nie żyją?

- A co miałam nie widzieć, jeden leżał zastrzelony w korytarzu, a drugi z przestrzeloną głową w bramie. Musiałam nad nim przejść...

- Dobra, idź teraz do domu, odpocznij. Przyjadę do ciebie, jak tylko będę mógł. Pogadamy. Aha, nie widział cię ktoś tam na miejscu?

- Czy ja wiem, chyba tylko taki jeden mały gruby w cywilu, jak wszedł do pokoju, zanim go Korbol nie trzasnął w łeb.

- Rozumiem. Dzielna z ciebie dziewczynka, Mała. Trzymasz fason. Nieźle.

- Co się tu, do cholery, dzieje?

- Nic się nie przejmuj, Mała. Trzeba będzie szybko posprzątać.

- Co?

- Zobaczymy się później.

Połączenie zostało przerwane. Odwiesiła słuchawkę i oparła czoło o zimny metalowy korpus aparatu. Dopiero teraz nerwy puściły. Do tej chwili działała jak automat.

Nie analizowała sytuacji. Udało jej się wyjść ze strzelaniny cało i wiedziała, że zgodnie z dyspozycją Korbola ma zawiadomić o wszystkim ich wspólnego znajomego. Facet miał być pod telefonem około dwudziestej pierwszej. Zadzwoiła trochę przed czasem, ale na szczęście odebrał.

Wyrzuciła wszystko z siebie i nieco jej ulżyło. Ale nerwy napięte dotąd do granic możliwości wreszcie puściły. Zaczęła płakać, jednak ta chwila słabości trwała zaledwie kilka sekund. Szybko się opanowała, wytarła oczy jedwabną chusteczką, rozejrzała się wokół, a potem szybko pobiegła w stronę schodów prowadzących do kina i do Jowity.

Godzina 21.15

Szarość wieczoru spływającą nad ogromne blokowisko dzielnicy Rataje rozświetlały setki żółtopomarańczowych świateł pobłyskujących z kwadratowych okien przysadzistych budynków. Mimo to na osiedlowych uliczkach było ciemno - latarnie poustawiano tu w kilkunastometrowych odstępach, ale paliły się jedynie niektóre.

W ramach oszczędności energii elektrycznej administracja osiedla tylko nieliczne wyposażyła w żarówki. Ważne, że coś tam było widać, w końcu to nie Las Vegas, ale Poznań, i na dodatek peryferyjna dzielnica - rozumowali odpowiedzialni za światło urzędnicy.

Major Alfred Marcinkowski podjechał pod swój dziesięciopiętrowy blok i wyłączył silnik poloneza. Czerwone kontrolki podświetlające tablice rozdzielczą zgasły i w samochodzie zrobiło się ciemno. Marcinkowski pochylił się i spod siedzenia wydobył rozkładaną aluminiową blokadę. Założył ją na kierownicę, po czym przekręcił kluczyk w niewielkim zamku. Blokada nie była żadnym stuprocentowym zabezpieczeniem dla sprawnego złodzieja, ale dla młodocianego chuligana, który chciał się tylko dla zabawy przejechać „wypożyczonym”, mogła stanowić barierę nie do przebycia. Fred zawsze zakładał ją na noc.

Wolał wierzyć, że zrobił wszystko co możliwe, by nie ułatwiać potencjalnemu złodziejowi życia.

Sprawdził jeszcze, czy drzwi od strony pasażera są zamknięte od środka, gdy nagle stanął mu przed oczami obraz z ubikacji berlińskiego pociągu: uduszony zsiniały kolejarz i krew, która pokryła całą podłogę.

Kto, do cholery, morduje w ten sposób?, zapytał sam siebie. Wystarczyło przecież zwyczajnie pchnąć kolejarza nożem, a efekt byłby ten sam... Ale wtedy nie byłoby takiego przedstawienia, natychmiast sobie wyjaśnił. Ten facet, który zarznął kolejarza, chciał w ten sposób komuś coś powiedzieć. Tak, analizował dalej major, to uduszenie i obcięcie ręki to najwyraźniej jakiś przekaz, przesłanie, które ma trafić do konkretnego odbiorcy. Tylko co, do licha, może ono oznaczać?

Wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił. Dym szybko wypełnił całe wnętrze auta, więc chwycił za klamkę i opuścił szybę w dół.

Ci ruscy, o których opowiadał Olkiewicz, podczas wojny w dwudziestym roku mogli najzwyczajniej w świecie rozstrzelać albo powiesić naszych żołnierzy. Jednak zrobili inaczej. Poobcinali im ręce. Chcieli przekazać w ten sposób Polakom, że walczą z białymi panami, którzy według nich nosili na rękach rękawiczki, więc oni te rękawiczki im zdjęli. To był wyraźny przekaz dla innych naszych żołnierzy... Mówili w ten sposób: uważajcie, was też to czeka, boście polskie pany.

Wyobraził sobie jakąś niewyraźną postać w ruskim wojskowym szynelu pochylającą się nad kolejarzem w brudnej zakrwawionej ubikacji.

Ty też chciałeś powiedzieć komuś „uważaj!”, tylko na co i dlaczego? To morderstwo to wyraźne ostrzeżenie, które ma wymusić jakieś działanie. Jakie?

- Tego trzeba się dowiedzieć - powiedział głośno i wyrzucił niedopalonego papierosa przez okno. Nie gasił niedopałków w samochodowej popielniczce, żeby nie śmierdziało w aucie.

Poczuł, że znów zaczyna go coś dusić w piersiach. Tym razem nie czekał, szybko otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Oparł się o dach poloneza i głęboko wciągnął powietrze. Przeszło. I w tym momencie przypomniał sobie, że już kiedyś coś podobnego przeżył. Miał wtedy chyba dziesięć lat. Był z rodzicami na wakacjach gdzieś na Pojezierzu Wałeckim. Nie umiał jeszcze zbyt dobrze pływać, gdy skakał z drewnianego pomostu do wody.

Robił to w miejscu, w którym bez problemów znajdował stopami dno. W pewnym momencie skoczył i jak zwykle chciał się odbić od piasku, który powinien być tuż-tuż.

Pod wodą z przerażeniem zauważył, że dna nie ma, a on opada w dół. Zaczął rozpaczliwie młócić wodę rękoma, ale to nic nie dawało, chciał więc krzyknąć, wołać pomocy, i w tym momencie dopadło go to okropne duszenie w piersi. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno... I wtedy poczuł silny uścisk czyjejs ręki, która pochwyciła go za kark i mocno pociągnęła w górę. Gdy się ocknął, leżał na pomoście. Ojciec pochylał się nad nim i coś mówił.

Zobaczył mamę, która klęczała przy nim i płakała. Ból duszący go jeszcze przed chwilą zniknął tak nagle, jak się pojawił. Poczuł, że może oddychać pełną piersią. Wciągnął powietrze i zwymiotował.

Teraz też ból ustał. Za to powrócił obraz z pociągu, zakrwawiona podłoga i posiniała twarz kolejarza, który rozpaczliwie próbował pochwycić łyk powietrza, zanim zamknęła się nad nim ciemność, a w górze pochylająca się postać mordercy.

- Złapię cię, gnoju - powiedział po cichu do siebie major Marcinkowski, po czym ruszył w kierunku swojego bloku, zapomniawszy sprawdzić, czy wszystkie drzwi od poloneza są zamknięte. Nigdy wcześniej coś takiego mu się nie zdarzyło.

Rozdział IV

Niedziela, godzina 9.15

Ostry słoneczny promień przedarł się poprzez szparę między dwiema zasłonami i wtargnął do pokoju wprost na twarz śpiącego na leżance mężczyzny. Ten potarł zaspane oczy i przesunął się nieco bliżej ściany, gdzie światło już nie raziło. Podrapał się po rudej czuprynie, a potem ostrożnie uniósł na łokciu. To, co zobaczył wokół siebie, nie za bardzo mu się spodobało - nie miał pojęcia, gdzie jest. Pokój, w którym się obudził, nie znajdował się w jego własnym mieszkaniu. Co gorsza, nie należał też do jego dziewczyny, która od tygodnia nie była już jego dziewczyną. Był to zupełnie nieznanemu mu pokój, w którym stała obca leżanka, obca szafa na ubranie i zupełnie obcy kwiat na niewielkim stolyczku pod ścianą. Wszystkie te elementy wystroju wnętrza mówiły mu wyraźnie, że jest gdzieś, gdzie nigdy dotąd nie był. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, skąd się tu wziął. Najpierw jednak sprawdził czas.

Spojrzał na przegub lewej ręki. Japoński zegarek elektroniczny z siedmioma melodyjkami, na srebrnej bransoletce, był na miejscu, więc na pewno nie został okradziony.

Bo gdyby ktoś próbował go oskubać, zegarek zniknąłby pierwszy. Wyświetlacz pokazywał wyraźnie godzinę 9.15.

Jasno za oknem, więc na pewno był to poranek. Powinna być niedziela i dlatego nie było powodów do niepokoju, bo na pewno nie zasnął do pracy. Na wszelki wypadek przycisnął jeszcze wystający metalowy przycisk i wyświetlacz pokazał datę 9 marca.

Ustaliłem datę i godzinę, teraz trzeba byłoby zastanowić się nad tym, co wydarzyło się wczoraj i gdzie, do cholery, jestem, pomyślał porucznik Brodziak. Pamiętał, że po pracy chciał kupić kwiaty i pójść do Marzeny, swojej dziewczyny, z którą wcześniej się pokłócił. To znaczy, on właściwie nic nie mówił, a tylko ona się darła. Krzyczała, że ma już dość jego nachlanej gęby i ma się od niej wynosić. A potem wywalila go za drzwi i zamknęła je na klucz.

Zupełnie niepotrzebnie to zrobiła, bo on przecież swoją godność ma i jak mu kto każe iść w cholere, to idzie, i już, i włączyć na siłę nie będzie, bo i po co. Nie bardzo tylko wiedział, dlaczego tak się zawzięła. W końcu wcale nie wypił tego dnia więcej niż zwykle. Ot, jakieś małe dwie połówki w ciągu dnia z Teosiem Olkiewiczem obrócili i nawet nie był specjalnie upity. A w nią wręcz diabeł wstąpił, tak jakby go pierwszy raz zobaczyła w takim stanie. Dał się więc spokojnie wyprowadzić na korytarz, a po chwili w ślad za nim poleciała jego zupełnie nowa brązowa NRD-owska torba ze sztucznej skóry, wypchana ciuchami.

Z godnością opuścił z nią kamienicę przy Żydowskiej. Po wyjściu z bramy przeszedł trzydzieści metrów i stanął na Starym Rynku. Nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić, najprościej było pójść usiąść w jakiejś knajpie, by zastanowić się nad sobą i wszystkim w ogóle. Poszedł więc do piwiarni na Wrocławską, bo było najbliżej. Przy trzecim kuflu nabrał przekonania, że jego noga nigdy już nie

postanie w mieszkaniu Marzeny.

Ósmego marca złość mu już przeszła i postanowił, że wybierze się do dziewczyny z kwiatami. Ale w pracy wypili trochę z paniami z kadr, później zrobili flaszkę z Olkiewiczem, gdy Fred Marcinkowski pojechał do domu, a na koniec wstąpił jeszcze Pod Pały na Lampego, by przemyśleć wszystko po raz kolejny. No i przy stoliku w Konsumach doszedł do wniosku, że jeśli znów pojawi się u Marzeny pijany, to nawet kwiaty mu nie pomogą, więc nie było co się wygłupiać i prosić ją o przebaczenie.

Zresztą, jakie tam przebaczenie. Co ona mu miała przebaczać. Przecież знаła go nie od dziś i wiedziała dobrze, gdzie pracuje. A w jego zawodzie piło się sporo. Więc po jaką cholere ten cyrk z wywalaniem go z domu, zastanawiał się, szukając jednocześnie usprawiedliwienia przed samym sobą. W końcu nie zrobił nic, za co trzeba by go było karać. Zdecydował, że będzie twardy i nie będzie się prosił. Pokrzepiony wódką i silnym postanowieniem zamówił kolejną setkę. Gdy wypił, do restauracji wszedł Gruby Rychu.

No właśnie, pomyślał uradowany Mirek, wczoraj piłem z Rychem, a później już nic nie pamiętam. Rychu musiał się nim zająć. Kto jak kto, ale ten stary kumpel nie zostawiłby go na pastwę losu. Na pewno zabrał go do swojego mieszkania. Spojrzał na przeciwległą ścianę i zobaczył wiszący na niej obraz w starych rzeźbionych ramach.

Na czarnym koniu siedział facet w czerwonych portkach i wysokiej rogatej czapce.

Ułan, kurde!, ucieszył się Brodziak, bo wiedział, że w salonie u Rycha nad telewizorem wisiał wielki obraz z ułanami, z którego właściciel był bardzo dumny. Podobno kilku takich jeźdźców dostał w rozliczeniu za jakiś dolarowy dług. Mówił mu nawet, że malował ich jakiś znany polski malarz, ale Mirek nie bardzo pamiętał jego nazwisko.

Zaczynało się chyba na K, Kociak czy jakoś tak. Ale nieważne, jak się nazywa malarz. Ważne, że to obrazy Rycha, pomyślał i zerwał się z leżanki. Zbyt gwałtownie to zrobił.

W głowie mu się zakręciło, więc musiał przez chwilę stanąć przy ścianie, by złapać równowagę.

Podszedł do drzwi, uchylił je ostrożnie i wyjrzał na korytarz. Poczł smakowity zapach jajeczniczy na kielbasie dochodzący z kuchni. Gdzieś z głębi mieszkania płynęła muzyka. Pink Floyd, Dark side of the moon, rozpoznał natychmiast album, i to ostatecznie przekonało go, że jest w mieszkaniu swojego kolegi. Rychu miał wszystkie płyty Floydów, a Mirek, który nie bardzo mógł sobie pozwolić na tak ekskluzywne zakupy, przegrał je sobie dawno na kasety.

Poszedł śmiało w stronę kuchni, nie przejmując się tym, że jest w samych gaciach.

- Jak tam zdrówko? - zapytał uśmiechnięty gospodarz na jego widok.

- Łe tam - Mirek machnął ręką i usiadł przy stole przykrytym ceratowym obrusem. Po chwili stanął przed nim talerz wypełniony dymiącą i pachnącą apetycznie jajecznicą.

- Nie ma to jak jajka na kaca - wyjaśnił Rychu, sadowiąc się naprzeciw. - Jedz szybko, bo mamy sprawę na mieście.

- My? - zdziwił się Brodziak.

- Dokładnie - potwierdził Rychu i wpakował sobie ogromną porcję jajeczniczy do ust. Gdy zjadł wszystko, wyjaśnił:

- Nic nie bój, Miruś, nic żeś nie nawywijał. Wczoraj zabrałem cię jak niemowlę z Konsumów. A sprawa innego jest rodzaju, nic prywatnego. Chciałem ci tylko zrobić mały prezent w postaci jednego skurwiela. A jak się dowiesz, co to za kutas, to ci szczena opadnie.

- Ty to ale masz pomysły - jęknął milicjant, grzebiąc widelcem w jajeczniczy, która najwyraźniej

nie przypadła mu do gustu. Był co prawda głodny, ale po pierwszym kęsie zrobiło mu się niedobrze. - Chcesz mi wystawić jakiegoś klienta, i to na dodatek w niedzielę. Nie mogłeś poczekać z tym do poniedziałku?

- W poniedziałek to może już być po ptokach, chłopie.

Pan Korbol nie powinien tyle czasu biegać po mieście, bo może się jeszcze przeziębic albo nie daj Boże wpaść pod bimbę.

- A tak w ogóle to czemu chcesz mi podać na tacy tego, jak mu tam, Korbola?

- Miruś, bo to niedobry człowiek jest ten Korbol. A poza tym czego się nie robi dla dobra socjalistycznej ojczyzny.

Godzina 10.00

Rajmund Dutka znał na Wildzie wszystkich. Mówiono nawet o nim, że jest kierownikiem dzielnicy, bo był tu człowiekiem, który mógł załatwić, co tylko kto chciał. Znał dzielnicowych wywijasów, penerów, złodziei i paserów.

Znał też dobrze większość mieszkających tu milicjantów.

Nic więc dziwnego, że gdy okazało się, iż może mieć poważne kłopoty, wolał uprzedzić to, co mogło nadejść, i postanowił zacząć działać. Dlatego już wczoraj opowiedział o sprawie Grubemu Rychowi. Ten obiecał, że tę sprawę szybko i definitywnie wyjaśni. Rajmund był przekonany, że tak się stanie, bo w poważnych kwestiach na Rycha zawsze można było liczyć. Pozostawała jeszcze sprawa przemycających do kraju magnetowidów. Jeśli milicja zacznie sprawdzać kontakty zabitego Klemensa Brokowskiego, na pewno prędzej czy później dotrze do Rajmunda. Dlatego Rajmund musiał się jakoś zabezpieczyć. Postanowił więc, że pójdzie do swojego starego znajomego Teofila Olkiewicza, który mieszkał w sąsiedniej kamienicy. Chciał go zapytać, czy powinien sam zgłosić się na komendę i o wszystkim opowiedzieć prowadzącym śledztwo. Teofil, jako człowiek z organów, powinien znaleźć najlepsze wyjście z tej trudnej sytuacji, a kto wie, czy nie wskaże mu nawet jakiegoś swojego kolegi, który mógłby się sprawą zająć, przymykając trochę oko na kwestie handlowo-przemysłowe.

Zzajany wspinaczką na drugie piętro, stanął przed pomalowanymi na zielono drzwiami mieszkania numer osiem. Mosiężna, zdobiona grawerowanym wieńcem z liści tabliczka informowała gości, że mieszkanie to należy do Teofila i Jadwigi Olkiewicz. Dzwonek był z lewej strony futryny, ale nie próbował nawet dzwonić. Wiedział dobrze, że przycisk nie uruchomi urządzenia. Jakiś czas temu Teofil dostał w prezencie od swojego szwagra piękny plastikowy dzwonek z jakąś elektroniką w środku. Szwagier, który był na wycieczce Pociągiem Przyjaźni w ZSRR, przywiózł parę drobiazgów dla rodziny. Olkiewicz dostał dzwonek, który, jak się okazało, był przeraźliwie niczym syrena w milicyjnym radiowozie. Po pierwszym dźwięku zrywała się na równe nogi cała kamienica, dlatego zdenerwowany Teofil natychmiast odłączył ten cud radzieckiej myśli technicznej od prądu, mówiąc, że syren ma dosyć w robocie i komisariatu z chaty nie będzie robić.

Ale nie wypadało już zakładać starego dzwonka, bo szwagier mógłby się obrazić, więc do drzwi trzeba było pukać, jak przed wojną. Gdy któregoś dnia zatroskany szwagier zapytał go, dlaczego dzwonek nie działa, Teofil wytłumaczył, że elektronika w środku jest bardzo czuła i używany mógłby się szybko zepsuć, więc oszczędza to zagraniczne cudo, bo wyłączone mniej się zużywa.

Rajmund zapukał dwa razy i po chwili na progu stanęła pulchna Olkiewiczowa w czerwonym stylonowym fartuchu.

- Łe, pan Rajmund! - uśmiechnęła się kobieta, zasłaniając ręką usta. Chciała w ten sposób ukryć brak prawej górnej jedyńki, która wyleciała jej wczoraj, gdy próbowała dostać się do szpiku w kości od golonki.

- Teofil, Teofil! - krzyknęła w głąb mieszkania. - Pan Rajmund jest tu do ciebie. Pan wejdzie do kuchni, ja zaraz na kawę postawię czajnik.

Przepuściła go w wejściu, zamknęła drzwi na łańcuch i jeszcze z przyzwyczajenia popatrzyła na korytarz przez judasza, bo diabli wiedzą, kto tam może się jeszcze kręcić.

Rajmund tymczasem zajął miejsce przy kuchennym stole.

Kuchnia należąca do Olkiewiczów przypominała większość tego rodzaju pomieszczeń w wildeckich kamienicach. Z lewej strony, zaraz przy wejściu, ustawiona była solidna metalowa kuchenka z piekarnikiem, opalana węglem. Po prawej stronie stał biały kredens z szafkami na dole, wysuwającym blatem do wyrabiania ciasta w środku i z oszkloną częścią na talerze wyżej. Tuż obok stała nowa lodówka polar, którą Olkiewicz kupił kilka miesięcy temu po znajomości w sklepie AGD w Luboniu pod Poznaniem. Kierowniczką sklepu była kuzynka jego żony i to ona załatwiła im tę chłodziarkę, normalnie dostępną tylko dla młodych małżeństw. Olkiewiczowie już dawno przestali być młodym małżeństwem, więc towar im nie przysługiwał, ale kuzynka miała swoje sposoby. Namówiła jakąś kobietę, która przyszła po robota kuchennego, by zgodziła się wziąć dla Olkiewiczów lodówkę, oczywiście za ich pieniądze, a w podziękę dostała spod lady zupełnie niedostępny robot Zelmera zamiast zwykłego przydziałowego krajowego produktu. Dzięki operatywnej szwagierce Olkiewiczowie mogli sprzedać swoją małą lodówkę szron bez zamrażalnika i na jej miejscu ustawić dużego nowoczesnego polara.

Jednakże najważniejszym meblem w kuchni był solidny, drewniany przedwojenny stół na grubych nogach, przykryty ceratowym obrusem, który zajmował miejsce pod oknem. Siedząc na krześle przy stole, Rajmund mógł spoglądać na wąskie, przypominające studnie podwórko.

Nie zdążył jednak dostrzec nic prócz przewróconego kubła na śmieci, w którym grzebał pręgowany kot, bo do kuchni wkroczył Teofil Olkiewicz. Ubrany był po domowemu w zielone dresowe spodnie na szelkach i białą podkoszulkę, na którą zdążył wciągnąć nadal niezapiętą kraciastą koszulę z flaneli. Uśmiechnięty od ucha do ucha, mocno uściśnął rękę gościa. Rajmund był w tym domu szczególnie mile widziany, bo jego przybycie zawsze zwiastowało początek jakiegoś intratnego interesu.

To on właśnie sprzedał niedawno Teofilowi nowy japoński magnetowid po niewyobrażalnie niskiej cenie. Do tego dorzucił jeszcze dwie kasety z filmami. Na jednej nagrany był Conan Barbarzyńca i Rambo II, a na drugiej Heidi z Gór Schwarzwald, bardzo ciekawy film porno, który Teofil zdążył obejrzeć już jakieś trzydzieści razy. Próbował nawet namówić na wspólne oglądanie Jadwigę, ale gdy kobieta zobaczyła, co za świństwa tam się wyrabiają, trzepnęła go w pysk i chciała wyrzucić kasetę do pieca. Na szczęście nie potrafiła jej wydobyć z odtwarzacza. Teofil ukrył taśmę i oglądał film tylko nocą, gdy żona już spała.

Teraz zamierzał poprosić Rajmunda o jakieś nowe tytuły.

Chciał wymienić tego Rambo, ale Heidi postanowił sobie zostawić.

- I co tam słychać w wielkim świecie, panie Rajmund? - Zapytał, siadając przy stole naprzeciw gościa. Poczęstował go ekstra mocnym z paczki, która leżała w pustej kryształowej popielniczce. Zapalili, a smród kiepskiego tytoniu momentalnie wypełnił kuchnię. Olkiewiczowa postawiła przed nimi szklanki z kawą. Teofil spojrzał na żonę, uśmiechnął się do niej i ruchem głowy wskazał na

kuchenny kredens.

- Taki gość, Jadwiga, że dałabyś coś mocniejszego na stolik, bo se jeszcze pan Rajmund pomyśli, żeś jest ale gościnnie. Gość w dom, masło do kredensu - zaśmiał się Olkiewicz, klepiąc się przy tym z uciechy po udzie.

- Ady sama dać chciałam - spojrzała na niego z wyrzutem i poszła do lodówki, bo u nich od niedawna trzymało się wódkę nowocześnie, w lodówce, a Teofil myślał jeszcze po staremu. Po chwili na stole stanęła butelka żytniej, dwa kieliszki i dwie butelki oranżady z zastępczymi etykietami.

Gospodarz natychmiast rozlał wódkę do kieliszków, a Jadwiga, nie chcąc przeszkadzać mężczyznom w interesach, wyjaśniła, że idzie do stołowego popatrzeć na telewizor.

- Coś masz pan takiego kluka spuszczonego? - zainteresował się Olkiewicz, widząc zafrasowaną minę gościa. Na to najlepiej chlapnąć gorzoly. - Stuknęli się pełnymi kieliszkami, po czym wypili do dna. Żaden nie sięgnął po popitkę. Rajmund spojrzał na Olkiewicza, marszcząc brwi:

- Problem jest taki, panie Teoś, że jak mi pan nie pomożesz, to nikt już chyba mnie z tej gemeli nie wyciągnie.

Znaczy się, sprawa poważna jak cholera i diabli wiedzą, co da się z tym zrobić.

Olkiewicz pochylił się bliżej Rajmunda, poklepał go po ramieniu i konfidencjonalnym tonem wyszeptał:

- Wal pan śmiało, coś pan tam nawywijał. A co da się zrobić, to się zobaczy, bo jak pan wiesz, nie da się tylko hełmu przewinać na drugą stronę.

Godzina 10.30

W barze Krakus przy Czerwonej Armii śmierdziało gotowanym mięsem, kiszoną kapustą i wódką. Nic dziwnego, w tym przybytku gastronomii uspołecznionej sprzedawano tylko jedno główne danie, gotowaną golonkę z kapustą.

Do konsumpcji była w miarę tania wódka gastronomiczna.

Prawdziwa świeża golonka stanowiła wciąż luksus. Krakus był bezsprzecznie jedynym miejscem w mieście, gdzie zamawiając to danie, miało się pewność, że mięso jest świeże. Wszystko dzięki temu, że agentem baru był Rolniczy Kombinat Produkcyjny w Buszewku, znany w całym kraju z doskonałych wyrobów mięsnych. Buszewko znajdowało się niedaleko Poznania, dlatego mięso miało do pokonania krótki dystans i nawet w upalne dni nie mogło zepsuć się po drodze. Stąd smak golonek najczęściej był taki, jak być powinien, i nawet nosy najwytrawniejszych smakoszy nie mogły doszukać się w nim oznak zepsucia, oczywiście poza momentami, w których towar zaśmierdł się z przyczyn od personelu niezależnych, tak zwanych wypadków losowych.

Dyrekcja kombinatu chciała, by poznański Krakus był prawdziwą wizytówką firmy. Dobre mięso pozostawało nadal towarem deficytowym sprzedawanym na kartki, ale tu można było niemal zawsze najeść się do syta. Towar do baru dowożono codziennie i w takich ilościach, że choć wszystkie kucharki z kierowniczką na czele pokażną część każdej dostawy sprzedawały na lewo swoim znajomym, i tak mięsa wystarczało na zaspokojenie potrzeb wiecznie głodnych klientów. Co najważniejsze, w Krakusie można się było też napić. Tyle że do dłuższej konsumpcji lokal się nie nadawał. Tu jadło się i piło na stojąco, bo miejsc do siedzenia nie było, jedynie dwa rzędy wysokich stołów bez krzeseł. To genialnie proste rozwiązanie sprawiało, że amatorzy kilku głębszych nie mieli tu czego szukać. Bo jak pić, jeśli nie ma siedzenia z oparciem ani stolika, na który spokojnie opasć by

mogła znużona głowa.

Wśród szwendających się psów śmietnik na podwórku za Krakusem cieszył się wielkim poważaniem. Wabione zapachem wieprzowych golonkowych resztek, przybiegały z Czerwonej Armii, Kantaka czy nawet z pasażu Apollo.

Psów ciągle było tu pełno, a najsprytniejsze przybłądy w ogóle nie opuszczałyby tego miejsca, gdyby nie łączy tu nie wiedzieć czemu ludzie. Dwóch takich właśnie weszło bramą od ulicy, a wielki rudy kundel, któremu wreszcie udało się dostać do ogromnej kości, musiał niechętnie zrobić miejsce w przejściu grubszemu i większemu z dwójki mężczyzn. Z gnatem w zębach cofnął się w głąb podwórza, cały czas bacznie obserwując przybyszów. Ci jednak nawet nie spojrzeli na kundla. Tuż za wybebeszonym śmierdzącym śmietnikiem skręcili w lewo i podeszli do metalowych drzwi. Gruby zastukał. Po chwili ze środka wysunęła się kobieca głowa w niegdyś białym czepku.

- O, pan Rysiu! - uśmiechnęła się kobieta i otworzyła drzwi szerzej. - Szefowej ni ma, ale jakby co, to możemy wołać, bo do chaty poszła, na górę - dodała, wskazując głową na oficynę w głębi podwórza.

- Łe tam - machnął ręką Gruby Rychu. - Szkoda fatygi, poradzimy se.

Wszedł pierwszy do kuchni. Za nim chwiejnym krokiem ruszył Mirek Brodziak, który cały czas czuł jeszcze w głowie ćmienie po wczorajszej wódce. Miał paskudnego kaca, ale postanowił trzymać się dzielnie. Od rana nic nie wypił, choć wiedział, że pięćdziesiątka na pewno rozjaśniłaby mu horyzonty. Był jednak twardy. Czekala go robota: miał zatrzymać jakiegoś gościa. Nie pamiętał wprawdzie, po co ma go zatrzymać, ale nie było potrzeby się zastanawiać. Rychu przecież powiedział, że to jakiś wredny gnojek, a Rychowi w tych kwestiach można było spokojnie zaufać.

Przeszli przez zaparowane i duszne pomieszczenie, w którym Rycha przywitały radosne uśmiechy spoconych kucharek. Na Brodziaka żadna z nich nawet nie spojrzała. Jeszcze niewielki ciemny korytarzyk i znaleźli się w chłodnym pokoiku kierowniczkii lokalu.

- Tu teraz urzędujesz? - spytał Mirek, widząc, jak jego przyjaciel bezceremonialnie rozsiada się za biurkiem.

- A, taka tam podręczna pakamera. Interesy da się robić wszędzie, byle tylko za kołnierz nie kapalo. A tu co najwyżej pot splywa po gaciach. Ale wysiedzieć się da, a pani Monika, szefowa, więcej w chacie siedzi niż w biurze, no to i podnajmuję od niej miejsce. Niektórych interesantów trzeba przyjmować w godnych warunkach.

- A ten Korbol to niby taki ważny interesant?

- Interesy to robię ja - zaśmiał się Rychu - a on jest od roboty, ale chyba mu się coś we łbie poprzestawiało i myśli se, że taka łachudra jak on może się zająć poważnymi sprawami, dlatego chciałem ci, Miruś, przekazać pana Korbola, by mu się trochę zmieniła optyka patrzenia na świat.

- No dobra - powiedział Brodziak, rozsiadając się wygodnie na fotelu pod ścianą. - Powiedzmy, że go zgarnę, mogę to zrobić dla ciebie i zatrzymać gnoja na cztery-osiem do wyjaśnienia, ale żeby mu się, jak mówisz, rozjaśniło pod kopułą, musiałby posiedzieć znacznie dłużej, a to bez sankcji prokuratorskiej nie przejdzie.

- A za kogo ty mnie masz, Miruś? - zadowolony z siebie Gruby Rychu spojrział na kolegę z wyrzutem. - Myślisz, że prosiłbym cię o zamknięcie jakiegoś obszczymurka tylko dlatego, że mi wlaź w paradę? Nic z tych rzeczy. Ja ci wystawiam gnoja, którego cała poznańska milicja szuka od wczoraj.

- Rychu, co ty gadasz?

- A to, że jakbyś nie pił, tobyś wiedział, że szukają faceta, co innemu facetowi obciął łapy w pociągu. No to ja ci tego obcinacza daję w prezencie, Miruś. Tak po starej znajomości ci go daję i bez żadnych dodatkowych warunków. Aresztuj go sobie, zapuszkuj i może jakiś awans dostaniesz. A jak dostaniesz, to se flaszczykę wypijemy, ale na twój koszt.

- Cała milicja szuka, a ty go masz?

- Ja nie mam, ale za chwilę ty będziesz go mieć. Ma się tu za chwilę stawić na spotkanie ze mną, więc będziesz go sobie mógł zabrać jak swojego.

Porucznik Brodziak spojrział przez zakratowane okno na obskurne podwórze. Poczuł, że zaczyna dopadać go kac z opóźnionym zapłonem. Gdy obudził się rano, musiał być jeszcze lekko zawiany, więc czuł się całkiem nieźle. Teraz przetarł ręką spocone czoło. Nagle zrobiło mu się duszno, więc wstał z miejsca i podszedł do okna. Otworzył je, by wpuścić trochę świeżego powietrza, ale zamiast ożywczego powiewu buchnął mu prosto w twarz gęsty smród śmietnikowy. Zamknął okno z trzaskiem. Na zewnątrz rudy kundel ukrył się za leżącym na ziemi kubłem. Nie uciekł tym razem w głąb podwórka, bo nadchodzący szybko od ulicy człowiek nie wydał mu się wcale groźny.

Godzina 10.35

Marian Franczak wyszedł ze składu narzędziowego na stacji w Kluczborku z długim młotkiem w ręce. Trzonek miał prawie metr długości, ale sam młotek był zupełnie niewielki, trochę tylko większy od tego, jaki Marian w domu używał do wbijania gwoździ w ścianę. Ten na dużym trzonku był młotkiem specjalnym. To właśnie za jego pomocą badało się stan kół i osi pociągów przejeżdżających przez Kluczbork, stacji na tyle ważnej, że zatrzymywały się tu jadące na Śląsk i z powrotem pociągi pospieszne, nie mówiąc już oczywiście o osobowych.

Wszystkie trzeba było sprawdzić, zanim ruszą w dalszą trasę.

Stanął przy pierwszym wagonie i z rozmachem uderzył w koło. Tak robił zawsze. Pierwsze uderzenie dla sportu i dla rozruszania mięśni, następne, lżejsze, będą dla roboty.

Szybko posuwał się wzdłuż pustych wagonów, sumiennie jednak przeglądając cały skład. Był już mniej więcej w środku pociągu, gdy nagle zauważył coś dziwnego w budce strażniczej przyczepionej do tyłu jednego z wagonów. Kiedyś takie budki miały ostatnie wagony składów o szczególnym znaczeniu, jeździli w nich uzbrojeni strażnicy. Teraz strażnicy nie byli już potrzebni, bo kto by tam pilnował pociągów z węglem, ale budki pozostały jeszcze przy starszych wagonach. Nikomu nie opłacało się ich demontować i tak jeździły po Polsce, przypominając ludziom, że dawniej nawet zwykły skład węgla mógł mieć specjalne znaczenie.

Fronczak przeszedłby obojętnie obok tego wagonu, gdyby nie metalowe stopnie schodów. Na pierwszym, tym najbliższym stalowych kół, zauważył jakąś plamę.

Niby plam pełno było w każdym miejscu, ale ta wydała mu się jakaś niecodzienna. Była brązowa i wyglądała jak zaschnięta krew. Spojrział wyżej i na czwartym stopniu dostrzegł kolejną plamę. Niewiele się namyślając, wskoczył na stopień i wtedy zobaczył kolejarski czarny but, który tkwił w drzwiach, swym zaokrąglonym czubkiem wskazując niebo.

Właściciel buta siedział na wartowniczej ławce. Kolejarz, ale nieznamy. W dodatku tak bezczelnie patrzył się na Mariana, jakby chciał powiedzieć, że ma się stąd wynosić i dać mu spokój. Marian nawet zdenerwował się i chciał coś mu już nagadać, żeby go nie wkurzał, że napaskudził czymś na schodach i żeby wyłaził, ale nie powiedział nic, bo facet cały czas się patrzył i nic nie mówił.

Marianowi zrobiło się zimno i po plecach przeleciały mu ciarki. Nagle pomyślał, że ten gość chyba zasnął, albo nawet i umarł. Spojrzał na jego płaszcz i zobaczył, skąd były te plamy na schodach. Bo kolejarz w budce miał cały brzuch we krwi.

Marian chciał go trącić w nogę młotkiem, ale się opamiętał, bo przecież człowiek to nie wagonowa oś stalowa, więc trzepnął go w łokieć ręką. Mężczyzna patrzył na Mariana ciągle tym samym wzrokiem, po chwili zachwiał się, przewrócił i wypadł z budki głową w dół drzwiami po przeciwnej stronie, prosto na tory. Marian zeskoczył szybko na torowisko i spojrzał pod wagon. Upewnił się, że ten tam leży i nie daje żadnych oznak życia. Wtedy ruszył biegiem w stronę dworca Kluczborck Główny.

Godzina 10.50

Olkiewiczowa siedziała przed telewizorem wpatrzona w przesuwane się przed nią kolorowe obrazki. Teraz na pierwszym nadawali właśnie jakiś film przyrodniczy, więc szczególnie miło jej było patrzeć na te piękne kolory. Bo trzeba było przyznać, pomyślała Jadwiga, delektując się widokiem, że co jak co, ale ten japoński kolorowy telewizor odbierał pięknie, a barwy były szczególnie ładne.

Nie tak jak w kolorowym rubinie, co go miała sąsiadka, ta Kasprzakowa z pierwszego. W tym ruskim telewizorze wszystko było albo za zielone, albo za żółte, a najczęściej za czerwone. Jej Teofil mówił, że musi tam być tego czerwonego najwięcej, bo to przecież komuniści ten telewizor zbudowali, tak że czego się tu dziwić. A w tym ich japończyku świat taki piękny, nie zapaprany przez czerwonych. Więc Jadwiga patrzyła na to cudo z Peweksu, co jej mąż kupił jakoś tak prawie rok temu. Mówił, że dostał gratyfikacje w dolarach za jakąś szczególnie trudną sprawę i dlatego mogą sobie teraz pozwolić na taki zagraniczny luksus. W tę gratyfikację to ona nie bardzo wierzyła, bo dobrze wiedziała, w końcu żoną milicjanta była już wiele lat, że na komendzie nikomu w walucie nie płacili, tym bardziej w amerykańskiej. Była przekonana, że te pieniądze to z jakichś lewych interesów wyciągnięte. Ale w końcu był w milicji ten jej Teofil i umiał takie interesy załatwić. Miał swój rozum, to i wiedział, jak się ustawić, żeby wyjść na swoje. A ona nie pytała, bo i po co. I tak by jej nie powiedział, bo powtarzał nieraz, że w sprawy służbowe to ona niech się nie wtrąca, bo to brudy milicyjne nie dla bab. Więc się nie wtrącała, nie wypytywała, zwłaszcza że Teofil to całkiem porządny chłop. Fakt, pijanica z niego był, ale z pensji nigdy nie pił, najwyżej za cudze, nie za swoje. Co miesiąc wszystkie pieniądze do domu przynosił razem z paskiem z płac, tak że wiedziała, ile zarobił. Ona z tych pieniędzy kupowała mu tylko papierosy i wódkę całą z kartek brała, żeby w domu było dla lepszych gości, choćby takich jak ten Rajmund, co to dopiero przyszedł.

Na zieloną gałązkę wdrapał się jakiś przezroczysty robak bez nóg. Pełził po niej zupełnie jak ślimak, pozostawiając błyszczącą smugę śluzu. Kamera dojechała bliżej i przez chwilę widać było niewyraźnie drgające wnętrza stworzenia. Olkiewiczowa z niesmakiem odwróciła wzrok od ekranu. Takich obrzydlistw to nie powinni dawać w telewizorze, bo się człowiekowi niedobrze robi, pomyślała, spoglądając kątem oka na gąsienicę. Odetchnęła z ulgą dopiero, gdy robak zniknął w dziobie pięknego czerwonego ptaka. Ptaszysko odfrunęło zaraz, trzepocząc skrzydłami, a Jadwiga klasnęła w ręce z uciechy.

- Ty se oglądaj jeszcze, a ja z Rajmundem muszę się trochę przejść - powiedział Teofil, podchodząc do szafy z ubraniami.

- W niedzielę gdzie was nosi? - spytała niezbyt przyjemnym tonem, zła, że jej się przerywa taki

ładny film.

- Na komendę skoczmy tylko sprawdzić jakieś tam pierdoły i wracamy. Muszę trochę we flepach pogrzebać.

- Ino bądź na drugą, bo dzisiaj schabowego mam na obiad - wstała z wysłużonego fotela. Podeszła do szafy i lekko odepchnęła męża:

- Co tak patrzysz jak sroka w gnot. Zaraz ci coś wybierę - powiedziała, spoglądając na rząd świeżo wyprasowanych koszul. Od razu wiedziała, że nie ma pojęcia, co na siebie założyć.

- Weź tę - podała mu pierwszą z brzegu - a krawata nie musisz chyba przy niedzieli, jak żeś w komendzie niesłużbowo.

- Racja, bez krawata pójdę, ale tego schabowego to włóż z pyrami i kapustą do piekarnika, bo coś mi się widzi, że trochę możemy zmarudzić.

- Teofil, bój się Boga, ady to niedziela. Czy my raz nie możemy jak ludzie sięść do obiadu? - zdenerwowała się Jadwiga. Cały tydzień go nie było i nawet w świąteczny dzień nie mogło być chwili spokoju. Odkąd obie córki poszły na swoje, szczególnie w niedzielę brakowało jej tego domowego gwaru. A teraz zaplanowane już we wtorek schabowe miała jeść w samotności?

- Mam jeszcze w piekarniku strucla całego. I znów tyle roboty psu się na budę ma zdać?

- Słuchaj, kobieto - wyszeptał Olkiewicz, nachylając się do jej ucha. - Mnie trzeba tego Rajmunda ratować, bo wdepnął w takie gówno, że aż strach myśleć, więc kotlet może poczekać, nie? Aha, i ani mru-mru nikomu, a już tym twoim babom z domu naszego to w szczególności, bo to tajemnica państwowa. Przecie jakby się dowiedziała która, że Rajmund ma jakiś kłopot, to zaraz by się po dzielnicy jak nic rozeszło. A ja, jak mogę najszybciej, wrócę.

Wepchnął podaną przez żonę koszulę w portki, poprawił szelki i zarzucił na ramię popielatą niedzielną marynarkę.

Ciepło było, więc nie chciał jej jeszcze zakładać. Jadwiga zmierzyła go wzrokiem i zmarszczyła surowo brwi.

- Zobaczy się, jak wyjdziemy z bramy, czy ciepło, czy jak. Jak chłodem zawieje, to się założy - wyjaśnił i by nie wdawać się w dalsze dyskusje, szybko poszedł do kuchni.

- No to migiem, panie Rajmund, skoczmy tylko na Kochanowskiego na chwilę, tam się to wszystko uściśli i zapisze, żeby nie było obciachu, i po kłopotcie.

- Myśli pan, że żadnej gemeli z tego nie będzie? - zapytał niespokojny Rajmund Lebera.

- No, coś tam będzie, to się wie jak dwa i dwa cztery.

Ale na szczęście jesteś pan ustosunkowany i znasz odpowiednią osobę, znaczy się mnie - zarechotał radośnie Olkiewicz, poklepując jednocześnie strapionego gościa po plecach. - A Teofil Olkiewicz jaki jest, taki jest, ale o swoich zadbać potrafi - dodał, robiąc przy tym dumną minę bambra po wybierkach.

Godzina 10.55

- Jak Boga kocham, panie Rychu, cholera wie, gdzie on jest.

Zniknął gdzieś jeszcze przedwczoraj. Miał przyjść się rozliczyć z utargu i nie było go na miejscu. My się liczymy w Smakoszu, bo to jest dobre miejsce, spokojne, siedzące i w ciepłe, żadna brama, tylko z kulturą, nie? Zresztą co ja będę gadać, pan sam wie najlepiej. No i ja na tego gnoja czekałem prawie do zamknięcia, a później już tak koło dziesiątej wieczór to poszedłem se do domu, bo nie przylazł. I mi się to dziwne zdało, bo on się zawsze rozliczał codziennie, tak jak było przykazane

zupełnie akuratnie. Tak żem nie mógł mu nic przygadać nawet, bo było wszystko tak jak Pan Bóg przykazał. No alem ja se pomyślał, że każdemu może raz się zdarzyć, więc wielkiego halo nie robiłem, bom se pomyślał, że to Dzień Kobiet był, może zachlał trochę, w tango poszedł, czy jak, i jak wytrzeźwieje, to wróci się nazad. A nawet jak bejmy przechlapał, no to będzie musiał przez jakiś czas pod Peweksem stać za friko i w końcu odrobi, jego to strata, nie? Co mnie do tego, ja w końcu tylko od odbierania utargu jestem - zaśmiał się lewą stroną Tunio Ząbek, sprytnie ukazując swój złoty górny ząb. Tunio ćwiczył ten szczególny, nieco wykrzywiony rodzaj uśmiechu, już ładnych parę miesięcy, i był w tym coraz lepszy. Gdy założył sobie tę trójkę, zauważył przed lustrem, że podczas uśmiechu jego górna warga jest trochę jakby nieruchoma i nie ukazuje całego złotego nabytku zdobiącego usta. Inwestycja w złoto byłaby całkiem do niczego, gdyby nikt nie mógł jej zauważyć.

Toteż Tunio zaczął pracować nad lewostronnym uśmiechem i teraz warga unosiła się jak kurtyna w Teatrze Polskim. Grymas był trochę nienaturalny, bo wykrzywiała mu się prawie pod nos, ale za to ząb widać było w całej okazałości.

- A jak jest w mieszkaniu? Może leży tam nachlany? - Zapytał Rychu.

- Jak mi ten portier nasz ze Smakosza pan Eda zameldował, że ta łachudra jest poszukiwana przez szanownego pana, to ja zaraz w try miga pogałem na plac Młodej Gwardii, bo to przecież niedaleko. On tam podnajmuje w jednym porządnym mieszkaniu pokój u takiej jednej starszej kobity. No to żem myślał, że sprawa będzie łatwa i tylko się go obudzi, bo pewnie poszedł leżeć nachlany od wczorajszego Dnia Kobiet. Ale ta kobita mi powiedziała, że onego wcale w domu nie było i w ogóle go nie było już dobrych kilka dni. No tom se pomyślał, że to znaczy się jakaś sprawa trudna będzie z tego. Ale jak go nie ma, to ja go przecież nie wyciągnę z gemeli. Więc musiałem przyjść panu powiedzieć, że moje poszukiwania, choć zakrojone na szeroką skalę, są nadaremne, a tego gnojka ani słychu, ani widu nawet ni ma. I jedno, com się dowiedział zupełnie przypadkiem od tego Froncka, tego bulaja z krzywą kwintą, co robi w przemyśle tytoniowym...

- W przemyśle tytoniowym? - zdziwił się milczący dotąd Brodziak, który siedział na fotelu.

- Znaczy się ćmiki na sztuki na Łazarzu sprzedaje wiarze - wyjaśnił Tunio, uśmiechając się lewostronnie.

- To coś się tam wywiedział? - zniecierpliwził się Rychu.

- No tom się wywiedział tyle, że ten Froncek dzień przed Dniem Kobiet w Magnolii na dansingu spędził na zabawie w towarzystwie paru jeszcze lepszych gości z łazarskiej gemeli, bo razem opijali już święto kobiet pracujących miast i wsi Polski Ludowej. I opijali honorowo i z fasonem, bo tylko „Sowietskoje Igristoje” pili, na gorzołę im bejmów nie starczyło, więc to szampanskoje pili jak najlepsi goście. Mówił mi Froncek, że było całkiem przyzwoite towarzystwo, bo nikt nawet się nie zerzygał przez całą noc i nikt nikomu michy nie wyklepał poza drobną wiją przy szatni, jak przy wyjściu im szatniarz pomyłone kurtki chciał wcisnąć i oni chcieli szatniarzowi z numerków na kólkach za karę zrobić kolczyki. A Froncek to już nawet w swoim scyzoryku o dwunastu ostrzach grzebał i szukał korkociągu, bo se tak umyślił, że tym będzie najlepiej dziurki w uszach nawiercić...

- A co mnie, do cholery, szatniarz obchodzi z Magnolii! - warknął zdenerwowany już nie na żarty Gruby Rychu. - Nie gadaj mi tu o pierdołach, tylko mów, coś się wywiedział!

Tunio gwałtownie zamilkł przestraszony, a później powoli zaczął tłumaczyć jak komu niedorozwiniętemu:

- No przecie właśnie powiadam, w czym rzecz, no w tej Magnolii właśnie Froncek, gdy już przyjął ze cztery te ruskie specjały, zobaczył cudną rudą laskę, co wirowała na parkiecie. Mówił, że

jak anioł dylała. I ten Froncek mówił jeszcze, że przegapił swoją życiową szansę, bo takie cudziewice zdarzają się tylko we śnie, a on ją widział na własne oczy. Ino że nie mógł do niej podejść i do tańca poprosić, bo był już całkowicie bez sił witalnych, gdyż zanim te szampanskoje wychlał z kieliszka, to jeszcze wcześniej na Łazarzu na murku cztery korbolki obrócił z gwinta i teraz miał giry nieczynne.

- Gdzie jest, kurde, ten Korbol? - nie wytrzymał znowu Rychu.

- No gadam właśnie, że nawet jakby chciał ten Froncek do tej rudej podejść i do tańca ją poprosić, nawet jakby miał do tego celu szkiejty sprawne, ale w tym momencie ino mógł siedzieć i patrzeć jak szpak w dziurę i podziwiać to cudo, no i jakby chciał do niej startować, to nawet jak on jest bulaj gruby, to wołał z Korbolem nie zaczynać. Bo Korbol ją w tańcu obracał, a Froncek wiedział, nawet jak był nachlany, że z takim typem to nie ma co zadzierać, bo można zupełnie niepotrzebnie skończyć na Junikowie. A poza tym ten Korbol był przy stoliku z takimi dwoma gośćmi, co to po rusku gadali, a widać było, że też mają wrzody pod pachami. A gorzołę to chlali oni szklankami, nie kielonkami, więc twardzi byli pewnie jak ruskie czołgi.

Rychu przetarł spocone czoło kraciastą chusteczką i spojrzał wymownie na Brodziaka. Skwaszona mina milicjanta zdradzała wyraźnie, że miał przede wszystkim ochotę się napić, a nie siedzieć tu i słuchać pierdoł. Mirek zastanawiał się poważnie, czy przyjąć jakąś setkę, gdy już było jasne, że tego Rychowego Korbola nie da się dzisiaj zgarnąć. Ale po chwili w trakcie opowieści Tunia uświadomił sobie, że nagle otwierają się przed nim drzwi do kolejnego śledztwa, w którym on przez zupełny przypadek jest już o krok przed kolegami. Sprawa, jak mówił mu Rychu, dotyczyła jakiegoś morderstwa w pociągu. Wszystko wskazywało na to, że może to być robota dla jego wydziału, nie podpada pod miejską komendę, bo pociągi przyjeżdżają najczęściej spoza miasta. Miał zatem morderstwo i miał podejrzanego wskazanego przez Rycha. A skoro Rychu mówił, że to ten Korbol właśnie jest facetem z pociągu, to pewnie wiedział, co mówi. Miał w końcu swoje kontakty i swoje źródła, więc w takich sprawach można mu było wierzyć. W tej sytuacji można było śmiało zabrać się za robotę. Gdy fakty nareszcie zaczęły mu się przebijać przez zalegające w czaszce opary alkoholu, spojrzał niemal z radością na Tunia Ząbka, który cały czas stał naprzeciw biurka, na którym rozłożył się Gruby Rychu.

- Więc powiadasz pan, panie Tunio, że Korbol ostatni raz dał znak życia na parkiecie w Magnolii? - zapytał cinkciarza.

- Panie Miruś, znaczy się poruczniku kochany, dylali przez pół nocy, a co później się działo, to diabli wiedzą, bo Froncek poszedł do domu leżeć i nic już nie pamięta poza tą rudą cud-laską.

- A Froncek to dziennie tam stoi przy murku na Łazarzu? - dopytywał się jeszcze milicjant.

- No z tego żyje, znaczy się z tych ćmików, co je w Peweksie kupuje i paczki rozwiera, i po jednym sprzedaje, a prócz tego jeszcze ma pisma z gołymi dupami, takie plajboje i inne też ładne, co z Niemiec je dostaje od kogoś, ale od kogo, to już nie moja sprawa.

- No to trzeba będzie z Fronkiem pogadać - uśmiechnął się Brodziak, wstając z fotela. Poczul nagle, że wcale mu już się nie chce wódki. Chciało mu się zacząć działać, może najwyżej wypije tylko jakieś jedno piwo, żeby to ćmienie w głowie przeszło. - Bo coś mi się widzi, że się robi ciekawie - dodał, zakładając dzinsową kurtkę, która wisiała dotąd na oparciu fotela.

- Ma pan porucznik słuszną rację - uśmiechnął się Tunio. - Ta ruda może być całkiem ciekawa i nietutejsza być musi, bo Froncek wszystkie miejscowe podfruwajki zna.

A ta musi skądś być znaczy nietutejsza, bo nieznajoma.

- Tylko, Tunio, trzym gębę na kłódkę, bo sprawa gardłowa - pogroził mu palcem Rychu. - I o tym, że pan Miruś się tym obszczymurkiem zainteresował, też ani pary.

- No co pan, panie Rysiu, od dzisiaj się znamy? - obruszył się Tunio, ukazując złotą trójkę. - Ja nic nie wiem, nic nie słyszałem. Czekam na Korbola, jak się przynależy, a jak się pojawi, to raz-dwa dam znać, że jest i czy się z bejmów rozliczył.

Porucznik Brodziak spojrział przez zakratowane okno na podwórko. Rudy pies znów warował tuż przy śmietniku, warcząc cicho na małego żółtego, który z szacunkiem trzymał dystans, siedząc pod przeciwległą odrapaną ścianą. Czekał spokojnie, licząc pewnie na to, że wielki odejdzie na chwilę i wtedy uda się coś wyrwać z tej sterty cudownie śmierdzących odpadków.

Godzina 12.00

„...piąty, ostatni krótki sygnał oznacza punktualnie godzinę dwunastą”, powiedział spiker pierwszego programu Polskiego Radia. Zaraz potem rozległ się dźwięk trąbki, na której trębacz-strażak wygrywał nieporadnie hejnał z wieży mariackiej w Krakowie. Teofil Olkiewicz spojrział na swojego poliota na skórzanym, mocno już powycieranym pasku, a potem ustawił obie wskazówki na dwunastej.

Policzył pięć piknięć w radiu i wdusił niewielki przycisk.

Wskazówka sekundnika ruszyła. Zadowolony spojrział na świecący złotem cyferblat. Ten radziecki zegarek nosił już prawie piętnaście lat i za nic nie wymieniłby go na jakieś nowoczesne urządzenie. Od jakiegoś czasu bardzo modne wśród jego kolegów stały się japońskie zegarki przywożone z Zachodu. Były elektroniczne i nie miały wskazówek, tylko wyświetlacz z cyferkami. Te najlepsze miały nawet kilka różnych melodyjek zamiast budzikowego brzęczyka.

- Tak to se mogę zagrać na grzebieniu - powiedział Teofil, gdy Brodziak puścił mu jedną z melodii, w jakie wyposażony był jego nowy zegarek na srebrzystej bransolecie. - Budzik mam w domu taki, że jak se go nakręcę, to wiadomo, że się zbudzę, bo dzwoni jak głupi, aż się włosy na głowie jeżą. Jeszcze przedwojenny jest, mój tata go kupił u zegarmistrza Marciniaka na Górnej Wildzie.

A zegarek na rękę musi mieć wskazówki, żeby było widać dobrze, która jest godzina, a nie żeby się świecił jak psu jajca.

Podniósł głowę i spojrział na siedzącego po drugiej stronie biurka Rajmunda. Obaj mężczyźni parę minut temu przyszedli na komendę na Kochanowskiego. Dyżurny, widząc Olkiewicza, bez słowa uruchomił elektryczny zamek magnetyczny. Teofil machnął mu tylko ręką i weszli do obszernego holu komendy. Na ławce pod ścianą siedziało trzech młodych chłopaków i jedna dziewczyna. Obok nich stał mundurowy zomowiec, który zapewne dostał zadanie niespuszczania z nich oczu, bo czujnie im się przyglądał. Normalnie Teofil nie zwróciłby najmniejszej uwagi na zatrzymanych, których tu widywał codziennie czekających na przesłuchanie. Dziewczyna wyglądała nawet zwyczajnie, była tylko zbyt wyzywająco pomalowana i założyła na siebie nieco za dużą skórzaną kurtkę.

Za to jej koledzy byli tak niezwykli, że Teofil aż przystanął z wrażenia. Wszyscy mieli włosy przefarbowane na jakieś dziwaczne jaskrawe kolory i postawione na sztorc niczym Indianie z powieści Karola Maya, do tego jeszcze kolorowe koszulki w plamy, na nogach spodnie wojskowe moro i ciężkie traperki. Ten, który siedział najbliżej przejścia, miał na sobie wojskową lotniczą kurtkę przyozdobioną na rękawach srebrnymi pineskami. Wszyscy wyglądali tak niecodziennie, że Olkiewicz zaniemówił zdziwiony.

- Szeregowy, chodźcie no tu - powiedział, spoglądając groźnie na pilnującego ich milicjanta. Ten posłusznie podbiegł i wyprężył się przed oficerem.

- Co to za cudaki są ci? - wskazał głową na siedzących.

- Melduję, obywatelu chorąży, że to punki.

- Co?

- No punki, znaczy się tacy, co słuchają punk rocka.

- No tak, punki - powiedział Teofil ze zrozumieniem, choć w rzeczywistości nie miał zielonego pojęcia, o co w tym chodzi.

- Przyjechali na koncert w Arenie, Muzyka Młodej Generacji - dodał szeregowy.

- Aha. Ale czemu mają takie włosy jak wariaci?

- Bo punki tak se stawiają kudły na cukier.

- Na cukier? W kraju trudna sytuacja gospodarcza, a oni cukier marnują, żeby im włosy stały dęba?

- Tajes!

- No to obetnijcie im te czuby, żeby wyglądali jak ludzie, bo to to obraza boska - zaśmiał się Olkiewicz.

- Zrobi się, obywatelu chorąży, zaraz ich będziemy przesłuchiwać, a potem się obetnie.

- Ja tobym im pasem na gołą dupę przyłożył, tak żeby im te punki ze łba wyleciały.

- To mają jak w banku, obywatelu chorąży, chłopaki już czekają, żeby im trochę przylać - wyjaśnił uśmiechnięty szeregowiec z ZOMO.

Po chwili Olkiewicz i Dutka byli już w pokoju, co go Teofil dzielił z Brodziakiem i młodym Blaszkowskim, który od jakiegoś czasu asystował im w różnych sprawach. Chłopak był sympatyczny i we wszystkim chciał być pomocny, toteż Teofil nawet go lubił, choć trzymał na dystans. Młody sam był sobie winien. Teofil wcale nie miał ochoty patrzeć na niego z góry, ale Blaszkowski nie zrobił nic, żeby przełamać lody. Nie dość, że gdy już go Marcinkowski przydzielił do ich pokoju po tym, jak w czerwcu zeszłego roku jakoś tam się przysłużył w głośnej sprawie „Łowcy Głów”, on nawet nie umiał się zachować i nie postawił na wkupne żadnej flaszki.

To jeszcze w końcu można byłoby zrozumieć, zastanawiał się wtedy Teofil, bo przecież był młody i głupi, więc wcale nie musiał wiedzieć, że jakieś zasady obowiązują. Najgorsze wydarzyło się później, gdy przy jakiejś okazji postanowili z Brodziakiem otworzyć butelczynę w pokoju. Spojrzeli po sobie i w przyływie dobrego humoru postanowili nalać też młodemu. A ten niewdzięcznik powiedział im, że nie pije alkoholu na służbie. Obśmiali się wtedy obaj z niego, trochę pożartowali, że nauczył się pewnie regulaminu służby na pamięć, ale Teofil to sobie zapamiętał i postanowił trzymać go na dystans. A to znaczyło, że Blaszkowskiego nie warto było dopuszczać do pewnych służbowych tajemnic, takich choćby jak akcje na burdele czy meliny. Poczekamy, podrośnie, zmądrzeje, a wtedy się zobaczy, myślał Teofil, patrząc na chłopaka złym okiem, bo skoro niepijący jest, to musi być fałszywy.

Dzisiaj na szczęście nie musiał na niego patrzeć, bo młody spędzał wolne dni w koszarach - do kryminalnego wydziału w komendzie wojewódzkiej oddelegowany był z ZOMO na Taborowej, gdzie odbębniał służbę. Patrzeć za to musiał na Rajmunda, który siedział na krześle naprzeciwko i wyraźnie czuł się nieswojo. Ale jak normalny człowiek miał się czuć na komendzie?

- No wypuść pan powietrzez porów, panie Rajmund, bo zaraz będzie eksplozja - zaśmiał się Olkiewicz, ścisząc jednocześnie radio, w którym właśnie zaczynały się nudne informacje z kraju i

ze świata.

- Łe, panie Teoś, wszystko było tak pięknie, a tu masz ci los, raz-dwa posrało się tak, że gorzej być nie może.

- Jak to nie może? Może jeszcze przyjść do nas kapitalizm i wtedy dopiero zobaczymy, jak źle się żyje w tym zgniłym systemie. Raz się obudzimy, a tu patrz pan, w sklepach jest wszystko, czego dusza zapagnie, chrupiące bułeczki, pomarańcze i gorzoła bez kartek, jak w Peweksie. Wyobrażasz pan sobie takie życie? Aż strach pomyśleć, jak by nam wtedy źle było w tym paskudnym ustroju.

- Nie strasz pan, bo aż gęziej skórki dostałem. Kto by chciał żyć w takim cholernym kapitalizmie bez socjalistycznej równości i wolności i bez atmosfery ogólnego porozumienia. No i dlatego robiłem wszystko, by ten kapitalizm osłabić, wrzucając im te dychy do automatów z ćmikami.

Teofil spojrział uważniej na Rajmunda, podrapał się po łysiejącym czubku głowy, a później pochylił się nieco, tak jakby chciał, żeby nikt niepowołany nie usłyszał tego, co ma w tym momencie do powiedzenia:

- Chodź pan tu bliżej i słuchaj.

Rajmund posłusznie przysunął krzesło do biurka i nachylił się do milicjanta.

- O tych dziesiątkach i ćmikach to ani słowa. Bo za wywożenie monet z kraju i robieniu z nich niemieckich żetonów to można jak nic pójść do pierdla. Co innego ten mały biznesik z magnetowidami. To wyjdzie na jaw prędzej czy później, więc się tego nie ukryje. A jakby coś z monetami wypłynęło, to raczej trzeba w zaparte pójść i mówić wszystkim, że to kolejarska inicjatywa.

- Jasne jak słońce, panie Teoś - zgodził się z nim Rajmund. - Ale jak pan myślisz, co z tego wszystkiego będzie?

Wdepnąłem chyba w niezłą gemelę? Tak mi się widzi, że ktoś chciał wejść w mój interes na chama, a zabicie kolejarza to jest taki sygnał, że mam się trzymać z boku, co nie?

Chyba dobrze kombinuję, panie Teoś?

- Jak najbardziej masz pan słuszną rację. Jak dwa i dwa cztery znaczy się, a ten, co to kolejarza zabił, to onego to ja już mam w pierdлу od wczoraj. Więc się tylko gnoja przyciśnie i wszystko wyśpiewa. Ale ja se myślę, że on to tylko był od roboty, a nie od myślenia. Jemu ktoś kazał to zrobić, niby jakiś jego szef. A ten szef to jest ten, o którym żeś mi pan powiedział, czyli ten Gruby Rychu czy jak mu tam na przezwisko.

- Złapaliście już zabójcę? - z niedowierzaniem zapytał Lebera.

- Co tam złapaliśmy, sam onego chwyciłem! Kolejarza w mordę szarpanego. Na Łazarzu gośmy nakryli, w domu se siedział, a na kolei robił, więc się wszystko zgadza, bo musiał tego zabitego znać z roboty.

Rajmund z sykiem wypuścił powietrze. Olkiewicz spojrział na niego zadowolony i klepnął się w udo:

- Co, działa się szybko, nie? Ani żeś przypuszczał, że już go będziemy mieć na Kochanowskiego.

- No, nie przypuszczałem.

- Teraz najważniejsze jest znaleźć tego, co to wszystko wymyślił, żeby się dowiedzieć po co, znaczy czemu. I tu idealnie pasuje ten właśnie, jak mu tam, Gruby. No i w tej sytuacji musisz mnie go pan wystawić, to już ja se z nim pogadam. I później się zobaczy. Ale coś mi się widzi, że to wszystko w tym kierunku idzie jak nic.

- Nie wierzę, żeby Rychu był taką świnią. Znam go lata i jakby chciał ze mną wejść w interes,

toby załatwił to jakoś po ludzku - powiedział Rajmund, ale jakoś tak bez przekonania, uważnie przy tym przyglądając się Olkiewiczowi.

- Naiwny pan jesteś, panie Rajmund - parsknął Teofil. Tam, gdzie w grę wchodzi duża kasa, kończą się sentymenty. Mało pan jeszcze wiesz o życiu, choć niby taki pan oblatany facet.

Olkiewicz zaśmiał się głośno, klepnął prawą dłonią w blat stołu dla podkreślenia wagi słów, które właśnie wypowiedział, a potem sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Olkiewicz mówi - odezwał się po jakichś trzech sekundach. - Samochód jest mi potrzebny i ze dwóch mundurowych... Jak, kurde, nie ma? No to ściągnijcie kogoś z patrolu, bo ja mam pilną robotę. Trzeba jednego gościa z miasta przyskrzynić, i to w try miga, bo się jeszcze rozplynie. Jakby co, to jeszcze powiem, że to w sprawie tej strzelaniny na Strusia zdejmować będziemy klienta.

Zakończył rozmowę i spojrzął na Rajmunda wiercącego się na niewygodnym krześle.

- No a teraz tylko, panie Rajmund, zeznanko spiszemy, żebyś pan był kryty w razie czego, znaczy się, żeś pan sam się do nas zgłosił, o wszystkim szczerze opowiedział i wyraził chęć współpracy w śledztwie. Tak żeby się nikt później do pana nie dopierdział, nie?

- Jak trzeba, to trzeba - machnął ręką Dutka, który nie bardzo lubił współpracować z Milicją Obywatelską, ale cóż było robić? W końcu w tym kraju ludzie dzielili się na tych, co współpracowali, tych, co współpracują i tych, co dopiero będą współpracować. A Rajmund właśnie przeszedł do tej drugiej kategorii.

Godzina 14.30

Profesor Wilhelm Włodarek, emerytowany nauczyciel języka polskiego z Liceum im. Karola Marcinkowskiego, popularnie nazywanego Marcinkiem, ubrany w popielaty garnitur i jasnoszary prochowiec, szedł wolno ulicą. Tuż przy jego nogach uwijał się ciemnobrązowy jamnik, który psim zwyczajem obwąchiwał na chodniku wszystko, co do obwąchania się nadawało.

Włodarek mieszkał niedaleko, w kamienicy na Ratajczaka. Jak co niedziela, gdy tylko dopisywała pogoda, chodził na spacer z swoim ulubieńcem Ajaksem. Mijali Teatr Polski, szli dalej w kierunku Opery, a przed samym budynkiem, nad którym unosił się miedziany Pegaz, teraz mocno zazieleniony, bo przez lata niepolesowany, przechodzili na drugą stronę ulicy do parku. Tam zawsze mężczyzna odczepiał psu smycz, by ten mógł sobie trochę pobiegać. Teraz Ajaks się niecierpliwił, bo do parku zostało im już niewiele. Byli przed budynkiem teatru naprzeciw Smakosza, zaraz mieli minąć Okrąglak, później restaurację z dansingiem W-Z, kościół i zaraz za przejściem dla pieszych była opera. Profesor spojrzął z czułością na swojego podopiecznego, który za chwilę miał popędzić w krzaki prawie jak chart albo ogar. Zapatrzony w psa, nie zwrócił uwagi na grupkę długowłosych młodych ludzi w wymiętych i powyciąganych kurtkach i swetrach.

Trzy dziewczyny w tym towarzystwie odróżniały się od mężczyzn tylko tym, że zamiast dzinsów miały na sobie powłóczyste, również wymiętolone sukienki. Brodaty blondyn przypominający bolesciwego Chrystusa grał na gitarze i śpiewał, niemiłosiernie fałszując, piosenkę o whisky i jakiejś żonie. Pozostali hipisi kiwali się na wszystkie strony, próbując podążyć za gitarowym rytmem. Profesor, który ledwo mógł utrzymać smycz z wyrywającym się Ajaksem, nie zauważył, że wchodzi wprost na leżący na chodniku beret. Potracił go nogą i na chodnik posypały się z brzękiem monety.

- Też, dziadek, uważaj! - zawołał w jego stronę Chrystus z gitarą. - Nie widzisz, kurwa, że tu się pracuje ciężko!?

- Przepraszam - wybąkał zakłopotany nauczyciel i pochylił się, by pozbierać rozrzucone monety.

Dziewczyna w czerwonej chustce na głowie wyprzedziła go jednak. Złapała берет i szybko pozbiierała pieniądze.

Patrzyła na Włodarka niechętnie, jakby obawiając się, że mężczyzna przywłaszczy sobie zarobione przez nich grosze.

Nauczyciel spojrzał na hipisów bezradnie, bo naprawdę było mu głupio, że wlaź w ten берет, a gdy chciał naprawić wyrządzoną szkodę, oni potraktowali go jak złodzieja.

Dopiero po chwili dotarło do niego, że jego pies szczeka i szarpie nerwowo za smycz. Spojrzał na Ajaksa, który wrywał się w kierunku ulicy. Tuż przy chodniku stał zaparkowany niebieski radiowóz. Przez tę historię z беретem nawet nie zauważył, jak samochód tu podjeżdżał. Tymczasem kierowca milicyjnej nyski, wysoki blondyn z dystynkcjami sierżanta, musiał być chyba świadkiem całego zajścia. Wyszedł właśnie z samochodu, obszedł radiowóz, wszedł na chodnik i minawszy nauczyciela i szczekającego psa, szybko podszedł do młodych ludzi na ławce.

Złapał za rękę dziewczynę w czerwonej chustce i wyrwał jej берет.

- Wypierdalać stąd, gnoje, ale już! - krzyknął sierżant i więcej nie musiał już mówić. Kolorowe towarzystwo natychmiast poderwało się z ławki. W ciągu paru sekund byli już koło Okrągłaka. Sierżant zadowolony ze swojej akcji przez chwilę patrzył jeszcze za umykającymi hipisami, a potem z беретem w ręku podszedł do stojącego cały czas na chodniku nauczyciela.

- Rozzuchwalili się, skurwiele. Trzeba z nimi zrobić raz wreszcie porządek. Żeby porządnych ludzi w biały dzień na ulicy napadać. Na Żuławy by takich wysłać do roboty, toby się nauczyli szacunku dla starszych. Proszę, to берет - wcisnął go nic nierozumiejącemu profesorowi w rękę.

- Ale to nie moje - powiedział Włodarek. Milicjant jednak tego już nie usłyszał. Podbiegł błyskawicznie do radiowozu i otworzył tylne okratowane drzwi. Do samochodu od strony restauracji Smakosz podążała grupka trzech mężczyzn, dwaj cywile i jeden mundurowy. Ten w mundurze prowadził pod rękę wysokiego, dobrze zbudowanego faceta ubranego w peweksowskie dżinsy i gustowną niebieską kurtkę. Elegant miał na przegubach kajdanki.

- Dał się wziąć jak dziecko - zaśmiał się łysiejący grubasek w wymiętym szarym garniturze, klepiąc w ramię sierżanta stojącego przy otwartych drzwiach nyski. Ten trzymający aresztowanego pod rękę pomógł mu wsiąść do samochodu i zatrzasnął drzwi.

- Kotleta właśnie jadł, aleśmy mu nie dali dokończyć - chorąży Olkiewicz był przekonany, że dziś odniósł spektakularny sukces. Wczoraj aresztował sprawcę morderstwa w pociągu, kolejarza, który na dodatek strzelał do milicjantów, a dziś zatrzymał jego zleceniodawcę, niejakiego Ryszarda Grubińskiego.

Marcinkowski i Brodziak zzielenieją z zazdrości, pomyślał z satysfakcją Teofil, zapalając ekstra mocnego bez filtra. No to teraz trzeba by wziąć tego Rajmunda, pójść z nim na wódkę i przekazać mu dobrą nowinę. Niech stawia chłop flaszkę, bo tylko dzięki mnie wywinął się z tej całej sprawy - zaplanował sobie w myślach. Spojrzał jeszcze na stojących koło auta mundurowych, uśmiechnął się radośnie i wskazał głową na siedzącego w aresztanckim przedziale przestępcę.

- Zawieźcie go na komendę i niech se trochę pod całą przemyśli swoje życie. A ja jutro rano wypiszę zlecenie, bo teraz to już se pójde do chaty.

- Tak jest - sierżant zsalutował, a Teofil machnął i m na pożegnanie ręką i zaraz odwrócił się na pięcie. Ruszył w dół w stronę placu Wolności, bo przypomniał sobie, że właściwie mógłby wejść na małe piwo do baru As. Przy niedzieli powinni mieć tam butelkowego lecha. Trzeba by to sprawdzić. Na chodniku pozostał tylko emerytowany nauczyciel z psem Ajaksem i z pomiętym беретem w ręce.

Rozdział V

Poniedziałek, 10 marca, godzina 8.00

Starszy szeregowy Mariusz Blaszkowski otworzył drzwi do pokoju na drugim piętrze Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu, który od paru miesięcy zajmował wraz z podporucznikiem Brodziakiem i chorążym Olkiewiczem. Prawdę mówiąc, gospodarzami byli tu dwaj oficerowie, on był przydzielony niejako na dostawkę. Nie miał swojego biurka, a jedynie krzesło, które w zależności od tego, z kim w danym momencie pracował, dostawiał do boku biurka Brodziaka albo Olkiewicza. Młody milicjant przychodził codziennie do pracy o ósmej rano, bo taką godzinę wyznaczył mu szef zespołu major Marcinkowski, który w ubiegłym roku, zaraz po sprawie „Łowcy głów”, zaproponował mu pracę w ich wydziale. Mariusz nie zastanawiał się ani chwili. Zawsze marzył o tym, by pracować w kryminalnym, a do ZOMO poszedł tylko dlatego, że chciał dostać skierowanie do szkoły milicyjnej w Szczytnie. Blaszkowski od zawsze wiedział, że będzie pracował w milicji. Zresztą w jego rodzinie była to już tradycja. Pierwszy był dziadek, przed wojną posterunkowy w Wysokiej, małej miejscowości na pograniczu polsko-niemieckim. Po wojnie do milicji wstąpił jego ojciec, teraz przyszedł czas na Mariusza.

Nie bardzo podobała mu się ta milicja, do której przyszedł. Szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego MO stało się organizacją, której ludzie szczerze nienawidzili za to, jak jej funkcjonariusze, a zwłaszcza zomowcy, zachowywali się, broniąc zdobyczy socjalizmu. W osiemdziesiątym piątym roku Mariusz zdał maturę i stanął przed problemem dokonania wyboru. Mimo że od trzynastego grudnia minęło już sporo czasu, opinia o milicji i milicjantach nie zmieniła się znacząco. Nawet jego ojciec miał wątpliwości, czy aby na pewno powinien iść odsługiwać wojsko w ZOMO. Ale Mariusz był uparty. Przekonał ojca, tłumacząc, że im więcej porządnych ludzi zacznie tam pracę, tym rychlej milicja stanie się instytucją, która będzie pomagać, nie terroryzować. Miał nadzieję, że myślących jak on będzie więcej. Jednak w ZOMO przekonał się, że myślących w ogóle było tam bardzo niewiele. Jego kompania była prawdziwą zbieraniną przypadkowych, niedouczonej matolów i półanalfabetów, którzy spełniali się całkowicie, wykonując rozkazy dowódców, a ich ulubionymi rozrywkami prócz obowiązkowego pałowania demonstrantów było picie wódki i wieczorne opowieści o zaliczonych panienkach. Z żadnym z nich Blaszkowski nie miał nawet najmniejszej szansy porozmawiać otwarcie o swoich poglądach na temat milicji, bo nie zostałby zrozumiany albo, co gorsza, mogłyby one zostać potraktowane jak próba buntu na pokładzie. W pewnym momencie myślał już nawet o tym, by odejść z MO i dokończyć służbę w wojsku, zrezygnować z planów i zdobyć jakiś zwyczajny zawód. Na szczęście Brodziak i Marcinkowski, którzy dostrzegli w nim coś, co różniło go od całej zomowskiej hołoty, dali mu szansę pracy w wydziale kryminalnym.

Było to w czerwcu ubiegłego roku. Zaraz po unitarce, czyli początkowym trzymiesięcznym okresie służby, został skierowany ze swoją drużyną do zabezpieczania terenu, na którym znaleziono

zwłoki dziewczyny z obciętą głową. Zwrócił na siebie uwagę porucznika Brodziaka w dość nietypowy sposób: zasłabł nad brzegiem i zwymiotował, takie wrażenie zrobił na nim makabryczny widok zwłok wyciągniętych z Warty. Brodziak najpierw się wkurzył i objechał go we właściwy sobie sposób, potem poczuł litość dla nadwrażliwego chłopaka, więc kazał mu zabierać się z nadbrzeża i pomóc dzielnicowemu z Rataj w zbieraniu informacji. I to właśnie tam Blaszkowski natrafił na pierwszy ślad, który, jak się później okazało, pomógł rozwiązać całą zagadkę morderstwa. Od tego czasu asystował przy kilku poważnych sprawach wydziału i radził sobie całkiem nieźle.

Dziś od rana czekało go jakieś niezbyt pasjonujące przepisywanie zeznań. Nie palił się zbytnio do tej pracy, ale jako sumienny funkcjonariusz podchodził do swoich obowiązków bardzo poważnie, zdając sobie sprawę, że ta nudna papierkowa robota to istotna część działań kryminalnych. Zlecił mu ją w sobotę chorąży Olkiewicz. Dzisiaj podobno papiery miały trafić do prokuratury, więc trzeba się było spieszyć. Blaszkowski wygrzebał z odrapanego biurka należącego do chorążego szarą teczkę z aktami, rozłożył ją na porysowanym blacie, ale nie zabrał się od razu do roboty. Miał jeszcze przynajmniej godzinę, bo jego starsi koledzy zjawiali się w firmie dopiero po dziewiątej. Podszedł do okna, gdzie na parapecie stał porcelanowy dzbanek z grzałką w środku. Podłączył czarny kabel do gniazda, a do szklanki wsypał odrobinę czarnych wiórków herbaty madras. Po chwili woda rozgrzana metalowym prętem zabulgotała. Zalał herbatę wrzątkiem i ze szklanką w ręce podszedł do szafki stojącej przy oknie, by włączyć radio. Odbiornik taraban był na tranzystorach, więc zaskoczył błyskawicznie, jego podświetlana pomarańczowa tablica rozbliła przyjemnym światłem. Niestety odbierał tylko pierwszy program, bo od jakiegoś czasu nie działał UKF. Zadowolony był z tego jedynie Olkiewicz, który tolerował wyłącznie dwie stacje, Jedynekę i Poznań.

Blaszkowski uśmiechnął się pod nosem na myśl o muzycznych zamiłowaniach pana Teofila - lubił tylko ładne piosenki, mawiał, a wyjców, co ich słuchają młodzi, to najchętniej by ogolił na łyso i skierował do przymusowej pracy w kopalni, żeby im się odechciało tych krzyków.

Postawił szklankę na blacie biurka Olkiewicza i ściągnął popielaty plastikowy pokrowiec z maszyny do pisania. Ze zdziwieniem zauważył, że w wałek wkręcony był papier, na którym ktoś zapisał kilkanaście zdań:

...zatrzymany Filipiak Marian syn Tadeusza został zatrzymany w miejscowości Wronki przez funkcjonariuszy Miejskiego Urzędu Spraw Wewnętrznych we Wronkach w lokalu mieszkalnym spółdzielczym należącym do Kulawiec Antoniny, stanu rozwiedzionego. Powyższa obywatelka zamknęła w swoim mieszkaniu Filipiaka Mariana, a wcześniej ugodziwszy go nożem w miejsce pomiędzy plecami a udem po lewej stronie, by jak zeznała, zatrzymać skur..., bo chciał wyjść z domu z jej kolorowym telewizorem marki Rubin w celu sprzedaży. Uczynił to w momencie, gdy ona mając do niego pełne zaufanie, zostawiła go w mieszkaniu i poszła do sklepu po zakupy.

Zapomniała jednak portfela i się wróciła a Filipiak Marian stał już w korytarzu z telewizorem w rękach. Wbiegła więc do mieszkania, chwyciła za nóż i uniemożliwiła Filipiakowi Marianowi pospieszne opuszczenie lokalu, a potem go leżącego w nim zamknęła i pobięła zawiadomić funkcjonariuszy o tym, że on tam leży i krwawi.

Po przybyciu na miejsce zdarzenia funkcjonariusze z patrolu zatrzymali Filipiaka Mariana, który jak się okazało, był osobą poszukiwaną na terenie całego województwa pilskiego i poznańskiego za podobne przestępstwa.

Zatrzymano także do wyjaśnienia Kulawiec Antoninę, gdyż istniało podejrzenie zaistnienia zdarzenia napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia...

Błaszowski, przeczytawszy ten krótki tekst, natychmiast zorientował się, o co chodzi. Po stylu poznał, że autorem był niewątpliwie Teofil Olkiewicz. Wystarczyło sprawdzić dane osoby z grubej teczki, którą wcześniej położył na biurku, by nabrać pewności. Olkiewicza musiało znudzić pisanie, stąd ten niespodziewany sobotni telefon na Taborową, w którym chorąży kazał mu w poniedziałek zając się szybko przepisaniem jego odręcznych wniosków do prokuratury. Olkiewicz nie lubił i nie umiał posługiwać się maszyną. O ile jeszcze jako tako radził sobie z formułowaniem myśli na papierze, o tyle stukanie w klawiaturę było dla niego prawdziwą mordęgą. Przerzucił więc tę nielubianą przez siebie robotę na Młodego. Tym razem widać było, że to sprawa pilna, bo nie chciał nawet czekać, aż rano przyjdą panie z hali maszyn.

Mariusz odnalazł w stercie papierów z teczki odręczną notatkę Olkiewicza i szybko wziął się do pisania. Przedtem jednak musiał założyć jeszcze nową taśmę, bo stara do niczego się już nie nadawała. W ciągu kwadransa tekst dla prokuratora był już niemal gotowy. I wtedy właśnie, wcześniej niż zwykle, do pokoju wszedł porucznik Brodziak.

Widząc Błaszowskiego przy maszynie, uśmiechnął się szeroko, bo młody podwładny, który zajmuje się robotą, a nie czytaniem gazet, cieszył go niepomiernie.

- Dzień dobry, obywatelu poruczniku... - Mariusz zerwał się na równe nogi, chcąc zameldować się regulaminowo, ale Mirek machnął tylko ręką.

- Jak ci tam, Młody, idzie pisanie, skończyłeś już? - zagadnął przyjaźnie, wieszając dzinsową kurtkę na metalowym wieszaku.

- Jeszcze jakieś dziesięć minut i będzie załatwione.

- No dobra, to się spiesz, bo my tu mamy niezłą gemelę i jak przyjdzie major, musimy sobie zrobić odprawę.

- Coś poważnego? - zapytał szeregowy, mając nadzieję, że usłyszy od Brodziaka jakieś ciekawe szczegóły. Porucznik często przynosił do pokoju różne sensacje. Niektórzy mówili o nim nawet, że jest jednym z najlepiej poinformowanych ludzi w całej komendzie. Gdy zatem twierdził, że jest niezłą gemelą, oznaczało to, że stało się coś ważnego.

- Nic żeś jeszcze nie słyszał? - zdziwił się Brodziak, sadowiając się za swoim biurkiem.

- Nie.

- A Teofila jeszcze nie było?

- Jeszcze nie.

- Jak to, Młody, dwóch milicjantów rannych, w tym Grzechu Kowal od nas mało w czapę nie dostał, a ty nic nie wiesz? Wiara na komendzie o niczym innym nie gada.

Jak tu szedłem, to mnie z pięciu ludzi pytało, jak nam się udało tego kutafona chwycić.

- Tylko że ja nic nie wiem, bo mnie nie było w sobotę w robocie. Ale udawałem, że wiem, bo mi głupio było się przyznać, że zielonego pojęcia nie mam. I powiadają jeszcze, wyobraź sobie, Młody, że sprawcę złapał nasz Teoś Olkiewicz. Rozgryzł sprawę błyskawicznie.

- Jasna dupa! - wyjęczał zdziwiony szeregowy, którego aż zatkało z wrażenia. Przede wszystkim zaszokowała go informacja, że ktoś próbował strzelać do milicjantów, to było coś niewyobrażalnego. No i Grzechu Kowal, ten wielki rubaszny facet, a przy tym jeden z najbardziej doświadczonych milicjantów, który już miał za sobą akcje z bronią w ręku i prawdziwą strzelaninę... I tym razem Grzechu miał być o krok od śmierci! Błaszowski nie bardzo mógł to wszystko sobie wyobrazić.

No i poza tym nie bardzo mógł sobie wyobrazić Olkiewicza, który rozgryza sprawę, i do tego jeszcze błyskawicznie.

Godzina 8.45

Sraczkowaty polonez zjechał z mostu Dworcowego, zostawiając po lewej stronie targową wieżę przypominającą swoim kształtem kosmiczną raketę, tyle że wybudowaną tylko do połowy. Jej szpica bowiem nie miała poszycia, jedynie samą stalową konstrukcję.

Jadący polonezem major Alfred Marcinkowski nie zwrócił na ten widok najmniejszej uwagi. Był on dla niego czymś tak oczywistym, że do spojrzenia w tamtym kierunku zmusiłaby go zapewne tylko jakaś zmiana, może zasłonięcie wieży nowym budynkiem, a na to się na razie nie zanosilo. Zresztą Marcinkowski nie był w nastroju do kontemplowania powszednich widoków Poznania. Dziś rano, już piętnaście po siódmej, obudził go dzwonek telefonu. Co gorsza obudził też małego, który zaledwie dwie godziny wcześniej zasnął wreszcie zmęczony po marudnej i płaczliwej nocy. Fred i jego żona wstawali do dziecka po kilka razy i oboje byli kompletnie wyczerpani. Wydawało mu się więc, że ledwie się położył, gdy w mózg wbił mu się świdrujący dźwięk dzwonka telefonu. Zły jak diabli zwałół się z łóżka i podniósł słuchawkę, gotów zwymyślać natręta od najgorszych.

Kobieta, która zadzwoniła, chyba zdawała sobie sprawę, że telefonuje nie w porę, bo gdy tylko warknął nieuprzejme „słucham”, natychmiast załała go potokiem słów, z których wynikało jedno: pułkownik Żyto chce go widzieć o dziewiątej zero zero z ustnym raportem w sprawie strzelaniny na Strusia. Prócz niego ma się też stawić chorąży Olkiewicz.

Nie było co przeklinać i warczeć na sekretarkę pułkownika. Taka robota, pomyślał major, idąc do łazienki. Nie było się też już po co kłaść, zwłaszcza że mały Filip znowu zaczął płakać.

Teraz, jadąc na komendę w swoim ekskluzywnym polonezie w kolorze piasek pustyni, rozmyślał nad tym, co wydarzyło się w sobotę i czy aby nie wydarzyło się jeszcze coś w niedzielę, czyli wtedy, gdy najspokojniej w świecie siedział w domu z żoną. Nie, nikt nie dzwonił, nikt go nie szukał, więc nie powinno się nic nawyrabiać, analizował sytuację Marcinkowski.

Wynik wstępny jest dla pułkownika Żyto jak najbardziej do przyjęcia, bo morderstwo w pociągu ładnie połączyło im się ze strzelaniną, do tego jeszcze brawurowa akcja Olkiewicza, zakończona wsadzeniem jakiegoś faceta. Cała sprawa wydaje się mieć mocne podstawy dowodowe, czyli krew na płaszczu i najważniejszy pistolet. Oczywiście tylko w kwestii strzelaniny w burdelu na Strusia, bo sprawa kolejarza z obciętą ręką na razie nie ruszyła z miejsca i pewnie szybko nie ruszy. Dlatego Fred postanowił zbieg okoliczności, czyli fakt występowania w obu sprawach dwóch ludzi w mundurach kolejarskich, sprytnie połączyć w jedno śledztwo, które w razie rozwoju wypadków będzie można szybko rozdzielić na dwa niezależne dochodzenia.

Wiedział, że to śledztwo, które już de facto zaczął prowadzić, bo Olkiewicz nadzorujący sprawę strzelaniny był przecież członkiem jego zespołu, będzie miało priorytetowy charakter. Bo postrzelenie w centrum Poznania dwóch milicjantów mogło wyglądać na sprawę polityczną, więc na pewno wynikami śledztwa zainteresują się władze Partyjne, a może dostaną też nadzór z SB. Dziś pewnie mówi już o tym cały Poznań, informacje musiały też dotrzeć do towarzyszy z Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Szczęście w nieszczęściu, że obaj funkcjonariusze byli w dobrym stanie. Kowal jeszcze tego samego dnia wypisał się ze szpitala. W sobotę Fred, zanim pojechał do domu, postanowił zajrzeć na Lutycką do szpitala MSW.

Tam w drzwiach wpadł na niego uśmiechnięty Grzechu z obandażowaną głową. Marcinkowski chciał go cofnąć na oddział, bo znając go, mógł podejrzewać, że ten po założeniu opatrunku

zwyczajnie chciał uciec ze szpitala lecz Kowal wytłumaczył mu, że wszystko jest w najlepszym porządku i może zawieźć go do domu na Rataje. Kazał mu więc czekać w samochodzie, a sam poszedł na oddział dowiedzieć się, co z dzielnicowym. Powiedziano mu, że nie jest tragicznie, będzie operacja i ma dzwonić jutro.

Zapytał też o Kowala, a lekarz potwierdził, że ten wypisał się na własną prośbę, ale rzeczywiście nic mu nie jest, i dlatego specjalnie nie zatrzymywali go, zwłaszcza że już zaczął umawiać się z jedną pielęgniarką, a skoro ma siły na klepanie dziewczuch po tyłku, to chyba z nim nie tak źle. Zawiózł Grzecha do domu i kazał wziąć przynajmniej dwutygodniowe L-4. Wczoraj zadzwonił do szpitala z pytaniem o dzielnicowego. Okazało się, że przeszedł operację i wszystko jest na dobrej drodze.

Wyjechał z domu, mając nadzieję, że Olkiewicz będzie już na miejscu i wszystko mu dokładnie wyjaśni. Potem, gdy wyniki wstępne zostaną przekazane szefowi wydziału kryminalnego, a ten pchnie je wyżej, będą mogli zabrać się spokojnie do przeanalizowania całej sprawy. Tu potrzebny był ten ochlapus Miras Brodziak. Marcinkowski liczył, że jego podwładny i kolega będzie we w miarę dobrej formie, bo od jakiegoś czasu pił tak dużo, że chyba jednak będzie musiał z nim o tym pogadać. Postanowił, że dziś weźmie go do siebie, po kumpelsku opierniczy i powie, żeby się nad sobą zastanowił, bo czas już sporządzić. Marcinkowski nie był wrogiem alkoholu, lubił wypić i robił to często. Ostatnio jednak trochę się uspokoił, bo dziecko i żona stali się o wiele ważniejsi niż kumple i całe to gorzółowe towarzystwo, dlatego rezygnacja z alkoholu nie była dla niego jakimś szczególnym poświęceniem.

Akceptował to, że ludzie z jego zespołu nie wylewają za kołnierz. Taki Olkiewicz na przykład ciągle coś tam popijał. Można nawet o nim było powiedzieć, że pił przed pracą, w trakcie pracy i po pracy, ale raczej nie kosztem pracy, bo wszystko, co do niego należało, wykonywał jak trzeba. Inna sprawa była z Brodziakiem. Do niedawna pił jak wszyscy, codziennie, ale w normie. Jednak od pewnego czasu musiał żłopać ze dwa razy więcej, podejrzewał Fred, spotykając ciągle skacowanego i wymiętalonego, cuchnącego przez cały dzień gorzałą milicjanta.

Muszę z nim jak najszybciej pogadać jako kumpel, nie dowódca, i sprawdzić, co się dzieje z chłopakiem. Bo to naprawdę dobry glina ten Miras, podjął w myślach decyzję.

Zatrzymał auto na światłach przy moście Teatralnym.

Zamyślony, nawet nie zauważył, że jego radiomagnetofon safari 2 jakiś czas temu przestał grać. W końcu usłyszał ciszę, więc przycisnął klawisz i ze środka wyskoczyła z hałasem popielata kasetka z fioletową naklejką Stilonu Gorzów. Spojrzał na równo wypisaną pisakiem nazwę zespołu i tytuł płyty nagranej na drugiej stronie: Pink Floyd The Final Cut. Tę kasetę nagrał i opisał mu własnoręcznie Brodziak, który miał dojscie do wszystkich płyt Floydów.

Włożył ją z powrotem do magnetofonu i już po paru sekundach, w chwili gdy zapaliło się zielone światło i jego polonez powoli zaczął toczyć się w lewo w Dąbrowskiego, z małego czarnego głośniczka zainstalowanego tuż pod radiem popłynęły pierwsze dźwięki The Post War Dream.

- Wyleczę tego gnojka, choćby wbrew niemu - powiedział po cichu major Marcinkowski i zaraz potem zdziwił się, że mówi sam do siebie.

Godzina 8.50

- A kto jego tam wie, co to za jeden? Przyjeżdża taki kutas złamany węglarką do nas gdzieś z Polski i se tu umiera.

Ja, obywatelu komendancie, to na miejscu tego kolejarza, jakbym tam był, tobym go wepchnął z powrotem do tej budy i niech by se jechał nawet do Czechosłowacji samej.

A tak przez tego kretyna to my mamy kłopot. Ot, durny polezie, gdzie nie potrzeba, i jest siurpryza. Zimny trup w kolejarskim ubraniu i dupa zimna do tego.

- Wy, Wołyńczuk, niby trochę racji macie, ale tak ogó l nie toście są głupi i nie wyznajecie się na politycznych rzeczach.

- Gdzież tu polityczne sprawy? - zaśmiał się sierżant Wołyńczuk, który siedział na taborecie naprzeciw biurka zastępcy komendanta Komendy Miejskiej w Kluczborku.

Porucznik Martyniuk, pięćdziesięcioletni, siwy jak gołąb milicjant spojrział z politowaniem na swojego podwładnego i pociągnął łyk herbaty ze szklanki, nie wyciągnąwszy z niej łyżeczki. Pokiwał głową.

- Palisz papierosy, Wołyńczuk?

- Toż obywatel komendant wie, że kurzę jak komin.

- A widzisz, Wołyńczuk, a wiesz ty, dlaczego możesz te swoje radomskie kurzyć?

- No wiem, bo se na nie zarobię, a poza tym lubię.

- Głupiś, Wołyńczuk, możesz je kurzyć dzięki polityce i mądrym decyzjom i przemyślanym działaniom naszych władz politycznych i państwowych. Bo ty wiesz, że tytoń to on se niby rośnie na polu, ale ktoś go musi zebrać, wysuszyć i oddać do fabryki.

Porucznik wypił kolejny łyk herbaty i zmarszczył brwi, patrząc na Wołyńczuka, jakby chciał dodać groźnym spojrzeniem urzędowej powagi swojej wypowiedzi.

- Żebyś miał gilzę, tak samo drzewo musi wyrosnąć, ktoś je zetnie i na papier inny drugi przerobi. No i dopiero jak to wszystko razem do tej fabryki się zjedzie, jak wszystko będzie na czas zrobione i dostarczone, później złożone i popakowane, to ty dopiero możesz se na te papierosy zarobić i je nabyć drogą kupna w kiosku Ruchu.

Ale jeśliby coś tam nie zadziałało i ktoś, dajmy na to ten od drzewa, powiedziałby, że on tam u siebie robić w tych lasach na wyrębie nie chce, toby towaru na papier nie było. I co byś palił? Gówno byś palił, Wołyńczuk, skręta z kapciucha, a nie eleganckie radomskie.

Porucznik wyciągnął z szuflady paczkę klubowych, wyciągnął sobie jednego papierosa i resztę podsunął sierżantowi.

- Więc widzisz, Wołyńczuk, że to wszystko musi działać sprawnie jak budzik nakręcany i nikt se nie może powiedzieć, a niech tam martwią się inni, bo nic z tego wszystkiego nie będzie. I to jest właśnie polityka, zrobić wszystko tak w kraju naszym, żeby każdy znał swoje miejsce i wiedział, że to, co robi, musi robić dobrze, a nie na odpiardol. I dlatego, Wołyńczuk, jakby ten zastrzelony pojechał se dalej, tobyśmy nic o nim nie wiedzieli i kto inny by miał kłopot. A tak my se zaczniemy śledztwo w sprawie o morderstwo i będziemy se je prowadzić, tak jak umiemy najlepiej. A to znaczy, Wołyńczuk, że będziemy robić swoje, a nie oglądać się na kolegów, którzy też mają pełne ręce roboty. A u nas poprowadzi się śledztwo i w tej sprawie. Przymkniemy teraz wszystkie elementy podejrzane, które mogły mieć coś wspólnego z morderstwem, przesłuchamy ich, kogoś wsadzimy na czterdzieści osiem, ktoś dostanie sankcję i okaże się, że i na naszym terenie dzieją się ważne rzeczy i rośnie operacyjna sprawność funkcjonariuszy, a za tym pójdzie i w górę wykrywalność. Rozumiesz teraz, Wołyńczuk, co znaczy polityka.

- Pan komendant to tak potrafi wszystko człowiekowi przetłumaczyć, że od razu się jaśniej na umyśle robi.

- No to jak ci się już rozjaśniło, to puśćmy machinę w ruch i niech nasze patrole sprawdzą miasto i okolice, a tereny kolejowe w szczególności, w poszukiwaniu elementów przestępczych i podejrzanych w sprawie o kryptonimie, powiedzmy, niech ona się nazywa Pasażer.

- Tak jest, obywatelu komendancie, kryptonim Pasażer, zrozumiałem i wysyłam obie nyski w okolice, a na mieście patrole się rozglądać będą za podejrzаныmi.

- A, Wołyńczuk, powiedzcie mi, jak się nazywa ten, co to tego nieboszczyka w wagonie znalazł?

- Melduję, że Fronczak niejaki, Marian. On robi na kolei i sprawdza techniczne parametry wagonów. Znaczą się młotkiem wali w ośki, czy niby nadają się do jazdy dalszej.

- To on jest młotkowy! - ucieszył się porucznik.

- Tak jest, bezwzględnie młotkowy w pomarańczowej kamizelce, co chodzi przy wagonach.

- No to i tego młotkowego też, Wołyńczuk, wsadźcie na wszelki wypadek. Jak posiedzi czterdzieści osiem godzin, to se może coś przypomni. A jak se nie przypomni, to nic mu się nie stanie, że se na państwowym wikcie odpocznie troszeczkę.

Sierżant założył czapkę, zasalutował regulaminowo i już chciał prosić o pozwolenie odmeldowania, ale Martyniuk podniósł do góry rękę, jakby jeszcze coś sobie przypomniął. Wołyńczuk spojrzał na niego, czekając, aż szef zbierze myśli.

- Sprawdźcie jeszcze, skąd ten pociąg jechał i wyślijcie informacje dalekopisem do komend wojewódzkich, przez teren których przechodzi jego trasa, że znaleziono takiego a takiego zabitego, rysopis i tak coś tam jeszcze. Może się ktoś odezwie, że u nich była jakaś strzelanina i kogoś właśnie szukają. Kto wie, może to i jakiś ekstremista jest albo jak?

Sierżant Wołyńczuk zasalutował, obrócił się w miejscu w pozycji na baczność i wyszedł z pokoju. Ukłonił się pani Alince, która siedziała za wielkim biurkiem i zajmowała się przyjmowaniem telefonów do komendantów oraz parzeniem dla nich kawy. Wołyńczuk nie co dzień dostępował zaszczytu bezpośredniej rozmowy z którymś z komendantów, więc za każdym razem, gdy wchodził do sekretariatu, spoglądał na Alinkę łakomym wzrokiem. Myślał o niej często, o jej jędrnych piersiach i wielkiej kształtnej pupie, a w szczególności o nogach, szerokich łydkach ubranych w czarne rajstopy kabaretki. Cóż z tego, że myślał o niej w sposób konkretny, czyli jednoznacznie łożkowy. Mógł sobie wyobrazić, że jej piersi i umięśnione nogi przyciskają go do biurka albo choć do kaloryfera.

Wiedział jednak, że są to tylko marzenia, które nie mają możliwości się ziścić. Wprawdzie pani Alinka uśmiechała się zawsze do niego i czuł nawet, że żywiła odrobinę sympatii dla jego osoby, jednak monopol na jej wdzięki miał niestety sam komendant, kapitan Włodarek.

Piękna blondynka o rubensowskich kształtach odpowiedziała mu promiennym uśmiechem i poprawiła kokieteryjnie włosy, ale tego już sierżant nie dostrzegł, zajęty swoimi bardzo ważnymi myślami. Nie patrząc na sekretarkę, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Ten nasz porucznik to jednak jest ktoś. Od razu widać, czemu jest porucznikiem i jeszcze na dodatek zastępcą komendanta. Tak w ogóle to on kapitanem powinien być, bo łeb ma nie od parady. Jak już coś powie, to tak, że człowiekowi wszystko się jaśniejszym zdaje, myślał sierżant z podziwem o swoim przełożonym. On nawet nie powinien być zastępcą, ale samym komendantem, doszedł do wniosku Wołyńczuk, zaraz jednak pomyślał, że nie stoi za tym jego sprawiedliwy, milicyjny osąd rzetelnego funkcjonariusza, lecz odrobina zazdrości o łydki w czarnych dziurkowanych rajstopach. Bo komendant siedziałby w innym gabinecie i jego sekretarką byłaby ta sucha flądra Misiakowa, a nie Alinka. Dlatego postanowił, że dzięki żądze nie będą rządzić jego osądami, i poszedł na dół do dyżurki, by zająć się czymś konkretnym.

Dyżurnym był dziś jego serdeczny przyjaciel, sierżant sztabowy Garguła, z którym dziesięć lat temu spał przez dłuższy czas łóżko w łóżko podczas kursu podoficerskiego w Pile. Wypili wtedy ładnych parę hektolitrów wódki, więc znali się od tego momentu jak łyse konie. Nie musiał się więc w jego obecności krępować i wyjaśniać, dlaczego bierze klucze. Na dyżurce była szafka z kluczami do sześciu cel aresztu, który znajdował się przy komendzie.

Wołyńczuk wyjaśnił kumplowi, że chce pogadać po męsku z jednym takim facetem i bierze klucze do piątki. To była właśnie ta cela, w której od wczoraj siedział niejaki Fronczak Marian, kolejarz, który zawiadomił, że znalazł zwłoki faceta w węglarce. Miał pecha, bo meldunek o zabitym przyjął właśnie Wołyńczuk. Wystarczyło mu, że spojrział raz na zgłaszającego, by zrodziły się w jego analitycznym milicyjnym umyśle wątpliwości. Zadziałał więc tak, jak go uczono. Jest człowiek, znajdzie się paragraf.

No i człowiek, czyli Fronczak Marian, wylądował zaraz po okazaniu miejsca zwłok w milicyjnym areszcie. Teraz czekał tam na swoje przeznaczenie, a przeznaczenie właśnie przypomniało sobie o nim. Sierżant Wołyńczuk podszedł do wieszaka, na którym wisiała jego czarna raportówka, i odpiął z niej pięknie lśniącą białą pałkę.

Machnął nią w powietrzu, że aż zagwizdało, a potem spojrział na Gargułę:

- Pójdę pogadać trochę z tym spod piątki - wyjaśnił, spoglądając wymownie na pałkę.

Garguła uśmiechnął się porozumiewawczo i podszedł do radia tranzystorowego lena 2, które stało na okiennym parapecie dyżurki. Wiedział dobrze, że w takich sytuacjach na wszelki wypadek warto radio trochę zgłosić. Bo po jaką cholere mają do uszu interesantów dochodzić zupełnie niepotrzebne odgłosy pracy operacyjnej. Pokręcił gałką i pokój wypełniła łagodna muzyka, a zaraz za nią do pomieszczenia wpłynął głos Maryli Rodowicz: „...i mam to, co na świecie najświętsze, święty spokój”.

Godzina 8.55

Zielony tramwaj nr 14 podjechał, głośno dzwoniąc, na przystanek na wprost ulicy Półwiejskiej. Oficjalnie to wcale nie była Półwiejska, tylko Dzierżyńskiego. Ulicę nazwano imieniem „Krwawego Feliksa” już w latach pięćdziesiątych, ale dla poznaniaków ten deptak prowadzący do Starego Rynku to w dalszym ciągu była Półwiejska. Żaden szanujący się mieszkaniec miasta nie umówiłby się z kolegą w piwiarni na Dzierżyńskiego.

Teofil Olkiewicz podniósł głowę i zły na cały świat zaklął cicho pod nosem. Jak zwykle gdy się spieszył, tramwaj podjeżdżał nie taki jak trzeba. A dziś spieszył się wyjątkowo, bo przez Leberę, z którym mocno opili sprawy, trochę zasnął, a chciał być przed przyjściem Marcinkowskiego w pracy, żeby sobie jeszcze wszystko w głowie poukładać i przedstawić mu wstępny raport ze swoich działań i tego pasma sukcesów. Niestety wstał trochę za późno, więc nadzieją była piątka; gdyby zatrzymała się tutaj w ciągu niecałych dziesięciu minut, mogłaby go zawieźć na Dąbrowskiego prawie pod samą komendę. No ale tu złośliwie pojawiła się czternastka, która co prawda jechała aż za most Dworcowy, ale skręcała w lewo w głąb Głogowskiej, zamiast w tę stronę, która akurat była potrzebna Teofilowi.

Niedospany, a poza tym dodatkowo zdenerwowany idiotycznym rozkładem jazdy tramwajów, Olkiewicz wypluł dopiero co zapalonego ekstra mocnego i wszedł do czternastki. Podszedł do kasownika, włożył do szerokiego otworu na górze dziesięcioprzejazdowy karnet i pociągnął wajchę zakończoną plastikową kulką w swoją stronę.

Automat chrupnął, wygryzając kolejną dziurę w kartoniku, i już można było wyjąć bilet. Rozejrzał się, choć wiedział, że nie ma co liczyć na miejsce siedzące. O tej porze tramwaj co prawda nie był mocno zatłoczony, ale i tak miejsca do siedzenia były pozajmowane. Na większości z nich rozpierali się beczelni studenci, którzy z akademików przy Rocha i Zamenhoffa jechali na zajęcia do centrum miasta. Ze skryptami rozłożonymi na kolanach albo zapatrzeni w widoki za oknem udawali, że nie widzą bab z siatkami i Teofila, niewysokiego łysiejącego grubasa odzianego w garnitur, którego okres świetności przypadł na czas radomskich wypadków. Prochowiec, jaki miał na sobie Teofil, był jeszcze starszy. Pod koniec lat sześćdziesiątych kupił go na Łazarzu od jakiegoś marynarza.

Podobno przywieziono go z Francji, ale Olkiewicz był przekonany, że to amerykański styl, bo na metce napisano po zagranicznemu „burberry”, a to jak nic śmierdziało Ameryką. Zresztą nabrał pewności co do pochodzenia swojego płaszcza, gdy w telewizji puszczała film o poruczniku Columbo z tym zezowatym aktorem. Film był taki sobie, trochę głupi, uważał Teofil, bo śledztwa prowadzone przez tego gliniarza były zupełnie niezyciowe. Wyjaśnił żonie zachwyconej filmem, że żaden normalny glina nie traciłby tyle czasu na nachodzenie jakiegoś podejrzanego i wpuszczanie go w maliny albo rozwiązywanie jakichś zagadek. W każdym normalnym kraju, mówił, podejrzanego pakuje się na czterdzieści osiem godzin. Jak trzeba, to się mu na początek spuszcza manto, żeby przemyślał sprawę, a jak nie przemyśli i nie zmięknie od razu, to mu się załatwia areszt trzymiesięczny, który później można przedłużać jeszcze ho, ho, albo i dłużej. A ten w tym prochowcu tylko łąził i łąził, i tracił czas, co by mu się przydał do spisywania protokołu zatrzymania. Najważniejsze było to, że Teofil się upewnił, iż jego prochowiec jest amerykański i jaki by nie był ten milicjant z Ameryki, to w końcu kolega po fachu i w takim razie dobrze jest ubierać się jak ci funkcjonariusze w innych, może zacofanych światopoglądowo, ale jednak rozwiniętych cywilizacyjnie krajach.

Tramwaj minął dworzec autobusowy i powoli zaczął wspinać się na most Dworcowy. Olkiewicz patrzył w dół na tłum ludzi oczekujących pociągu z piętrowymi wagonami, który wjeżdżał na czwarty peron Dworca Głównego. Przypomniawszy mu się ten kolejarz z obciętą ręką. Wyglądało to naprawdę paskudnie. Zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek widział coś podobnego. Jedyna analogia, jaka przychodziła mu na myśl i która zresztą pojawiła się od razu, jak tylko zobaczył tego tam w wagonie, to ta z wojny z bolszewikami. I nagle go olśniło: jeśli u nas nikt nigdy nie obcinał nikomu rąk, bo głowy to się zdarzały, no więc jeśli nikt nigdy nie obcinał nikomu ręki, to w takim razie sprawca musi być nie stąd. A skąd? Zapytał sam siebie Teofil. No właśnie, ale jeśli dalej iść tym tropem, to odpowiedź może być tylko jedna. Sprawcą musi być jakiś ruski bolszewik, bo to ich metoda.

Spojrzał na swoje odbicie w szybie tramwajowej i aż sam siebie się przestraszył. Co to za głupie myśli mi chodzą po głowie. Mam pod kluczem kolejarza, co strzelał, i to jeszcze z bronią w kieszeni złapany, mam tego Grabińskiego, co był jego szefem, znaczy się wszyscy siedzą.

To gdzie tu miejsce na myślenie o bolszewikach. Przecież oni nasi sojusznicy i przyjaciele, to co by oni tu mieli jakieś ręce obcinać, uspokajał sam siebie. Ale nie na wiele się to zdało. Jego spokój i radość z osiągnięć ostatnich dwóch dni prysnęły jak bańka mydlana. Całość się tak ładnie dotąd układała, a tu masz - szast-prast, bolszewik ruski mu się pojawił w głowie i wszystko do góry nogami przewracał. W tym momencie od strony Głogowskiej na most Dworcowy wjechał zielony wojskowy gaz na obcych numerach. Teofil zobaczył w szoferce dwóch ludzi w radzieckich mundurach i zdenerwował się na wszystkich towarzyszy ze wschodu jeszcze bardziej:

- Cholerne bolszewiki, szlag by ich wszystkich trafił!

- Masz pan całkowitą rację, panie szanowny - powiedziała stojąca tuż obok niego podstarzała pulchna kobieta w moherowym berecie i czarnym paltociku.

- Co? - zdziwił się Olkiewicz.

- No żeby ich pokręciło wszystkich tych komunistów, a tego Jaruzelskiego to niech jeszcze dźwiścisną, za naszą krzywdę.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że w tych nerwach, zupełnie skołatany, ostatnią swoją myśl wypowiedział na głos. Kobieta musiała wziąć to za dobrą monetę i odpowiedziała mu, wyczuwając w nim bratnią duszę. A on nie był wcale bratnią duszą, tylko funkcjonariusz MO. Mimo to spojrzął na uśmiechniętą babę i powiedział jakby dla usprawiedliwienia swoich wcześniejszych słów:

- Mój tatuś z nimi walczył na wojnie w dwudziestym roku.

- Widzisz pan, jakby nasi wtedy to całe robactwo wygnietli, to dzisiaj byśmy se żyli jak pączki w maśle, a nie jak te świny w czerwonym chlewie.

- Święta prawda, szanowna pani - wtrąciła się inna, tym razem szczuplejsza i znacznie głośniejsza. - Tych czerwonych to trzeba by wszystkich na Syberię wysłać, niech se tam porządki robią. Mojego starego to za Solidarność z roboty wywalili i teraz musi u prywaciarza robić, u badylarza znaczy się. Tak się ta czerwona hołota rządzi. A sami mają mordy spasiono, bo wszystko dostają bez kartek.

- Najlepiej, jakby jeszcze ze sobą zabrali te milicyjne ścierwa, bo na nich też skarania nie ma.

Olkiewicz skulił się cały w sobie, pot mu wyszedł na czoło i teraz zaczął się bać nie na żarty - a nuż ktoś usłyszy i doniesie, że z babami w tramwaju antysocjalistyczne pogaduchy uprawiał. Cały zeszywniały obrócił się w stronę wyjścia, ale tramwaj nie spieszył się do przystanku.

Stał jak na złość na światłach, a ta w berecie wcale nie miała ochoty na zakończenie konwersacji. Zresztą nagle wokół Teofila zrobiło się jakoś dziwnie tłoczno. Początkowo cicha wymiana zdań nagle stała się niepokojąco głośna i krzykliwa. Co rusz z głębi wagonu, to z jednej, to z drugiej strony, dochodziły głosy aprobaty i sprzeciwu albo nawet aprobaty dla sprzeciwu.

- A tego pana tatuś to tych zasańców lał, jak nasi do Kijowa na ich plecach pojechali - powiedziała moherowa, wskazując długim palcem na spoconego milicjanta, który uśmiechał się głupio.

- Co pani nie powiesz? To znaczy, że są jeszcze u nas prawdziwi Polacy, prócz Solidarności oczywiście - stwierdziła chuda.

- Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń - zanucił jakiś drobny staruszek, po czym klepnął z rozmachem Olkiewicza w plecy. - I teraz jeszcze byśmy im pokazali, jakby co do czego przyszło. A naszymi poznańskimi pułkami to tak się bali, że bosy przed nimi uciekali. Bo nasi ich rznęli jak woły. Strach było patrzeć, bo po przejściu poznaniaków to nie było co zbierać. Pozdrów pan ojczulka i kłaniaj mu się nisko od Marciniaka z Jeżyc.

- Wiaruchna, pierdolić komunę! - wykrzyknął zarośnięty pijany facet, który zdawał się dotąd spać snem sprawiedliwego na krzeselku tuż koło drzwi.

Boże, niech ten tramwaj rusza, bo za chwilę poniosą mnie jak Paderewskiego na rynek, rozpaczał w myślach milicjant, do którego zaczęły wyciągać się zewsząd ludzkie ręce. Wszyscy chcieli choć dotknąć czy poklepać tego, który odważył się wystąpić przeciw ruskim. Wreszcie tramwaj ruszył, błyskawicznie pokonał dystans oddzielający go od przystanku przed Dworcem Zachodnim. Drzwi otworzyły się i Olkiewicz został dosłownie wystrzelony na chodnik przez napierających patriotów jak korek z butelki ruskiego szampana.

- Precz z komuną! - krzyczeli studenci wychodzący z tramwaju.

- Znajdzie się pała na dupę generała, znajdzie się pała na dupę... - wołało jakichś dwóch długowłosych młodzieńców, a kobieta w moherowym berecie biła im brawo.

- Lech, Lech kolejorz! - krzyknął pryszczaty czternastolatek, któremu jakoś nie udało się wpasować w ogólny trend.

Chodu, pomyślał Teofil i ruszył biegiem w kierunku Adrii. Przebiegł przez pasy na czerwonym świetle i mało brakowało, a potrąciłby go rozpędzony robur. Gdy był już koło bocznego wejścia na targi, stanął przy kiosku Ruchu i spojrzął za siebie. Ze zdziwieniem zauważył, że na przystanku zebrał się całkiem spory tłumek antysocjalistycznych elementów. Jednak ta ruchawka nie miała szans na dłuższe przetrwanie. Od strony dworca do przystanku zbliżało się już biegiem dwóch zomowców. Kolejni trzej wychodzili z dworcowej hali.

No to, kurwa, wywołałem rewolucję przez tę swoją głupotę, pomyślał chorąży Olkiewicz i zły jak diabli poczłapał w stronę przystanku po drugiej stronie mostu Dworcowego, z którego mógł wreszcie dojechać do pracy.

Godzina 9.00

Pułkownik Eugeniusz Żyto podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego. Sekretarka zameldowała mu, że jest już major Marcinkowski, więc kazał odczekać minutę i prosić go do środka. Pułkownik lubił takie zagrania. Mógł oczywiście przyjąć majora natychmiast, bo nie miał nic ciekawszego do roboty. Ale jednak wolał, aby ten poczekał trochę, tak na wszelki wypadek. Sekretarka dobrze wiedziała, że ta minuta to tylko tak na pokaz, dla podkreślenia ważności samej wizyty u szefa wydziału kryminalnego. Minuta była też informacją o tym, jak ważki jest gość, który przychodził do szefa. Tych najważniejszych wpuszczano natychmiast, ważnych po minucie, pozostali mogli czekać nawet i pół godziny.

Pułkownik szybko rozłożył na blacie biurka jakąś teczkę z papierami i schował „Gazetę Poznańską” z artykułem o spotkaniu Rad Wojewódzkich PRON, podczas którego zajmowano się obroną prawa i praworządności. Mówią o tym, że trzeba stworzyć ogólnospołeczny front przeciw złu, denerwował się, czytając gazetę, ale żaden z tych myślicieli nie wpadł na to, że taki front już istnieje i nazywa się milicja, której zamiast gadania o walce ze złem przydałyby się nowe samochody do jego ścigania... W tym momencie rozległo się pukanie. Minęła nakazana minuta.

Zaraz drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Marcinkowski. Podeszedł do biurka i stanął trochę jakby na baczność, ale w jego postawie było wiele nonszalancji, zdradzającej, że nie musi się przed swoim szefem wygłupiać.

Pułkownik uśmiechnął się i wskazał mu krzesło po lewej stronie, przy stole dostawionym do biurka szefa w ten sposób, że razem tworzyły literę T. Oprócz krzesła, które zajął Marcinkowski, było ich jeszcze pięć, przydawały się podczas większych odpraw. Major siadał zawsze na tym samym miejscu, bokiem do szefa i na wprost obrazu przedstawiającego zdenerwowanego Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. „Krwawy Feliks” miał zmarszczone brwi i groźne spojrzenie, a Brodziak po którejś z narad u pułkownika powiedział, że ten facet najwyraźniej jest zdenerwowany, słysząc, jakie bzdury wygadują na odprawach polscy czekiści, i na pewno wścieka się, że nie może ich wszystkich wystrzelać swoim naganem. Tym sposobem o gościu z obrazka wszyscy mówili „Zdenerwowany Feliks”. Marcinkowski spojrzął na Dzierżyńskiego i jak zwykle poczuł, że radziecki oprawca przeszywa go wzrokiem. Wzdrygnął się z odrazą i spojrzął na swojego dowódcę, który,

choć wcale nie typ Adonisa, był zdecydowanie sympatyczniejszy. Okrągła głowa ze sporą łysiną, wielki nos, a na nim okulary w rogowej oprawce, zawsze starannie wygolone policzki i sporych rozmiarów podwójny podbródek sprawiały, że na pierwszy rzut oka pułkownik wyglądał jak kasjer z GS-u tuż przed emeryturą.

Pułkownik Żyto przetarł niklowany medal „Za zasługi dla obronności kraju”, przyczepiony do kieszeni na piersi niebieskoszarej bluzy mundurowej, a potem spojrzął na podwładnego:

- No i jak tam śledztwo? Do milicjantów strzelają jakieś łachudry, co tu się, do cholery, dzieje? Myślałem, że alarm będzie podniesiony, składy osobowe wzmocnione, patrole na ulicach w zwiększonych składach, a tu cisza i spokój. Mów, co jest, do diabła, bo to wszystko zaczyna mi się nie podobać.

- Obywatelu pułkowniku - Fred użył wypróbowanego sposobu na „spacyfikowanie szefa”. Spojrzął mu prosto w oczy i łagodnie się uśmiechnął. To zawsze działało. I tym razem nie mogło być inaczej. - Nie ma alarmu, bo wszystkie aspekty sprawy są pod naszą kontrolą.

- Pod kontrolą, powiadasz? A mnie się zdawało, proszę ja ciebie, że was miało być tu dziś dwóch. Jeszcze ten Olkiewicz miał się stawić, żeby mnie wszystko ze szczegółami objaśnić, a ja tu tymczasem widzę, proszę ja ciebie, tylko ciebie.

Ta uwaga sprawiła, że Fredowi zrobiło się trochę głupio.

Wiedział, że Żyto się nie czepia. Nigdy nie próbował być złośliwy dla samej przyjemności dokuczenia podwładnemu. On sobie zwyczajnie pokpiwał, bo dobrze wiedział, że jeśli wzywał majora z drugim oficerem, to musiało się wydarzyć coś, co spowodowało, że ten drugi tu nie dotarł.

Tymczasem Olkiewicza najzwyczajniej w świecie nie było w pracy i Marcinkowski nie wiedział dlaczego. Gdy tylko przyszedł dziś do firmy, natychmiast poszedł do pokoju Brodziaka i Olkiewicza. Został tam jednak samego Blaszkowskiego, który mu zameldował, że chorąży jeszcze się nie zjawił. Był już nawet Brodziak, tylko akurat gdzieś wybiegł. Teofil raczej nigdy się nie spóźniał, więc było to tym bardziej dziwne. Przychodził do roboty jak solidny pruski urzędnik, zawsze za kwadrans dziewiąta. Fred kazał, za pośrednictwem Młodego, meldować mu się o dziewiątej na górze, jeśli oczywiście się pojawi. Nie pojawił się, a on, jego dowódca, nie miał pojęcia, gdzie jest jego człowiek.

- Musiało się coś stać, bo nie wiem, gdzie jest Olkiewicz.

Po raz pierwszy, odkąd go znam, nie przyszedł na czas do pracy - musiał przyznać nieco zmieszany Marcinkowski.

- Zachorował?

- Ale tam, tacy jak on nie chorują. Nie ma na to czasu - zaśmiał się Fred i z ulgą zauważył, że Żyto też się uśmiecha. - Myślę, obywatelu pułkowniku, że zaraz tu wpadnie i wszystko zreferuje. Wolałbym, żeby on sam opowiedział, ale jak trzeba, to ja pokrótce przedstawię fakty.

Pułkownik skinął przyzwalająco głową, więc Fred zaczął opowiadać. Zajął mu to zaledwie pięć minut. Najpierw powiedział o morderstwie w pociągu, później o strzelaninie na Strusia i o tym, jak Teofil Olkiewicz dzięki użyciu psa milicyjnego Szarika zatrzymał kolejarza w zakrwawionym płaszczu i z pistoletem w kieszeni. Pochwalił podwładnego za wykazanie się inicjatywą - chodziło oczywiście o psa - a potem zakończył konkluzją, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż morderca z pociągu i zatrzymany kolejarz to jedna i ta sama osoba.

- Na chwilę obecną można postawić taką hipotezę, a jeśli okaże się fałszywa, to wtedy będziemy szukać dalej.

Fakty są jednak po naszej stronie - zakończył, patrząc uważnie na pułkownika. Doskonale zdawał sobie sprawę, że mocno je naciągnął i dopasował do siebie, żeby się ładnie złożyły w jedno kolejarские śledztwo. Najważniejsze teraz, by dowódca zaakceptował pomysł. Nie było się Co oszukiwać, Żyto to stary śledczy i jemu również w głowie musiały zrodzić się wątpliwości co do słuszności tezy, że morderstwo w pociągu i strzelanina na Strusia to dwa klocki z tej samej układanki. Dlatego Fred zastanawiał się przez chwilę, czy dla wygody własnej i całego zespołu śledczego nie poszedł za daleko, ale uśmiech na twarzy pułkownika rozwiał jego obawy. Nawet mało uważny obserwator zauważyłby, że dowódca jest bardziej niż zadowolony.

Dla pułkownika najbardziej liczył się natychmiastowy efekt. Nieważne, rzetelnie wypracowany czy nadymany.

Jak go nie było od razu, to trzeba było go wymyślić. A tu proszę, jest, i to jaki. Tym razem efekt był rewelacyjny.

Co najważniejsze, zespół zyskiwał czas na wgrzyzenie się w sprawę. Bo teraz nikt z Komitetu Wojewódzkiego PZPR nie będzie się czepiał, że śledztwo się ciągnie i nie ma żadnego wyniku. Proszę bardzo, towarzysze, będzie mógł powiedzieć im Żyto. Nasi śledczy to profesjonaliści, sprawę można było zamknąć zaraz po zabójstwie. Nie obyło się co prawda bez ofiar z naszej strony, ale walka z przestępczością to przecież nie bułka z masłem. Gdzie drzewa się rąbie, tam spadają szyszki i gałęzie nawet. Zadowolonego pułkownika, który w myślach układał już sobie wypowiedź dla pierwszego sekretarza, z zadumania wyrwał ostry dźwięk dzwonka telefonu.

- Prosić natychmiast - usłyszała sekretarka, jakby co najmniej komendant główny przyjechał. Ale nie był to nawet komendant wojewódzki, ale spocony, czerwony i dyszący, z rozczochraną zaczeską, która opadła na bok i nie przykrywała łysego czoła, chorąży Teofil Olkiewicz.

- Siadajcie, chorąży, i mówcie, jak było, tylko wszystko po kolei jak na spowiedzi.

Teofil zajął miejsce naprzeciw Marcinkowskiego, ale widać było, że jeszcze trzeba mu dać chwilkę, bo dyszy jak lokomotywa.

Pułkownik wstał ze swojego krzesła i podszedł do okna.

Na parapecie, na plastikowej tacce, stał niebieski, enerdowski syfon na naboje. Pułkownik był szczególnie dumny z tego urządzenia, sam napełniał butlę wodą z kranu i wkręcał naboje. Bardzo lubił ten moment, gdy gaz z głośnym bulgotem wpływał do butli. Teraz sprawdził najpierw, czy woda jeszcze jest w środku, potem przystawił szklanekę i za pomocą dźwigni puścił strumień. Napełnioną postawił przed Olkiewiczem. Ten natychmiast wypił łąpczywie, aż mu się odbiło, i wreszcie mógł spokojnie odetchnąć.

- Wszystko przez tramwaj, co nie przyjechał - wyjaśnił Teofil, ale zaraz zauważył, że historia perypetii jego dojazdu do pracy nie spotkała się z żadnym zainteresowaniem ze strony przełożonych. Zaczął więc wyjaśniać, co zdarzyło się w sobotę:

- Po prawdzie to było tak, obywatelu pułkowniku, że myśmy poszli do tego burdelu na Strusia tak jakoś trochę przez przypadek, ale w końcu ma się tego milicyjnego nosa po tylu latach służby, że nam się udało. Kryspin Obrębski wynalazł tę norę, że niby tam pracują kobity, co o nich można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że są klientkami salonu urody „Praktyczna Pani”...

Relacja Olkiewiczza z całej akcji trwała zdecydowanie dłużej niż ta, którą wcześniej przedstawił Marcinkowski, ale zawierała wiele nowych elementów, o jakich major nie miał dotąd zielonego pojęcia, choćby takich jak przesłuchanie Rajmunda Lebery i zatrzymanie cinkciarza, którego nazwiska Teofil nie pamiętał, miał je jednak zapisane na dole w notesie.

W końcu po trzydziestu minutach nieprzerwanej opowieści zadowolony z siebie Olkiewicz zaśmiał się głośno i swoim zwyczajem klepnął się w udo:

- Niech, kurde, widzą młodzi, co to znaczy stara gwardia przy robocie i że stary Olkiewicz nie jest glapami nitrowany, znaczy się rozgryzłem tę sprawę błyskawicznie, obywatelu pułkownika.

Pułkownik Żyto pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko:

- No to, panowie, mamy niewątpliwie sukces, nasz wspólny sukces. Dlatego na dwunastą proszę przygotować mi wstępny raport z całej sprawy, bo ja będę musiał przejechać się do sekretarza wojewódzkiego i tam ich uspokoić, że jest wszystko dobrze. A wy tymczasem możecie spokojnie zabrać się za swoją robotę.

Godzina 9.15

Lutek Mrugała leżał na podłodze celi nr 15 aresztu śledczego przy ulicy Kochanowskiego i kwiczał. Jego staw barkowy trzeszczał niebezpiecznie i Lutek kwiczał, bo raz, że musiał, a dwa, że go paskudnie bolało. Kogo by zresztą nie bolało, jakby na człowieku leżącym na zasikanej i śmierdzącej podłodze usiadł studwudziestokilogramowy facet. I to wcale nie usiadł lekko i ostrożnie, ale z rozmachem i siłą całego swojego cielska przycisnął do posadzki, a do tego jeszcze na rękę napierał. Lutek uważał, że ma piękną rękę. Pokryta była wielkimi dziarami w kształcie chińskiego smoka ze skrzydłami, pożerającego gołą kobietę z wielkimi cyckami. Robotę wykonał sam wielki artysta Zbysiu Klimczak pod celą we Wronkach.

Ale ten, co siedział Lutkowi na plecach i wbijał mu kolano w kręgosłup, a jeszcze do tego naciągał wyprostowaną w łokciu łapę tak, że aż trzeszczał staw, nie należał do grona znawców sztuki dziarganej. Widać było, że nie interesuje go piękny tatuaż Lutka, choć miał go dokładnie przed oczyma, a jedyne, co go w tej chwili obchodzi, to utrzymanie Lutkowego kwiczenia.

Lutek przed chwilą chciał nawet sprawdzić, czy aby nie dość tego kwiczenia już będzie, więc na moment przestał.

Ale mu się nie opłaciło, bo zaraz poczuł, jak ręka trzeszczy, ból rozrywa całe ramię i może to się skończyć wyrwaniem kości ze stawu. Dlatego kwiczał teraz głośniejszym i bardziej zdecydowanym niż przedtem, bo był przekonany, że mu ta ręka jeszcze mogła być potrzebna. Choćby do zaduszenia w nocy tego grubego, co teraz się nad nim pastwił.

Wczoraj Lutek popełnił błąd i źle ocenił Grubego, i teraz to się na nim mściło, a właściwie mścił się ten Gruby.

Facet wyglądał jak cielak i trzeba go było jakoś pod celą przywitać. Zwłaszcza że chłopina trafił do grypsujących, których dziwnym trafem akurat trzech znalazło się w jednej celi aresztu. Wszyscy goście światowi i obcy, siedzieli od piątku w czteroosobowej celi i byli pewni, że byle jakiej łachudry im tu nie dodadzą, najwyżej jakiegoś cwela dla zabawy, a tu tymczasem w niedzielę dowódca sierżant otworzył drzwi przed kolacją i zamiast zapytać, czy chcą palić, wpuścił im tego typka w dżinsowym ubraniu.

Miętus i Glizda nie spojrzeli nawet na wchodzącego, tylko kazali Lutkowi sprawdzić, co to za jeden. Więc Lutek sprawdził, że ten ma marlborasy i śmierdzi wodą kolońską. Zameldował, co i jak, i opowiedział, że wygląda na zielonego.

Glizda, który pod celą dowodził, postanowił działać i zaczął przed nowo przybyłym udawać zatroskanego kumpla. Opowiadał jakieś historie spod celi, prosząc jednocześnie o poczęstowanie papierosem. Nowy owszem, poczęstował wszystkich, a później usiadł w kącie i przestał reagować

na zaczepki współwięźniów. Tego było im za wiele. Nie okazał należytego szacunku, a i papierosów więcej dawać nie chciał. Dlatego postanowili w nocy dać mu nauczkę.

Wieczorem naradzili się po cichu i szybko położyli, udając, że idą spać. Czekali na pryczach, aż ten nowy zaśnie.

Ale wszystko poszło nie tak jak trzeba. Nachylili się nad nim we trójkę. Miętus pociągnął koc i rzucił się temu na głowę w sposób już nieraz sprawdzony i wypróbowany.

Wtedy okazało się, że ten, którego mieli za frajera, nagle wstaje z Miętusem u szyi. Miętus opada na ścianę z jękiem, a zaraz potem Glizda pada przygnieciony Lutkiem.

No i nie było kocowy, bo ów frajer warknął tylko, że jak któryś się ruszy, to mu łeb oderwie i nasra do środka.

Więc nikt się przez noc nie ruszył i dopiero teraz po śniadaniu namówili się znowu, bo nie mogli puścić płazem zniewagi, jaka spotkała ich w nocy. Kazali Lutkowi, żeby zaszedł grubego od tyłu, jak będzie robił siku do kibla.

Lutek wiedział dobrze, że rozkaz wydany pod całą święta rzecz, dlatego poszedł przekonany, że idzie na śmierć.

Gruby musiał wyczuć, o co chodzi, bo siedząc na kiblu, nawet się specjalnie nie wysilił. Gdy Lutek chciał z zaskoczenia kopnąć go w twarz, ten wyrwał z nienacka wiadro spod siebie i walnął nim w głowę Lutka, który padł jak długi, ujrzawszy przedtem migoczące gwiazdy. Tamten nie czekając, z portkami w garści, wskoczył mu na plecy i rękę do góry odgiął tak mocno, że aż chrupnęło. Nachylił się nad Lutka uchem i powiedział przez zaciśnięte zęby:

- A teraz kwicz, świnió, bo w gnoju jak świnia leżysz.

Glizda i Miętus patrzyli na tę scenę jak urzeczeni. Błyskawicznie wyczuli, że nie warto wstawiać się za Lutkiem, bo to nic dobrego im przynieść nie może. Facet, którego wzięli za frajera, okazał się lepszy od nich.

A gruby, siedząc na plecach Lutka, odwrócił się do obu niedoszłych napastników i powiedział:

Wtedy nastąpiła wielka cisza, Rzekłbyś jak w Akermanu stepie.

Że tylko kroki było słychać Muchy, co lazła po polepie...

Roześmiał się głośno, widząc głupie miny nic nierozumiejących Glizdy i Miętusa, po czym puścił rękę Lutka.

W tym momencie zamek w drzwiach zazgrzytał i do celi wkroczył sierżant Mroczek. Spojrzał na Lutka leżącego na podłodze w kałuży fekaliów i zarechotał radośnie. Popatrzył na grubego, co już grzecznie siedział na swojej pryczy, a potem skinął na niego:

- Ty się nazywasz Grubiński Ryszard?

- Ja.

- Przesłuchanie. A ty - spojrzał jeszcze raz rozbawiony na Lutka - przestań się kąpać i posprzątaj podłogę, bo trochę nachlapałeś.

Strażnik i Gruby wyszli. A Lutek mógł wreszcie się podnieść. Spojrzał na swojego smoka z ramienia i pomyślał, że trzeba się szybko umyć, bo ta laska w zębach potwora jest cała oblepiona gównem i wygląda, jakby się zesrała ze strachu.

Rozdział VI

Godzina 9.40

Mirek Brodziak się wkurzył. Zdenerwował się nie na żarty. Przyszedł do pokoju, w którym siedział młody Blaszkowski, ale nim zdążył usiąść na swoim miejscu, drzwi ponownie się otworzyły i do środka wszedł radosny jak skowronek Teofil Olkiewicz, a zaraz za nim Fred Marcinkowski.

- Ja tu mam zapisane dane tego gnojka - powiedział chorąży, otwierając swoją brązową, mocno sfatygowaną torbę, którą wcześniej postawił na krześle pod ścianą.

Chwilę w niej pogrzebał i wyciągnął ze środka kalendarz Teno w popielatej okładce. Rozłożył go na blacie biurka przed siedzącym po przeciwnej stronie Blaszkowskim i szybko zaczął przerzucać kartki.

- O, jest tu ten klient. On się nazywa Grubiński Ryszard. Zadowolony z siebie spojrzął na majora, ale jego reakcja najwyraźniej zbiła go z tropu.

- Jak się nazywa? - zdziwił się Marcinkowski.

- No mówię przecież, że niejaki Grubiński Ryszard, zatrzymany przeze mnie wczoraj pod restauracją Smakosz...

Porucznik Brodziak nie mógł najwyraźniej uwierzyć w to, co usłyszał. Poderwał się z krzesła i podszedł szybko do Olkiewicza:

- Teoś, co ty pierdolisz, jak to? Grubiński zatrzymany?

- No, jak to jak? Normalnie się go zatrzymało, jak jadł schabowego w Smakoszu - zaśmiał się Olkiewicz i spojrzął radosny na majora, ale jemu też najwyraźniej nie było do śmiechu.

- Czy ciebie już normalnie powaliło? - Brodziak oparł się obiema dłońmi o biurko i zbliżył twarz do twarzy Olkiewicza. - Ja wczoraj z tym człowiekiem rozmawiałem i on miał mi wystawić jednego gościa. Teofil, ty idioto, zamknąłeś mój kontakt operacyjny! Ja pierdolę, co tu się, kurwa, dzieje? Fred, powiedz mi, że ja śnię, bo za chwilę nie wiem, co zrobię!

Major Marcinkowski był nie mniej zdziwiony od Brodziaka. Znał Ryszarda Grubińskiego i był skłonny wierzyć, że aresztowanie to jakaś paskudna pomyłka. Poznali się niecały rok temu, w czerwcu, gdy jakieś dzieciaki podprowadziły mu zupełnie nowe koła od jego poloneza.

Dzięki interwencji Grubego Rycha po kilku godzinach komplet opon z felgami się znalazł, nawet lepszy niż te ukradzione, złodzieje ściągnęli mu bowiem fabryczne koła z oponami z Dębicy, a oddali również nówki, tyle że Dunlopa.

Olkiewicz, patrząc na Brodziaka, zastygł w bezruchu.

Nie miał zielonego pojęcia, co odpowiedzieć, więc spojrzął na Marcinkowskiego, szukając u niego pomocy. Ale major nie miał na razie ochoty przyjść w sukurs swojemu podwładnemu.

- Co to za kontakt operacyjny, Mirek? - zwrócił się do Brodziaka.

- Fred, on mi miał wystawić gościa, co to w tym pociągu z Berlina został zabity, to znaczy tego, co zabił w tym pociągu.

- No to świetnie - ucieszył się Marcinkowski. - Teofil się pospieszył i go przymknął, ale znaczy to, że zamykał go w sprawie. Teoś, mów, co ci wiadomo, jeśli chodzi o Grubińskiego.

Wybuch Brodziaka zbił z tropu Olkiewicza, ale teraz, gdy szef zaprowadził trochę porządku, odzyskał równowagę ducha. Brodziak zepsuł mu nieco humor. Wydawało mu się, że miał asa w rękawie, a teraz ten as okazał się blotką, i to jeszcze naznaczoną przez kolegę. W tej sytuacji, myślał Olkiewicz, trzeba tak zrobić, by Grubiński okazał się główną postacią śledztwa, bo dzięki niemu wszystko składa się do kupy. Zresztą wyniki zaakceptował już pułkownik i Brodziakowi trudno będzie wyciągnąć kolesia z pudła, nawet jeśli pójdzie na współpracę.

Uspokoiwszy się nieco, Teofil siadł za biurkiem, obrzucił niechętnym spojrzeniem Brodziaka, który patrzył cały czas na niego, jakby chciał mu zaraz przylać, a potem zaczął swoją relację, zwracając się tylko do majora, który tymczasem wywalił Blaszkowskiego z wygodnego fotela za drugim biurkiem i sam zasiadł na jego miejscu.

- No i sam widzisz, Fred, że ta historia z Rychem Grubińskim jest gównem warta - podsumował opowieść Olkiewicza Brodziak. - Trzeba go wypuścić i dać mu działać, bo to, że on zlecił zabójstwo, to jest jakiś cholerny idiotyzm.

Wiesz dobrze, że on ma kontakty w środowisku i znajdzie tego gnoja prędzej niż my. A jak będzie siedział w pierdłu, to gówno z tego wyjdzie.

- Zaraz wszystko będziemy wiedzieć, panowie - ucieszył się Olkiewicz. - Przedtem, jak poszłem do pułkownika, to kazałem dyżurnemu, żeby go dali tu do nas na przesłuchanie. Tylko patrzeć, jak zameldują, że jest.

Marcinkowski uśmiechnął się trochę krzywo, bo wiedział, w jak głupiej sytuacji znalazł się Mirek. Sam zresztą był w nie lepszym położeniu - Grubiński mógł oczekiwać, że on, Marcinkowski, będzie mógł mu w jakiś sposób pomóc. Normalnie można byłoby próbować, ale teraz, gdy o sprawie wiedział już pułkownik, a niebawem dowie się sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, ryzykowałiby zbyt wiele. Nie można było sobie teraz pozwolić na wypuszczenie Grubińskiego, bo na jego osobie opierała się cała koncepcja połączenia dwóch spraw, zabitego kolejarza i strzelaniny na Strusia. W tej chwili więc osoba Grubego Rycha, czyli Ryszarda Grubińskiego, spajała oba wątki.

Wypuszczenie go mogłoby spowodować zbyt wiele zamieszania. Dlatego Marcinkowski musiał powiedzieć Brodziakowi, że choć cała teoria ma kruche podstawy, jego przyjaciel pozostanie jednak w areszcie, bo to da im spokój i będą mogli bez przeszkód prowadzić śledztwo. Fred Marcinkowski wiedział, że to skurwysyństwo wobec Grubińskiego, ale nie miał innego wyboru. Gdyby Teoś się nie pospieszył z tym aresztowaniem, można byłoby jeszcze wszystko odkręcić, ale teraz już sprawy zaczęły żyć własnym życiem. I dlatego Gruby Rychu będzie musiał trochę posiedzieć. Chyba że... Pomysł, który zrodził mu się w głowie, wydawał się niedorzeczny, ale gdy zaczął go analizować, uznał, że ma jednak ręce i nogi. Mogło się udać, gdyby tylko Mirek zareagował w odpowiedni sposób. Brodziak musiałby zrozumieć intencje, nie rozkaz, bo tego Fred nie mógł w żadnym wypadku wydać...

- Nic z tym nie zrobimy, Mirek. Grubiński będzie musiał zostać trochę w areszcie. Sprawa nabrała już rozgłosu, a Żytni pojedzie za chwilę do KW zameldować, że jest sukces i podejrzany już siedzi. Gdyby go tu nie było, można byłoby rozegrać to wszystko zupełnie inaczej - powiedział, ostrożnie patrząc cały czas na Brodziaka.

- Fred, przecież na pierwszy rzut oka widać, że on jest niewinny. On też chciał znaleźć tego gnoja, co zabił kolejarza, bo wygląda na to, że to jego ktoś chciał zrobić. Ja pierdołę, Fred, nie patrz

tak, tylko zrób coś, bo zamykamy fajnego szczona, a morderca lata po mieście...

- Spokojnie, chłopie, nic mu się nie stanie, jak trochę odpocznie - próbował zażartować Marcinkowski, ale od razu widać było, że nikomu nie jest do śmiechu. Zaczął więc z innej beczki:

- Niedawno czytałem w książce Łysiaka Flet z mandragory taką ciekawą teorię dotyczącą Judasza.

Brodziak spojrział na niego jak na faceta, który właśnie urwał się z choinki, ale Fred niezrażony ciągnął dalej:

- No więc mogło być tak, że gdy Chrystus podczas ostatniej wieczerzy wypowiedział słynne słowa „Jeden z was mnie zdradzi”, wśród apostołów zapanowało ogólne wzburzenie. Każdy zaprzeczał i wyjaśniał, że on nigdy i tak dalej. Milczał tylko Judasz. Wiecie dlaczego?

- Bo był zdrajcą Judaszem i głupio mu było zaprzeczyć - pospieszył z oczywistym wyjaśnieniem Teofil.

- Według tego pisarza Judasz jako najmądrzejszy i najlepiej wykształcony spośród wszystkich uczniów Jezusa był jedynym, który zrozumiał sens tych słów. Zrozumiał, że to, co usłyszeli przed chwilą, to nie jakieś proroctwo, tylko prośba. „Jeden z was mnie zdradzi” to polecenie, które trzeba wykonać, żeby wszystko mogło potoczyć się tak, jak powinno. I on to zrozumiał. Zrozumiał, że musi zrobić coś, czego nie zrobi nikt inny...

- No jak tak, to znaczy się, że ten Judasz to normalny chłop był, co musiał na polecenie swojego szefa zostać płatnym kontaktem operacyjnym, do tego jeszcze odwróconym. Nieźle wykombinowane, jak w życiu - zaśmiał się Teofil.

Zadzwonił telefon. Olkiewicz podniósł czarną ebonitową słuchawkę.

- Zaraz idę - powiedział do mikrofonu i odłożył słuchawkę na widełki.

- Już go przyprowadzili, obywatelu majorze - zameldował Marcinkowskiemu, cały czas unikając wzroku Brodziaka. Wstał zza biurka i ruszył ku drzwiom.

- Poczekaj - zawołał za nim Brodziak. Chorąży przystanął i spojrział pytająco na kolegę.

- Ja pójdę po niego. Ze mną pogada już na schodach.

Poza tym jakoś go przygotowuję na to, co go czeka.

Fred Marcinkowski skinął przyzwalająco głową. Brodziak pospiesznie wyszedł na korytarz, a Teofil Olkiewicz usiadł z powrotem za swoim biurkiem. Popatrzył na dowódcę, później na Blaszkowskiego, przetarł spocone czoło kraciastą chusteczką i zaczął grzebać w szafce biurkowej. Zajrzał tam tylko, by się upewnić. Wiedział, że tam powinna być, i nie pomylił się.

Butelka stołowej, do połowy opróżniona, stała za stertą papierów. Gdy ją zobaczył, uśmiechnął się radośnie, bo od razu zrobiło mu się cieplej na duszy. Jak już wszyscy sobie stąd pójda, będzie mógł pociągnąć łyeczka i na spokojnie przemyśleć poszczególne aspekty prowadzonego przez siebie śledztwa.

Godzina 9.25

- No to co ja mam robić? Od wczoraj nie mogę się dostać do pokoju. Za godzinę mam zajęcia i zaliczenie, a jestem we wczorajszych ciuchach. Pani przecież ma zapasowe klucze i może mi pani na chwilę otworzyć, nie?

- Jak pozwoli kierowniczką, to ja otworzę. A jak kierowniczką nie ma, to nie będę otwierać, i już. Co to mnie obchodzi, że się nie umiecie dogadać i se nie zostawiacie kluczy. Na pokój jest jeden klucz dla mieszkańców, a drugi, zapasowy, wydaje się tylko za przyzwoleniem kierowniczką

akademika.

Zośka Czerwińska, studentka piątego roku polonistyki, spojrzała z prawdziwą nienawiścią na panią Majewską. Że też musiałam dziś trafić na tę cholerną babę, pomyślała.

Z każdą inną portierką dałoby się jakoś sprawę załatwić, tylko ta jedna robiła zawsze trudności. Była jak mur berliński, nie do przejścia w każdej sytuacji. Nie od dzisiaj było wiadomo, że gdy ona miała dyżur, nikt spoza akademika nie miał szansy dostać się do środka. Czepiała się wszystkich i była nieużyta. Wczoraj Zośka wróciła do akademika jakoś tak po dwudziestej drugiej i chciała najnormalniej w świecie wejść do swojego pokoju. Poprosiła na portierni o klucz, ale to wredne babsko, które musiało właśnie rozpocząć swój dyżur, powiedziało jej, że klucza nie ma. Oznaczało to, że jej współlokatorka, Marlena, musi być w pokoju. Zośka wsiadła więc do windy i pojechała na swoje ósme piętro. Ale drzwi do pokoju były zamknięte. Pukała przez parę minut, ale Marlena nie otwierała. Zrezygnowana zeszła dwa piętra niżej do Ewy, koleżanki z roku. Ewa na szczęście była w swoim pokoju. Okazało się też, że tej nocy nie będzie jej współspaczką, więc Zośka miała gdzie przemocować. Została na noc u koleżanki, choć tak na wszelki wypadek weszła jeszcze na górę kilka razy, by sprawdzić, czy jej pokój już jest otwarty, Marlena zniknęła jednak z kluczem. Było to dziwne, bo dotąd jeszcze ani razu nie zdarzyła się taka sytuacja. Marlena i Zośka nie były bliskimi koleżankami.

Każda obracała się w innym towarzystwie i tylko przypadek sprawił, że przydzielono je do jednego pokoju. Przez kilka miesięcy wspólnego mieszkania nawet specjalnie się nie zaprzyjaźniły. Obie kroczyły własnymi ścieżkami, nie wchodziły sobie w paradę, potrafiły też uszanować niepisane zasady współżycia, choćby takie jak nieprzyjmowanie w pokoju krępujących gości czy pozostawianie kluczy. Dotąd nie było z tym żadnych problemów.

Aż do teraz.

Zdenerwowana Zośka przeboleła noc przespaną u koleżanki. W końcu nic wielkiego się nie stało. Ale teraz chciała się przebrać, wziąć notatki i pojechać na uczelnię. A tu jak na złość pokój cały czas był zamknięty. Pojechała więc windą na dół, mając nadzieję, że portierka da jej zapasowy klucz. No i tu znów trafiła na tę nieżyciową wredną babę.

Pech chciał, że portierka po nocce spędzonej w dyżurce musiała wziąć dodatkowy dzienny dyżur. Jak się można było spodziewać, prośby o wydanie klucza nie odniosły żadnego skutku. Zośka chciała już wrócić do pokoju Ewy, przebrać się w ciuchy, które miała w torbie, choć to były ubrania codzienne, a nie te eleganckie, noszone na szczególnie ważne zaliczenia.

- Możesz se poczekać, bo kierowniczką zaraz powinna przyjść. A jak mi każe, to ci ten klucz wydam. Ale bez przyzwolenia to choćby się waliło i paliło, ja nie jestem upoważniona - powiedziała Majewska.

- To jak pani pójdzie do kościoła w niedzielę, to niech się pani wypowiada z tego, że nie jest pani miłosierną samarytanką.

- A patrzcie się na nią państwo! Ludzie święci, trzymcie mnie, bo zaraz jej czymś przyłożę, szmatem jakimś przez ryfę albo jak! - zawołała rozsierdzona portierka. Ktoś taki będzie mnie miłosierdzia uczył! Ja więcej w farze na rozmowach z Panem Bogiem spędziłam czasu, niż ty masz lat. Więc se pomyśl o sobie i o tym, jak wy się tu w tym akademiku bawicie. Myślisz, że ja to nie wiem, że tu do was przychodzą różni tacy. Jedno kurewstwo i świństwo. Na siebie patrzta, a nie na innych.

Zośka już chciała odejść od portierni, jednak w tym momencie zauważyła, że oszklone drzwi

otwierają się i do budynku wchodzi kierowniczka akademika.

Szybko pobiegła do niej. Zaczęła coś opowiadać o kluczach, zamkniętym pokoju i dzisiejszym zaliczeniu.

Pani kierownik uśmiechnęła się tylko i zaraz podeszła do okienka. Portierka Majewska ze wściekłą miną podała jej klucz z plastikowym breloczkiem, na którym wypisano numer pokoju.

Już po chwili Zośka jechała windą na swoje piętro. Szybko przeszła przez śmierdzący pastą do mycia podłóg długi korytarz, mijając dwa rzędy odrapanych, niemalowanych od lat drzwi. Jej były drugie od końca po lewej stronie.

Włożyła klucz i przekręciła dwukrotnie. Od razu poczuła w pokoju jakiś dziwny zapach. Był trudny do określenia.

Nie знаła go, ale wydało jej się, że jest w nim coś niepokojącego.

Minęła wąski przedpokój z szafą wbudowaną w ścianę, drzwiami do wspólnej łazienki, po czym weszła do pokoju, którego okno wychodziło wprost na Kaponierę.

Jej łóżko było po prawej. Wyjeżdżając w piątek, zostawiła na wierzchu tylko poduszkę w kształcie serca i brązowego pluszowego misia, którego dostała od taty na piąte urodziny. Drugi tapczan był niezastany. Pod cienką, obleczone białą poszwą kołdrą widać było kształt śpiącej osoby. Na poduszce, wyraźnie odcinając się od bieli, leżał bujny kosmyk rudych włosów. Zapła i śpi, wredna mała, pomyślała Zośka, widząc leżącą koleżankę.

Rozzłoszczona, gwałtownie zdarła z niej kołdrę. Była przekonana, że Marlina zerwie się natychmiast, ale zupełnie naga dziewczyna nie poruszyła się i leżała nieruchomo. Zośka chwyciła ją za ramię, by potrząsnąć śpiącą.

W tym momencie poczuła chłód, który przez rękę przeszył jej całe ciało. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że jej koleżanka z pokoju jest zimna, tak zimna, jakby nie żyła. A potem zobaczyła krew, wielką plamę krwi na białym prześcieradle...

Godzina 9.30

Porucznik Brodziak zszedł wąskimi schodami bocznej klatki schodowej i po chwili znalazł się w przestronnym holu. Zauważył swego kolegę od razu. Zresztą trudno byłoby nie zauważyć takiego wielkiego faceta. Ryszard Grubiński siedział na jednym z pięciu brązowych krzesełek ustawionych pod ścianą na wprost pokoju oficera dyżurnego. Połączono je w rząd za pomocą deski przebiegającej za oparciami. Tuż obok stał młody milicjant w mundurze moro. Chłopak palił papierosa i rozglądał się wokół, czekając na kogoś, kto odebrałby od niego aresztanta. Gdy dostrzegł Brodziaka, wyraźnie się ucieszył. Oczekiwanie na oficera śledczego mogło trwać nawet kilka godzin, bo przesłuchujący nie zawsze mieli czas i ochotę rozmawiać z zatrzymanym zaraz po doprowadzeniu go na miejsce.

Milicjant zgasił papierosa w popielniczce osadzonej na metalowej rurce i podszedł do oficera.

- Starszy szeregowy Kalisiak Roman melduje doprowadzenie z aresztu.
- Brodziak, porucznik, wydział kryminalny, przejmuję człowieka.
- Tajes, obywatelu poruczniku.

Kalisiak zsalutował, wykonał przepisowe w tył zwrot i zadowolony, że pozbył się kłopotu, poszedł w głąb korytarza, Mirek zaś zbliżył się do aresztowanego, przystanął przed nim i ich spojrzenia się spotkały. Zauważył w oczach Rycha jakąś figlarną iskierkę. A potem Grubiński uśmiechnął się radośnie. Najwyraźniej bawiła go ta cała sytuacja.

- No i co się kielczysz, smutny fiucie? Wpieprzyłeś się po same uszy w gówno i jeszcze ci

wesoło? - rzekł Mirek.

Gruby Rychu nic nie odpowiedział, tylko dalej się uśmiechał. Brodziak usiadł koło niego na krześle i wyjął paczkę marlboro. Podał papierosa koledze, potem sam wyciągnął jednego i zanim zapalił, lekko pokruszył go w palcach. Rychu zrobił dokładnie to samo. Ten nawyk został im jeszcze z dawnych czasów, gdy zaczynali popalać po bramach sporty. Tamte paskudne papierosy nie dały się palić bez pokruszenia. Tytoń bywał w nich tak zbity i kołkowaty, że prawie nie dało się ich ciągnąć. Teraz marlboro były zupełnie inne, starannie skręcone i dobrze przesuszone.

Jednak miętolenie papierosów w palcach pozostało im chyba już na zawsze. Mirek podsunął ogień z jednorazówki, którą właśnie w zeszłym tygodniu dał do przerobienia facetowi z Okrągłaka. Znał go jeszcze ze szkoły, życiowy nedorajda był dziś niezłe ustawionym gościem, bo miał własny zakład naprawiania parasoli i repasacji pończoch.

Teraz, gdy do kraju przywożono coraz więcej zapalniczek jednorazowych, zajął się wstawianiem do nich zaworków, dzięki którym jednorazówki stawały się towarem o przedłużonej trwałości.

Rychu spojrzał na zapalniczkę Mirka i uśmiechnął się:

- Na imieniny kupię ci porządną zippo, taką jak moja, metalową i na benzynę, a nie takie jednorazowe gówno.

- Pod warunkiem że wyjdiesz z pudła przed moimi imieninami.

Rychu jakby nie usłyszał tego, co powiedział jego kolega.

- Jak tam Grażyna? - zapytał, zaciągając się aromatycznym dymem.

- Chyba dobrze. Wiesz, że ona radzi se zawsze najlepiej z nas wszystkich.

- Powinieneś do niej iść, Miruś, bo jak ją znam, to ona czeka na ciebie. A ty, dupa wołowa, powinieneś ją na rękach nosić, zamiast zalewać mordę codziennie. Ale ty wolisz gorzołę i knajpy z jakimiś łachudrami niż taką dziewczuchę.

- Aleś wymyślił. Takiś mądry? - uniósł się Brodziak. - Pierdoła z Gondek, a nie kierownik zamieszania. Patrz na siebie, chłopie. Takiś niby bamber, co całe miasto ma w kieszeni, a tu jakaś łajza wydaje cię milicji. I to jeszcze żeby jakiemuś porzadnemu szkiełowi tę historię o tobie sprzedał. Ale nie, on wystawił cię Olkiewiczowi, najgłupszemu facetowi w całej komendzie.

Rychu, który dotąd wpatrywał się w ścianę naprzeciw, nagle odwrócił się do porucznika. Zmarszczył brwi i spojrzał na niego uważnie:

- Powiedz, co to za gnojek na mnie nakablował i w jakiej kwestii?

- No jak to? - zdziwił się Brodziak. - To nawet nie wiesz, za co cię zgarnęli wczoraj?

- Jak za co? Za niewinność - zaśmiał się Rychu. - A bo to pierwszy raz mnie zgarniają? Taka robota, walutowy interes w tym nienormalnym kraju. Wszędzie na świecie ludzie, co handlują pieniędzmi i wymieniają walutę, nazywają się bankierzy i wszyscy, łącznie ze szkiełami, mają do nich pełny szacunek. A u nas handel walutą jest zabroniony i ci, co się tym zajmują, to są przestępcy. Więc ja jestem przestępcą, choć proponuję ludziom uczciwy kurs, a nie taki gówniany jak ten w NBP, i żaden z moich ludzi nie przekręca klientów na rulon. Sto procent solidności, jak to w Poznaniu. No i dlatego dobrze wiem, za co mogli mnie zapuszkować twoi kolesie z przestępczości gospodarczej.

- Ja pierdziele, chłopie, ty nic nie kumas! Ty nie jesteś tu w jakiejś dolarowej kwestii. Ty jesteś głównym podejrzanym w sprawie zabójstwa kolejjarza z berlińskiej bany.

Lekko ironiczny uśmiech zniknął natychmiast z twarzy Rycha. Potrząsnął z niedowierzaniem głową, tak jakby właśnie wyszedł z kąpieli. Wolno obrócił głowę, spojrzał pytająco na milicjanta i wybuchnął:

- Jak, kurwa, podejrzany? Ja miałbym sprzątać jakiegoś klienta? To jest kompletna bzdura! - Grubiński nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Bzdura czy nie, ale jednak tu jesteś i łapy masz w obręczkach.

- Miruś, no to powiedz im, że ja wiem, kto to zrobił, że klienta chciałem ci wystawić i będzie po kłopotcie. Oddam ci tego gnoja, co to narozrabiał, i se go zamkniecie. Mówiłem ci przecież, że to taki jeden obszczymur, co dla mnie robił. Gościa tylko trzeba namierzyć i sprawa załatwiona.

Ale jak tu będę siedzieć w puszce, to możecie go jeszcze trochę poszukać...

- Rychu. - Brodziak położył mu rękę na ramieniu. - Rychu, on se może jeszcze długo latać po Poznaniu, ten gość, co to według ciebie jest mordercą. A wiesz czemu?

- No?

- Bo naszemu kryminalnemu specowi, temu, co cię zamknął wczoraj, wszystkie sprawy się poskładały jak kostki domina. I tak se to poukładał, że może ten twój koleś nawet i zabił kolejarza, a później strzelał do szkiełków na Strusia, ale według niego ten wywijas robił to na czyjeś polecenie, a jego szefem jesteś ty.

- Ja pierdolę, Miruś, to się nie trzyma kupy!

- Rychu, oprzytomnij wreszcie, to właśnie się ładnie zgadza, jak na lekcji rachunków dwa i dwa daje cztery.

Teofil nie jest wulkanem intelektu, ale trzeba mu przyznać, że poskładał to bardzo ładnie. Brakuje mu jeszcze tylko tego, co strzelał, i wszystkie nitki są pochwyte.

A raport o wynikach śledztwa jest już dziś w Komitecie Wojewódzkim. Tak że nie masz się co śmiać, bo to nie jest gówno, w jakie wdepnąłeś, ale beczka gówna, z której wystaje ci tylko łeb.

Gruby Rychu spuścił wzrok i zaczął się wpatrywać w czubki swoich białych adidasów. Teraz dopiero zaczęło do niego docierać to, co powiedział jego kolega. Nie miał żadnych podstaw, by przypuszczać, że Brodziak go nabiera, rzeczywiście wpadł w szambo po szyję. I co gorsza, faktycznie mogło to wszystko wyglądać jak akcja wymyślona przez niego i wykonana przez człowieka, który dla niego pracował. Zacisnął w pięści obie zaobrączkowane dłonie i uderzył się nimi mocno w kolana:

- To jest, Miruś, ale historia. Tyle że wiesz, że gówno warta.

- Tak mi się zdaje - przytaknął Brodziak.

- Ale jak będę siedział w śledczym, to ten gnój może się jeszcze stłenić i nigdy nie udowodnię, że nie miałem z tym nic wspólnego. Zresztą jaki prokurator będzie ze mną gadał? Dostanę sankcję na trzy miechy, a ten jebaniec będzie latał na swobodzie. Ale ja go mogę namierzyć pięć razy szybciej niż wy i podać ci go na tacy.

- Zapomnij, człowieku, w życiu cię nie puszcza.

- Oni nie - uśmiechnął się Gruby Rychu - ale ty mi wierzysz?

- Kurde, stary! Czego ty ode mnie chcesz?

- Pomożesz mi? Znajdziemy faceta w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Ty i ja! Razem wrócimy na komendę z tym kutasem. Miruś, ty i ja, wystarczy, że teraz wyjdziemy stąd razem na ulicę, a ja uruchomię całe miasto. On nie mógł wyparować!

- Stary, wypierdzielą mnie z firmy, a ciebie posadzą i dojdzie ci jeszcze paragraf za ucieczkę - powiedział Brodziak, ale jakoś tak niepewnie. Rychu natychmiast dostrzegł szansę:

- Ty i ja! Razem możemy zrobić wszystko, rozumiesz? - Grubiński nie dawał za wygraną, bo poczuł, że przyjaciel jest w tej chwili jego jedyną szansą.

Brodziak spojrzał w głąb korytarza. Z klatki schodowej dobiegł go śmiech, a potem

charakterystyczny, nieco piskliwy głos Olkiewicza. Teofil musiał stać na półpiętrze i rozmawiać z kimś. Pewnie opowiadał o strzelaninie i sukcesach swojego śledztwa. Ale po co schodził na dół?

Czyżby zaniepokoił się, że jego aresztowany nie dotarł jeszcze na przesłuchanie? Porucznik Brodziak spojrzął na przeszkloną ścianę dyżurki, za którą siedział milicjant w mundurze. Pomyślał o majorze Marcinkowskim i w tym momencie uświadomił sobie, po co Fred opowiadał te historie o Judaszu: Judasz był jedynym, który zrozumiał, co Jezus chciał powiedzieć. Mirek też zrozumiał i miał nadzieję, że też jest jedynym.

W jednej chwili podjął decyzję. Chwycił za łańcuch spinający dwie obrączki tkwiące na przegubach Grubińskiego i szarpnął nim, zrywając się z miejsca:

- Rychu, idziemy!

Godzina 9.50

Doktor Stefan Wolica wyszedł na korytarz i spojrzął na kierowniczkę stojącą przy ścianie naprzeciw. Kobieta natychmiast podeszła do lekarza, który obszukiwał właśnie kieszenie swojego fartucha w poszukiwaniu papierosów.

Natrafiał wreszcie na biało-granatową paczkę jugosłowiańskich DS-ów, wydobyl z niej papierosa i włożył go sobie do ust. Sanitariusz Marczak, który wyszedł z pokoju zaraz za doktorem, widząc, że jego szef chce zapalić, podał mu szybko ogień. Pomarańczowy płomień wyskoczył z tulejkowatej metalowej zapalniczki. Wolica zaciągnął się dymem, a potem spojrzął na kierowniczkę, która założywszy ręce na brzuchu, wpatrywała się w niego.

- Niech im pani wszystkim powie, żeby sobie stąd poszli.

To nie jest zbiórka przed pochodem pierwszomajowym.

Mówiąc to, wskazał ręką na grupkę kilkunastu osób, studentów i studentek, którzy zebrali się tuż koło wind.

Przyjazd pogotowia do domu studenta to w końcu nie było jakie urozmaicenie szarej akademikowej codzienności.

Ciekawe, myślał Wolica, co oni tu wszyscy robią. Jeśli to są studenci, to powinni o tej porze być na zajęciach na uczelni. Tymczasem te nieroby stoją tu i się gapią, zamiast zabrać się za jakąś uczciwą robotę. Przypomnił sobie swoje czasy studenckie i pomyślał, że teraz młodzi mają nieporównanie lepiej. On mieszkał w akademiku w pokoju dziesięcioosobowym, ale to akurat wcale mu nie przeszkadzało. Takie czasy były, że jak się chciało do czegoś dojść i skończyć studia, to człowiek nie mógł się obrażać na kiepskie warunki mieszkaniowe. No i dało się skończyć medycynę, mając na głowie dziewięciu chłopaków na dziesięciu metrach kwadratowych. Bo każdy z nich wiedział, że studia są dla nich jedyną szansą na wyrwanie się z jakiegoś zadupia, które nie dawało żadnych perspektyw. I mogli, co najważniejsze, studiować za darmo, dostawali miejsce w akademiku i jeszcze na dodatek stypendia, żeby jakoś przeżyć od pierwszego do pierwszego.

Człowiek cieszył się, że jest w wielkim mieście, może się uczyć i ma jeszcze na piwo od czasu do czasu. A ci tutaj nie dość, że ubierają się jak małpy w jakieś kolorowe ciuchy, to jeszcze mieszkają sobie w dwuosobowych pokojach z prysznicami i nawet ciepłą wodą. Niektórzy to nawet mają w tych pokojach telewizory. To i nie ma się co dziwić, że zamiast lecieć od rana na wykłady, siedzą sobie na dupie w akademiku, myślał lekarz, przyglądając się grupie studentów.

Po chwili po gapiach nie było śladu. Kierowniczka przepędziła nierobów i szybko podeszła do lekarza.

- I co z nią, panie doktorze? - zapytała.
- Z kim? - zdziwił się lekarz wyrwany z zamyślenia.
- No, z tą - kierowniczką wskazała głową otwarty pokój.
- Tu już nie doktor potrzebny, pani szanowna.

- Już lepiej się czuje, ja wiedziałam, że ona dojdzie do siebie, bo i z czego miałyby zachorować taka młoda dziewczyna...

- Pani nie rozumie, nie doktor potrzebny, ale grabarz...
- Jezus Maria! - złapała się za głowę kobieta.

Wolica spojrzał na nią niechętnie. W ciągu wielu lat praktyki w pogotowiu zdążył się przyzwyczać do najrozmaitszych reakcji ludzkich. Te wywołane informacją o czyjejś śmierci nawet potrafił sklasyfikować. Klasyfikację wymyślił sobie sam, dla zabawy, analizując wiele przypadków. Sporą grupę stanowili ci, którzy ogarnięci cichą rozpaczą zapadali się nagle w sobie. Tak najczęściej reagowali krewni czy najbliżsi, dla których śmierć stanowiła bolesną stratę. Klasyfikował ich jako mumie - najczęściej bledli i wyglądali, jakby zaraz mieli dołączyć do nieboszczyka. Im w miarę możliwości starał się pomóc. Głośno rozpaczających Wolica nazywał aktorami. Byli to według niego ci, którzy czyjąś śmierć witali z ulgą, ale zdawali sobie sprawę, że wypada rozpaczać, więc robili to głośno i soczyście. Byli też tacy, których określał mianem wariatów, bo zachowywali się tak, jakby zgon był spowodowany przez lekarza i jego obarczali za to winą. Na szczęście ta grupa była najmniej liczna.

Kierowniczką akademika należała do czwartej, chyba najobszerniejszej grupy, przez Wolice zwaną kibolami. Zupełnie obojętni i niezwiązani z nieboszczykiem, wykrzykiwali emocje, a zaraz potem wracali do rzeczywistości.

Kierowniczką była kibolem, dlatego nie zwrócił na jej wybuch najmniejszej uwagi. Spojrzał w lewo. Tam na parapecie okiennym stała puszcza po paprykarzu szczecińskim, wypełniona po brzegi petami. Wcisnął do niej swój niedopałek, zrzucając przy okazji kilka innych na podłogę. Obrócił się zaraz do sanitariusza, który stał oparty o pomalowaną na zielono ścianę.

- Panie Zdzichu, połącz się pan na portierni z milicją.

Niech pan im powie, że doktor Wolica prosi o przysłanie ekipy, bo mamy tu ciekawy przypadek.

Marczak zgasił swojego papierosa w studenckiej popielniczce i bez słowa ruszył w stronę windy.

- Ale co się mogło stać, panie doktorze. Przecież to młoda dziewczyna, taka młoda. Mogła jeszcze tyle przeżyć...

- A pani myśli, że młodzi to nie umierają - zadrwił lekarz. - Proszę zacząć działać, a nie zastanawiać się nad pierdołami. Niech pani weźmie tę dziewczynę, co ją znalazła, do siebie do pokoju i czeka tam z nią na milicję, bo za chwilę powinni tu przyjechać. A, i jeszcze jedno, tę kobietę, co była w nocy na portierni, to lepiej też niech pani zawoła, bo jak znam życie, też będą z nią chcieli się pogadać.

Kierowniczką, którą rzeczowy ton lekarza wydającego konkretne polecenia przywołał natychmiast do rzeczywistości, szybko się odwróciła i pewnym krokiem ruszyła w stronę pokoju, w którym siedziała współlokatorka zmarłej. Koleżanki z naprzeciwka zabrały ją do siebie, zresztą na prośbę kierowniczką.

Doktor Wolica patrzył na kołyszące się biodra nieco przysadzistej szefowej akademika Hanka. Typowy przykład kibola, pomyślał z satysfakcją, bo po raz kolejny przekonał się, że jego klasyfikacja

jak najbardziej przystaje do rzeczywistości. Sięgnął po papierosy, ale w tym momencie przypomniał sobie, że nie ma ognia, a sanitariusz z zapalniczką jest na dole.

Można se wymyślać najlepsze nawet klasyfikacje i dopasowywać do nich różne postawy, ale jak zapalić papierosa bez zapalek, to nie wymyślę, choćbym się tu zesrał na miejscu, zadumał się nad głębią swoich przemyśleń doktor Stefan Wolica.

Godzina 10.00

- Towarzysz sekretarz już czeka na was, obywatelu pułkowniku - powiedziała pani Halinka, sekretarka zastępcy pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR, odpowiedzialnego za sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego. Kobieta, tleniona blondynka ubrana w zielony sztruksowy kostium, poderwała się ze swojego krzesła za biurkiem z blatem na wysoki połysk i podeszła do drzwi prowadzących do gabinetu swojego szefa. Nie musiała pukać. Sekretarz wiedział, że zaraz drzwi się otworzą, bo przed chwilą na jego centralce łącznościowej rozbłysła czerwona lampka i rozległ się nieprzyjemny dźwięk dzwonka. To wystarczyło, by otworzyć szufladę i wrzucić do niej nowy numer „Playboya”, który kupił w sobotę na Łazarzu. Teraz w chwilach, kiedy nie miał nic do roboty, wyciągał niemieckojęzyczną wersję pisma i z uwagą studiował ponętne kształty pięknych modelek. Dogłębna analiza pisma, którą przeprowadzał od kilkudziesięciu minut, zaczynała się i kończyła jedynie na oglądaniu zdjęć, bo niemieckiego, niestety, towarzysz sekretarz nie rozumiał.

Był co prawda parę razy z bratnią wizytą w NRD, ale tam zdążył nauczyć się tylko mówić danke i prosit, czyli tych najbardziej potrzebnych słów, które w znacznym stopniu ułatwiały mu kontakty z towarzyszami z zaprzyjaźnionej partii.

Towarzysz Lucjan Baryła znał jeszcze parę słów w kilku innych językach, dobry den po czechosłowacku i hwała liepa po jugosłowiańsku. Ale najwięcej umiał po rosyjsku.

W tym języku prócz powitań i pożegnań umiał pięknie przeklinać, a popularne job twoju mat' należało do grupy tych najdelikatniejszych powiedzonek. Przeklinać po radziecku nauczył się podczas wspólnych ćwiczeń wojsk stron Układu Warszawskiego „Tarcza 77” prawie dziesięć lat temu, kiedy to był jeszcze porucznikiem Ludowego Wojska Polskiego, pełniącym funkcję oficera do spraw polityczno-wychowawczych swojej jednostki. Ćwiczenia trwały prawie dwa tygodnie, a on został przydzielony do sztabu radzieckiego jako oficer łącznikowy. Ta funkcja wymagała od niego tylko jednego, podtrzymywania przyjacielskich stosunków między dwiema armiami. Baryła podtrzymywał, jak mógł, dostarczając przyjaciółom, hektolitry wódki stołowej z zasobów kantyny. I nie dość że dbał w sposób wręcz pokazowy o alkohol, to jeszcze potrafił wraz z radzieckimi oficerami pić i, co ważniejsze, mało który z nich umiał dotrzymać mu kroku. Wzbudził tym prawdziwy zachwyt, a co za tym idzie, zdobył wielkie uznanie i szacunek radzieckich kolegów. Wdzięczni towarzysze postanowili nauczyć go mówić po rosyjsku.

Okazało się wkrótce, że porucznik to prawdziwy talent językowy, a najlepiej przyswaja sobie przekleństwa. Widząc jego niesłychane zdolności na tym polu, podczas codziennych pijatyk oficerowie radzieccy wręcz prześcigali się w wymyślaniu nowych, niezwykle wyrafinowanych sformułowań. Nie minęły dwa tygodnie, a Lucjan Baryła, skromny dotąd oficer polityczny z jednostki w Wałczu, stał się jednym z najlepiej przeklinających po rosyjsku oficerów wojsk Układu Warszawskiego. To zwróciło na niego uwagę przełożonych. Dzięki swojej fenomenalnej znajomości języka sojuszników, a i dzięki zażyłym znajomościom zadzierzgniętym podczas manewrów, porucznik zaczął szybko awansować i piąć się po szczeblach wojskowej kariery. W końcu, gdy przyszedł

grudzień osiemdziesiątego pierwszego roku, skierowano go na bardzo odpowiedzialną funkcję w pionie cywilnym, w Komitecie Wojewódzkim partii w Poznaniu. Partia i wojsko jednocześnie dały mu szansę wykazania się na polu bezpieczeństwa. I w ten oto sposób pułkownik Lucjan Baryła, już bez munduru, a w cywilnym garniturze, zajął fotel zastępcy pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Swoje obowiązki traktował niezwykle poważnie, mimo że o kwestiach związanych z prowadzeniem śledztwa nie miał zielonego pojęcia. Z tego względu dla niego liczył się przede wszystkim wynik, a wynik to byli zatrzymani podejrzani. Jeśli ich nie było, znaczyło to brak postępów.

Takich śledztw nie znosił i od funkcjonariuszy prowadzących wymagał jednego - szybkich aresztowań.

Od czasu, jak zjawił się w tym gabinecie, przejął nadzór nie tylko nad sprawami politycznymi, co było niejako naturalne, bo ktoś w końcu musiał z ramienia partyjnego koordynować działania służb w kwestiach związanych z politycznym wicherzycielstwem, ale także nad sprawami kryminalnymi, które mogły nosić znamiona spraw politycznych. Taką właśnie, z pogranicza tych dwóch obszarów, była sprawa, z którą przychodził do niego Żyto. Baryła już wiedział co nieco na jej temat, bo pułkownik zdał mu wstępny raport telefoniczny godzinę temu. Teraz miał powiedzieć, co zrobiono i jakie osiągnięto efekty.

Drzwi otworzyły się i sekretarka wpuściła do środka milicjanta. Na jego widok Baryła poderwał się z miejsca i podszedł do gościa z wyciągniętymi ramionami:

- Jakże się cieszę, pułkowniku, że was widzę! Oj, nieładnie, nieładnie, że mnie tak zaniedbujecie - mówił sekretarz, potrząsając ujętą oburącz dłonią milicjanta.

Żyto próbował coś powiedzieć, ale Baryła nie dawał mu dojść do słowa:

- Wy tam w tej milicji zapracowani jesteście tak bardzo, że dla przyjaciół to już zupełnie nie macie czasu. Mnie mówią o tym towarzysze z MO i nawet z innych struktur, że nie próżnujecie, a praca na waszym odcinku wre. I jak ona tak wre, to dobrze, bo to znaczy, że pracujecie dla kraju i społeczeństwa. I społeczeństwo to widzi i docenia, a z nim, czyli z tym społeczeństwem, i my widzimy i doceniamy rolę organów w naszym życiu codziennym na odcinku walki z przestępczością. Ja wiem, wiem, co chcecie powiedzieć, że obowiązki i tak dalej, i et cetera, itede. Ale ja nie mówię, że macie do mnie przychodzić tylko w służbowych sprawach, ale i także samo w sprawach pozasłużbowych, ot choćby w rodzaju towarzyskich spotkań, tak dla zwyczajnej rozmowy. No ale co tak stoimy, zamiast usiąść jak ludzie. Pozwólcie, towarzyszu pułkowniku - Baryła wskazał na dwa fotele stojące pod ścianą, rozdzielone ławą. Było to miejsce, przy którym sekretarz przyjmował specjalnych gości, bo tych, z którymi załatwiał normalne sprawy służbowe, prowadził do dużego stołu z czterema krzesłami. Skoro siadali na fotelach, znaczyło to, że sprawa ma charakter poważny, ale to akurat Żyto wiedział już, zanim przyszedł do komitetu.

Usiedli, a Baryła dalej nie dawał dojść do słowa swojemu gościowi:

- Wy, towarzyszu pułkowniku, pewnie sobie myślicie, że nam tu w komitecie to nie ma co zawracać niepotrzebnie głowy. Że my tu jesteśmy zavaleni wszystkimi sprawami z terenu całego województwa. I macie słuszną rację, jak tak myślicie, bo tych różnych spraw jest tak dużo, że i sam August tej stajni by nie dał rady. On by nie dał, a my musimy. No ale to wcale nie znaczy, że dla przyjaciół z Milicji Obywatelskiej to my czasu nie znajdziemy, choć trochę.

Jakby co, to dla was zawsze znajdzie się chwilka. Więc nie mówcie mi, że nie, i nie wykręcajcie

się sianem. Przychodźcie do nas, jak tylko znajdziecie czas. Pogadamy sobie o tym i o owym, tak, wicie, nie żeby o sprawach służbowych, ale tych okołosłużbowych, a nawet prywatnych, jak taka potrzeba wystąpi. Siądziemy wtedy, napijemy się herbaty i pogadamy. Co wy na to, towarzyszu? Będziecie zachodzić częściej?

Żyto nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć, bo niezbyt palił się do odwiedzania Baryły częściej, niż było to konieczne. A że nie wiedział, co powiedzieć, odpowiedział tak, jak to zwykle czynił w niezręcznych sytuacjach:

- Tak jest, towarzyszu sekretarzu.

- No widzicie - rozpromienił się sekretarz. - Tak po ludzku i otwarcie, jak człowiek z człowiekiem, a nie po linii służbowej czy partyjnej, to i rozmowa łatwiej idzie.

A jak tam w waszym prywatnym życiu?

- Wszystko dobrze, towarzyszu sekretarzu - wybąkał zakłopotany pułkownik.

- No to świetnie, to świetnie - ucieszył się sekretarz i zatarł ręce z radości. - No a jak z tą sprawą, co mnie o niej dziś mówiliście?

Żyto odetchnął z ulgą, bo wreszcie ta idiotyczna rozmowa przenosiła się na obszar, który miał opanowany do perfekcji.

- W kwestii morderstwa w pociągu i późniejszej strzelaniny na ulicy Strusia mogę powiedzieć, że osiągnęliśmy poważny sukces. Sprawę udało się doprowadzić prawie do końca w ciągu zaledwie kilkudziesięciu godzin.

A wszystko dzięki perfekcyjnie przeprowadzonemu śledztwu i nadzwyczajnym umiejętnościom oraz wzorowemu podejściu do obowiązków funkcjonariuszy prowadzących śledztwo.

- Sprawcy zatrzymani? - zapytał Baryła z lekkim niedowierzaniem, bo wiedział już z doświadczenia, że o sprawców właśnie było najtrudniej.

- Już teraz mogę powiedzieć, że wszystko na to wskazuje, że sprawców mamy pod kluczem.

Godzina 10.15

Teofil Olkiewicz stał w niewielkim przedsionku, skąd prowadziło przejście do zakładowego bufetu. Stał i palił kolejnego papierosa. Przed nim tkwiło dwóch sierżantów, którzy pracowali w obyczajówce. Wieść o sobotniej akcji na Strusia lotem błyskawicy obiegła całą komendę i wszyscy chcieli poznać jakieś szczegóły tego niezwyklego zdarzenia. Gość strzelający do milicjantów wydawał się takim wariatem, że warto było poświęcić parę minut na rozmowę z tym, który go zatrzymał. Dlatego Teofil puszył się jak paw i dzisiaj już po raz dziesiąty opowiadał, jak to wszystko wyglądało w sobotę, podkreślając przede wszystkim swój udział w całej akcji, no i oczywiście w pochwyceniu groźnego przestępcy, który poważił się podnieść uzbrojoną rękę przeciwko władzy ludowej. Moment, w którym ta uzbrojona ręka przywaliła w Teofilowy łeb, jakoś nie pasował do konwencji całej opowieści, dlatego skrętnie był pomijany w kolejnych jej odsłonach. Za to szaleńczy pościg za przestępcą przypominał szarżę polskiej husarii pod Kircholmem, tyle że wywołał nieporównywalnie większy skutek. Tam nastąpiło rozbitcie szwedzkiej piechoty, bez większego znaczenia dla historii oręża, tu natomiast aresztowano groźnego bandytę, co bez wątpienia zapisze się złotymi zgłoskami w dziejach kryminalistyki Polski Ludowej.

- Mówię wam, chłopaki! - pokrzykiwał Teofil, coraz bardziej podniecony, bo znów zdawało mu się, że biegnie za psem do mieszkania złoczyńcy. - Wpadłem tam za nim z pistoletem w ręce i krzykiem: stój, ty świński ryju, a pies Szarik rzucił się na niego, a za nim ja od razu i cap go do ziemi

tak szybko, że nawet nie zdążył się zdziwić i po broń nie zdążył sięgnąć, co miał ją sprytnie ukrytą w tym kolejarskim płaszczu, który wisiał w przedpokoju.

- Tej Teoś, to jak miał sięgnąć po spluwę, jak miał ją w przedpokoju, a wyście go w pokoju dopadli?

- Nie w pokoju, tylko w kuchni, ja gadam, że on się nic a nic nie spodziewał, taki był pewny swego. Myślał, że my tacy głupi są i takiego obszczymura nie dopadniemy.

A my tu raz-dwa i on już leży skuty w kajdankach.

- A tego guza na głowie to skąd masz? - spytał drugi z sierżantów.

- Łe tam, też mi coś - machnął ręką Olkiewicz. - W czasie tej pogoni czy kiedyś tam, już nawet z tego wszystkiego nie pamiętam, gdzie mi się to przytrafiło. No, ale najważniejsze - uciekł od wstydlivej kwestii Olkiewicz - najważniejsze, że teraz ta gnida siedzi już spokojnie. Znaczy się nawet zaraz mi go tu przyprowadzą na pierwsze przesłuchanie, żebyśmy se z nim pogadał trochę.

Chwilę po tym, jak Brodziak zadeklarował, że pójdzie po Grubińskiego, Marcinkowski kazał Olkiewiczowi wezwać na rozmowę zatrzymanego kolejarza. Chodziło mu pewnie o to, myślał Teofil, że skoro tym cinkciarzem, czyli zleceniodawcą, zajął się Brodziak, to oni powinni wziąć w obroty wykonawcę. Słusznie, bo w końcu Olkiewicz najbardziej palił się do rozmowy ze swoim zatrzymanym, co to go w burdelu tak urządził pistoletem. Wymyślił sobie nawet, że od razu mu odpłaci i czymś twardym w łeb przywali, ale jeśli przy przesłuchaniu chciał być obecny sam kierownik, to z tych planów mogło nic nie wyjść.

Skończy się tylko na zwykłej grzecznej gadce.

Spojrzał na swój ruski zegarek i zobaczył, że ma jeszcze chwilę. Z aresztu na Młyńskiej mogli tu być najwcześniej za dziesięć minut. W przyływie dobrego humoru wyciągnął paczkę ekstra mocnych, poczęstował obu kolegów, a potem sięgnął po swoją pistoletową zapalniczkę. Miał nadzieję, że zrobi na nich wrażenie tym niecodziennym przedmiotem, ale zawiódł się. Nikt z obecnych nie zwrócił na nią specjalnej uwagi. Wydawało mu się, że używa jej tylko w specjalnych sytuacjach, jednak było ich tak dużo, że koledzy z komendy przyzwyczaili się do tych pokazów, Teofil schował zapalniczkę do kieszeni i nagle zobaczył w głębi korytarza ducha. Duch miał prawie dwa metry wzrostu i sto dwadzieścia kilo żywej wagi, ubrany był w cywilne ciuchy, a na głowie miał bijący z daleka bielą bandaż. Był to Grzechu Kowal, który z szerokim uśmiechem na twarzy szedł rozchwianym, rzec można marynarskim krokiem w kierunku Olkiewicza.

- Jezus Maria, Grzechu, niech cię drzwi ścisną! Już się wylizał, ty cholero jedna! - zawołał autentycznie uradowany Teofil. - Myślałem, że będziesz z miesiąc na L-4 siedział w chacie i będę musiał po ciebie wysłać radiowóz, żeby cię na okazanie podejrzanego dowieźć.

- W domu to wiara umiera, a ja chcę jeszcze pożyć zaśmiał się Grzechu, witając się ze wszystkimi. - To, co dostałem przez łeb, to zdarło mi tylko skórę trochę i włosy przypaliło, ale na szczęście kość nienaruszona, tak że miałem chłopaki farta jak nic. Gorzej ma się ten kutas, co do mnie strzelał, bo zanim mi przyładował, trafiłem go dwa razy, o tu, w ramię, a potem widziałem, że gdzieś w okolicach, o tu...

Teofil Olkiewicz spojrzał na Kowala z niedowierzaniem, zamrugnął nerwowo i odciągnął wielkiego kolegę na bok.

- Musimy natychmiastowo pójść se... - wyjaśnił zdziwionym milicjantom. Gdy upewnił się, że nikt nie może ich już usłyszeć, przyciągnął Kowala najbliżej, jak mógł.

- Grzechu, co ty pierdzielisz, chyba cię musiał ten gość w rozum trafić! Tyś go wcale nie ranił,

ale on ciebie.

- Ady tam zaraz! Ni ma gadki - zaśmiał się Kowal. - Jak go pierwszy raz trafiłem, to było akurat w ramię, bo mu zaraz graba zwisła jak mokra szmata, to on wtedy jeszcze nie trafił we mnie, więc wiem, co gadam.

- No ale ten, cośmy go zatrzymali, znaczy się co ja go zatrzymałem, to w ogóle nie jest ranny...

- Jak nie jest ranny, to znaczy tylko tyle, Teoś, żeś, chłopie, zatrzymał nie tego, co trzeba.

Godzina 10.25

Pułkownik Żyto skończył relacjonować przebieg wypadków, sięgnął po szklankę herbaty, którą przed chwilą postawiła przed nim sekretarka Baryły, wypił niewielki łyk dla zwilżenia zaschniętych warg, a potem spojrzał na sekretarza. Wiedział, że może mu spojrzeć prosto w oczy, po to, co przed chwilą powiedział, miało swoją wagę. Bilans był prosty: morderstwo w pociągu, na razie nie wiadomo z jakich powodów, w ciągu zaledwie paru godzin ekipa śledcza po wnikliwej analizie sytuacji typuje lokal, w którym może przebywać podejrzany, funkcjonariusze wkraczają do akcji, przy próbie zatrzymania dochodzi do strzelaniny, jeden z milicjantów zostaje poważnie ranny, drugi na szczęście powierzchownie, w końcu, w wyniku pościgu, sprawca zostaje schwytyany i aresztowany. Następnego dnia prowadzący śledztwo ustala, że zleceniodawcą i szefem zatrzymanego bandyty jest znany w miejscowym półświatku handlarz walutą. Także i jego udaje się zatrzymać. Wynik jest więc imponujący. W kilkanaście godzin od ujawnienia brutalnego morderstwa wykonawca i zleceniodawca już siedzą w areszcie. Teraz trzeba było tylko znaleźć motyw i będzie można występować do prokuratury. Ale z motywem to Marcinkowski pewnie szybko sobie poradzi. Żyto wierzył w swoich ludzi, a w majora szczególnie. W końcu sam go wszystkiego nauczył. To przy nim Fred, który przyszedł do poznańskiej komendy zaraz po szkole oficerskiej, stawiał pierwsze kroki. Dlatego pułkownik traktował go trochę niczym stary profesor swego najzdolniejszego ucznia.

Baryła zmarszczył brwi i spojrzał uważnie na milicjanta:

- Wiecie, towarzyszu pułkowniku, że jako wojskowy to ja nie lubię częściej gadaniny. Znaie mnie nie od dziś i wiecie dobrze, jaki jestem. Dla mnie przede wszystkim liczą się konkrety. To tak jak w wojsku. Dowódca wydaje rozkaz i żołnierze idą do boju, a efekt to albo zdobycie jakiegoś terenu, opanowanie go i utrzymanie, albo zupełnie na odwrót, czyli niezdobycie, nieopaniecie i wycofanie.

To, co wyście mnie tu dziś powiedzieli, to ja wam muszę powiedzieć, że jest to jak dobrze przeprowadzony wypad na tyły wroga i opanowanie przyczółka do rozwinięcia ofensywy. Znaczy się, towarzyszu pułkowniku, wasi żołnierze, to znaczy wasi funkcjonariusze, wykonali swoją robotę modelowo.

- Dziękuję, towarzyszu sekretarzu - uśmiechnął się Żyto zadowolony z pochwały - ale nie zapominajcie, że mamy przed sobą jeszcze masę roboty, Przesłuchania znalezienie motywów, może przyznanie się do winy zatrzymanych, to potrwa jeszcze jakiś czas.

- E tam, pułkowniku - machnął ręką Baryła - to już wasza milicyjna robota i ja tam nic do niej nie mam, róbcie wy swoje i doprowadzajcie sprawę do końca. A ja już tam zaraportuję do Warszawy, żeście się sprawili raz-dwa, na piątkę z plusem. No ale powiedzcie mi jeszcze, który to z waszych orłów tak się wyróżnił w tej akcji, żeby mógł jego dane dać do góry, żeby tam wiedzieli, że u nas ludzie z najlepszego sortu.

- Sprawę poprowadził i ujął tych dwóch bandytów chorąży Teofil Olkiewicz z zespołu majora Marcinkowskiego.

Baryła szybko zapisał na kartce oba nazwiska i wyjaśnił:

- Za chwilę wysyłam teleks do Warszawy, więc rozumiecie, że trzeba im powi edzieć, kto tu za sprawą stoi. A tam już niech pomyślą, co z tym dalej zrobić, i może nawet o jakiejś nagrodzie pomyślą dla nich. No co, towarzyszu pułkowniku, może by tego młodego wyróżniającego się chorążego awansować, co wy na to?

- Tak po prawdzie to on nie jest młody, to stary podoficer śledczy.

- No to jak stary, znaczy się niedoceniony przez lata, a tu proszę, jak brawurowo akcję zaplanował i wykonał.

Trzeba będzie mu pokazać, że cenimy najlepszych.

Baryła wstał, podszedł do wielkiej meblościanki ze Swarzędza, która przesłaniała całą jedną ścianę jego pokoju, i otworzył podświetlany barek, by wyciągnąć ze środka brązową pękatą butelkę i dwie szklanki. Wrócił na swoje miejsce, po czym podsunął szklankę pułkownikowi.

- Wiecie, towarzyszu Żyto, że nie toleruję alkoholu w pracy. Na stanowisku pracy, tak samo jak na pierwszej linii frontu, powinniśmy zachowywać trzeźwość umysłu, bo w końcu partia powierzyła nam w pełnym zaufaniu kierownicze odcinki nie po to, żebyśmy kierowali nimi pod wpływem alkoholu. Ale bywają sytuacje specjalne, w których niewypicie jednego, powtarzam, jednego głębszego byłoby niegrzeczne, a nawet i obraźliwe dla rangi wydarzenia. A tu właśnie mamy takie wydarzenie, które akuratnie nam pasuje do wypicia po szklaneczce. Nie po kieliszeczku, jak to ci, co to ą-ę na francuskich salonach, ale normalnie, po naszymu, po wojskowemu, po polsku, po szklaneczce. No i dobrze się składa, że mam akurat w swoim barku na takie specjalne okazje butelkę bułgarskiego koniaku „Slanczew Brjag”.

Sekretarz napełnił obie szklanki po brzegi złotobrazowym płynem. Ujęli je bez słowa i wypili do dna jak starzy, zaprawieni w bojach frontowcy. Żaden nawet się nie skrzywił. W końcu był to tylko słodkawy bułgarski koniak, którego nawet nie trzeba było popijać.

Godzina 10.30

Stachu Łopata patrzył przed siebie i wcale nie podziwiał pięknych skłębionych chmur zapowiadających deszcz, jakie przepływały na błękitnym niebie ponad dachami kamienicy po drugiej stronie ulicy Kochanowskiego. Postronny widz mógłby pomyśleć, że zapatrzył się w niebo, jednak baczniejszy obserwator zauważyłby, że siedzący w pokoju przesłuchań mężczyzna zupełnie nie dostrzegał chmur, bo patrzył nie na obłoki, ale na swoją przyszłość, która w tej chwili nie wydawała mu się zbyt ciekawa. Od kiedy zatrzymano go w jego własnym mieszkaniu tuż po zjedzeniu kotleta schabowego z pyrami i z kapustą, cały poukładany dotąd świat zawalił mu się kompletnie. Dotąd było tak: praca, dom, obiad, telewizor, kolacja, telewizor, czasem jakaś flaszeczka z sąsiadem czy wyjście na piwo z kolegami, spanie i znowu praca. W sumie życie pełne ciekawych i interesujących zdarzeń w postaci nowych filmów w telewizji i niespodziewanych butelek wódki z sąsiadem Malickim albo z tym drugim, Walenczewskim, co mieszkał w domu naprzeciwko. I nagle, zupełnie nie wiedzieć czemu, ten jego poukładany i starannie co dnia zaplanowany świat runął z wielkim hukiem.

Nie dość, że mnie aresztowali, to narobili mi jeszcze wstydu przed sąsiadami. Wyprowadzili mnie z chaty w kajdankach jak najgorszego penera. Baby i dzieciaki pokazywali mnie paluchami, jakbym im matkę i ojca zarznął, myślał Stachu. A przecież był najzupełniej niewinny. Chciał tylko człowiekowi pomóc. Zrobił głupotę, to prawda, wziął ten pistolet, co go znalazł tam przy torach, i to

był największy błąd. Bo jak już go znalazł, to zaraz trzeba było polecieć na komendę i powiedzieć szkiełom, co się stało, analizował dalej swoje postępowanie. Ale nie, on głupi pomyślał se, że trzeba najpierw pójść do domu i się zastanowić, przemyśleć całą sprawę dokładnie i wtedy podjąć decyzję, co zrobić. No a że nie przemyślał i nie podjął decyzji, tylko najedzony i napity siadł przed telewizorem, to teraz ma za swoje, bo milicja w tym czasie nie przemyśliwała niczego, tylko działała. I to działała tak szybko, że za chwilę byli już u niego i na tłumaczenia zabrakło czasu. Skuli go, wsadzili do suki i zawieźli na Młyńską, przy okazji jeszcze po drodze spuszczać niezłe manto. Na nic zdały się zapewnienia, że to nie on, że nic nie zrobił i że jest niewinny. Zomowcy wcale tego nie słuchali, tylko lali, gdzie popadło, tak że z samochodu musieli go wynieść, bo sam nie mógł pójść do celi.

Gdy go wywołali dziś rano, myślał, że lanie się powtórzy, ale na szczęście nic się takiego nie stało. Wsadzili go do auta i zawieźli na komendę. Tu od konwojenta przejął go jakiś miły i uśmiechnięty chłopak w cywilu i zaprowadził do tego pokoju, w którym teraz siedział. Kazał mu czekać, aż przyjdzie śledczy, i zaraz potem zniknął, pozostawiając go z niewesołymi myślami. Stachu Łopata przeanalizował sytuację i stwierdził, że wszystko przemawia przeciw niemu. Najgorszy był ten pistolet, który znaleźli w jego kieszeni. Musi więc przekonać szkiełów, że chciał rzeczywiście pójść na posterunek i opowiedzieć o tym dziwnym facecie, z którym spotkał się przy torach. Tylko czy mu uwierzą? Bo jeśli nie, to jest głęboko w dupie, tak jak jeszcze nigdy nie był. Zdażył się zorientować z rozmów, jakie między sobą prowadzili wiozący go do aresztu zomowcy, że zatrzymano go, ponieważ ktoś postrzelił milicjantów. Stachu nie był aż tak głupi, żeby nie powiązać tych spraw. Uciekający kolejarz, broń znaleziona przy torach i on idiota, co ją bierze do kieszeni i idzie se najspokojniej w świecie do domu. Wszystko było więc przeciw niemu, okoliczności i podejrzenia milicjantów.

Mogło się to zakończyć dobrze tylko pod jednym warunkiem: że mu uwierzą. Jeśli nie będą chcieli słuchać jego wyjaśnień, mogło być fatalnie.

Nagle usłyszał, że drzwi za jego plecami otwierają się.

Nie śmiał się odwrócić, żeby nie sprowokować jakiejś niepotrzebnej nerwowej reakcji milicjantów. Siedział spokojnie, a głowę na wszelki wypadek pochylił, zatrzymując spojrzenie na swoich czarnych kolejarzskich butach bez sznurowadeł.

Zorientował się, że do pomieszczenia weszło dwóch ludzi. Stanęli przed nim.

- Zatrzymany wstać! - rozkazał stanowczym tonem ten, który był bliżej. Stachu podniósł się. W niepozornym, niskim łysiejącym grubasie w opiętej marynarce natychmiast rozpoznał milicjanta, który był przy jego aresztowaniu. To był ten sam facet, który odgrażał się, że on, Stachu Łopata, szybko z pierdla nie wyjdzie.

Drugi, również ubrany po cywilnemu, był znacznie wyższy i potężniejszy, a do tego głowę miał szczelnie owiniętą bandażem.

- No i co? - zapytał ten mały wielkoluda. Zapytany jeszcze raz obrzucił uważnym spojrzeniem Stacha Łopatę, a później zwrócił się do kolegi:

- No i dupa, panie chorąży. Możesz go spokojnie wypuścić. Tamten był nabity jak baleron, a ten to sznurek od snopka, nie nasz bandzior.

- Jesteś pewny? - nie mógł jeszcze uwierzyć chorąży Olkiewicz, bo cały jego sukces operacyjny rozsypywał się właśnie w drobny mak. - Popatrz, on miał przecież w kieszeni pistolet.

- Bo ja znalazłem tego gnata przy torach, jak ten facet, znaczy się kolejarz cały zakrwawiony

wleciał na mnie, jakżem wracał z roboty... - wtrącił się Stachu.

- Jaki kolejarz? - zapytał Grzechu Kowal.

- No w kolejarskim płaszczu, z mordą jak u buldoga - Łopata wyjaśniał szybko, widząc w tym swoją szansę. - A pistolet musiał upuścić, jak na mnie wleciał i potem przez tory przeleciał i wskoczył do śląskiego składu, co szedł pusty z węglarek złożony w kierunku na Katowice przez Ostrów i Kluczbork.

Zły jak diabli chorąży Olkiewicz zmierzył zatrzymanego nieprzyjaznym wzrokiem, a potem spojrzał już całkiem bezradnie na Grzecha Kowala:

- No to co teraz robić? - zapytał.

- Teraz to chyba musisz pojechać se do Katowic - zaśmiał się sierżant Kowal.

Godzina 12.30

Fred Marcinkowski nie lubił zwoływania narad całego zespołu. Wolał załatwiać wszystkie kwestie bezpośrednio z zainteresowanymi funkcjonariuszami. Tak było zdecydowanie wygodniej, bo lubił rozmawiać z ludźmi mniej oficjalnie, zaś narada całego zespołu zawsze miała w sobie coś z zebrania partyjnego, czego szczerze nienawidził.

Zagajenie prowadzącego, naświetlenie sytuacji i wolne wnioski. Czulo się podczas takich narad, że ludzie chowają swoje przemyślenia, boją się otworzyć, jakby wszystkiemu przysłuchiwał się czynnik oficjalny w postaci sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. Dopiero później, już w osobistej rozmowie, otwarcie wyrażali swoje zdanie i dzięki temu o prawdziwych poglądach podwładnych Fred dowiadywał się u siebie w pokoju albo na korytarzu. Ale dzisiaj major zwołał zebranie zespołu, bo sytuacja skomplikowała się tak bardzo, że musiał oficjalnie zająć stanowisko. Przede wszystkim, oficjalnie najwyższe czynniki wiedziały już, że są bliscy zakończenia śledztwa.

Tymczasem okazało się, że dwa aresztowania dokonane przez Olkiewicza to strzały tylko na wiat. Jeden z aresztowanych, kolejarz Łopata, był Bogu ducha winnym kretynem, który schował do kieszeni pistolet, a drugi...

- Dlatego postanowiłem, że porucznik Brodziak wraz z zatrzymanym... - tu spojrzał do swojego notatnika, jakby wśród zapisków chciał teraz odnaleźć doskonale mu znane nazwisko - ...wraz z zatrzymanym Ryszardem Grubińskim spenetrują lokalne środowisko przestępcze w poszukiwaniu osoby, która strzelała do funkcjonariuszy na Strusia.

- Jak to? - zdziwił się podporucznik Chudecki, milicjant, który zaledwie trzy miesiące temu dołączył do zespołu.

Jeszcze niewiele umiał i niewiele zrobił, a już zdążył zrazić do siebie większość kolegów. Marcinkowski uważał go za przemądrzałego gówniarza, niemającego pojęcia o robocie. Co gorsza, jego wiedza o kwestiach kryminalnych niewiele mogła się zwiększyć, gdyż kompletną ignorancję połączoną z głupotą starał się pokryć zarozumiałością.

„Typowy przykład kretyna”, oceniał go major. O takich ludziach mówił, że nie rokują na przyszłość. Chudecki nie rokował już od pierwszego tygodnia swojego pobytu w komendzie i każdy dzień jego pracy udawadniał Fredowi, że w tym wypadku się nie mylił.

- Obywatel major zgodził się wypuścić podejrzanego.

A jeśli on ucieknie porucznikowi Brodziakowi? Nie można przecież wykluczyć, że ten człowiek jest zamieszany w całą sprawę - perorował Chudecki.

- No właśnie - poparł go siedzący przy końcu długiego, przykrytego zielonym suknem stołu

Olkiewicz. - Jest zamieszany, bo go wskazał Rajmund Dutka, którego ja znam dobrze, a nawet osobiście.

- Tego Grubińskiego zna również osobiście Brodziak i jak zauważyłeś - Marcinkowski zwrócił się wprost do Olkiewicza - ten facet jest jego kontaktem operacyjnym, który przed aresztowaniem miał mu wystawić bandytę, tego, co strzelał do was na Strusia. Uznałem więc, że trzymanie go w areszcie mija się z celem i pozwoliłem Brodziakowi, by sprawował nad nim osobistą kontrolę. O postępach w działaniach operacyjnych będzie mnie sam informował.

- Obywatelu majorze, a jeśli on zwieje... - nie dawał za wygraną Chudecki.

- Jeśli zwieje, poruczniku, to będziecie go szukać. Ale na razie przydzielam panu sprawę pasażerów pociągu.

Proszę sprawdzić dane o osobach w Berolinie kontrolowanych na przejściu granicznym. Dostaliśmy je od straży granicznej i od celników. Z każdym z tych ludzi trzeba porozmawiać i wypytać, czy czegoś nie zauważyli. Ponadto każdy z nich jechał z kimś, jakimś znajomym, krewnym.

Musimy dotrzeć do wszystkich. Zrozumieliście, poruczniku? W tej sprawie proszę współdziałać ze wszystkimi terenowymi komendami właściwymi dla miejsca zameldowania spisanych pasażerów.

Chudecki zrobił kwaśną minę i uciekł spojrzeniem pod stół. Dostał najpaskudniejszą robotę pod słońcem, ale był przekonany, że sobie poradzi. W końcu nie musi rozmawiać z każdym z pasażerów. Od tego są funkcjonariusze w komendach. On wyda im tylko odpowiednie instrukcje.

- Teraz sprawa tego strzelca ze Strusia. Grzechu Kowal jest przekonany, że facet został postrzelony przynajmniej dwa razy. Raz w ramię i drugi raz gdzieś w okolice brzucha.

- Jak nic, dostał w bebechy - potwierdził sierżant Kowal.

- W takim razie porucznik Adamski... - tu spojrzał na pięćdziesięcioletniego szpakowatego mężczyznę w grubych okularach, przypominającego buchaltera z GS, który cały czas pilnie notował coś w zeszycie. Gdy major wymienił jego nazwisko, momentalnie się wyprostował, jak żołnierz podczas przyjmowania rozkazu. - Porucznik Adamski weźmie na siebie wszystkie szpitale, przychodnie i praktyki prywatne od Poznania w stronę Katowic.

Chodzi oczywiście o trasę kolejową. Wszystkie komisariaty oraz placówki medyczne mają dostać teleks z informacją o poszukiwanym. Tam, gdzie nie ma teleksów, trzeba zadzwonić.

Adamski skinął głową na znak, że zrozumiał. Nie miał żadnych pytań w tej kwestii. Zresztą nigdy nie miał żadnych pytań. Robił to, co mu kazano, dobrze i dokładnie, choć powiedzieć można, że bez specjalnego polotu.

- No i pozostaje jeszcze ostatnia kwestia. Szeregowy Blaszkowski znalazł w naszych papierach dalekopis z Katowic. Jest sprzed kilku miesięcy i informuje o pewnej ciekawej sprawie. Doszło tam do zabójstwa kolejjarza.

Zgadnijcie, panowie, w jaki sposób zginął ten człowiek?

Spojrzał po twarzach zebranych przy stole mężczyzn.

Tych na samym końcu prawie nie było widać zza kłębow papierosowego dymu. Siedzący tuż obok majora Blaszkowski wyciągnął z szarej teczki dokument i puścił w obieg, podając go najpierw Chudeckiemu, którego miał tuż obok, na prawo od siebie.

- Cholera - powiedział porucznik po przeczytaniu tekstu dalekopisu i podał kartkę dalej. Po pięciu minutach wszyscy już wiedzieli.

- W tej sytuacji myślę, że najlepiej będzie wysłać tam kogoś od nas, żeby w Katowicach zorientował się w sytuacji i zapoznał się z ich wynikami śledztwa. - Marcinkowski spojrzał na

Olkiewicza: - Teofil, ty mówiłeś kiedyś, że tam w wojewódzkiej masz jakiegoś starego kumpla.
Może dobrze byłoby, żebyś go odwiedził?

Rozdział VII

Wtorek, 11 marca, godzina 6.45

Pociąg pospieszny Wielkopolanin relacji Poznań-Katowice właśnie mijał dworzec kolejowy w Kórniku. Maszynista nawet nie zwolnił. Przejechał przez miejscowość w pełnym biegu, ostrzegając wszystkich przeciągłym wyciem syreny, i pognął w kierunku Śląska. Poważny pospieszny z Warszem w składzie zatrzymywał się na większych stacjach, w Ostrowie Wielkopolskim, Kępnie czy Kluczborku.

Teofil Olkiewicz ubrany był w przepisowy mundur, którego szczerze nie znosił. Lubił swoją wyświechtaną marynarkę, nieco przykrótkie czarne spodnie, a przede wszystkim swój płaszcz a la porucznik Columbo. Tymczasem dziś rano musiał założyć mundur, bo jechał w służbową delegację i w komendzie w Katowicach czekało go spotkanie z tamtejszym szefem wydziału kryminalnego, więc nie mógł się pokazać w cywilu. Cierpiał teraz podwójnie, raz, że źle się czuł w uniformie, a dwa, że irytowały go niezbyt życzliwe spojrzenia współpasażerów, którzy musieli należeć do części społeczeństwa niezbyt lubiącej funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Próbował nawiązać rozmowę z mężczyzną siedzącym obok, ale ten, podobnie jak kobieta z przeciwka, zbył jego odzywki i zaraz zatopił się w lekturze gazet. Oboje wyraźnie dali mu do zrozumienia, że nie mają ochoty z nim rozmawiać. Siedział więc naburmuszony i patrzył przez okno.

Gdy przejeżdżali przez stację, Teofil zauważył tablicę z dużym czarnym napisem „Kórnik”. Uśmiechnął się pod nosem, bo zawsze bawiła go ta nazwa. Zaraz jednak przypomniał sobie wszystko, co wydarzyło się poprzedniego dnia, i uśmiech momentalnie zniknął mu z twarzy. Wściekły gapił się przez okno na migające w dali budynki rozłożone na bezbarwnych, marcowych polach. Vis-a-vis niego siedział młody Błaszkowski, który zupełnie niepotrzebnie jechał też do Katowic. Teofil uważał, że sam sobie da doskonale radę w tej misji, ale Marcinkowski się uparł i nie było dyskusji. Trzeba było wziąć tego smarkacza, który tam na Śląsku będzie mu się tylko pętał pod nogami. Dlatego Olkiewicz myślał teraz, w jaki sposób pozbyć się młodego. Nie powinno być z tym większego kłopotu, zwłaszcza że w tamtejszej Komendzie Wojewódzkiej pracował jego dawny kolega Erwin Pytlok. To właśnie z Erwinem porozumiał się wczoraj telefonicznie w sprawie swojego przyjazdu na Śląsk i w kwestiach pomocy w śledztwie.

Pytlok z ochotą zadeklarował pomoc, zwłaszcza że nie miał, jak sam wyjaśnił, nic wielkiego do roboty. Ostatnio zajmował się tylko kradzieżami samochodowymi, które od jakiegoś czasu stawały się prawdziwą plagą. Jednak śledztwa dotyczące okradanych aut nie rokowały większych nadziei. Przypadków takich kradzieży w Polsce było tak dużo, że ich sprawcy mogli praktycznie czuć się bezkarni.

Rozkaz wyjazdu Olkiewicza i Błaszковского poszedł jeszcze wczoraj teleksem do Katowic, a odręczne pismo od majora Marcinkowskiego do szefa wydziału kryminalnego tamtejszej komendy z prośbą o ułatwienie pracy Teofil wiozł w swojej torbie.

- Twoje śledztwo, Teoś, trochę się rozjechało - skomentował wczoraj całą sprawę Marcinkowski, a żart Grzecha Kowala, że będzie teraz musiał jechać do Katowic, stał się ponurą prawdą. Teofil ponad wszystko nie cierpiał nigdzie jeździć. W pociągu czuł się uwięziony i osaczony przez współpasażerów. Nic dziwnego, w końcu PKP nie zapewniały wielkich luksusów i pociągi były przeważnie zapchane do granic możliwości. Dlatego gdy okazało się, że jego wyjazd jest nieodwołalny, zadzwonił na informację i znalazł pociąg, w którym wykupywało się miejscówki. Dzięki temu mógł wygodnie siedzieć przy oknie, podziwiając krajobrazy albo z wyższością przypatrując się biedakom stojącym jeden przy drugim na korytarzu.

Kasy sprzedawały na ten kurs także bilety bez rezerwacji, choć kasjerka informowała, że bilet bez miejscówki to stanie w przejściu. Ale ludzie wiedzieli o tym doskonale, bo PKP praktykowały to powszechnie. Gorzej było na najbardziej uczęszczanych trasach, wtedy pasażerowie bez miejscówek zajmowali nie tylko korytarze, ale także przejścia między wagonami i toalety. W pociągu, którym podróżował Teofil, na szczęście nie było tak tłoczno. Dawało się przejść do ubikacji, a nawet do Warszawy. Tyle że Teofil wcale nie miał zamiaru przeciskać się do baru.

Na razie.

Patrząc na przesuwane się za oknem pola, Olkiewicz analizował sytuację. Miał wrażenie, że wszystko, co osiągnął w trakcie śledztwa, to była jedna wielka porażka. Aresztowany kolejarz nie był mordercą ani nawet nie strzelał do milicjantów. Zatrzymany cinkciarz zniknął razem z Brodziakiem, który, jak wyjaśnił Marcinkowski, miał do niego prawo, bo był to jego kontakt operacyjny i pomagał mu w ujęciu groźnego przestępcy. A skoro był kontaktem, to nie był winny. Jedyne, co Teofilowi pozostało w ręce, to jakaś niepewna informacja o tym, że postrzelony przez Kowala bandzior uciekał pociągiem w kierunku Śląska. Ale przecież wcale nie musiał na ten Śląsk dojechać. Mógł wyskoczyć z pociągu choćby w Kórniku.

Czy aby major Marcinkowski nie wysyłał go do Katowic, żeby nie narobił znów jakichś głupstw i żeby sam mógł spokojnie poprowadzić śledztwo? - zastanawiał się Teofil, ale poczuł, że od tego myślenia zaczyna go boleć głowa. I to przywróciło mu równowagę ducha i optymizm.

Bo Teofil Olkiewicz znał na tę dolegliwość tylko jedno wypróbowane i sprawdzone niejednokrotnie lekarstwo.

Wstał z siedzenia i sięgnął na półkę bagażową po swoją torbę. Zdjął ją i wydobył ze środka termos. Ale w termosie nie woził jak większość pasażerów kawy czy herbaty. On przed wyjazdem napełnił naczynie po brzegi wódką wyborową, tą lepszą, ze srebrną naklejką. Popatrzył z radością na metaliczną tuleję termosu, przypominającą swym kształtem pocisk armatni, a potem znów usiadł na swoim miejscu.

Zmieściło się trochę ponad pół litra, to oszczędnie rozpiję se to do samych Katowic - pomyślał Teofil i nagle poczuł, że sama myśl o wódce w termosie wystarczyła, by ból głowy zaczął mijać.

Godzina 7.00

Wiesz co, ja naprawdę nie wiem, o której dziś wrócę.

Wszystko się tak pochrzało przez tego Teofila, że teraz nieźle będę się musiał sprężyć, żeby to poodkręcać. I najgorsze, że nie mam nikogo rozsądnego do pomocy.

- No jak to? - zdziwiła się Grażyna, nachylona nad Filipem. Mały skończył przed chwilą jeść i teraz, sapiąc głośno, przygotowywał się do pośniadaniowej drzemki. - A co z Mirkiem Brodziakiem, przecież zawsze razem pracujecie przy wszystkich sprawach?

- Cholera! - jęknął Fred, bo poczuł, że stępiona już mocno żyłotka polsilver zadrapała mu policzek. Od miesiąca golił się ostatnim nożykiem, bo nie miał żadnego innego na wymianę. A w kioskach, niestety, od jakiegoś czasu żyłtka były całkowicie nieosiągalne. Mógł co prawda kupić ruskie na Łazarzu, ale na tę gemelę trzeba by specjalnie pojechać, a nie miał na to ostatnio zbyt wiele czasu.

Doczekał się zatem krwawiącej rany na twarzy. Spłukał szybko resztki piany, natarł policzki i brodę wodą brutal, znacznie bardziej ekskluzywną niż zwykła przemysłówka, a na rozcięcie przykleił kawałek papieru toaletowego, by zatamować krwawienie.

- Co mówisz? - Grażyna stanęła w drzwiach łazienki.

- Nic, zaciałem się tylko i teraz będę chodził przez cały dzień z poraszplowanym pyskiem. - Odwrócił się do żony, by mogła zobaczyć papierowy tampon. - A z Mirasem to jest problem. Zwinął mi głównego podejrzanego, który siedział w areszcie, i razem z nim rozpułnął się w powietrzu. W sumie nie powinienem mieć do niego pretensji, ba, właściwie to ja mu podpowiedziałem takie rozwiązanie. A on nie jest głupi, zrozumiał, co miałem na myśli, i zaraz z tego skorzystał. Teraz będę musiał się tłumaczyć Żytniemu... Mam nadzieję, że Miras da sobie radę i ta jego akcja przyniesie skutki. Żeby tylko nie wyszła z tego jakaś chryja.

- Słuchaj, Mirek chyba wie, co robi, prawda?

- Tak, wie... Wierzę mu i ufam jako doświadczonemu glinie, dlatego teraz go kryję i właściwie też kryję siebie samego.

Ich śledztwo, które tak ładnie wyglądało wczesnym rankiem, już po kilkudziesięciu minutach zaczęło się sypać w pokazowy sposób. Najpierw Kowal wyeliminował pierwszego podejrzanego, potem Brodziak zniknął z drugim. Innymi słowy, nie mieli nic. Normalnie powinien się wkurzyć, w końcu przedstawił wszystko pułkownikowi jako sukces wydziału, a później wyszło, jak wyszło, więc teraz coś mu mówiło, że nie ma powodu do niepotrzebnych nerwów. Z jakiej racji miał być zły na Olkiewicza, który zbyt pośpiesznie wyciągnął wnioski? Przecież złapał faceta z pistoletem, a że nie tego, co trzeba... Do tego wszystkiego jeszcze Brodziak z Grubym Rychem do spółki.

Jeśli nic nie wyjdzie z ich wspólnego śledztwa, to wszyscy razem, łącznie z nim, dowódcą, który zgodził się na te harcerskie podchody, mogą mieć poważne problemy. No ale miejmy nadzieję, pocieszał się Fred, że Mirek potrafi sobie poradzić, a Gruby Rychu, człowiek z rozległymi kontaktami w poznańskim półświatku, dotrze szybko do tego, który strzelał do milicjantów, i wystawi go Brodziakowi. Jeszcze wczoraj po południu Brodziak zadzwonił do niego. Przeprosił, zresztą zupełnie niepotrzebnie, za to, że wziął sprawę w swoje ręce. Zrozumiał aluzję o Judaszu i dlatego postanowił działać. Jeśli nic z tego wszystkiego nie wyjdzie, dodał, i sprawy przybiorą zły obrót, to on już ma przygotowany sznur, żeby się powiesić. Powiedział to żartobliwym tonem, zresztą Fred znał go doskonale i wiedział, że Brodziak był ostatnią spośród znanych mu osób, którą mógłby posądzić o skłonności samobójcze. No chyba żeby naprawdę chciał zapić się na śmierć. W to major mógłby jeszcze uwierzyć.

Marcinkowski postanowił sam zająć się śledztwem, gdyż obawiał się, że może ono potrwać jeszcze długi czas.

Trzeba było przede wszystkim poszukać ludzi jadących berlińskim pociągiem w wagonie, w którym doszło do morderstwa, no i w mieście znaleźć tę rudą dziewczynę, którą widział Teofil na Strusia. Ona mogłaby wiele wyjaśnić.

Przypomniawszy sobie minę Olkiewicza, gdy wszystko mu się rozsypało i później, gdy kazał mu

jechać do Katowic.

Katowice były ważne. Nie posyłałby tam ekipy tylko po informację o rannym bandycie jadącym pociągiem towarowym. Facet w końcu będzie musiał trafić do jakiegoś lekarza i wtedy się go namierzy, zwłaszcza że każda przychodnia, szpital czy gabinet mają obowiązek natychmiastowego meldowania milicji o przypadkach udzielenia pomocy osobom z ranami postrzałowymi. Nie, powodem wysłania obu milicjantów do Katowic była informacja, którą wygrzebał w papierach młody Blaszkowski. Chłopak czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, meldunki z całej Polski, które walały się na biurkach wydziału, skrzętnie zbierał i gromadził w jakichś teczkach. Zanim Młody trafił do nich, te śmieci po jakimś czasie najzwyczajniej w świecie się wywalało. A on nie dość, że nie wyrzucał, to jeszcze czytał i co ważniejsze, zapamiętywał szczegóły. Tak właśnie było z tymi obciętymi dłońmi. Gdy tylko usłyszał o morderstwie w pociągu, zaraz pobiegł do jakiejś szafy, pogrzebał w stercie papierów i po chwili wyciągnął dalekopis z Katowic. Tamtejsza komenda informowała w nim o morderstwie kolejjarza, które było, jak wynikało z opisu, niemal identyczne z tym z Poznania. Dlatego teraz Blaszkowski wraz z Teofilem siedzieli właśnie w pociągu Wielkopolanin.

Teraz najważniejsze, jak te wszystkie komplikacje Olkiewiczowego śledztwa sprzedać pułkownikowi, zastanawiał się Fred. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy Stary wpadł na pomysł, żeby za błyskawiczny sukces wnioskować o awans dla Teosia, a niestety sukces na miarę awansu okazał się gównem wart. Trzeba będzie zrobić wszystko, by pomóc Teofilowi, postanowił Fred, a potem zakręcił butelkę wody toaletowej brutal, żeby nie wietrzała.

Godzina 8.15

Było chłodno, na domiar złego zaczynało lekko mżyć.

Ruch uliczny w centrum Poznania trochę jakby zelżał.

Przewaliły się już poranne autobusy i tramwaje, wiozące dorosłych do pracy, a młodzież do szkół. Teraz ulicami zawładnęły dostawcze nysy, żuki i stary rozwożące towary do sklepów. Hurtownie świeciły wprawdzie pustkami, jednak dostawczaki z WPHW czy PSS ruszały w swą codzienną drogę, bo kursy zaplanowane kilka miesięcy wcześniej, nawet bez pełnego załadowania samochodu, musiały być zrealizowane.

Porucznik Brodziak wysiadł z tramwaju nr 5 na przystanku tuż przed rondem Kaponiera. Do przejścia miał zaledwie parę kroków. Po drugiej stronie ronda, zaraz za kinem Bałtyk, stał potężny szary budynek domu studenckiego Jowita. Jego dach zwieńczał od dawna martwy już neon reklamujący akumulatory marki Centra, ewidentny przykład kompletnego absurdu, gdyż napis lansował coś, czego w żaden sposób nie można było dostać w handlu.

Akumulatory były bowiem towarem deficytowym i jeśli już się pojawiały w jakimś sklepie Polmozbytu, natychmiast wykupywano je na pniu. Nie potrzebowały żadnej reklamy, bo i tak każda sztuka wyprodukowana w firmie znajdowała od razu nabywców. Ale Centra miała widać jakiś budżet przeznaczony na promocję i dlatego pewnie powstał ten neon.

Brodziak szybko przeszedł podziemnym przejściem pod rondem i wyszedł z drugiej strony, koło kinowych kas. Akademik miał tuż przed sobą. To miejsce to był pierwszy ślad, na jaki udało mu się wczoraj natrafić z Rychem. Wieczorem poszli razem do Magnolii, bo tam według pewnych informacji bawił się w przeddzień morderstwa cinkciarz, który, jak twierdził Grubiński, był zabójcą.

A według słów Tunia Ząbka była tam z nim jakaś ruda dziewczyna. Z tego, co zdołał się

dowiedzieć od Teofila, taka ruda laska była widziana na Strusia. Wczoraj udało im się ustalić, kim jest i gdzie mieszka.

Pomogła im pani Zuza, uprawiająca najstarszy zawód świata i na stałe przesiadująca w Magnolii.

- Można panią prosić do tańca? - powiedział Rychu, nachylając się nad uchem tlenionej blondynki siedzącej przy barze. Kobieta odwróciła się szybko, spojrzała do góry, a gdy zobaczyła twarz Grubego Rycha, uśmiechnęła się promiennie:

- Rikardo, najdroższy, z tobą mogłabym przetańczyć całą noc i nawet jeszcze trochę - zaśmiała się pani Zuza.

- O nocy pogadamy, jak będę miał trochę więcej czasu na ksiuty, ale teraz musimy pogadać o ważnych sprawach rodzinnych, znaczy się o interesach. Przysiądziesz się do mnie i mojego kolesia? - wskazał stolik nieopodal, przy którym siedział Mirek Brodziak i pił czerwoną oranżadę.

Po chwili Zuza siedziała już z nimi.

- Ta ruda lafirynda to podfruwajka z akademika. Dopiero zaczyna i tylko od czasu do czasu robi tu zamieszanie.

Ale że miła jest i odpala działkę, to nie ma gadki, nikt jej tu nie skrzywdzi. A nazywa się Marlena i mieszka w Akumulatorach, ale nazwiska to oczywiście nie mam w notesie, bo tu jest tylko ważne, jak się do kogoś zwracać, a w dowody się nie zagląda.

- Marlena to imię czy pseudonim artystyczny? - zapytał Rychu.

- Pytałeś o imię, to mówię, a tu dyla jako Samanta.

Ostatnio jak tu była, to zabawiała się z tym twoim łysym gorylem, co łeb miał jak ruski kwadrat sześć na dziewięć.

Szastali gotówką, jakby w Koziołki trafili główną wygraną.

A z nimi przy stoliku siedziały jeszcze dwa smutne pawiany gadające po rusku. Jeden nawet chciał mnie wyrwać, ale okazało się, że z waluty ma tylko ruble, więc se dałam spokój z łapserdakiem, bo z taką walutą to se może co najwyżej w bierki pograć, a nie do porządnej kobity startować. Rublem transferowym niech płaci w całym RWPG, ale nie u mnie.

- Mówił coś, czym się zajmuje na przykład albo co tu robi? - wyraźnie zainteresował się Brodziak.

- Mówił coś, że on oficer i że dlatego bogaty jest, i ma złota tyle, że aż strach. I rzeczywiście, złotą mordę miał i w niej z osiem albo i dziewięć złotych zębów się świeciło.

- Oficer? - zdziwił się Mirek. - Przecież oni nie dostają przepustek i siedzą tylko w swoich koszarach. Musiał być chyba z niego jakiś specjalny oficer.

- O właśnie, mówił, że specjalny oficer on jest, razjedczyk czy coś w ten deseń.

- Razwiedczyk - poprawił ją Grubiński - znaczy się szpieg czy jakiś wywiadowca.

Co do cholery w tym towarzystwie robili Rosjanie?, zastanawiał się Mirek Brodziak, przekraczając próg akademika. Facet, który zabił kolejarza, a tak przynajmniej uważał Gruby Rychu, bawił się w przeddzień morderstwa z tą rudą Marleną i ruskimi oficerami. O ile z dziewczyną nie powinno być kłopotów, bo odszuka ją w akademiku, o tyle problem może być z ruskami. Jeśli wrócili do koszar, to za diabła ich tam nie odnajdą. Dowództwo wojsk radzieckich stacjonujących w Polsce niezbyt chętnie współpracowało z naszą milicją. Właściwie można powiedzieć, że wcale nie współpracowało, a wszelkie sygnały dotyczące przestępstw kryminalnych dokonanych przez czerwonoarmistów dochodziły do koszarowej bramy i rozpływały się bez śladu.

Brodziak stanął przed oszklonymi wewnętrznymi drzwiami, szarpnął za klamkę, ale drzwi nie

ustąpiły Zapukał więc, spoglądając w głąb niewielkiego holu. Po lewej stronie znajdowało się okienko, za którym powinna czuwać portierka. Zobaczył siwą głowę w okularach przyglądającą mu się z wyraźną niechęcią. Głowa po sekundzie zniknęła, a zaraz potem z portierni wyszła ubrana w niebieski kitel odźwierna.

- Odwiedzin nie ma - warknęła przez szybę i już chciała zawrócić, ale Brodziak zareagował błyskawicznie. Przyłożył do szyby kartonik czarnej legitymacji służbowej Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych i stukając palcem w szklaną taflę, wskazał na dokument.

Kobieta musiała być obznajomiona z takimi legitymacjami, bo jej nastawienie zmieniło się diametralnie, a niechętny wyraz twarzy zastąpił promienny uśmiech. Podbiegła do drzwi i otworzyła je od wewnątrz:

- Bardzo przepraszam, panie oficerze, alem od tej gemeli taka, że już nie wiem, co się dzieje, i diabli wiedzą, kto tu może wejść, a kto nie. Ale pan może oczywiście, tylko że kierownictwa jeszcze nie ma, ino sprzątaczkę, ale one to i tak nic w sprawie nie wiedzą, a koleżanki z sąsiednich pokoi to już co poniektóre są w akademiku i zależy, z którą by pan oficer wieszował sobie pogadać, to ja powiem, która jest, a której ni ma.

Brodziak przystanął i spojrzał uważnie na gadającą kobietę.

- Ta ruda dziewczyna, Marlina... - powiedział ostrożnie, ale portierka natychmiast mu przerwała:

- Łe jery, ady już ją zabrali z zakładu pogrzebowego, z Jeżyc, co to jest po prawej stronie, jak się idzie Dąbrowskiego od Jeżyckiego Rynku - zaczęła tłumaczyć osłupiałemu oficerowi. - Ale dopiero jak pana koledzy skończyli te ślady zabezpieczać i co tam jeszcze, te niby odciski.

To dopiero ją wtedy zabrali, znaczy się już późnym wieczorem było, a dzień cały to zabita przeleżała na swoim łóżku, bo milicjanci jej nie pozwolili ruszyć, tylko coś tam szperali koło niej i za tapczanem nawet, tak że w pokoju gemelę zrobili, że aż strach. Ale wszystko legalnie, znaczy się służbowo.

Brodziak błyskawicznie podjął decyzję:

- Wie pani co, ja bym pogadał trochę z dziewczynami, które ją znały, tyle że nie wiem, które to są. Coś mi się zdaje, że kto jak kto, ale pani to pewnie najlepiej będzie wiedziała, do której powinienem iść. Mam rację, nie?

- Jak najbardziej, jak najbardziej - potwierdziła skwapliwie, a potem odwróciła się w stronę portierni i krzyknęła głośno do kogoś, kogo nie było widać z miejsca, w którym stali:

- Marych, rusz się i pokaż no panu, gdzie ma iść, słyszysz?

- Słyszę - odezwał się męski zachrypły głos należący do kogoś, kto siedział w drugiej, niewidocznej z korytarza części portierni. - Ino trzewiki wzięję i już idę.

Godzina 8.30

- I teraz widzisz, Fred, że miałem rację. Jak Rychu mógłby sprzątnąć tę dziewczynę, siedząc w pudle? To jest najlepszy dowód na jego niewinność. Morderca teraz zaciera ślady, to przecież jasne jak słońce. Dziewczyna była świadkiem strzelaniny, widział ją w tym burdelu Teofil.

Zniknęła z mieszkania i rozplynęła się, a następnego dnia jej ciało znajdują w akademiku. Stachu Walczak z Komendy Miejskiej, który nadzoruje śledztwo w tej sprawie, mówił mi, bo już do niego dzwoniłem, że została zastrzelona.

Ktoś strzelił jej prosto w serce. Ktoś, kogo znała i wpuściła do swojego pokoju. No i teraz mamy sprawę jasną. Ktoś najwyraźniej sprząta i gra nam na nosie.

- Spokojnie, Mirek, powiedz mi najpierw, skąd wiedziałeś, gdzie jej szukać? - Fred Marcinkowski ciągle z słuchawką telefoniczną przy uchu usiadł za swoim biurkiem.

Major przyszedł do pracy jakieś pięć minut temu.

Jeszcze na dobre nie zdążył wejść do biura, gdy usłyszał dźwięk dzwonka telefonicznego. Po drugiej stronie rozległ się głos Mirka Brodziaka. Od razu wyczuł w nim niecodzienne podniecenie. Nie było ono spowodowane porannym kielichem. Brodziak był najzupełniej trzeźwy, co zauważył ze zdziwieniem. Jeszcze bardziej zdziwiło go to, co powiedział mu porucznik. Brodziak szybko zrelacjonował wyniki swojego nieformalnego dochodzenia i przedstawił wnioski, oczywiście jak najbardziej korzystne dla Grubińskiego. Ale Fred musiał mu przyznać rację.

Morderstwo dokonane na rudej dziewczynie wykluczało w tym przypadku z grona podejrzanych Grubego Rycha.

Musiał to zrobić ktoś, kto wiedział, że ona może naprowadzić milicję na jakiś ślad.

Wszystko więc zaczęło składać się do kupy. W pociągu z Berlina ktoś morduje konduktora. Tym kimś jest najprawdopodobniej cinkciarz z ekipy Grubińskiego, niejaki Korbol. Dzień wcześniej spędza wieczór w knajpie na dansingu z rudą Marleną czy Samantą, szastając forszą na prawo i lewo. Robi to ostentacyjnie, jakby chciał wszystkim dokoła pokazać, że jest w Poznaniu i nieźle się bawi. Do Kunowic, czyli do pierwszej stacji kolejowej po polskiej stronie granicy na trasie Poznań-Berlin, można samochodem dojechać zaledwie w trzy godziny, wystarczy więc, że facet, udając kompletnie zalanego, wyjdzie z dziewczyną z knajpy około północy i wsiądzie w szybkiego poloneza, by zdążyć na pociąg, który wjeżdża do Polski. Mógł nawet pójść z nią na Strusia, wejść do pokoju, który podnajmowała Samanta, i zaraz potem niepostrzeżenie się stamtąd wymknąć. Właścicielka i goście byliby przekonani, że spędził tam noc, podczas gdy on mógł dojechać do granicy, wsiąść do pociągu i po drodze zabić konduktora. Potem wysiada w Poznaniu wcześniej rano i spokojnie wraca do burdelu, a tam zupełnie przypadkowo następnego dnia wkraczają milicjanci. Dochodzi do strzelaniny, w której rannych zostaje dwóch funkcjonariuszy i sam bandyta. Później Teofil zatrzymuje Bogu ducha winnego kolejarza i powiązanego w pewien sposób ze sprawą Grubińskiego. Jeśli więc Korbol pojechał do Kunowic i wsiadł do pociągu, to albo zostawił tam auto, albo ktoś zawiózł go na miejsce, a później ten ktoś wrócił tym samochodem, myślał Marcinkowski.

Wnioski są następujące: zabicie kolejarza to własna inicjatywa Korbola, któremu wszedł w drogę Teofil. Bardziej prawdopodobne, że facet działał na czyjeś zlecenie.

Zleceńodawcą mógł być Grubiński albo ktoś, kto chciał się Grubińskiemu „przysłużyć”, wrabiając go w całą sprawę. Wczorajszej nocy zginęła dziewczyna z akademika, świadek zająć na Strusia. Grubiński siedział w tym czasie w celi. W tej sytuacji pozostaje więc ustalić, dlaczego zabito kolejarza i kto za tym stoi. A kluczem do rozwiązania całej zagadki jest postrzelony bandyta, którego pociąg z węglem powiózł gdzieś w nieznane.

- Słuchaj, Miras - powiedział do słuchawki Fred. Wszystko się ładnie nam składa. Teraz najważniejsze jest znaleźć Korbola. Coś mi się widzi, że on jest tylko wykonawcą, który miał pecha i nadzieją się na milicję w burdelu na Strusia. Ta strzelanina to przypadek, jednak wydaje mi się, że zabicie kolejarza było starannie zaplanowane. Ktoś musiał mu to zlecić.

- Ale na pewno nie Rychu - wtrącił niecierpliwie Brodziak.

- Też myślę, że to nie on. Ale twój kumpel zna albo może znać ścieżki Korbola. Więc niech cię do niego doprowadzi. Znajdź gnoja. I melduj co jakiś czas, na jakim jesteś etapie.

- Spokojna głowa, wodzu - zaśmiał się do słuchawki Mirek. - Taki właśnie mam plan. Przyniosę

ci skurwysyna w zębach.

- A, i jeszcze jedno, Mirek. Teofil i Blaszkowski pojechali dziś do Katowic.

- Po co?

- Kilka miesięcy temu znaleziono tam zabitego kolejarza. Zgadnij, w jaki sposób zginął?

- ?

- Dokładnie tak samo, jak ten nasz. Rozumiesz, Mirek?

Tam mieli taką samą sprawę! Powiedz o tym Rychowi.

Może to mu trochę rozjaśni horyzonty.

Major Marcinkowski odłożył słuchawkę i wstał zza biurka. Dopiero teraz zauważył, że nie zdążył nawet zdjąć płaszcza. Zdjął go i powiesił na stojącym w kącie pokoju drewnianym wieszaku.

Zdaje się, że śledztwo w sprawie zabójstwa kolejarza wskoczyło na właściwe tory, pomyślał zadowolony z siebie. Teraz trzeba to wszystko przedstawić pułkownikowi.

Pewnie nie będzie zbyt zadowolony, że wczorajszy pełny sukces milicji to dopiero pierwszy mały krok na drodze do pełnego sukcesu.

Podszedł do radia i włączył swój biurowy odbiornik amator stereo. Zielone diody podświetliły podłużną skalę.

Nie musiał kręcić potencjometrem. Jak zwykle ustawiony był na trzecim programie Polskiego Radia.

„Gdzie oni są, ci wszyscy moi przyjaciele” - z głośnika popłynęły twarde i chropowate, wręcz niedopracowane takty przeboju Republiki. Usiadł przy biurku i wyjął z szuflady paczkę papierosów marlboro. Niedawno dostał od Brodziaka w prezencie cały karton peweksowskich papierosów i została mu z nich już tylko jedna paczka. Na co dzień palił radomskie i niekiedy klubowe, te sprezentowane oszczędzał niby na specjalne okazje, ale dziewięć paczek zniknęło w błyskawicznym tempie, mimo że od momentu przyścia na świat Filipa poważnie ograniczył palenie. W domu nie palił prawie wcale, w pracy też mniej.

Ale chyba tylko mu się wydawało. Ostatnia paczka marlboro była dowodem, że z ograniczeń niewiele wyszło.

Zapalił papierosa, z przyjemnością wciągnął pierwszą dziś porcję dymu do płuc. I wtedy znów to poczuł. Ból w klatce piersiowej, tym razem lekki, ale wyraźny. Na czole pojawiły się kropelki potu, a przed oczami na moment zrobiło mu się ciemno. Szybko zgasił papierosa i oparł głowę na złożonych na biurku rękach. Wziął parę głębokich oddechów, a potem wstał i podszedł do okna. Ból minął tak szybko, jak się pojawił. Marcinkowski otworzył okno i spojrzał w dół na ulicę. Pod komendę podjechała niebieska nyska. Ze środka wyszło dwóch milicjantów, którzy obeszlą auto i otworzyli tylne drzwi przedziału aresztanckiego. Ze środka wyprowadzili kilku młodych ludzi skutych kajdankami. Konwojenci i zatrzymani ruszyli szybko w stronę budynku.

To pewnie ci od drukarni ulotek, pomyślał, przypomniawszy sobie informację z wczorajszej narady kierowników sekcji, na której koledzy z SB informowali o namierzeniu nielegalnej drukarni podziemnej NZS-u. Dziś właśnie miały nastąpić aresztowania drukarzy.

Marcinkowski zamknął okno i wrócił do swojego biurka.

Usiadł na fotelu.

- Kurwa, w jakim ja kraju żyję - powiedział cicho do siebie. - Nie mam ludzi do ścigania mordercy, a milicja zajmuje się zatrzymywaniem jakichś gówniarzy drukujących ulotki.

Sięgnął po kolejnego papierosa i zapalił. Tym razem ból się nie pojawił.

Katowice, godzina 10.30

- Przeca ci godom, chopie, że to niy żodyn gorol, ino chop z Poznanie A przeca ci tam z tyj Wielkopolski to praje tacy porzómni, choćby byli ze Ślónska. Bo Wielkopolska tyż była w Prusach. I bez to teroski oni, te poznonioki, tacy sóm do nos podani. A tyn Olkiewicz to fajny karlus.

Oba my na kursach byli. I padom ci, że lepszego kamrata poradzisz po cołkim świecie szukać i nikaj niy znojdziesz.

Porucznik Makowski z niedowierzaniem pokręcił głową. Jakoś nie trafiwały mu do przekonania wyjaśnienia porucznika Pytloka, kolegi z wydziału. Mimo że mieszkał w Katowicach już prawie dwadzieścia lat, do dziś nie bardzo mógł się połapać w niuansach pochodzenia, które decydowały o zaliczaniu kogoś do określonej grupy.

Gdy w latach sześćdziesiątych przyjechał tu z rodzinnej Rzeszowszczyzny, od razu miejscowi koledzy wyjaśnili mu, że jest gorolem. Nie góralem, ale gorolem. Okazało się jednak, że nie jest taki najgorszy, jak by się mogło wydawać. Pochodził z Galicji, a więc można go było jeszcze zaakceptować. Gorzej, gdyby urodził się na przykład tuż obok Katowic, w Sosnowcu czy w Czeladzi. Wówczas byłby gorolem najgorszego sortu. Teraz zaś okazywało się, że wśród wszystkich goroli, czyli ludzi, którzy nie byli rdzennymi Ślązakami, istniała jeszcze jedna kategoria gorolstwa - poznonioki. Ci, zdaniem Pytloka, byli najlepsi i najmniej przeszkadzający. W Komendzie Wojewódzkiej w Katowicach pracowało wielu Ślązaków, Zagłębiaków i ludzi, którzy napłynęli tu tak jak Makowski z innych części kraju. Gdy któryś z kolegów wyjaśniał mu początkowo, na czym polega różnica między gorolami a miejscowymi, traktował to jako żart. Nie mieściło mu się w głowie, że w Polsce Ludowej mogą funkcjonować jeszcze podziały, które sięgały swymi korzeniami czasów zaborów. Jednak po latach pracy na Śląsku przekonał się, że tkwią one bardzo głęboko w świadomości miejscowych.

- Myślałem, że ja spod Rzeszowa jestem lepszym gorolem - zaśmiał się Makowski - a tu nagle okazuje się, że są ode mnie jeszcze lepsi.

- Tyś jest porzódny chop, no i w Katowicach już żeś jest dwaścia lot, to żeś już praje Ślónzok. Wiysz, jo je pniok, a tyś to je taki krzok. Zaś Teofil to je taki mój prawdziwy kamrat. My razym już niyjedna halba obalili, no i dzisiok nó m się napić przidzie - wyjaśnił Pytlok, wstając zza biurka. Podeszedł do okna i spojrzął w dół w stronę miasta. W dali nieco po lewej roztaczał się piękny widok na osiedle Paderewskiego, wielkie blokowisko, które wyrosło nieco wcześniej niż ich nowoczesna szklanoniebieska komenda wojewódzka, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Podczas patrzenia na te budowle porucznikowi natychmiast robiło się przyjemnie na sercu. W jego oczach ukochane Katowice stawały się nowoczesną metropolią. Obrzeża centrum miasta, kiedyś zaniedbane i brudne, pełne rozlatujących się ruder, hałd, zapadlisk po biedaszybach, w ciągu dwudziestu ostatnich lat zmieniły się nie do poznania.

- Musza to wszystko pokozać tynu mojemu pierónskiemu Olkiewiczowi - wymruczał do siebie, poprawiając jednocześnie rozczochraną grzywkę.

- Co mówisz? - zapytał Makowski, którego głos kolegi oderwał od studiowania jakichś akt.

- Godom ino, że te nasze Katowice to rychtyk piykne miasto.

- Może i piękne, ale chacharów mamy tu tyle co wszędzie, a nawet więcej niż gdzie indziej.

- Prowda, ale to bez tóż, że tego chacharstwa najechało sie tu na Slónsk za robotom... - przerwał, bo zorientował się nagle, że i jego kolega kapitan też przybył tu do pracy. Niy, niy gorsz się Tomek,

jo żech miał na myśli tych wulców, co roboty tu niy szukajóm, ino chacharzyć przijechali. Tyś je porzónndny chop i jo niy godom, takich jak ty tyż tu trocha prziniesło...

Porucznik Makowski uśmiechnął się tylko pod wąsem i wrócił do przeglądania zapisków. Nie było co z Pytlokiem gadać o tych sprawach. Wiedział od dawna, jak jego kolega nie cierpi napływowych robotników zamieszkujących hotele robotnicze, nazywane tu pogardliwie wulchhausami. Nieraz powtarzał, że to wylęgarnie wszystkich nieszczęść, jakie nawiedzają ulice śląskich miast. W tym daleko idącym uogólnieniu było dużo racji. To właśnie ludzie, którzy przyjeżdżali tu z różnych części Polski, najczęściej łamali prawo. Nie było niemal dnia, żeby milicja nie otrzymywała zgłoszenia o jakiejś pijackiej rozróbie w którymś z hoteli.

Pytlok podszedł do wieszaka w kącie pokoju i z drewnianej półki zdjął swoją czapkę. Założył ją na głowę, obciągnął mundur, który niezbyt dobrze leżał na zaokrąglonym pokaźnym brzuchu, świadczącym o zamiłowaniu właściciela do piwa i klusek śląskich.

- Jada już po niego na stacja i tak mi sie zdo, że już dzisiaj nie dóm rady przijechać nazod na komenda.

Musza se ś nim pogodać, bo my sie już downo niy widzieli.

- No to miłej zabawy, Erwin - uśmiechnął się do wychodzącego porucznik Makowski.

Poznań, godzina 12.50

Ryszard Grubiński spojrział niechętnie na szklanę herbaty stojącą przed nim na stoliku. Siedział tak już jakieś pół godziny, wpatrując się w szkło, jednak nie bardzo chciało mu się pić. Tym bardziej że nie była to czysta herbata, ale wzmocniona setką wódki. Tu, na rynku, w klubie plastyka w Arsenale, pani Teresa, szefowa bufetu, serwowała swoim najlepszym klientom alkohol z domieszką herbaty, omijając w ten sposób zakaz sprzedaży trunków do godziny trzynastej. Rychu, jako stały bywalec i jednocześnie osoba zaopatrująca panią Teresę w papierosy marlboro, miał u niej specjalne względy. Dziś umówił się tu z Brodziakiem. Gdy tylko się pojawił, pani Teresa natychmiast postawiła przed nim szklanę na szklanym spodeczku.

Głupio mu było odmówić, choć wcale dziś nie miał ochoty na picie alkoholu. Podziękował więc i siedział, nie ruszając nawet słomkowego drinka.

Zachodził w głowę, jak mogło dojść do tego, że wpakował się w taką idiotyczną sytuację. On, człowiek, który trząsał całym cinkciarskim światkiem Poznania, w ciągu kilku godzin stał się osobą ściganą przez milicję i do tego jeszcze w sprawie o morderstwo. Początek afery był jasny: Korbol, człowiek, który pracował dla niego, postanowił rozegrać własną grę i w ten sposób pozbyć się swojego szefa. Po tym gnoju można się było spodziewać nielojalności, analizował sytuację Rychu. Nigdy nie przepadał specjalnie za Korbolem. Taki cwaniaczek, który zawsze chciał kręcić własne lody, ale trzymał go w ryzach strach przed Rychem. Do czasu. I tu rodziło się pytanie, dlaczego przestał się bać. Musiał się z kimś spiknąć, kto go przekonał, że można i warto spróbować. Tak, myślał Gruby Rychu, wytłumaczenie może być tylko jedno. Korbola musiał ktoś zapewnić, że można to zrobić w miarę bezpiecznie i że zyski będą znacznie większe niż ryzyko operacji wyeliminowania szefa i przejęcia rynku.

Drzwi po lewej stronie otworzyły się i do środka wszedł Brodziak. Stał na moment i rozejrzał się. W sali siedziało zaledwie czterech ludzi. Dwaj w kącie po prawej stronie rozgrywali partię pokera, znajomy plastyk kilka stolików obok opróżniał już trzecią szklanę herbaty. Grubiński również rzucił okiem na salę, chcąc się upewnić, że pozostali goście siedzą wystarczająco daleko.

Brodziak szybko podszedł do bufetu i coś powiedział pani Teresie.

Ta zrobiła zdziwioną minę, a potem podała milicjantowi pustą literatkę i butelkę czerwonej oranżady.

- Co tam, Rychu, herbatkę popijasz? - uśmiechnął się Brodziak, rozsiadając się wygodnie w głębokim fotelu naprzeciw Grubińskiego.

- Łe tam - machnął ręką Gruby. - Z przyzwyczajenia mi nalala z prądem, ale nie mam serca do gorzoły dzisiaj. Zresztą widzę, że tak jak i ty - powiedział, wskazując palcem na oranżadę, którą Mirek postawił przed sobą na stoliku.

- Jeszcze zdążymy się napić - wyjaśnił Brodziak - ale teraz trzeba mieć czyste spojrzenie na sytuację.

- A jaka jest sytuacja? - zainteresował się Rychu.

- Sytuacja jest taka, że o Korbolu nigdzie ani widu, ani słyhu. Zapadł się pod ziemię i kto wie, czy nie dosłownie, bo z tego, co się dowiedziałem od Freda, to facet podczas tej strzelaniny na Strusia nieźle oberwał. Postrzelił go Grzechu Kowal, a kolejarz, który go widział podczas ucieczki, mówił, że facet ledwie zipał i był cały uślomprany we krwi. Nawet pistolet zgubił, jak uciekał. Później gnata podniósł ten kolejarz, co go zatrzymał Olkiewicz.

Bo Teofil zamiast zatrzymać strzelającego, czyli Korbola, złapał kolejarza, który się tylko napatoczył na miejsce.

A Korbol się stenił i tyle go widzieli. No i najważniejsze powiedział Brodziak. - Znalazłem tę dziewczuchę, z którą dylał na dansingu. Wszystko wskazuje na to, że to właśnie z nią bawił się też w melinie na Strusia, gdzie nakrył go Olkiewicz. I tam doszło do strzelaniny, a Korbol, uciekając, postrzelił dwóch milicjantów, ale sam na szczęście dostał chyba w łapę i jest duża szansa, że w coś jeszcze.

Grubiński spojrzał uważnie na kolegę. Losem postrzelonego Korbola najwyraźniej się nie przejął, bo zapytał natychmiast o dziewczynę:

- I co ta laska powiedziała?

- O to chodzi, że nic, bo nie da rady nic powiedzieć.

Jest całkiem sztywna. Ktoś ją dziś w nocy sprzątnął w jej pokoju w Akumulatorach.

- O kurde!

- No właśnie, też tak pomyślałem. Ale to oznacza, że ktoś zaciera ślady, rozumiesz, Rychu, ktoś, znaczy nie ty. Mógł to zrobić ten Korbol albo ktoś, kto z nim współpracował.

- Panie Rychu, pan pożyczylby na herbatkę, bo mnie bejmy wyszły - usłyszeli głos chudego opoja, który niepostrzeżenie podszedł do ich stolika. To był facet, który pił w samotności kilka stolików dalej. Znali go dobrze: niejaki Miśkiewicz, plastik i dekorator wnętrz, który od dłuższego czasu nie miał żadnego zajęcia poza piciem.

Podobno kiedyś był tak dobry, że pracował nawet na Targach Poznańskich, a tam do dekorowania wystaw brano tylko najlepszych. Zarabiał duże pieniądze, ale wszystko przepijał. Teraz nie chcieli go nawet do robienia szyldów w PSS, bo nie był już w stanie namalować prostej kreski.

Rychu spojrzał na niego niechętnie, a potem wskazał na swoją szklanekę:

- Weź pan tę herbatę. Nieruszana, bo mam dzisiaj niesmak w gębie.

Chudy pochwycił szklanekę, wsparłszy się dla zachowania równowagi o oparcie fotela, na którym siedział Brodziak. Popatrzył szklistym spojrzeniem na milicjanta, jakby próbował sobie przypomnieć, skąd go zna, a zaraz potem rozpromienił się w uśmiechu:

- A od pana szanownego porucznika to może bym i ćmika dostał, bo dziwnym trafem akuratnie mnie się skończyły. A malborego bym chętnie zajarał.

Brodziak, chcąc pozbyć się intruza, wyciągnął w jego stronę otwartą paczkę marlboro.

- Mogą być dwa? - zapytał dekorator pijak.

- Bierz pan dwa i ciąg w podskokach, bo my tu ważne interesy załatwiamy - warknął Rychu.

- Już się oddalam w stronę punktu zbiegu linii perspektywy tej sali, szanowni państwo, bo gdzie mi tam, skromnemu artyście, do interesów z kochaną władzą obywatelską.

Wyciągnął trzy papierosy z paczki i chwiejnym krokiem poszedł w stronę swojego stolika.

Gdy dekorator odszedł, Brodziak pochylił się w stronę kolegi:

- I jest jeszcze jedna rzecz, Rychu. Kilka miesięcy temu w Katowicach ktoś zabił kolejarza. I wyobraź sobie, że ten kolejarz zginął w identyczny sposób, jak ten nasz tu w Poznaniu.

Grubiński przez chwilę milczał, jakby zastanawiając się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Sięgnął po papierosa z paczki, która leżała przed nim na stole, zapalił i wolno wypuścił dym nosem.

- Wiesz co, Miruś, jakoś tak na jesieni zeszłego roku przypałał się do mnie taki jeden gnojek, co to już w walucie wcześniej robił. A wiesz gdzie? W Sosnowcu i w Katowicach. Powiedział mi wtedy, że przyjechał za jakąś melą z Poznania i chce się tu urządzić. Przyjąłem go do zespołu, choć nie za bardzo mnie się spodobał. Był napakowany i okrągły, widać, że siłę miał, więc go chłopcy, co z nimi stał pod Peweksem, nazwali Korbol.

- No to chyba jesteście w domu - uśmiechnął się Mirek.

- Widzi mi się - zaczął Rychu, spoglądając w oczy Brodziakowi - że powinniśmy jeszcze trochę pokonferować z panem Rajmundem, bo mam wrażenie, że to wszystko wygląda jak jakaś fajnie zaplanowana akcja, o której ten pieprzony Lebera może coś więcej wiedzieć. Trzeba by go odwiedzić i wziąć na spytki.

Brodziak uśmiechnął się i skinął głową na znak, że zgadza się z przyjacielem, a potem dopił resztkę czerwonej oranżady z butelki opatrzonej zastępczą etykietą. Odstawił butelkę na stół i spojrzał na Grubińskiego, jakby coś sobie nagle przypomniał:

- A tak w ogóle, Rychu, to powiedz mi, o jakich on, ten nachlany dekorator, mówił liniach i zbiegach z tą perspektywą.

- A diabli gnoja wiedzą - zaśmiał się Rychu - ale się już nie przekonasz, bo ta perspektywa onego przygniotła.

Dekorator Miśkiewicz, rozłożony w fotelu z odchyloną za oparcie głową, zajął pozycję, jaka w normalnych warunkach umożliwiałaby mu doskonałą obserwację sufitu, który tu był wyjątkowy, nie gładki jak w wielu tego rodzaju przybytkach, ale wzorzysty, zbudowany z betonowych kasetonów w kształcie rombów, tworzących piękną sufitową siatkę perspektywy. Teraz jednak Miśkiewicz nie był w stanie zaobserwować niczego, bo od paru minut spał w najlepsze z szeroko otwartymi ustami, przez które wydobywało się głośnie chrapanie.

Katowice, godzina 14.30

Starszy kelner Roman Maśluszczok nie lubił milicjantów.

Uważał ich za wyjątkowe świnie, zwłaszcza od czasu wprowadzenia stanu wojennego. A po wydarzeniach na kopalni Wujek zapalał do wszystkich ludzi w niebieskich mundurach szczerą nienawiścią. Tym bardziej że w strajku na Wujku, w tym, który spacyfikowali zomowcy, brał udział jego brat Marek. Chłopak tylko cudem uniknął śmierci, był bowiem, jak opowiadał później

Romanowi, właśnie w tej grupie, do której strzelali zomowcy. Udało mu się wyjść bez draśnięcia, ale jego najlepszy kolega został na ulicy z przestrzeloną głową. Od tego czasu poruszony opowieściami brata Roman postanowił, że będzie prowadził swoją prywatną wojnę z Milicją Obywatelską.

Niewiele mógł zrobić jako kelner w katowickiej restauracji Fregata, ale i na tym stanowisku otwierały się pewne możliwości. Milicjantów, którzy przychodzili tu napić się wódki, a było ich dużo każdego dnia, rąbał na kasie. Nie, żeby zaraz nachalnie i ordynarnie, ot tak, lekko, ale skutecznie doliczał milicyjnym pijakom dodatkowe kieliszki, a pieniądze brał do własnej kieszeni, wierząc, że w ten sposób walczy z komunistycznymi oprawcami. Poza tym miał jeszcze kilka innych skutecznych sposobów walki.

Przede wszystkim, był dla nich niemiły. A jeśli przypadkiem któryś ze spożywających tu alkohol stróżów prawa zamówił sobie coś do jedzenia, to Roman ukradkiem spluwał do zupy czy do drugiego dania. Odczuwał wielką satysfakcję, patrząc, jak pochłaniają ochrzczone przez niego dania. Najbardziej martwiło go to, że jego samotnej walki nikt nie widzi, ale co było robić, przecież nie mógł o tym opowiedzieć innym kelnerom. Bratu też wolał nie mówić, bo nigdy nie wiadomo, czy lubiący zaglądać do kieliszka Marek nie chlapnie czegoś jakiemuś koledze. A wiadomo było przecież powszechnie, że donosiciele w tym kraju nie brakowało.

Był jednak milicjant, któremu Roman w życiu nie zrobiłby żadnego świństwa. Godzinę temu przyszedł właśnie do Fregaty ze swoim kolegą. Obaj rozsiedli się przy stoliku na antresoli i od razu zamówili butelkę wyborowej gastronomicznej, a drugą kazali wstawić do zamrażalnika.

Milicjant nazywał się Pytlok i Roman znał go od dziecka.

Pytlok mieszkał kiedyś niedaleko jego domu w Panewnikach i zawsze był porządnym człowiekiem. Nigdy nikomu nie zrobił nic złego, a jeszcze niejednemu sąsiadowi pomógł w trudnych czasach.

Nawet Romanowi przysłużył się, gdy zatrzymał go patrol drogówki. Zabrali mu prawo jazdy, wlepili mandat i wszystko skończyłoby się najpewniej przed kolegium, bo Roman był porządnie pijany. Wracał swoją syrenką po dyżurze na dansingu, więc naturalne, że wypił parę kieliszków, a potem wpadł w nocy na drogówkę, która zasadziła się na Mikołowskiej. Następnego dnia rano pobiegł zaraz do Pytloka. Wyjaśnił mu co i jak, a milicjant powiedział, że pomyśli, co się da zrobić. Wieczorem przyszedł do Fregaty z prawem jazdy Maśluszczoka. Oddał mu kartonik i powiedział, że jak jeszcze raz zdarzy mu się jechać po wódce, to sam mu nakopie do rzyci, a o mandat i kolegium nie musi się martwić. Sprawy nie było.

Pytlok miał jeszcze jedną ważną cechę, która zjednywała mu szacunek wielu ludzi. Nie wstydził się, inaczej niż wielu tych, którzy pracowali w urzędach, godać po ślónsku. On nawet obnosił się ze swoją śląskością, co nieraz przysparzało mu kłopotów w pracy. Bo przez wiele lat ten śląski, którym posługiwano się w domach, sklepach czy knajpach, uważany był przez ludzi lepiej wykształconych za coś wstydlivego. Dlatego wielu rdzennych Ślązaków na stanowiskach uciekało od gwary, a o godających po ślónsku mówiło się nawet, że są niedouczeni. Był więc to język, którym nie wypadało się posługiwać w porządnym towarzystwie. A mimo to Pytlok „godoł” na przekór wszystkim. Kiedyś kolega z wydziału zapytał go, dlaczego nie chce mówić czystą polszczyzną jak większość oficerów z komendy, rdzennych Ślązaków. Skoro oni się nauczyli, to on przecież też by mógł.

Pytlok odpowiedział mu czystą polszczyzną nawet bez śląskiego charakterystycznego akcentu, że ktoś, kto się wstydzi swojego pochodzenia i języka, jest gównem wart, a on nie ma się czego wstydzić.

- Gdybym wyjechał do Niemiec, tobym mówił po niemiecku, gdybym pracował w Warszawie, tobym mówił po polsku, ale tu jest Śląsk i tu się powinno mówić po śląsku, trza godać po ślónsku - zakończył swój wywód Pytlok.

Nic więc dziwnego, że z takimi poglądami nie mógł zrobić kariery w milicji. Po wielu latach pracy Pytlok, który bliski był już pięćdziesiątki, dosłużył się zaledwie stopnia porucznika.

- No więc musimy teraz znaleźć jakieś powiązania między naszym zabitym kolejorzem i tym waszym - wyjaśnił na koniec swojej opowieści Teofil Olkiewicz, który zreferował Pytloкови wyniki dotychczasowego śledztwa.

Oczywiście pomiął wątki dotyczące swoich nieudanych działań, więc wyszło na to, że poznańscy milicjanci tak naprawdę niewiele wskórali. Najważniejszym osiągnięciem było skojarzenie dwóch spraw: katowickiej i poznańskiej, a odkrywca powiązania Blaszkowski siedział teraz w pokoju na komendzie i czytał akta sprawy kolejjarza z Ochojca, czyli dzielnicy Katowic, w której mieszkał zamordowany.

Pytlok i Olkiewicz ustalili jeszcze na dworcu, że trzeba dać młodemu szansę wykazania się w papierkowej robocie, gdy oni spokojnie zajmą się przemyśleniem całej sprawy. A wiadomo, że prawdziwi mężczyźni na najlepsze pomysły wpadają zazwyczaj podczas wspólnej biesiady.

Kelner Maśluszczok podszedł do stolika i przed każdym z mężczyzn postawił talerz. Nie znał tego milicjanta, z którym przyszedł Pytlok, ale tak jakoś źle mu z oczu patrzyło, więc postanowił, że wciągnie go na swoją karną listę.

- Rolada majom tu piyrso klasa - zatarł ręce z zadowoleniem Pytlok.

- Znaczy się zraz zawijany - poprawił go Olkiewicz, spoglądając na swój talerz. - U nas też tak się je, ino że nie z tymi klubrami, ale z normalnymi pyrkami.

- I z modróm kapustom? - zainteresował się Pytlok.

- Nie z modróm, ale z modrą - wyjaśnił Teofil.

- Nó to niy sóm żeście gorole, jak jodocie rolady z modróm kapustom, a te kluski ślónskie to żech ci chciół pedzieć, że sóm zrobione ze twoich poznańskich pyrów.

- Łe, jak z pyrów, to co innego, znaczy się, żeście nie są tu na Śląsku glapami nitrowani.

- Słyszolżeś, Romek? - roześmiał się Pytlok, spoglądając z rozbawieniem na kelnera, który właśnie stawiał na stole oszronioną butelkę wódki. - Tyn karczmarek z Poznania godo, że my Ślązoki nie sóm tacy łostatni. Godom ci, karlusie, że tyn tu chop, co ze mnóm siedzi, tyż nie jest, jakżeś to pedziół? Glapami nie jest futrowany.

Maśluszczok nie uśmiechnął się wcale. Zmieszany spojrzał na Olkiewicza, a potem na jego talerz. Teofil miał już w rękach sztucę i właśnie chciał zabrać się do rozkrajania rolady czy, jak kto woli, zraza zawijanego, ale nie zdążył. Kelner chwycił jego talerz i mruczając coś niewyraźnie pod nosem, pobiegł z daniem w kierunku kuchni.

- Co jest, do cholery?! - krzyknął za nim Olkiewicz.

- Zarozki przyniesia! - zawołał kelner i zniknął za ciężką zieloną kotarą odgradzającą salę jadalną od części kuchennej.

- Zglupiał czy jak? - Teofil spojrzał zdziwiony na kolegę.

- Widzi mi się, chopie, że łón przyniós ci niy ta porcja, co trza. Wyrychtuje ci cołkim nowo porcja, dlo specjalnych gości.

Maśluszczok podszedł do pojemnika, do którego w kuchni zrzucano się niedojedzone resztki przyniesione z sali. Spojrzał z odrazą na roladę z kluskami i modrą kapustą, a potem jednym

zdecydowanym ruchem zgarnął wszystko do kubła.

- Co je, Romek? - spytała pani Joasia, ważąca prawie sto kilo pomoc kuchenna. - Gość narzigał do talyrza? - zażartowała.

- Kaj tam - machnął ręką Romek. - Pani narychtuje porzómno porcja, bo to gość z inspekcji. Jak sie pieron przipieprzy do gramatury, to bydzie haja - wymyślił na oczekaniu kelner.

- Jerunie - jęknęła pani Joasia i ze zdenerwowania aż zatrząsał się jej podwójny podbródek. - Zarozki przirychtuja nowo rolada i halba firmowo, zanieś mu, Rómuś, bo tamte dwie chrzczone były już ze dwa razy. Alojz szczykawków z koždyj wycióngył już po setce i doloł woda.

Sięgnęła do kredensu i wyjęła butelkę gastronomicznej:

- Mosz, chopie, ta jest niyruszano.

Nie minęło pięć minut, jak przed Olkiewiczem stanęła kolejna porcja rolady, a wraz z nią nowa butelka wódki.

Obaj milicjanci spojrzeli ze zdziwieniem na kelnera. Ten uśmiechnął się przepaszająco i wyjaśnił:

- Takie mómy czasy, że koždy może sie pomylić, a żodyn na gowie niy mo napisane „porzónndny chop”, prowda, panie poruczniku?

Poznań, godzina 16.15

Rozpadało się na dobre. Lekki deszcz, który do południa tylko kropił, teraz przemienił się w prawdziwą ulewę.

Po obu stronach ulicy Opolskiej na poznańskim Dębcu woda spływała strumieniami poprzez wykoślawione płyty chodnikowe, a w zagłębieniach tworzyły się prawdziwe bajora. Zniszczone, nienaprawiane od lat chodniki pamiętały jeszcze początki ostatniej wojny, kiedy to niemieccy budowniczo wie wznieśli przy Opolskiej rzędy baraków.

Miały być tymczasowymi mieszkaniami dla polskich przesiedleńców wykwaterowanych z lepszych dzielnic Poznania i dla robotników z poznańskich fabryk, produkujących dla potrzeb niemieckiej maszyny wojennej.

Po wojnie tymczasowe baraki okazały się nadal przydatne. Kwaterowano w nich ludzi, którzy sprowadzani byli do Poznania z prowincji, do pracy w „Ceglorzu” czy ZNTK. Jednak większość z nich nie czuła specjalnej więzi ze swoimi socjalistycznymi zakładami. Bardziej interesowały ich możliwości szybkiego zdobywania pieniędzy.

Barakowa dzielnica robotnicza prędko stała się obszarem zamieszkałym przez nigdzie niepracujących penerów. Nic dziwnego, że władze miasta niezbyt się o nią troszczyły.

Nieremontowane od lat budy rozsypywały się w oczach, a ich otoczenie sprawiało wrażenie jednego wielkiego śmietnika. Okolica nie cieszyła się w mieście dobrą sławą, toteż żaden porządny poznaniak bez wyraźnej potrzeby nie zapuszczał się w te strony.

Sraczkowaty polonez zjechał z Opolskiej, rozbryzgując wodę z potężnej kałuży. Auto zatrzymało się przy trzecich z kolei drzwiach baraku po nieparzystej stronie ulicy.

Stało w nich dwóch wyrosniętych młodzieńców. Każdy trzymał w ręce butelkę piwa poznańskiego. Mimo że nie wyglądali na pełnoletnich, żaden nie zrobił najmniejszego gestu, by ukryć butelkę. Przeciwnie, na widok mężczyzny wychodzącego z auta jeden z nich demonstracyjnie przyłożył flaszkę do ust i pociągnął spory łyk. Wysoki blondyn spojrzął na stojących, zamknął kluczykiem drzwi od strony kierowcy, a potem mimo deszczu obszedł samochód dokoła, sprawdzając

po kolei, czy wszystkie drzwi na pewno są zamknięte. W tym miejscu ostrożność była konieczna, bo kierowca, który by tego nie dopatrzył, mógł być niemal pewny, że jego pojazd natychmiast zostanie splądrowany.

Milicjant przebiegł szybko pięciometrowy dystans od poloneza do drzwi baraku i stanął między dwójką chłopaków. Spoglądając na wyższego, powoli wyciągnął z kieszeni swojego płaszcza paczkę marlboro, wyjął jednego papierosa i przypalił go przerobioną jednorazówką.

- Kołodziejczyk Marian to z prawej czy z lewej? - zapytał jakby od niechcienia, wskazując ruchem głowy ciemny korytarzyk prowadzący do dwóch mieszkań.

- A chuj komu do tego! - zaśmiał się ten wyższy.

- No właśnie - poparł go rezolutnie jego niższy kolega.

Marcinkowski spojrział na trzymaną w rękę paczkę papierosów i jakby nie słysząc chamskiej odpowiedzi na swoje pytanie, podsunął papierosy młodzieńcom. Obaj skwapliwie skorzystali z zaproszenia. Fred podał im ognia, a potem spróbował znowu:

- To co jest z tym Kołodziejczykiem?

Wyższy widać uznał, że wkupne w postaci deficytowych papierosów jest gwarancją świadcząca o poziomie gościa, bo wskazał ręką lewe drzwi:

- Tu jest jego hawira, ale kontaktu z nim nie będzie. Od rana leży nachlany jak worek. Znaczy się sprawił se tytę ratuszową, bo widać mu bejmów niespodziewanie przybyło.

- Normalnie to pije ino jednego, góra dwa korbolki, ale dzisiaj to tu była impreza z gorzółą i zagrychą - dodał mniejszy. - Wiaruchna już odpłynęła, a ten został leżeć.

- To na tej robocie w portierni w akademiku można tak dobrze zarobić? - zdziwił się Marcinkowski.

- Ady tam, panie, co on tam zarobi, tyle co kot napłakał. On tam ino kilka razy w miesiącu łązi, bo kto by tam takiego chlora trzymał. Nie robi tam na stałe, tylko w zastępstwie za swoją siorę, tą Majewską z Łazarza. Jak ona nie może, to jego woła na nockę do akademika.

O tym już Marcinkowski zdążył się dowiedzieć. Koło południa poszedł do Komendy Miejskiej odwiedzić porucznika Walczaka, który zajmował się śledztwem w sprawie morderstwa w akademiku. Akurat porucznik przesłuchiwał tę portierkę, Majewską Izabelę, która w noc zabójstwa pełniła dyżur w Jowicie. Od razu widać było, że kobieta coś kręci. Nie była w stanie przypomnieć sobie żadnych szczegółów dotyczących tej nocy. Twierdziła, że poszła spać i że nikt obcy nie wchodził do akademika.

Dopiero w drugiej godzinie przesłuchania, gdy Walczakowi puściły nerwy i postraszył ją, że może odpowiadać za współudział w zabójstwie, Majewska rozplakała się i wyznała, że tej nocy musiała być wcześniej w domu, więc umówiła się, że dyżur za nią weźmie jej brat. Zdarzało się tak, jak zapewniła Majewska, tylko w wyjątkowych wypadkach, a kierowniczką akademika podobno nie robiła w tej sprawie trudności. Podała im też adres brata, który mieszkał w baraku na Opolskiej. Zeznanie zostało zaprotokołowane, Majewska poszła do domu, a Marcinkowski postanowił, że sam pojedzie odwiedzić Kołodziejczyka.

Zapukał w odrapane drzwi. Nikt nie odpowiedział, nacisnął więc klamkę. Drzwi puściły. W nos uderzył go charakterystyczny odór pijackiej meliny, mieszanka skwaśniałego alkoholu, papierosów popularnych i moczu.

Pokój wyglądał podobnie jak wszystkie takie miejsca, które Marcinkowski oglądał już w ciągu lat swojej pracy.

Kuchenny stół zastawiony pustymi flaszkami i upačkanymi musztardówkami z resztkami niedopitego alkoholu, pełna petów popielniczka z luksfera, kilka puszek po paprykarzu szczecińskim i śledziach w oleju. W głębi pomieszczenia na rozbebeszonym tapczanie, przykryty poszarzałym od starości i brudu kocem, leżał człowiek.

Spod koca wystawały tylko dwie wielkie, brudne stopy.

Marcinkowski podszedł do leżącego, pochylił się nieco i zaraz ze wstrętem się wyprostował. Kwaśny zapach rzygowin nie zachęcał do bliższego kontaktu z gospodarzem mieszkania. Milicjant rozejrzał się wokół i po chwili znalazł to, czego szukał. Pod metalową umywalką stało brudne emaliowane wiadro. Opróżnił je do blaszanej balii i napełnił wodą z kranu. Wrócił do śpiącego mężczyzny i wylał mu całą zawartość wiadra na głowę.

- Co jest, do kurwy jasnej?! - wrzasnął wyrwany ze spokojnego snu, zarzygany portier Kołodziejczyk.

- Ja jestem - zaśmiał się Marcinkowski, siadając naprzeciw łóżka na niewielkiej rycze. - Ja, znaczy się milicja obywatelska, mam sprawę do szanownego pana.

Kołodziejczyk otrząsnął się jak pies, który zażył właśnie kąpieli, i spojrzał niechętnym wzrokiem na nieproszonego gościa.

- Panie władzo - zaczął niepewnie, odzyskując powoli przytomność. - Względem ty gemeli na Wrocławskiej to mnie przy tym nawet nie było. Znaczy się ten Królikowski Antoni, to on w ty sprawie już zeznawał i mnie nic do tego.

Więc gdy doszło do tej defenestracji z udziałem Mokrasa Walentego, co na ryj wypadł na chodnik, to ja już byłem w innym miejscu, tak że onego bym nie mógł powstrzymać, nawet jakbym chciał, a jak z chaty wychodziłem, to on leżał se spokojnie na kozetce i był nie do mówienia, bo se rychło śrubę sprawił. Więc ja nie wiem, jak do tego przyszedł, że fyrgnął przez lufcik, bo ja w tym czasie to byłem nieobecny, bo byłem w pracy, co może poświadczyć kilkoro ludzi z wyższym wykształceniem. No to co ja za to mogę?

- A ja w dupie mam jakąś gemelę na Wrocławskiej - zaśmiał się Fred. - Mnie się właśnie rozchodzi o tę pracę, a dokładnie noc z dziewiątego na dziesiątego marca, czyli z niedzieli na poniedziałek.

- No to ja żem był za siorę moją na dyżurze, a że spałem tam spokojnie, to mogą zaświadczyć te studentki, co nocą wracały i mnie cholery zbudziły gdzieś tak na drugą piętnaście i później jeszcze jeden student był coś przed trzecią, i jeszcze jeden koło czwartej, ale ten to żadyn świadek, bo był napity koncertowo, że go do windy musiałem zaholować. Piją te studenty tak, że se pan pułkownik nie wyobrazi nawet, nieroby cholerne...

- I nikogo więcej nie było? - nie chciał wierzyć Marcinkowski.

- Jak Boga kocham, panie pułkowniku, jak na świętej spowiedzi przyrzekam się.

- A te pieniądze na imprezę to z nieba spadły?

- Ale, zara tam z nieba, za makulaturę ze skupu otrzymałem gratyfikację poważną.

- Słuchajcie, Kołodziejczyk - powiedział major, groźnie marszcząc brwi. - Nie pierdolcie mi tu o makulaturze, bo za stare gazety jeszcze nikt gorzoły w Peweksie nie kupił, a wyście tu sobie pierwszorzędne żytko popijali - mówiąc to, wskazał na kilka pustych butelek po peweksowskiej żytniej, stojących na brudnej podłodze. - Więc gadaj mi tu zaraz, skąd masz bejmy na chłanie, bo jak nie, to porozmawiamy na komendzie inaczej.

Kołodziejczyk spuścił wzrok i zaczął z uwagą przyglądać się swoim brudnym stopom. W końcu

odezwał się cicho:

- Jakoś tak koło drugiej w nocy przylazł taki jeden klient, co chciał siostrzenicę odwiedzić. Na początku to go chciałem przegnać, ale on wyciągnął dwadzieścia zielonych, no to co miałem robić. Powiedział, że tylko jej paczkę przekaże i zaraz wychodzi, a dolce to niby za kłopot daje. No to co, miałem nie wziąć, panie pułkowniku? Za taką drobną przysługę dwadzieścia dolców, kto by nie wziął. Przecie to dwadzieścia dwie flaszki żytniej. No to wziąłem, a gość, tak jak powiedział, wszedł na chwilę i zaraz wychodził.

Może z dziesięć minut tam na górze siedział...

- A jak wyglądał ten facet? - zainteresował się milicjant.

Kołodziejczyk znowu popatrzył na swoje wielkie stopy, przez chwilę milczał, jakby szperał w przytłumionej przez alkohol pamięci, a potem spojrzął na milicjanta i powiedział:

- Wyglądał normalnie, taki chudy i rudy, i piegowaty w dzinsowej kurtce, trochę jak cinkciarz. A od pana kapitana niższy był z jakieś dziesięć centymetrów.

- O kurwa! - zaklął Marcinkowski, który usłyszawszy opis nocnego gościa, momentalnie zbladł. Bo gość zdecydowanie przypominał swoim wyglądem jego najlepszego kumpla Mirka Brodziaka.

- Święte słowa, panie oficerze, święte słowa.

Godzina 18.25

Starszy sierżant sztabowy Marian Truszkowski podszedł do telewizora neptun kolor i wcisnął klawisz. Przez krótką chwilę stał przy odbiorniku, czekając, aż pojawi się obraz.

Nie trwało to długo. Neptun to był świetny sprzęt, nie jakieś tam lampowe paskudztwo, ale nowoczesny telewizor na tranzystorach, który włączał się niemal natychmiast po wciśnięciu guzika. W odróżnieniu od ruskich rubinów, polski neptun miał kolory zbliżone w znacznej mierze do rzeczywistych. O tych ruskich szkoda było nawet gadać.

Pokazywały barwy w zależności od partii, na jaką się trafiło w sklepie.

Telewizor zainstalowano w biurze oficera dyżurnego Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu zaledwie tydzień temu. Cała komenda otrzymała pięć takich cudeniak.

Cztery trafiły do gabinetów komendanta i jego zastępców, a jeden komendant kazał zainstalować w pokoju operacyjnym. Właściwie potrzebny był tu jak dziura w moście, ale nikt przecież nie będzie pytał komendanta wojewódzkiego o to, dlaczego wydał takie polecenie. Widać miał w tym jakiś cel. Tyle że w dyżurce mogli telewizję oglądać najwyżej dyżurni i, kątem oka, ci, którzy przychodzili na komendę zawracać głowę zapracowanym funkcjonariuszom, czyli interesanci.

Teraz na szczęście żadnego marudzącego klienta nie było za szybą na korytarzu, więc sierżant Truszkowski mógł sobie ze spokojem włączyć Teleskop.

Ekran telewizora błysnął i pojawił się na nim obrazek przedstawiający ratusz poznański, a zaraz potem popłynęły charakterystyczne dźwięki dzwonek wygrywających melodyjkę sygnału poznańskiej TV. Sierżant już chciał rozsiąść się wygodnie w służbowym fotelu, gdy usłyszał charakterystyczny stukot teleksu. Maszyna zaczęła drukować jakąś wiadomość, więc Truszkowski, chcąc nie chcąc, poszedł sprawdzić, czy to aby nie coś ważnego. Był starym milicjantem i wiedział doskonale, że jako dyżurny nie może pozwolić sobie na zlekceważenie żadnego teleksu. Założył okulary i pochylił się nad papierem wychodzącym z maszyny. Przeczytał nagłówek i zaklął w duchu. Teleks szedł z Kluczborka. Była to informacja o znalezieniu jakiegoś trupa przy torach obok towarowego jadącego ze Szczecina. Nie był to nagły rozkaz z Warszawy, więc sierżant machnął tylko

na nią ręką. Nie doczytał nawet do końca. Wrócił na swój fotel i spojrzął na ekran nowego telewizora.

Sympatycznie uśmiechnięty prezenter Tadeusz Zwiefka informował właśnie, że w RSP Wilczyna mimo wiosennej pory przygotowania maszyn do akcji zniwnej są już w pełnym toku, na razie jednak dają się odczuć przejściowe kłopoty ze sznurkiem do snopowiązałek.

To jest prawdziwe życie, pomyślał z uznaniem starszy sierżant sztabowy Marian Truszkowski, wsłuchując się w wiadomości przygotowane przez redakcję Teleskopu.

Nie myślał jednak o informacjach dziennika, które tak naprawdę niewiele go obchodziły, ale o tym, że może je oglądać w pięknym telewizorze marki Neptun.

Po chwili teleks przestał klekotać i sierżant już bez przeszkód mógł wsłuchać się w słowa dziennikarki rozmawiającej z dyrektorem Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej.

Godzina 19.40

Basen Olimpijczyków położony był przy kompleksie koszarowym ZOMO na Taborowej. Korzystali z niego milicjanci z koszar, a także, w wyznaczonych godzinach, studenci uniwersytetu. Popołudniami mogli pływać tu poznaniacy, ale mało kto miał na to ochotę, bo o tej porze przychodzili funkcjonariusze z miasta. Fred Marcinkowski pojawiał się tu kiedyś często, by rozruszać mięśnie. Jednak od chwili urodzenia się Filipa nie był na Olimpijczykach ani razu. Zaniedbał pływanie, bo ciągle brakowało mu czasu. Dziś musiał tu wpaść, chciał się z kimś spotkać na basenie. Wiedział, że we wtorki pływają tu wieczorem pracownicy konsulatu radzieckiego.

Wiktor Krawcew był jego dobrym znajomym. Poznali się przed trzema laty podczas jakiegoś szkolenia dla funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej. Krawcew, który był specjalistą od spraw gospodarczych z ramienia konsulatu, wygłaszał prelekcję na temat sytuacji międzynarodowej i współpracy w ramach RWPG. Po prelekcji tradycyjnie odbyła się popijawa w restauracji milicyjnej na Lampego. Krawcew i Marcinkowski siedzieli obok siebie. Fred trochę się bał, że nie da rady dotrzymać tempa Rosjaninowi, bo nie bardzo potrafił pić wódkę szklankami, jak, wedle panującego powszechnie przekonania, mieli ją pić Rosjanie. Okazało się jednak, że Krawcew nie pasował do stereotypu. Pił owszem sporo, ale wcale nie szklankami, lecz po kieliszku, jak całe towarzystwo. Po godzinie przeszli już na ty.

Krawcew doskonale mówił po polsku, prawie bez śladu rosyjskiego akcentu. To zaimponowało Fredowi. Z kolei Krawcewowi spodobała się płynna rosyjska wymowa Marcinkowskiego. Przez cały wieczór jeden mówił po polsku, drugi odpowiadał mu po rosyjsku i bez problemów się dogadywali, do czasu, kiedy obaj stracili kontakt z rzeczywistością. Później spotkali się jeszcze kilka razy i zawsze owe spotkania kończyły się podobnie - ciężkim kacem nazajutrz.

Fred zorientował się szybko, że jego nowy przyjaciel jest całkiem ważną figurą w konsulacie, a sprawy gospodarcze, którymi miał się zajmować, są tylko przykrywką dla rzeczywistych zadań. W trakcie ich zakrapianych spotkań Krawcew wypytywał go o pracę, nastroje wśród milicjantów, jego poglądy na temat sytuacji w kraju, jednak robił to bardzo delikatnie i nienachalnie, by wyglądało to jak zwykłe towarzyskie rozmowy przy kielichu.

Teraz Fred postanowił wykorzystać tę niezobowiązującą dotąd znajomość.

Mirek Brodziak zrelacjonował mu dokładnie rozmowę z prostytutką z Magnolii i jej opowieść o radzieckich razwiedczykach. Od razu pomyślał o Krawcewie. Jeśli ktoś mógł pomóc w znalezieniu tych ludzi, to tylko on.

W konsulacie powinni dokładnie wiedzieć, jacy obywatele ZSRR przebywali w tej chwili w Poznaniu i czym się zajmowali. Jeśli Krawcew będzie chciał, na pewno potrafi mu dostarczyć odpowiednich informacji. Pytanie tylko, czy zechce, a jeśli tak, to czego będzie chciał w zamian, bo w bezinteresowność takiej przysługi Marcinkowski nie bardzo wierzył.

Na basenie pływały zaledwie trzy osoby. Przebrany w szorty gimnastyczne zastępujące kąpielówki, których w żaden sposób nie można było dostać w sklepach WPHW, Fred skoczył do wody ze słupka startowego z numerem 1. Szybko przepłynął całą długość basenu i wynurzył się na drugim końcu.

Krawcew pływał po zewnętrznym torze z przeciwnej strony. Spokojnie i równomiernie, nie spiesząc się, młócił silnymi ramionami wodę. Jego czarna, krótko po wojskowemu przycięta czupryna regularnie ukazywała się nad powierzchnią wody. Fred odbił się od wykafelkowanej ściany i za chwilę był już koło Rosjanina, akurat gdy ten miał zamiar dotknąć punktu odbicia, gotowy do nawrotu. Zauważył Marcinkowskiego i złapał za aluminiowy uchwyt.

- Witaj, Fred Stanisławowicz - przywitał się po polsku, używając otczestwa. Freda bardzo śmieszył ten sposób zwracania się do drugiej osoby, ale dobrze wiedział, że jest to zwyczajowa forma okazania szacunku.

- Zdrawstwujcie, Wiktor Nikołajewicz - odpowiedział po rosyjsku.

- Dawno się nie widzieliśmy - powiedział Rosjanin, przecierając mokrą twarz. - Rodzina ci się powiększyła, więc czekam i czekam, kiedy wreszcie zaprosisz, żeby toast za zdrowie syna wznieść.

Fred dotąd nawet nie pomyślał, że wypadaloby z Rosjaninem opić urodziny Filipa. Zaraz po tym, jak chłopak przyszedł na świat, wypili z Brodziakiem kilka butelek.

Ale to w końcu był Mirek, jego najbliższy przyjaciel, tymczasem Krawcew był tylko znajomym. Kto jednak wie, czy tam u niego w Rosji nie ma zwyczaju picia za zdrowie syna ze wszystkimi znajomymi, pomyślał, i być może niezaproszenie Krawcewa na pępkowe może być odebrane przez niego jako nietakt. Uśmiechnął się więc, kryjąc w ten sposób lekką konsternację, i powiedział:

- Prawda, że czas już najwyższy. Wkrótce do domu cię zaproszę. Okazja jest, i to podwójna, bo Filipa zdrowie wypijemy, a i żona chciała cię wreszcie poznać...

- No to powiedz tylko kiedy, a ja już butelkę stolicznej zacznę mrozić na tę okazję - ucieszył się Krawcew.

- Na to, Wiktor, przyjdzie czas, i to już niedługo, ale teraz mam pewien problem, z którym bez ciebie się nie uporam. Chciałem cię prosić o pomoc, tyle że musi być nieoficjalna, więc pomyśl, czy to możliwe.

Rosjanin spojrzał na Marcinkowskiego wyraźnie zaciekawiony:

- Mów, co cię trapi, przyjacielu.

- Dwóch ludzi radzieckich, podobno wojskowych, którzy w nocy z niedzieli na poniedziałek pili szampanskoje w Magnolii z niezbyt przyjemnymi typami. Muszę z nimi pogadać. I dobrze by było, żeby chcieli mówić, bo to sprawa gardłowa.

Krawcew spojrzał na niego, zmarszczywszy brwi, a potem swoim zwyczajem uśmiechnął się, ukazując dwa równe rzędy białych zębów:

- Powiadasz, że ludzie radzieccy są tobie potrzebni od zaraz. A jeśli wolno zapytać, to w jakim charakterze? Bo domyślam się, że ma to związek z twoją kryminalną robotą, a nie z jakimiś politycznymi sprawami.

- Mam pewne informacje, że ci dwaj pili z gościem, który jest głównym podejrzanym w sprawie

o morderstwo i na dodatek jeszcze strzelanie do milicjantów.

- Strzelanina na Strusia? - zapytał Krawcew.

- Jesteś dobrze poinformowany.

- Całe miasto już o tym mówi. Trudno nie wiedzieć takich rzeczy. A ludzie o sensacjach mówić lubią.

Marcinkowski nie odpowiedział. Ręką zaczął rozgarniać wodę, jakby szykował się do odpłynięcia. Krawcew musiał zrozumieć, że milicjant nie powie nic więcej o strzelaninie, bo zobowiązany jest tajemnicą śledztwa.

- No to ja sprawdzę, co da się zrobić. A teraz sprawdzimy, jak z twoją formą, Fred Stanisławowicz? Na sto metrów?

- Nu dawaj, drug - odpowiedział Marcinkowski i odbił się mocno od ściany. Wiedział, że ma marne szanse z dbającym o kondycję fizyczną i regularnie trenującym na basenie Olimpii Krawcewem, ale trzeba było spróbować, w końcu te cztery baseny jakoś przepłynie.

Rozdział VIII

Poznań, środa, 12 marca, godzina 7.15

Rynek Łazarski to osobliwe miejsce. Gdyby ten otoczony z trzech stron secesyjnymi kamienicami plac, którego południowo-zachodnia część otwiera się szerokim wyjściem na ulicę Głogowską, znajdował się na przykład w Antwerpii czy nawet bliżej, w Kolonii, mógłby z powodzeniem stanowić centrum ekskluzywnej dzielnicy. Niestety... Był to Poznań. Dawni właściciele pięknych kamienic jeszcze pod koniec lat czterdziestych zostali wywłaszczeni, a do porządných, obszerných kilkupokojowych mieszkań dokwaterowano rodziny, które przyjechały do stolicy Wielkopolski za pracą. W ten sposób mieszczańska dzielnica z tradycjami szybko stała się dzielnicą proletariacką, a w końcu lumpenproletariacką, większość tutejszych mieszkańców, o ile w ogóle brała się do pracy, zajmowała się dorywczo handlem, a swoje dochody przeznaczala na zaspokojenie podstawowych potrzeb, pragnienie stawiając na pierwszym miejscu. Centrum tej działalności zarobkowej stanowił właśnie Rynek Łazarski. To tu odbywały się co dzień targowiska wszystkiego, co tylko dało się sprzedać. Na Łazarzu można było znaleźć każdą rzecz. Ostatnio na rynku zaczęło pojawiać się coraz więcej zachodniego sprzętu RTV, który wypierał elektronikę ze Związku Radzieckiego. I wszystkie te świecące kolorowymi lampkami cuda kapitalistycznej myśli technicznej można tu dostać za złotówki, a nie jak w Peweksie czy Baltonie za bony Pekao.

Porucznik Wiesław Adamski codziennie rano musiał przejść przez rynek, by dostać się na ulicę Głogowską, z której odchodził tramwaj wożący go do pracy. Mieszkał niedaleko stąd, tu się urodził i wychował. Nic więc dziwnego, że znał tu niemal wszystkich. Ci, którzy handlowali na Łazarzu, też dobrze go znali. Wiedzieli, gdzie pracuje, i można powiedzieć, że czuli dla niego coś w rodzaju szacunku. Bo ten milicjant nigdy nie wchodził im w drogę. Przemykał tylko skrajem rynku, czasami coś kupił, ale najważniejsze, że się nie wtrącał i życie, nawet pod bokiem sąsiada funkcjonariusza, mogło tu biec normalnym, wyznaczanym przez lewe interesy rytmem.

Wczoraj po naradzie u majora Marcinkowskiego Adamski odwalił kawał porządnej roboty. Obdzwonił większość szpitali, przychodni, a także komend milicji na trasie do Katowic. Przez cały dzień niewiele uzyskał, bo nikt nic nie wiedział o rannym lub zabitym mężczyźnie w kolejarskim mundurze. Dopiero pod wieczór wpadł na dyżurnego z Kluczborka. Ten poinformował go, że owszem, taki poszukiwany osobnik znajduje się w miejscowej kostnicy.

Po interwencji Adamskiego udało się wysłać odpowiedni teleks do Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu. Jego treść porucznik sam musiał podyktować dyżurnemu w Kluczborku, bo ten twierdził, że jest sam, a taką informację może sformułować tylko któryś z oficerów. Więc Adamski wyjaśnił mu, że jest właśnie oficerem z KW i dlatego wie, co powinna zawierać treść teleksu.

Zależało mu na tym dokumencie, bo pozwoli on majorowi błyskawicznie zarządzić identyfikację, on zaś wepnie ów teleks do akt sprawy, z adnotacją o tym, kto odnalazł poszukiwanego denata. A porucznik nade wszystko lubił dobrze sporządzone notatki, poprawnie wypełnione formularze i

porządek w aktach spraw, do których go przydzielano. Zresztą to dzięki tej swojej pruskiej sumienności kilka lat temu trafił do zespołu kryminalnego, gdy Marcinkowskiemu wpadły w ręce akta sprawy gwałciciela z Moraska, które własnoręcznie prowadził Adamski. Marcinkowski nie znosił papierkowej roboty, dlatego ktoś tak skrupulatny był dla niego prawdziwym darem niebios. Od tego czasu w dokumentacji śledztw wydziału zapanował idealny porządek, a na dodatek człowiek odpowiedzialny za papiery zawsze wiedział, co zapisane jest w której teczce.

Przechodząc przez Rynek Łazarski, porucznik kątem oka przyglądał się tłumowi, który jak zwykle się tu kręcił. Nagle przy przecinającym plac niskim betonowym murku, na którym swoje towary rozkładali drobni handlarze, dostrzegł łysą głowę mężczyzny w wojskowej kurtce moro. Łysy co chwilę pochylał się i znikał w otaczającej go grupce gestykulujących mężczyzn.

Adamski uśmiechnął się pod nosem. Doskonale wiedział, czym się zajmują. Grali w trzy karty, a łysy, czyli Olo Golona, jak nazywali go miejscowi, był w tej grze krupierem.

- Czarna przegrywa, czerwona wygrywa! - porykiwał Olo do graczy. - Za tysiąka płace piąta! Kładziesz, odkrywasz i bejmy wygrywasz - recytował, zachęcając naiwnych do postawienia pieniędzy.

Porucznik przebił się przez tłum graczy i stanął naprzeciw rozdającego. Golona spojrzał na Adamskiego i niechętnie schował karty do kieszeni kurtki:

- W związku z wizytą milicji obywatelskiej przerywa się pokaz sztuczek karcianych do odwołania.

Tłum rozplątał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na miejscu został tylko milicjant z karciarzem.

Ten wyciągnął papierosa, przypalił go, a potem usiadł na przewróconym do góry dnem śmietniku, który dotąd zastępował mu karciany stół.

- I co się, kurde, Wiechu, naprzykrzasz i interesów nie dajesz prowadzić. Tylu szuszfoli tu było do ogrania, że tydzień bym nie musiał robić.

Golona mógł się w ten sposób zwrócić do funkcjonariusza, bo znali się od dziecka, chodzili do tej samej klasy w podstawówce i do dziś mieszkali w jednej kamienicy.

Na widok innego milicjanta, na przykład dzielnicowego Obrębskiego, dawno wzięłby nogi za pas, ale Adamskiego nie obawiał się ani trochę. Ten klepnął go w ramię i przyjaźnie się uśmiechnął:

- Łe tam, zaraz się odkujesz jak kogut na gnoju.

A ja z ważną sprawą do ciebie, chciałem ci tylko słówko powiedzieć w kwestii twojego dzielnicowego, tego, co go dwa kroki stąd jakaś łachudra postrzeliła.

- Co z chłopem? - Zainteresował się Golona, który tak jak wielu chłopaków z rynku martwił się trochę o tego „ich szkieła”.

- Na Junikowo się jeszcze nie wybiera, będzie żyć i wróci na dzielnicę jak dwa i dwa cztery, tak że penerstwo niech się nie cieszy. Ale ważniejszą rzecz chciałem ci powiedzieć. Gonimy tego, co go postrzelił, i już jesteśmy blisko. Musimy tylko ustalić jedną rzecz. Szukamy wiary, co w Dzień Kobiet wracali nocną Beroliną. Bo ten, co jechał tym pociągiem, to ten sam, co Obrębskiego strzelił.

Chodzi o kolejarza, co tam był w tej banie. Ktoś musiał go widzieć.

- No, kolejorza w pociągu łatwo zobaczyć, tyle że wiesz, że w tym kursie mało który widzi, bo wszyscy nachlani jak wory do chaty jadą.

- Ale kurs najczęściej na Łazarzu kończą z towarem z Niemiec. Więc jakbyś mógł tu i tam szepnąć, że szukamy tych, co wtedy jechali... Pewnie mógłbyś nam pomóc.

A to zawsze się może opłacić, bo koledzy Obrębskiego zapamiętają dobrze, kto im chciał pomóc. No i nagroda dla kogoś takiego też będzie...

Z tą nagrodą to trochę przesadziłem, pomyślał porucznik, ale w końcu może coś to da? Niech ktoś się zgłosi, a o nagrodzie później się pomyśli.

- Nagroda, powiadasz? - połknął natychmiast haczyk Olo, drapiąc się po łysej głowie. - Czemu nie, coś tam szepnąć mogę, zwłaszcza że wiaruchna patrzy na nas i pytać się będą jak nic, o czym to ja tak na środku Łazarza ze szkiełem konferuję.

Tuż obok nich przebiegł z wywieszonym ozorem bury pies i pognął w kierunku stadka gołębi czekających nieopodal na trawniku na swoją codzienną porcję chleba, którym karmili je okoliczni emeryci. Kundel wpadł na skwerek, głośno ujadając, ale nie udało mu się dopaść żadnego z ptaków; dojrawszy napastnika, z furkotem wzbiły się w powietrze.

- Widziołeś tego kejtra? - powiedział Olo do milicjanta, ale Adamski zniknął już w tłumie.

Katowice, godzina 8.20

Starszy szeregowy Mariusz Blaszkowski rozsiadł się wygodnie w fotelu i spojrzał na stojącą przed nim szklanę herbaty. Wrzucona przed chwilą do wrzątku torebka ekspresowej powoli zabarwiała wodę na brązowy kolor.

Ciekawe, pomyślał Blaszkowski, czemu ta herbata nie ma swojej nazwy. Te wszystkie podlegsze gatunki w wiórkach jakoś się nazywały. Była herbata ulung, herbata madras czy herbata junan, a ta w woreczkach nazywa się herbata ekspresowa. To tak, jakby komuś, kto decydował o nazwach produktów spożywczych, skończyły się pomysły i pozostał przy oznaczeniu jej sposobu zaparzania.

Blaszkowski nie potrzebował herbaty, by wspomóc działanie swojej przysadki mózgowej. Pił ją, ponieważ lubił słodcyce. A że głupio mu było wyjadać cukier łyżeczką bezpośrednio ze słoika, zadowalał się nawet marną herbatą ekspresową, byle miała dużo cukru.

Aluminiową łyżeczką wydobyl woreczek ze szklanki i odkręcił metalową nakrętkę ze słoika po ogórkach konserwowych, w którym gospodarz pokoju, porucznik Pytlok, przechowywał cukier. Rozejrzał się wokół jakby w obawie, że ktoś może dostrzec jego niezbyt męskie zachowanie. Ale w pokoju był sam, bo żaden z oficerów tu urzędujących nie miał w zwyczaju zjawiać się w firmie o tak wczesnej porze. Szybko wsypał do szklanki sześć kopiastych łyżeczek i zamieszał. Tak przygotowany mógł wreszcie przystąpić do pracy. Leżała przed nim opasła teczka z aktami. Od wczoraj, to jest od chwili, kiedy z chorążym Olkiewiczem przyjechał do Katowic, ślęczał nad tymi papierami. Były to akta sprawy dotyczącej morderstwa kolejarza, którego zwłoki z odciętą dłonią znaleziono w Katowicach-Ochojcu. Do wieczora udało mu się przeczytać wszystko od deski do deski i dziś czekała go kolejna, wnikliwsza analiza. Podczas lektury zapisał swoimi uwagami i spostrzeżeniami kilkanaście kartek grubego, stukartkowego zeszytu. Notował każdy szczegół, który nie pasował mu do całości obrazu i wydawał się dziwny.

Wczoraj był z tych notatek bardzo dumny, ale gdy dziś je przejrzał, doszedł do wniosku, że zawierają same bzdury: jakieś nieścisłości adresowe osób przesłuchiowanych w sprawie, pomyłki w datach, poprzekręcane nazwiska.

To, co wczoraj wydawało mu się ważne, dzisiaj uznał za zwyczajny, napotykanany podczas każdego śledztwa papierkowy bałagan.

Śledztwo w tej sprawie nie doprowadziło do żadnych konkretnych ustaleń. Nie wykryto sprawcy, nie udało się znaleźć jakichkolwiek podejrzanych. Wprawdzie raport wskazywał na osobę, która

według prowadzącego śledztwo porucznika Alberta Trulki mogła być w jakiś sposób powiązana ze śmiercią swojego kolegi i współpracownika, jednak Blaszkowskiemu wydawało się mało prawdopodobne, by właśnie ta osoba mogła przyczynić się do śmierci kolejarza.

Przeczyła temu logika wydarzeń.

Zabity nazywał się Jerzy Kawulok. Był członkiem dwuosobowego zespołu obsługującego pociąg jeżdżący z Katowic do Wiednia. W przeddzień swojej śmierci kolejarz wrócił późnym wieczorem ze stolicy Austrii i jak twierdził jego kolega, kierownik pociągu Marian Kłuta, po zakończeniu służby Kawulok pojechał do domu. Obaj mężczyźni rozstali się na kładce przed dworcem w Katowicach.

Kawulok zszedł schodami na przystanek autobusowy, natomiast Kłuta, który mieszkał w Siemianowicach Śląskich, poszedł do końca kładki na przystanek tramwajowy. Według Kłuty było to ich ostatnie spotkanie. Kawulok, który miał jechać spod dworca autobusem 296 lub 297, nie dotarł nigdy do domu. Milicjantom, którzy prowadzili śledztwo, udało się nawet ustalić, że kolejarz wsiadł do autobusu 297 i wysiadł na ulicy Generała Waltera Jankego, czyli we własnej dzielnicy, jakieś trzysta metrów od domu. Odtąd nikt go już żywego nie widział. Z akt wynikało, że morderca prawdopodobnie spotkał się ze swoją ofiarą gdzieś w okolicach baru piwnego U Pluty. Z jakiegoś powodu Kawulok poszedł z nim do pobliskiego rowu, w którym często spożywali alkohol miejscowi pijaczkowie, i tam został zabity. Wniosek nasuwał się sam: kolejarz musiał dobrze znać człowieka, z którym poszedł. Porucznik Trulka zakładał, że tą osobą mógł być Kłuta, który nie miał alibi na ten wieczór. Choć twierdził, że pojechał do domu, nie trafił tam od razu, najpierw miał wstąpić na piwo do baru niedaleko ośrodka telewizji na Bytkowie. Tak przynajmniej mówił, bo nikt z obsługi baru ani z goszczących tam tego wieczora ludzi nie przypominał sobie wizyty Kłuty, który podobno miał tam siedzieć aż do zamknięcia, czyli do północy. Dopiero wtedy wrócił do domu, co potwierdzili jego żona Gabriela i sąsiad, który akurat wyprowadzał psa pod blokiem. Ten brak alibi sprawił, że porucznik Trulka nabrał natychmiast podejrzeń. Zatrzymał Kłutę na czterdzieści osiem godzin do wyjaśnienia, ale prokurator nie znalazł żadnych podstaw do aresztowania i podejrzany został wypuszczony. Tym bardziej że milicja w osobie prowadzącego śledztwo nie przedstawiła żadnych, nawet najmniej prawdopodobnych motywów morderstwa. Dochodzenie toczyło się jeszcze przez jakiś czas siłą inercji, by w końcu stanąć. Nie złożono jeszcze, co prawda, wniosku o umorzenie, ale można było przypuszczać, że jest to tylko kwestia czasu, i niedługo porucznik Trulka wystąpi o to, by nierozwiązana sprawa niepotrzebnie nie kurzyła się na jego biurku.

W trakcie śledztwa przesłuchano kolegów z pracy Kawuloka, jego znajomych, sąsiadów i rodzinę. Z przesłuchań wyłaniał się obraz porządnego, życzliwego człowieka, który nie miał żadnych wrogów. Wręcz przeciwnie, była cała grupa osób, które wyrażały się o nim w samych superlatywach. Jak się okazało, większość z nich była przez niego zaopatrywana w tani sprzęt elektroniczny z Zachodu. Nie zarabiał na tym zbyt wiele, mówili ludzie. Nie trzeba go było nawet specjalnie prosić. Sam obiecywał, że przywiezie jakieś wideo czy radio. Przywoził i sprzedawał niemal po kosztach. Słowem ludzki człowiek.

Jak się okazało, wszyscy zeznający znajomi i krewni, w sumie kilkanaście osób, kupili od Kawuloka jakiś sprzęt elektroniczny.

Początkowo Blaszkowski nie zwrócił na to uwagi, ale coś go niepokoiło w tych zeznaniach. Niepokoiło na tyle, że rano zaczął studiowanie akt właśnie od zeznań osób związanych z Kawulokiem. Przeczytał je wszystkie jeszcze raz, potem jeszcze raz...

- Ja pierdzielę! - jęknął starszy szeregowy Mariusz Blaszkowski, uderzając się ręką w czoło. Jak

ten porucznik Trulka mógł na to nie wpaść, dziwił się. Przecież zabity kolejarz musiał być prawdziwą, jednoosobową firmą importerską. Skoro wszyscy przesłuchiwani w tej sprawie byli szczęśliwymi posiadaczami magnetowidów czy telewizorów sprowadzonych przez Kawuloka, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że takich ludzi jest znacznie więcej, myślał Blaszkowski. Facet sprowadzał do Polski sprzęt i musiał na tym nieźle zarabiać. A to oznacza, że był powód, by go wyeliminować, bo na elektronice robi się teraz grubą forszę, zaś zawistnych i potencjalnych konkurentów zawsze jest od licha i trochę.

Godzina 8.30

- O ciulu - jęknął porucznik Albert Trulka i zdenerwowany walnął pilotem o stół. Plastikowa klapka wypadła z trzaskiem, a na blat ławy wytoczyły się dwie czerwone baterie R-14 Centra. Milicjant, który w ten niekonwencjonalny sposób próbował ożywić elektronicznego pilota firmy Panasonix, zaklął jeszcze raz w myślach, a potem powoli zwlókł się z łóżka. Miał zamiar włączyć wideo, by obejrzeć dalsze przygody Rambo, ale musiał pofatygować się sam do telewizora. Chciał powrócić do prawdziwego, pełnego emocji życia, poprzez film, którego wczoraj nie udało mu się obejrzeć do końca. Oczywiście przypadki dzielnego Rambo walczącego z Rosjanami w Afganistanie były bardzo interesujące, ale i zwyczajne życie miało swoje prawa. A jedno z nich było proste i uniwersalne: nikt nie jest w stanie wypić więcej, niż waży, więc i Trulce nie udało się wczoraj wypić do końca kilkudziesięciu piw. Zakończył przy piętnastym, zasnawszy akurat, gdy John Rambo próbował zestrzelić sowiecki helikopter. I teraz Trulka nie wiedział, czy zestrzelił, czy nie. Podszedł do telewizora chwiejnym krokiem, włączył go, a potem zrobił to samo z magnetowidem. Gdy pojawił się obraz, wrócił do rozgrzebanego łóżka, zabierając po drodze kolejne piwo tyskie tańcowane ze skrzynki stojącej pod stołem w kuchni i papierosa klubowego z biało-czerwonej paczki leżącej na komodzie. Tak wyposażony ułożył się wygodnie na swoim pościeli. Mógł spokojnie obejrzeć film, bowiem dzisiaj miał wolne. W ogóle ostatnio często miewał wolne, bo od kilku miesięcy częściej przesiadywał w domu na L-4 niż w pracy. Nie był obłożnie chory.

Trochę go tylko pobolevały korzonki i dzięki temu bez większych problemów mógł brać zwolnienie z pracy, które wypisywał mu znajomy lekarz z przychodni na osiedlu Tysiąclecia, niejaki Pawlak. Znał go doskonale, bo obaj mieszkali w tej samej kukurydzy, czyli w jednym z kilku modernistycznych wieżowców z lat siedemdziesiątych, z daleka przypominających swą formą kukurydziane kolby.

Pawlak obeznany z problemami zdrowotnymi sąsiada wypisywał mu zwolnienie, kiedy tylko ten go potrzebował. A ostatnio potrzebował coraz częściej, bo praca w Milicji Obywatelskiej była co prawda przydatna, ponieważ otwierała wiele zamkniętych drzwi, ale przeszkadzała w prowadzeniu interesów. Zabierała zbyt wiele czasu, a tego Trulka jako początkujący biznesmen potrzebował coraz więcej. Wszystko wskazywało bowiem na to, że jego raczkujące na razie przedsięwzięcie może się rozwinąć w nieźle źródło dochodu. Trulka wyczuł to od razu, od chwili gdy kilka miesięcy temu zlecono mu śledztwo mające wyjaśnić okoliczności zabójstwa pewnego kolejarza.

Nim Trulka je wyjaśnił, natknął się na coś, co sprawiło, że świat jego wartości zmienił się nieodwracalnie w ciągu kilku minut. Wiedziony ciekawością, a może i milicyjnym nosem, zajrzał na stryszek domu zabitego kolejarza.

Stanął tam jak wryty: pomieszczenie od podłogi po sufit zapchane było elektronicznym zachodnim sprzętem. Nie ulegało wątpliwości, że sprzęt ten znalazł się w kraju nielegalnie. Nikt bowiem poza

Centralą Handlu Zagranicznego nie mógł sprowadzić do Polski kilkuset kilogramów elektroniki zza żelaznej kurtyny. Kolorowe kartony z nazwami światowych marek produktów mówiły same za siebie. W pierwszej chwili Trulka chciał zawiadomić o swoim odkryciu i niewątpliwym sukcesie szefa wydziału, ale zaraz potem zaczął się zastanawiać, ile to wszystko jest warte. Przeliczył szybko w myślach i wyszło mu, że małą fortunę. I nie zawiadomił przełożonych. Pozostawało pytanie, skąd to się wszystko tu wzięło. Bo Kawulok, mieszkający samotnie pięćdziesięciolatek, sam tego na plecach do domu nie wniósł.

I wtedy Trulka przypomniał sobie o koledze Kawuloka, kolejarzu Kłucie. W końcu, zastanawiał się porucznik, było mało prawdopodobne, żeby facet, z którym razem jeździł do Austrii, nic nie wiedział o tym interesie. I nie pomylił się.

Następnego wieczora Trulka czekał już na peronie na Kłutę, który wracał z Wiednia. Wprost z dworca, niczego nie tłumacząc, zawiózł go służbowym fiatem 125p do domu Kawuloka. Zamordowany mieszkał w małym przedwojennym, jednorodziowym domku przy uliczce odchodzącej od Generała Jankego. Milicjant popchnął kolejarza na stryszek i zażądał wyjaśnień.

Początkowo Kłuta wił się jak piskorz, ale porucznik był nie w ciemną bity. Przycisnął go, jednocześnie dając do zrozumienia, że szkoda by było, żeby takim wartościowym towarem zainteresowała się socjalistyczna sprawiedliwość. Kłuta dostrzegł w tym swoją szansę. Opowiedział ze szczegółami o prowadzonym od jakichś dwóch lat z Kawulokiem interesie, który, jak się okazało, był prawdziwą żyłą złota. Wszystko toczyło się doskonale do pewnego momentu. Trzy miesiące wcześniej przyszedł do Kłuty jakiś człowiek, który zaoferował bezcennie pomoc w prowadzeniu biznesu. Oczywiście pogonił go natychmiast, ale ten nie ustępował i jeszcze groził. Powiedział, że gdy zabraknie mu wkrótce rąk do pracy, to on się pojawi znowu. Wtedy kolejarz niewiele sobie z tego robił, ale nagle groźba się spełniła. Nie dość, że nie miał z kim prowadzić interesu, to teraz zaczął się bać o samego siebie. Na razie przestał więc przywozić towar z Austrii. Ale problemy się nie skończyły. Jakiś miesiąc temu na dworcu w Katowicach zaczepił go ktoś, kto powiedział mu tylko, że już są odpowiednie ręce do pracy. Kłuta przestraszył się nie na żarty i uciekł do podziemnego przejścia pod dworcem. Ale nikt go nie ścigał.

Porucznik Trulka opadł ciężko na tapczan, pociągnął spory łyk piwa, a potem przypalił zapalką kolejnego klubowego. Poprzez kłęb dymu spojrzął na umięśnionego Johna Rambo, który obwieszony taśmami nabojuowymi pruł z karabinu maszynowego do komunistów.

- A ja was, czerwone skurwysyny, załatwię tak jak Rambo, ale bez strzelania, bez broni, gospodarczo was załatwię, zaleję was magnetowidami... Aż się ta wasza gówniana gospodarka rozleci w cholere - wybełkotał porucznik, dziwiąc się trochę, że znacznie osłabły jego możliwości oratorskie. Położył się na brudnej poduszce i zamknął oczy akurat w chwili, gdy John Rambo zaczął strzelać do helikoptera. Znowu nie zdążył się przekonać, jaki był wynik tego starcia.

Poznań, godzina 9.15

- Halo, halo... mówi Marcinkowski z Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu. Tak, Marcinkowski, major z wojewódzkiej z Poznania. Rozmawiam z porucznikiem Martyniukiem?

Tak, chodzi mi o teleks, który wysłano od was z komendy w sprawie tego znalezionego przy torach denata. Tak, mam go przed sobą. Nie denata, teleks mam przed sobą!

No właśnie i w tej sprawie... - W słuchawce pojawił się jakiś przeciągły pisk, potem zatrzeszczało i w końcu odezwał się głos telefonistki z centrali międzymiastowej:

- Halo, mówi się?

- Tak, mówi się, co?

- Halo, mówi się? - powtórzyła zniecierpliwiona kobieta, do której najwyraźniej nie dotarła odpowiedź Marcinkowskiego.

- No mówię przecież, że się mówi, nie? - warknął do słuchawki Fred, zły na telefonistkę, która bezceremonialnie przerywając rozmowę, sprawdzała zajętość linii. - Niech się pani, do cholery, wyłączy i pozwoli nam dalej rozmawiać. Tak, to jest służbowa rozmowa z Komendy Wojewódzkiej... Jesteście tam jeszcze, poruczniku?

Po drugiej stronie odezwał się ledwo słyszalny głos Martyniuka.

- Więc słuchajcie, chodzi mi o to, żebyście jak najszybciej zrobili jakieś zdjęcia temu zabitemu kolejarzowi i dostarczyli je nam niezwłocznie. Co mówicie, jak to nie macie fotografa? No to niech ktoś sprowadzi fotografa z miasta i niech ten fotograf zrobi jak najszybciej zdjęcia. A jak już będą wywołane, to dajcie jakiś samochód i niech ktoś je przywiezie do nas do Poznania. Nie, nie chcę całego trupa, tylko jego zdjęcia. Zdjęcia twarzy, rozumiecie, chodzi mi o identyfikację zwłok. Jak zrobicie zdjęcia, to wyślijcie do nas auto z tymi zdjęciami... No pewnie, że z kierowcą...

Aha, nie macie żadnego auta na chodzie. Dobra, zróbcie tak, niech te zdjęcia ktoś przekaże kierownikowi pociągu do Poznania. Tak, najbliższego pociągu. Nie martwcie się, do cholery. Jakoś je odbierzemy z dworca... Dobra, czekam w takim razie na sygnał od was.

Major Marcinkowski odłożył słuchawkę i otarł pot z czoła. Spojrzał na Grzecha Kowala, który rozsiadł się wygodnie w fotelu przed jego biurkiem i z uwagą przyglądał się swojemu szefowi.

- Nie mają fotografa - wyjaśnił sierżantowi Marcinkowski. - Ten porucznik, z którym rozmawiałem, to jakiś idiota. Wyobraź sobie, powiedział, że jak nie ma fotografa, to oni mogą wynająć karawan i przywieźć nam zwłoki.

- Może to byłoby najlepsze - zaśmiał się Kowal. - Jak te fotki robi im jakiś miejscowy spec od wesel i chrzcin, to może jeszcze przedobrzyć i tak nam wyretuszować facjatę tego naszego gnojka, że go nie rozpoznamy.

- Ten Martyniuk powiedział, że prześlą nam samą rolkę filmu, bez wywoływania, żeby było szybciej, jak nam się tak spieszy. Tłumaczył też, że ten teleks miał być wysłany dopiero dziś po zaakceptowaniu przez ich komendanta, ale poszedł wczoraj, bo jakiś porucznik z KW im kazał szybko coś napisać, a później tworzyć sobie od nowa cały dokument.

- Adamski do nich dotarł i już nie wypuścił - zaśmiał się Kowal, domyślając się, kto mógł zmusić jakiegoś prowincjonalnego milicjanta do wysłania teleksu.

- No pewnie, że on. Jak poczuje sprawę, to potrafi zamęczyć człowieka na śmierć. Musi mieć papier, i koniec.

Teleks z odpowiednią adnotacją od Adamskiego znalazłem rano na swoim biurku.

- A co do tej fotki, to ni ma strachu, jakby nawet pomazali mu pysk szminką i umalowali oczy, to i tak rozpoznam tego gnoja. Tej kwadratowej grubej mordy nie zapomnę do końca życia.

Sierżant Kowal miał zwolnienie lekarskie. Dziś rano był na Lutyckiej na zmianie opatrunku. Owinięto mu głowę świeżym bandażem, a lekarz jeszcze raz dokładnie przyjrzał się ranie. Na szczęście, jak zapewnił sierżanta, wszystko goiło się doskonale. Zresztą ta rana na głowie nie była zbyt poważna, kula prześlizgnęła się po skórze tuż nad uchem. Gdyby poszła trochę niżej, Kowal straciłby ucho, a wystarczyło tylko parę milimetrów w bok i byłoby już po nim.

- Niech panie wydaje niepotrzebnie pieniędzy na wódkę, by opijać ocalenie, tylko na mszę

niech pan da, bo to prawdziwy cud, że pan żyje - powiedział doktor Piotrowski, który przyglądał się jego głowie. Kowal wziął to do serca i postanowił, że pójdzie do znajomego księdza. Jeden z kolegów jeszcze z podstawówki był wikarym na Wildzie. Obiecał więc sobie, że jak tylko całkowicie wydobrzeje, pójdzie go odwiedzić i poprosi, by ten odprawił mszę za jego milicyjną duszę. Wiedział, że ksiądz Mizerski nie odmówi. Można się było z nim dogadać. Już nieraz Kowal załatwiał u niego potajemne chrzty dzieci swoich najbardziej zaufanych kolegów. Najważniejsze, że dawny szkolny kolega potrafił dotrzymać tajemnicy, bo gdyby informacja o chrzcinach milicyjnego dzieciaka wyciekła gdzieś na zewnątrz i dotarła do organów, jego ojciec miałby poważne kłopoty w pracy - z wyrzuceniem włącznie.

Ale sprawa mszy dziękczynnej mogła jeszcze trochę poczekać. Najpierw Kowal postanowił sprawdzić na komendzie, co słychać i czy przypadkiem nie odnalazł się ten bandzior, który do niego strzelał. Miał ochotę osobiście z nim porozmawiać. Zresztą już wczoraj kilku kolegów zadeklarowało swoją pomoc i pełne zaangażowanie w przesłuchanie tego gościa. Gdy Kowal pojawił się teraz na drugim piętrze, tam gdzie znajdował się jego wydział, na korytarzu natknął się na majora Marcinkowskiego.

Fred zabrał go natychmiast do swojego gabinetu i przekazał mu radosną wiadomość:

- Dostałem teleks z Kluczborka. Znaleźli tam nieboszczyka w kolejarskim mundurze. Facet ma dwie rany postrzałowe. Jedna kula utkwiała w ramieniu, a druga w brzuchu.

- No to znaczy, że trafiłem skurwiela - ucieszył się sierżant Grzechu Kowal. Ale zaraz zrobiło mu się smutno, bo to oznaczało, że z przesłuchania nici.

Godzina 10.30

Rajmund Dutka mieszkał w dwóch pokojach z kuchnią i łazienką w starej, dziewiętnastowiecznej kamienicy, usytuowanej przy rogu Chwiałkowskiego i Fabrycznej. To niezbyt wielkie mieszkanie odziedziczył po swoich rodzicach.

Zaraz po wojnie ojciec Rajmunda Dutki, Edmund Dutka, ślusarz pracujący w pobliskich zakładach kolejowych, dostał je z kwaterunku. Nie było to jakieś bardzo komfortowe mieszkanie, ale taki lokal w centrum miasta jak na standardy poznańskie to prawdziwy luksus. Znajdowało się ono na czwartym piętrze, więc Rajmund, który był poważnej postury, musiał kilka razy dziennie wspinać się po schodach na samą górę. Kłopot stanowiło też wnoszenie węgla do mieszkania, bo gdy robiło się zimniej, trzeba było palić w kaflowych piecach. Kiedyś, gdy jeszcze żyła matka Rajmunda, paliło się też w piecu kuchennym. Jednak po jej śmierci piec zgasł na dobre, bo syn raczej nie lubił gotować samodzielnie. Herbatę grzał sobie grzałką elektryczną, a ciepłe potrawy zjadał zawsze na mieście.

Problem pieców ogrzewających mieszkanie rozwiązał się sam, w chwili kiedy stróżem został pan Gienek. Dostał posadę w domu Rajmunda pośrednio poprzez pośredniaka, a bezpośrednio poprzez znajomości Dutki. Gienek, podstarzały recydywista u schyłku kariery, właśnie skończył swój kolejny wyrok. Odsiedział pełnych dziesięć lat w Rawiczu za zabójstwo w afekcie i po wyjściu z więzienia nie miał praktycznie szans na powrót na łono socjalistycznego społeczeństwa. O normalnej pracy mógł tylko pomarzyć, bo kto by chciał zatrudnić byłego bandziora. Przyjechał na Wildę do swojego dawnego mieszkania, ale tu okazało się, że jego lokal od kilku lat należy już do kogoś innego. Na swoje szczęście pieniądze zarobione w więzieniu postanowił przepić w piwiarni na Wrocławskiej. I tam zupełnie przypadkowo trafił na Rajmunda, który akurat wstąpił tu na kufelek. Rajmund znał na Wildzie wszystkich i pamiętał go z dawnych czasów. Kazał mu następnego dnia stawić się u siebie w

domu, a później wysłał go do pośredniaka. Tam miała pani, zresztą dobra znajoma Dutki, wręczyła Gienkowi skierowanie do pracy w charakterze gospodarza domu na rogu Chwiałkowskiego i Fabrycznej. I w taki oto sposób Gienek stał się solidnym ciecieniem.

Odtąd Rajmund nie musiał już martwić się tym, kto wniesie mu węgiel i napali w piecach. Zyskał też w osobie Gienka oddanego przyjaciela, który skoczyłby za nim w największą awanturę na Wildzie. Było jeszcze coś, co ich łączyło. Do nowego stróża przyszło zaraz dwóch smutnych facetów z SB. Kazali mu podpisać zgodę na współpracę z bezpieką i zobowiązali do składania cotygodniowych raportów o nastrojach wśród mieszkańców. Gienek trochę się wykręcał, ale esbecy zagrozili mu, że jeśli się będzie stawiał, ciupasem odeślą go z powrotem do Rawicza. Chcąc nie chcąc, zgodził się na współpracę, jednak zaraz po wyjściu tajniaków pobiegł na górę i powiedział o wszystkim Rajmundowi. Dla Dutki, który pieniądze robił najczęściej niezbyt zgodnie z prawem, to było prawdziwe zrzęczenie losu. Uzyskał teraz całkowity wpływ na raporty do organów dotyczące siebie samego, ale co ważniejsze, także na temat ludzi z całej okolicy. Nic dziwnego, że już wkrótce zaczął je sporządzać własnoręcznie, uwalniając od tego przykrego obowiązku Gienka, którego rola ograniczyła się do składania pod nimi odrębnego podpisu.

- To tu na czwartym, widzisz te dwa okna na samej górze, co wyglądają na ulicę? - Brodziak ruchem głowy wskazał Rychowi budynek po przeciwnej stronie ulicy.

- Mam nadzieję, że ta fufla zdalasiąta jest w chacie mruknął pod nosem Gruby Rychu, spoglądając na okna na poddaszu.

- Nie ma co stać, zaraz się przekonamy - rzucił Mirek, wypluwając jednocześnie niedopałek papierosa na chodnik.

W bramie stał oparty o miotłę dozorca domu. Pan Gienek udawał, że sprząta. Stał tak i przyglądał się przechodniom.

Ci dwaj od razu zwrócili jego uwagę. Ubrani w dzinsowe markowe ciuchy wyglądali jak cinkciarze. Tego wielkiego to nawet Gienek znał z widzenia. Skojarzył, że to Gruby Rychu, co rządził walutowym interesem w Poznaniu. Gdy obaj ruszyli w jego stronę, trochę się zdziwił, ale w końcu był człowiekiem obytym w różnych sytuacjach i wiedział, jak się znaleźć nawet wobec takiej wielkiej osoby.

- Panie - zagadnął ten niższy, rudy z piegowątą gębą. Pan Rajmund Dutka to jest w domu?

- Zależy, kto pyta - odpowiedział rezolutnie pan Gienek, dając im do zrozumienia, że zna się na rzeczy i z byle łachudrą gadać nie będzie. - Ale dla szanownych panów... tu mrugnął porozumiewawczo do Rycha - ...dla szanownego pana - poprawił się - to jak najbardziej, znaczy się obowiązkowo w chacie siedzi, niby jeszcze gwarantuje o tej porze pan Rajmund. Bo tyn tak wczas to z wyra nie zlezie, bo i nie musi do roboty abo coś. Ale tera to będzie już do mówienia.

- No to uciesz się pewnie na nasz widok - uśmiechnął się lekko Rychu i ruszył przodem.

- Pod dwunastym, szanowny panie, będzie ta blajba pana Rajmunda, na czwartym kiju z prawej - zawołał jeszcze za znikającymi w bramie gośćmi stróż, po czym znów wrócił do swojego przerwane przed chwilą zajęcia.

Oparł się wygodnie łokciem na trzonku miotły i zastygł w pozycji obserwacyjnej na swoim posterunku.

Katowice, godzina 10.35

Drzwi otworzyły się i do pokoju wpłynął roześmiany i ra dosny niczym skowronek Teofil

Olkiewicz. Zaraz za nim pojawił się gospodarz, porucznik Erwin Pytlok. Siedzący przy biurku Mariusz Blaszkowski poderwał się na równe nogi. Chciał regulaminowo zameldować się porucznikowi, ale ten machnął tylko na niego ręką. Obaj mężczyźni, w doskonałych humorach, byli jeszcze lekko wczorajsi.

Wraz z Teofilem do pomieszczenia wpłynął intensywny powiew przemysławki, której ten używał, a właściwie nadużywał codziennie po goleniu. Skrapiając nią obficie całą twarz, przytłumiał poranny odór przetrawionego alkoholu. Blaszkowski musiał jednak przyznać, że całonocne pijaństwo nie odcisnęło większego piętna na twarzy Olkiewicza. Chorąży wyglądał świeżo i kwitnąco, czego nie można było powiedzieć o poruczniku Pytloku.

Ten oczy miał podkrążone, a cerę zszarzałą.

- No to, Młody, wszystko my już z porucznikiem ustalili, i nie tylko z porucznikiem, ale z podpułkownikiem, no jak mu tam, jak ten twój pułkownik ma na nazwisko?

- Szafranek Rudolf - pomógł mu Pytlok, który rozsiadał się właśnie za swoim biurkiem.

- No właśnie, Szafranek, podpułkownik, to jest szef porucznika Pytloka. No i u pułkownika my jak raz byli na naradzie i on nam dał zielone światło do wyjaśnienia całej sprawy, a porucznik ma kierować całą grupą, czyli tobą i mną tu na miejscu.

- A ty, karlusie, znod żeś co w tych kwitach? - zapytał Pytlok, wskazując na stertę akt rozłożonych na biurku przed Blaszkowskim. - Bo jak niy, to se możesz ta dalij sznupać, bo my z choróńżym mómy jeszcze coś do załatwiynio.

- No właśnie, Młody, teraz pójdziemy jeszcze w jedno miejsce i pewnie po obiedzie tu się jeszcze dziś pojawimy, bo teraz to nam trzeba iść na miasto - poparł go Olkiewicz. Rzeczywiście obaj chcieli pójść do miasta, lecz bynajmniej nie w celach służbowych. Pytlok chciał pokazać koledze swoją ulubioną knajpę Karczmę Słupską, która sąsiadowała ze starym katowickim dworcem. Z komendy mieli do niej niedaleko.

- Obywatelu poruczniku - zwrócił się do Pytloka Blaszkowski. Obaj starsi milicjanci, którzy gotowi do wyjścia stali już u drzwi, odwrócili się jak na komendę. Musiało ich zdziwić, że Młody, który, jak pewnie myśleli, został już skutecznie spacyfikowany, jeszcze czegoś chciał i bezczelnie zajmował im czas. Blaszkowski natychmiast dostrzegł ich niechętne miny, ale niezrażony ciągnął dalej:

- Ja względem porucznika Trulki.

- Ja, Trulka prowadził te śledztwo z tym kolejarzym przypomniał sobie porucznik Pytlok. - Ale zech go downo niy widzioł. Można już miesiónc je na L-4 abo i dłużyj.

- Szkoda - powiedział Blaszkowski - bo ja tu znalazłem trochę takich rzeczy, że warto go byłoby spytać o pewne sprawy...

- To chyba może jeszcze poczekać - machnął ręką zniecierpliwiony Olkiewicz, któremu najwyraźniej spieszyło się do wyjścia.

- A co byś chcioł go sie spytać? - zainteresował się Pytlok.

Teofil zbulgotał, coraz bardziej zirytowany, że jego przyjaciel zamiast zignorować te rewelacje, podchodzi do biurka, na którym młody milicjant miał rozłożone akta.

- O, tu właśnie, obywatelu poruczniku, znalazłem takie informacje, że pomyślałem sobie, że jest coś nie tak w tych aktach. Bo ten kolejarz, zabity kolejarz, jeździł na trasie do Wiednia. To całkiem jak ten nasz, co go znaleźli w berlińskim składzie. Ten też jeździł za granicę. No i on, znaczy się ten Jerzy Kawulok, tak mi się przynajmniej wydaje, handlował sprzętem elektronicznym. Magnetowidy,

telewizory, kasety i takie tam pierdoły. Jego wszyscy znajomi mieli sprowadzony przez niego sprzęt. To znaczy, że on kręcił niezły interes na tych swoich wyjazdach do Austrii...

- Pieronie, pokaż to ino synek, coś to tam wysznupoł w tych kwitach. - Pytlok opadł na krzesło przed biurkiem Blaszkowskiego.

- O, tu właśnie, obywatelu poruczniku, niech pan zobaczy, Walasik Edward, sąsiad Kawuloka, mówi, że kupił od niego wieżę stereo za tanie pieniądze, a inna sąsiadka, niejaka Gruca Elwira, też ma od niego telewizor i magnetowid, zaś ten znajomy, co mieszka na osiedlu Chemik w Siemianowicach Śląskich, dostał od niego po okazyjnej cenie magnetowid i kamerę VHS i teraz zajmuje się wideofilmowaniem wesel i komunii...

- Pokoż mi ta teczka. - Porucznik pochylił się nad papierami, które podsunął mu Blaszkowski. - Teofil, przyjdź sam ino i wejrzyj sie, co tyn synek tu znoloz.

Coraz bardziej zły Olkiewicz podszedł do biurka i pochylił się nad papierami.

- Nie może to aby poczekać? - próbował jeszcze ratować sytuację, bo dostrzegł, że inicjatywa wymyka mu się z rąk. Ale nikt z dwójki milicjantów nie zwrócił najmniejszej uwagi na to marudzenie.

Blaszkowski szybko przerzucał kartki, wskazując Pytlokowi co ciekawsze fragmenty. Ten po chwili ściągnął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła, nie spuszczać wzroku z zapisków. Nie zwracał najmniejszej uwagi na chrząkanie i przytupywanie Olkiewicza. Widać było, że studiowanie akt pochłonęło go całkowicie.

- No to do dupy z takim śledztwem - jęknął zrezygnowany Teofil i usiadł za sąsiednim biurkiem, spoglądając złym okiem na dwóch milicjantów, którzy zapomnieli o otaczającym ich świecie. Nadzieja na przyjęcie kolejnego już dziś klina z każdą chwilą białała jak ten żagiel w piosence Alicji Majewskiej.

Porucznik Pytlok spojrział na Olkiewicza, uśmiechnął się szeroko i klepnął Blaszkowskiego w ramię.

- Nó, Tyjo, udoł ci sie tyn karlus. Bydóm ś niego ludzie. Teroski zajrza ino, co z tym moim Trulkóm, robi to jeszcze u nos czy niy, i można jutro z rana by my go odwiedzili...

- Obywatelu poruczniku, może by jeszcze pogadać z tym kolejarzem Kłutą - wtrącił nieśmiało Blaszkowski.

- Mosz recht, synek, i ś nim se tyż pogodómy.

Poznań, godzina 10.40

- No dobra - powiedział chorąży Macek, przyglądając się uważnie mężczyźnie, który stał po drugiej stronie okienka. - Idźcie tam se siedzieć obywatelu na chwilę, a ja zaraz się wywiem, co i jak w tej sprawie i kto się nią sprawuje.

Facet wyglądał zupełnie normalnie, a mimo to przyszedł na komendę i chciał poinformować o czymś ważnym, jak mówił. Mikołaj Macek pracował w MO już ponad dwadzieścia lat i często widział ludzi próbujących zainteresować milicjantów jakąś swoją sprawą. Najczęściej załatwiali swoje porachunki: sąsiedzi donoszący na sąsiadów, drobni przestępcy kapujący na kumpli. Najwięcej zawsze było ludzi zgłaszających, że właśnie zostali okradzeni.

Ale żeby ktoś dobrowolnie i samodzielnie przychodził na komendę i informował, że jechał pociągiem, w którym dokonano morderstwa, i chce na ten temat zeznawać, to było coś zupełnie nowego, co nie mieściło się w starej milicyjnej głowie chorążego Macka. To musi być jednak wariat,

doszedł w końcu do wniosku chorąży, przypatrując się kątem oka mężczyźnie, który przysiadł na wprost biura przepustek na metalowym taborecie. Bo w końcu jaki normalny człowiek chciałby narażać się na problemy, wielogodzinne przesłuchania i później może jeszcze stawanie przed sądem? Pewnie z dziesięć lat temu, za czasów Gierka, to było nawet do pomyślenia. Chyba wtedy ludzie mieli jakieś większe zaufanie do milicji. Teraz, po tym całym stanie wojennym, mało kto chciał mieć sam z siebie do czynienia z MO.

A tu proszę, taki jakiś typek se przychodzi i mówi, że chce zeznać coś w sprawie, o której nie wiedział nikt poza funkcjonariuszami. Bo gazety nie dawały informacji, że szukamy świadków, nawet ja nie wiedziałem o całej sprawie, a ten tu wie. A niby skąd wie? Musiał pewnie mieć w tym przestępstwie jakiś udział i teraz chce się przyznać, żeby mniejszą karę zarobić. Tak być może albo nawet jest na pewno, upewnił się w myślach chorąży Macek. Gdy doszedł do takiego wniosku, postanowił błyskawicznie zadziałać. Chrząknął głośno, a potem zawołał, przybliżając się do okienka:

- Panie - skinął na mężczyznę - chodź no pan tu. Znaczy się, obywatelu, proszę podejdźcie tutaj - poprawił się zaraz chorąży, przypominając sobie, że jest przecież funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej na służbie.

Zawołany podszedł szybko do biura przepustek.

- A jak się nazywacie, bo muszę tu wpisać na karcie wejść.

- Karol Wójcik.

- Syn?

- Nie mam syna, córkę mam...

- Syn ojca się pytam.

- Jaki syn?

- Nie jaki, tylko kogo syn się pytam, to znaczy się, jak wasz ojciec miał na nazwisko.

- Wójcik.

- Cholera, nie kręćcie mi tu, przecież jak wy Wójcik, to także samo, ale o jego imię mnie się rozchodzi.

- Mieczysław.

- Aha. - Chorąży zapisał. - No to wejdźcie tu do poczekalni w środku - powiedział milicjant, pokazując ruchem głowy drzwi prowadzące do wnętrza komendy. Wcisnął jednocześnie guzik zwalniający elektromagnes blokujący wejście. Szklane drzwi w aluminiowych ramach puściły i Wójcik wszedł do środka.

- Tam idźcie se siedzieć na ławce i czekajcie, aż ktoś po was przyjdzie - poinstruował jeszcze wchodzącego, a gdy drzwi się już za nim zamknęły, chwycił za telefon:

- Dyżurny mówi, daj mi tu zaraz chłopaka, żeby mi przypilnował jednego klienta, co tu przyszedł i czeka na przesłuchanie. Niech se siednie przy nim i pilnuje, żeby czasami mu się nie odechciało zeznawać.

Zadowolony z siebie chorąży odłożył słuchawkę. Poczekał jeszcze chwilę, obserwując przez szybę Wójcika, który pojawił się na korytarzu, i dopiero gdy zobaczył, że siada koło niego szeregowiec z ZOMO, jeszcze raz sięgnął po telefon:

- Mówi dyżurny Macek, chorąży. Czy z majorem Marcinkowskim mogę mówić? Obywatelu majorze, melduję, że na dole mam tu faceta, niejaki Wójcik Karol, syn Mieczysława, co sam się zgłosił, że niby jechał pociągiem z Berlina, co to w nim zabito kolejjarza, i on niby chce coś w tej kwestii przedłożyć, bo mówi, że ma coś do powiedzenia, ino że nie chce tu gadać, o co się rozchodzi.

Tak jest, obywatelu majorze, zaraz go każe przesłać na górę.

Tylko że może by mu tak założyć kajdanki, żeby trochę wymiękł, co? Tajes, rozumiem, żadnych kajdanków.

Zdumiony sierżant odłożył słuchawkę i kiwnął na służbowego, by ten zaprowadził interesanta na górę. Nie zdążył jeszcze przestać się dziwić, gdy świat zaskoczył go po raz drugi: następny człowiek nachylił się przy okienku i powiedział mu, że jechał w Dzień Kobiet Beroliną. Do godziny czternastej, to jest do chwili, gdy kończył dyżur, zdążył zdziwić się jeszcze dwanaście razy.

Godzina 10.45

Rajmund Dutka, znany na Wildzie jako Rajmund Lebera, nie śmiał się nawet poruszyć. Chudy rudzielec przywalił mu w podbródek tak mocno, że w głowie Lebera zawirowały wszystkie gwiazdy, jakie dotąd w życiu zobaczył, a może i nawet znacznie więcej ich było. Choć sam nie był ułomkiem i potrafił przyłożyć jak się patrzy, wolał teraz nie ryzykować. Na początku zlekceważył rudzielca i to go właśnie drogo kosztowało. Myślał, że wystarczy tylko powalić większego z gości, czyli Grubego Rycha. Bo gdy sytuacja stała się trudna i wyczerpał już wszystkie argumenty, postanowił zacząć działać.

Siedzieli w kuchni przy stole pod oknem: Rajmund po prawej stronie, obok niego przy dłuższej krawędzi stołu rozsiadł się Rychu, a w kącie między stołem a ścianą przycupnął ten rudy. Lebera przeanalizował sytuację. Do drzwi wyjściowych miał zaledwie pięć kroków. Szybki atak i później skok do drzwi to było to, co mogło go uratować z tej niezbyt komfortowej sytuacji. Był zły na siebie, że dał się podejść jak dziecko. Kilkanaście minut temu leżał jeszcze wygodnie w łóżku i zastanawiał się, jak też ułoży mu się interes z Karolem Jaskułą z Chwaliszewa.

Zamierzali razem przekształcić salon TV, którego agentem był Jaskuła, w sklep połączony z komisem. Rajmund miał zadbać, by nie zabrakło pierwszorzędного towaru. O to Jaskuła mógł być spokojny, bo od elektroniki sprowadzanej z Zachodu Rajmund Lebera był już znanym w Poznaniu specjalistą. Leżał więc i już w myślach kalkulował zyski. Z Karolem umówił się dopiero w południe w Miodosytni u Rajców na Starym Rynku, więc mógł jeszcze trochę poleniuchować. Z zamyślenia wyrwało go pukanie.

Nie chciało mu się wstawać i otwierać. W ogóle nie miał ochoty na niezapowiedziane wizyty przed śniadaniem, więc postanowił się nie ruszać. Jakież było jego zdziwienie, gdy nagle usłyszał, że drzwi do jego mieszkania same się otwierają, a po sekundzie do jego sypialni weszło dwóch facetów. Rajmund nie mógł uwierzyć własnym oczom. Stał przed nim ze złym, zaciętym wyrazem twarzy mężczyzna, który powinien w tej chwili siedzieć na Młyńskiej - Ryszard Grubiński, zwany przez wszystkich Grubym Rychem. Zza jego pleców spoglądał z rozradowanym uśmiechem rudy kumpel Grubińskiego, milicjant Brodziak.

- Patrz, Miruś - powiedział do kolegi Gruby - jak niektórzy mają fajnie w życiu. Mogą sobie leżeć w wyrze, gdy inni muszą ciężko pracować.

- Ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy - zaśmiał się Miruś i bezceremonialnie ściągnął z Rajmunda kołdrę. - Dość leniuchowania, panie Rajmund, czas wstawać.

- Chodź pan, pogadamy trochę - warknął Gruby Rychu i wycofał się do kuchni. Chcąc nie chcąc, Rajmund zwlókł się z łóżka i potulnie podążył za gośćmi.

Usiedli w trójkę przy kuchennym stole. Gospodarz chciał coś powiedzieć, wytłumaczyć, ale Rychu powstrzymał go wyciągniętą dłonią:

- Panie Rajmund, sprawy się mają tak. Milicja obywatelska zaprosiła mnie na rozmowę. I co się okazuje, wszystko dzięki panu. Więc ja teraz grzecznie proszę o wyjaśnienie, czemuś pan nakablował na mnie. I radzę, żebyś pan mówił prawdę, póki grzecznie proszę, bo jak nie... to inaczej gadać będziemy. Aha, i jeszcze jedno, mój przyjaciel, obecny tu pan Miruś, jest tu tylko towarzyszko, a bynajmniej nie służbowo, więc nie musisz pan nic kręcić.

Gadaj pan jak na spowiedzi, jak z tym stoi?

Rozmowa ciągnęła się jak guma balonowa marki Donald, a Rajmund cały czas myślał intensywnie, jak wykaraskać się z opresji. W końcu wymyślił, że wystarczy skoczyć na Grubego i razem z ryczką, na której siedział, przewrócić go tak, aby padając, odciął drogę rudemu.

I wszystko prawie się udało, ale Rajmund nie docenił Brodziaka.

Mirek w ogóle nie wtrącał się do rozmowy. Gadał tylko Rychu, który wypytywał Rajmunda, a on jak najobszerniej próbował wytłumaczyć, dlaczego sprzedał go milicji.

Rychu pytał, zaś Rajmund odpowiadał jak najzawilej, by przekonać Grubińskiego do swoich racji. Ale minuty mijały, a jego tłumaczenia nie bardzo trafiały do przekonania Rycha. Rudy za to sprawiał wrażenie, jakby to, co działo się tuż obok niego, zupełnie go nie obchodziło. Powieki mu się kleiły i ziewał co chwilę. Rajmundowi zdawało się, że milicjant zaraz zaśnie. I wykalkulował sobie, że na taki moment poczeka. Gdy w końcu Rychu sięgnął po kolejnego papierosa z paczki marlboro leżącej na stoliku, a rudzielec od jakiejś minuty nie otworzył oczu, Rajmund podjął błyskawiczną decyzję. Z szybkością, o jaką trudno byłoby go podejrzewać, zerwał swoje stukilogramowe cielsko z krzesła i obiema rękami pchnął Grubego. Rychu zachwiał się na taborecie, a potem runął z impetem na podłogę. Lebera przeskoczył leżącego i już chciał popędzić w kierunku drzwi, ale nie zdążył. Nagle poczuł, że jakaś siła przyciąga go do podłogi. Brodziak, który wydawał się jeszcze przed paroma sekundami zupełnie nieprzytomny, w chwili, kiedy Rajmund przeskakiwał nad leżącym Rychem, poderwał się błyskawicznie z krzesła i rzucając się przed siebie, chwycił za nogi Leberę. Ten całym ciężarem ciała padł na podłogę. Rudy zaraz wskoczył mu kolanami na wielki brzuch i z całej siły rąbnął w zdziwioną gębę. No i właśnie wtedy Rajmund zobaczył gwiazdy, wszystkie, jakie widział już w swoim życiu, albo nawet i znacznie więcej.

Nie minęła nawet minuta, jak gospodarz mieszkania siedział na krześle ustawionym na środku kuchni z rękami skutymi z tyłu za oparciem.

- Ady mi się tylko rusz, bulaju - warknął mu Brodziak nad uchem i dlatego Rajmund nie śmiał się nawet poruszyć.

Postanowił przeczekać. Pomoc w końcu musiała nadejść.

Godzina 11.00

- Jechałem wtedy z Berlina Zachodniego i wie pan major, jak to jest w tym pociągu. Jak się ino wsiada do bany, to już zaczyna się labija. Wiara pije na potęgę, bo niedługo będzie granica, najpierw z NRD, a zaraz potem nasza. No więc wchodzi do bany Niemcy, ale ich nie interesuje to, co się przewozi, czyli ta cała gemela. Oni szukają albo waluty, albo jakiejś antysocjalistycznej propagandy, jakby mieli rapla. Ale nic nie znajdują, bo kto by normalny woził takie śmieci. Na tym nie idzie przecież zarobić. No ale po nich włązą nasi. I z tymi jest najgorzej, bo tylko niektórzy trzymają sobie ciepło któregoś z kontrolerów i taki, co ma układ z kontrolą, wtedy ma się dobrze i jedzie spokojnie i nie nerwowo. Najczęściej jest tak, że trzepią na wyrywki, bo rzadko się zdarza, żeby brali na kontrol wszystkich.

No to i nic dziwnego, że wiaruchna woli sprawić se śrubę już na początku drogi, żeby mniej stresu mieć. Więc ja też już z tymi z przedziału zacząłem łykać jeszcze w Berlinie, a potem jak się zbudziłem, to już byliśmy w Polsce, bo samej kontroli to nie pamiętam, nałykany musiałem być nieźle, ale mnie nie kontrolowali chyba. No i jak się zbudziłem, to mnie się zachciało do kibla iść i poszłem. Ale jak już przeszedłem przez korytarz, to musiałem się precyzyjnie przemieszczać przez takie klunkry, znaczy się towar w pakach, co leżał zaraz koło tego kibla, no i wtedy ich zobaczyłem, tych kolejarzy. Wyleźli z drugiego wagonu i szli na mnie, tom se pomyślał, że muszę zrobić im miejsce, żeby się na chłama nie pchać. Ale oni wcale nie poszli na korytarz, tylko na lewo, i tyn mały wszedł pierwszy do kibla, a za nim ten wielki napakowany i się tam zamknęli. A ja jak ta dupa zostałem stać na tym korytarzu. No to co ja miałem robić, jak bebecz mnie już bolał, to szybko poleciałem do drugiego kibla w następnym wagonie. No i jak później z niego wyszedłem już załatwiony, to oni tam jeszcze musieli siedzieć w środku, bo nad klamką był czerwony znaczek, a to znaczy się, że zajęte jest WC.

- Widział pan ich dokładnie? - zainteresował się Marcinkowski.

- Tak jak panów tu w tej chwili widzę, tyle że tu klara, a tam światło jak w pociągu, znaczy się do dupy.

- Niech mi pan powie, jak wyglądali, to znaczy, jak się zachowywali, gadali ze sobą...?

- Gadać to nie gadali, tyn mały to poszedł pierwszy i otworzył te drzwi i tam wlaź.

- Niech się pan zastanowi, czy wszedł tam sam, czy ten drugi może mu pomógł i na przykład go tam wepchnął do środka.

- Ady tam, nie wepchnął. Mały wlaź najsampierw i wtedy juzem się wkurzył, że mi zajmuje miejsce bez kolejki, a dopiero potem ten drugi.

- Na pewno? - milicjant miał dalej wątpliwości.

- Pewne jak pod słońcem, panie majorze, bo jak tyn pierwszy tam wlaź, to tyn drugi jeszcze się obrócił i zamknął te drzwi między wagonami, żeby pewnie nie wiało do środka. A jak je zamknął, to dopiero wtedy poszedł za tym pierwszym i jak już wlaź, to zakluczyli drzwi od środka, bo słyszałem.

- A niech pan powie, jak wyglądał ten drugi mężczyzna? - włączył się do rozmowy siedzący na fotelu sierżant Kowal.

- Czy ja wiem, tyn pierwszy to był taki mały knypek - zawahał się Wójcik - a drugi wielki jak klofta drewna, znaczy się taki napakowany, bulaj taki...

- A jaki miał kolor włosów? - wypytywał dalej Kowal.

- Tego to nie powiem, bo czopka mu dobrze siedziała na głowie, a i jasno nie było tam w tym korytarzu, ale wąsy to miał raczej ciemne...

- Miał wąsy? - zdziwił się sierżant.

- Miał, na sto dwa, że miał, ale koloru nie wiem, tyle że ciemne musiały być, a nawet pewnie czarne, bo nie jasne blond na pewno. One były takie długie... - widać było, że mężczyzna szuka odpowiedniego słowa dla określenia typu wąsów kolejarza. - No takie - podrapał się w głowę takie, jak nosi Wałęsa.

W pokoju zapadła cisza. Obaj milicjanci spojrzeli na siebie, wreszcie odezwał się Marcinkowski:

- Panie Wójcik, dziękuję, że się pan tu pofatygował do nas. Bardzo nam pan pomógł. Mam jeszcze do pana prośbę. Zaraz funkcjonariusz zaprowadzi pana do naszego rysownika. Chciałbym, żeby pan razem z nim spróbował sporządzić portret pamięciowy tego większego z kolejarzy. On

pokaże panu w katalogu różne elementy twarzy, a pan wybierze te, które najbardziej będą pasować do wyglądu tego człowieka.

Wójcik niepewnie spojrział na obu milicjantów, jakby coś jeszcze go trapiło. Widząc to, Marcinkowski zapytał:

- No co tam jeszcze, panie Wójcik? Coś pan sobie przypomniał?

- Ja ino względem tej nagrody.

- Jakiej nagrody? - zdziwił się major.

- No tej, co na Łazarzu wiara gada, że jak ktoś dopomoże w śledztwie, to milicja wypłaci.

Po chwili w drzwiach pojawił się wezwany przez Marcinkowskiego dyżurny i wyprowadził zadowolonego Wójcika, którego zapewniono, że jest pierwszy w kolejce do nagrody.

- No i co o tym sądzisz? - spytał sierżanta Fred.

- Jeśli obaj weszli do kibla, a ten konduktor wszedł tam pierwszy i zupełnie sam, to znaczy, że miał zaufanie do tego grubego.

- No właśnie, oni musieli się znać. Pewnie weszli razem do tego sracza, by o czymś pogadać na osobności. Może coś mieli sobie do przekazania, jakiś trefny towar, i musieli to zrobić tak, żeby tego nikt nie widział. W każdym razie znaleźli się w środku razem, a później wyszedł już tylko jeden.

- Coś mnie zastanawia - analizował sytuację Kowal. - Jak to możliwe, że ten gruby związał konduktora jak baleron, obciął mu rękę i nikt tego nie słyszał?

- Związać tego chuderlaka mógł bez problemów, wystarczyło go tylko ogłuszyć. W tym handlowym pociągu większość pasażerów jest nachlana i śpi, jak słusznie zauważył pan Wójcik. Pociąg hałasuje jak diabli, wystarczy wyczekać na moment, kiedy wjeżdża rozpędzony na jakiś rozjazd albo na przykład na most. Możesz sobie wtedy krzyczeć do woli, a i tak nikt nie usłyszy...

- To prawda, w naszych banach nikt jeszcze nie wpadł na to, że wagony można byłoby wyciszać dla poprawienia komfortu jazdy. Założę się, że za pięćdziesiąt lat będą jeździć u nas te same wagony, tylko w jeszcze gorszym stanie, i wszystkim będzie się wydawać, że jest to normalne.

Wiara się przyzwyczai.

- W PKP nikt nie zna znaczenia słów „komfort jazdy” - poprawił go Marcinkowski. - Jedyne, co ich interesuje, to liczba przewiezionych pasażerów. Ale w dwudziestym pierwszym wieku nikt już się nie będzie tłukł kolejami.

Mówię ci, to będą inne czasy. Każdy będzie miał własny samochód, a jeździć będziemy po nowoczesnych szerokich autostradach... - rozmarzył się major.

- Tak, tak, a zbudują je nam chyba Chińczycy w ramach braterskiej socjalistycznej pomocy - zaśmiał się Kowal.

- No dobra, a co jest z drugim konduktorem, bo o ile wiem, to zawsze jeżdżą dwaj, przynajmniej na takich długich trasach?

- Przesłuchaliśmy go od razu po znalezieniu zwłok, tego samego dnia. Mówi, że nic nie wie i nic nie widział. Film urwał mu się przed granicą, a obudził się na boczniccy w Poznaniu. Nie wyszedł nawet ze swojego służbowego przedziału przez całą drogę - wyjaśnił Marcinkowski. - Ale jakoś mu nie wierzę. Jeszcze dziś z nim pogadam po raz kolejny, bo wydaje mi się, że coś tu jest nie tak.

- Wiesz, Fred, jedno tylko mnie martwi. Ten facet, który strzelał do mnie, nie miał wąsów.

- Więc są dwie możliwości - ten, co strzelał do ciebie, to albo nie ten morderca z pociągu, albo przykleił sobie wąsy. A swoją drogą ciekawe, o co chodzi z tą nagrodą za informacje i kto takie pierdoły na Łazarzu opowiada.

- A czy to istotne? Najważniejsze, że przyniosło skutek - podsumował sierżant.

Godzina 11.10

Drzwiczki zegara otworzyły się ze zgrzytem i ze środka wyskoczyła kukułka. Zakukała jedenaście razy, a potem schowała się w swojej dziupli. Gruby Rychu popatrzył na wiszący na lewo od niego stary zegar, który pamiętał zapewne jeszcze czasy kajzera Wilhelma. Takie czasomierze spotkać można było w wielu poznańskich mieszkaniach.

Ten był o tyle ciekawy, że na łańcuchu zamiast jednej z szyszek naciągających sprężynę wisiał zwykły sklepowy odważnik.

- Spóźnia się dziesięć minut - powiedział Rychu. - To pewnie przez ten ciężarek. Ale jaki pan, taki kram, panie Rajmund. Pan też się spóźnia z odpowiedzią. No ale ja jestem cierpliwy i daję panu jeszcze jedną szansę. Zrobimy więc tak: podsumujmy, co wiemy, i zobaczmy, jakie stąd płyną wnioski, a pan mi powie, czy się z nimi zgadza.

- Fakty są takie - zaczął. - Ktoś, jakiś przestępca, zabija kierownika pociągu jadącego z Berlina Zachodniego do Poznania. Temu kolejarzowi ten ktoś obcina rękę. Później ktoś strzela do szkieł w na ulicy Strusia.

Wygląda na to, że tym przestępcą w jednym i drugim przypadku jest ten sam człowiek, niejaki Korbol, który pracuje dla mnie pod Peweksem. Milicja wpada na trop Korbola i łączy wszystkie fakty, zresztą dość poprawnie łączy. Wydaje im się, że Korbol, którego szare komórki świecą blaskiem tarczycy sosnowej, nie jest w stanie sam wymyślić takiego ładnego morderstwa jak to w pociągu.

Musiał mu je ktoś zlecić. Najprościej jest więc wyciągnąć wniosek, że to zlecił mu jego szef, czyli ja. No i tu pojawia się pan Rajmund Dutka, który, jak już ustaliliśmy, informuje swojego znajomego milicjanta, pana Olkiewicza, że to wszystko faktycznie musiał wymyślić pan Rychu Grubiński, by przejąć interes wideo. Niby wszystko ładnie, tylko że ja dobrze wiem, że tego nie wymyśliłem, bo w dupie mam wasze gówniane przemytnicze, detaliczne interesiki.

- Co ciekawsze - kontynuował Rychu - w tej sprawie jest jeszcze coś. Pan Korbol przyjechał do nas do Poznania jakieś pół roku temu ze Śląska. A tam, jak się właśnie dowiedzieliśmy, akurat krótko przed jego przybyciem na stałe do stolicy Wielkopolski zdarza się podobna sytuacja.

Ktoś zabija kolejarza jeżdżącego do Austrii i też zajmującego się dostarczaniem na nasz rynek sprzętu wideo.

Ten facet ze Śląska ginie w taki sam sposób jak ten nasz z Poznania. Czysty przypadek? Nie wiem, nie znam się na tych sprawach, tyle że wydaje mi się to mało prawdopodobne.

- Ale tu pojawia się coś, co psuje cały piękny obraz sytuacji. - Gruby poprawił się na krześle. - Znajoma Korbola, kurewka z akademika, zostaje zastrzelona w swoim pokoju. Wygląda to tak, jakby ktoś zacierał ślady po akcji przeprowadzonej przez jej chłopaka. Sprzątnięto ją, bo o czymś wiedziała. I raczej nie zrobił tego Korbol, tylko ktoś, kto był, powiedzmy koordynatorem całego przedsięwzięcia.

- Na szczęście pan, panie Rajmund, jest człowiekiem obytym w świecie - uśmiechnął się Rychu - dlatego chciałem teraz pana spytać, co pan o tym sądzi. Dlaczego ktoś próbował wsadzić mnie w tę beczkę gówna? I jeszcze jedno, kto to wszystko wymyślił?

Rajmund Dutka ze spuchniętą gębą siedział przykuty do kuchennego krzesła na wprost Rycha. Jednak nie patrzył na niego. Spoglądał przez okno gdzieś w stronę ZNTK. Budynków co prawda nie

było widać, ale wiedział, że tam są.

Przypomniał sobie, jak biegał pod bramę zakładu, która musiała być tam, gdzie teraz patrzył. Czekał tam codziennie na ojca, aż ten skończy robotę. Gdy robiło się ciepło zawsze wstępowali razem do warzywniaka, żeby napili się oranżady. Jak ta oranżada smakowała!... Dziś już takiej nie robią. Wracali potem do domu na obiad, który matka przygotowywała w tej kuchni, w której teraz siedział.

Odległe czasy, pomyślał Rajmund i uśmiechnął się do swoich wspomnień. A później przypomniał sobie o panu Gienku, który nie wiedzieć czemu nie nadchodził z pomocą.

- No i co, powie mi pan, kto za tym wszystkim stoi, czy nie? - pytanie Rycha przywróciło go do rzeczywistości.

Spojrzał na niego jak na natrętną muchę i uśmiechnął się znowu:

- A pierdol się pan.

Grubiński też się uśmiechnął. Spojrzał na Brodziaka i skinął lekko głową. Ten wstał z obojętną miną, powoli obszedł siedzącego na środku kuchni Rajmunda. Delikatnie chwycił go za lewą rękę, później za kciuk, a potem szarpnął z całej siły.

Rozdzierający krzyk Lebery wypełnił całe mieszkanie.

Niezrażony tym Brodziak chwycił kolejny palec.

- Kto za tym stoi? - Rychu powtórzył pytanie, jakby nic się nie stało.

- Wy jebane skurwysyny! - wycharczał Rajmund. - Jezu, mój palec... ała...

- Kto za tym stoi. Mów, bo zaraz Miruś złamie ci drugiego palucha.

Jakby na poparcie tych słów Brodziak ścisnął mocniej rękę Rajmunda.

- Dwóch ruskich. Nie znam ich. To byli dwaj ruscy wojskowi w cywilu. Ale ja z tym nie mam nic wspólnego. Ten Korbol z nimi się zwąchał. Chcieli przejąć cały handel z Zachodem. Nie znam skurwieli, ale to oni wymyślili. Byli u mnie zaraz po tym morderstwie i powiedzieli, że teraz oni tu rozdają karty i że będą mi sami dostarczać towar, a trasę kolejową zamykają nieodwołalnie. I że teraz mam się za jakiś gówniany procent zająć rozprawdaniem ich towaru, który będą przywozić do nas swoimi ciężarówkami wojskowymi prosto z Niemiec. No i to oni kazali pana wystawić szkiełom, żeby mieć tu miejsce na swoją robotę. Chcieli też przejąć rynek walutowy. Nic nie mogłem zrobić. Zagrozili, że jeśli nie będę z nimi współdziałał, to skończę jak mój koleżka kolejarz.

- Skąd są ci ruscy? - pytał dalej Rychu.

- Z jednostki w Bornem Sulinowie czy jakoś tak, a tu przydzieleni do konsulatu ruskiego, przy Bukowskiej...

- Nazwiska ich, jak się nazywają?

- Nie znam nazwisk, jeden jest chudy jak patyk, jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu i pół szczeny złotych zębów ma. Mówił, że się nazywa Alik, a ten drugi to Wołodia, blondyn o okrągłym pysku, o łeb niższy niż ten pierwszy.

- Ręce do góry, skurwysyny! - krzyknął nieco piskliwie pan Gienek, który pojawił się nagle w drzwiach od kuchni z pistoletem w rękę. Brodziak, który stał najbliżej wyjścia, odwrócił się i spojrzał najpierw na pistolet, a potem na mężczyznę.

- O, prawdziwa parabelka - powiedział i nim Gienek zdążył potwierdzić, trzepnął go w wyciągniętą dłoń. Wytracony pistolet spadł na płytę kuchennego pieca. Drugi cios po sekundzie wylądował na twarzy Gienka. Dozorca opadł na framugę drzwi i po chwili spłynął po niej na podłogę.

- No to my już chyba sobie pójdziemy - powiedział Rychu, wstając z krzesła.

Brodziak podszedł do pieca i wziął leżący tam pistolet.

Obejrzał go dokładnie, potem schował do kieszeni.

- Może się przydać - wyjaśnił Rychowi. Pochylił się jeszcze nad Rajmundem i poklepał go po policzku:

- No i trzeba było od razu wszystko powiedzieć. Zaoszczędzilibyśmy sobie fatygi. A w ogóle to masz pan fajnego ochroniarza.

Rozdział IX

Katowice, czwartek, 13 marca, godzina 8.20

Pociąg pospieszny z Wiednia do Katowic miał zaledwie godzinę opóźnienia. Na Dworcu Głównym w Katowicach miał być o siódmej trzydzieści, a dwadzieścia po ósmej był dopiero na dworcu w Piotrowicach. I co gorsza stał, zamiast jechać. Co było robić, w końcu wypadł z normalnego rozkładu jazdy i teraz musiał przepuścić te pociągi, które z Katowic wyjechać miały zgodnie z ustalonym harmonogramem.

Jak wszystko pójdzie dobrze, to otworzą nam drogę za jakieś dziesięć minut. Oznacza to, że na miejsce przyjedziemy z opóźnieniem godzina dziesięć, pomyślał kierownik pociągu Marian Kłuta.

Stał teraz na piotrowickim peronie i spoglądał na tory przed siebie. Za chwilę powinien wjechać osobowy do Cieszyna, myślał kierownik. Jak przejedzie, będziemy mogli ruszać. W sumie nieco ponad godzinę spóźnienia to i tak niewiele jak na tę trasę. Wszystko przez czeskich celników, którzy od jakiegoś czasu zrobili się bardzo skrupulatni. Kontrolowali większość pasażerów, tak jakby ci ludzie jechali z Czechosłowacji. A prawda była taka, że w Bratysławie czy Pradze mało kto wsiadał. Tym pociągiem jeździli przede wszystkim Polacy wracający z Wiednia. Mimo tego Czesi czepiali się ich jak swoich i robili dużo zamieszania. Przez nich właśnie pociąg opóźnił swój wyjazd z granicy polsko-czechosłowackiej. Dziś na szczęście czescy celnicy uwinęli się w godzinę, ale bywały takie dni, że pociąg był przetrzymywany dwa, a nawet trzy razy dłużej.

Kłuta spojrział w lewo. Zaraz za szlabanem był bar Obywatelski. Mimo tak wczesnej pory na zewnątrz stało już kilku amatorów piwa obywatelskiego, które tu lano do kufła. Pili, przypatrując się temu, co się dzieje na dworcu.

A na dworcu nie działo się nic ciekawego poza tym, że stał tam wiedeński skład i kolejarz Kłuta. Ten zlustrował uważnym spojrzeniem grupkę przed pijalnią, ale nie dostrzegł nikogo znajomego. Zaś tego, którego chciałby zobaczyć, na pewno już nigdy tam nie dojrzy. Z Jorgusiem Kawulokiem nieraz wstępowali tu na kufelek. To właśnie na tej stacji jego kolega wysiadał, wracając z trasy. Pili w Obywatelskim, później Kawulok szedł do domu pieszo, natomiast Kłuta wracał na Główny w Katowicach i spod dworca tramwajem jechał do swoich Siemianowic.

Znali się od lat. Razem zaczęli zaraz po szkole na podmiejskich trasach, później przyszedł czas na dalekobieżne, by w końcu, pod sam koniec ich kariery kolejarskiej, dostać się do elity, tych, którzy obsługiwali trasy międzynarodowe.

Na początku na wiedeńskiej trasie robili tylko drobne interesy, takie zwyczajne jak niemal każdy Polak jadący do Austrii. Przywozili proszki do prania, pieluchy jednorazowe, ubranka dla niemowlaków, słowem wszystko to, czego u nas nie można było dostać. Elektronika zaczęła się przypadkiem. To Jorguś pierwszy kupił od znajomego Turka odtwarzacz wideo. Szybko okazało się, że można go w kraju sprzedać, uzyskując pięciokrotną przebitkę.

Tak to się zaczęło. W swoim służbowym przedziale, którego nie kontrolowali celnicy, chowali

początkowo po kilka używanych odtwarzaczy. Później rozzuchwalili się do tego stopnia, że za jednym razem do kraju wwozili po kilkadziesiąt sztuk. Celnicy dostawali swoją dolę i wszyscy byli zadowoleni. Interes się kręcił, aż miło, a ich zarobki rosły w lawinowym tempie. Wszystko do czasu, kiedy to pojawił się napakowany goryl, który zaproponował Kłucie, że wejdzie z nimi w interes. Marian wysłał go w pierony, nie przypuszczając nawet, że jego pogróżka o brakujących rękach do pracy spełni się w koszmarny sposób.

Gdy dowiedział się o śmierci Jorgusia, przestraszył się nie na żarty. Postanowił przestać wozić towar i wycofać się całkowicie. Wtedy pojawił się milicjant Trulka. Powiedział mu, że teraz będą działać razem i nie musi się już niczego bać, bo on przejmuje nad nim opiekę, a tego gnoja, co zabił jego kolegę, w krótkim czasie załatwi pokazowo. Ale nie załatwił. Marian tłumaczył mu, że się boi, że już ma dość, ale do Trulki to nie docierało. Na razie miał spokój, bo milicjant przejął ich magazyn i powoli wyprzedawał zgromadzony tam towar, dzieląc się zyskiem sprawiedliwie na pół. Ale to, co zgromadzili na strychu u Jorga, musiało się kiedyś skończyć. Tego właśnie Kłuta bał się najbardziej. Wiedział, że prędzej czy później ten, który mu groził, pojawi się u niego z żądaniem nowej dostawy. I nie pomylił się. Jakiś miesiąc temu na dworcu w Katowicach podszedł do niego mężczyzna i powiedział, że już wkrótce przypomni mu o brakujących rękach do pracy. Gdy Marian zadzwonił do Trulki, milicjant kazał mu się wziąć w garść i czekać, aż tamten będzie chciał się spotkać i zaproponuje jakieś konkrety. Pociąg z Katowic do Cieszyna wjechał na peron. Po chwili radiotelefon zawieszony na piersi kierownika Kłuty ożył. Maszynista informował, że przejazd jest wolny i mogą ruszać. Sprawdził więc jeszcze odruchowo, czy wszystkie drzwi są zamknięte, choć nikt na tej stacji nie wsiadał ani nie wysiadał. Dmuchnął w kolejarski gwizdek i pokiwał grubej zawiadowczyni w czerwonej czapce, która nawet nie wyszła z wieży obserwacyjnej, a tylko wychyliła się przez okno z lizakiem w ręce, dając znać, że mogą już jechać.

Wskoczył do wagonu, gdy pociąg ruszał. Chwilę postął w otwartych drzwiach, potem zamknął je z rozmachem.

Został na tylnym pomoście. Wyciągnął z kieszeni paczkę cameli i zapalił papierosa. Nie chciało mu się iść do przedziału służbowego. Siedział tam jego nowy partner Kamiński. Był nawet miły i sympatyczny, starał się jak mógł przypodobać starszemu koledze, ale to już inny człowiek i inne pokolenie. Kamiński był od niego przynajmniej dziesięć lat młodszy. Kłuta nie mógł, i chyba nawet nie chciał, znaleźć z nim wspólnego języka.

Pociąg minął Ligotę, potem przystanek przy kopalni Wujek i zaczął powoli wtaczać się na katowicki dworzec.

Na peronie stało zaledwie kilkanaście osób. Większość czekających na podróżnych z Wiednia pewnie zrezygnowała, nie mogąc doczekać się przyjazdu. Zostali tylko najwytrwalsi. Spojrzał na nich przelotnie i już ruszał do drzwi, by przygotować się do wyjścia na peron, gdy nagle przy kiosku z gazetami mignęła mu znajoma twarz. Kłuta zamarł z przerażenia. Przez chwilę nie wierzył własnym oczom. Pociąg zwalniał powoli i kiosk zasłonił całkowicie sylwetkę tamtego człowieka.

Nie, to chyba niemożliwe, pomyślał kolejarz. To nie może być on.

Wpatrywał się w tamtym kierunku, ale nic już nie mógł zobaczyć. Zasłonili mu widok ludzie z walizami i pakunkami, którzy zaczęli wysypywać się z przedziałów. Wycofał się w stronę ubikacji, by przepuścić wysiadających pasażerów.

Po paru minutach w wagonie zrobiło się pusto. Wyszedł na peron, ale nie dostrzegł nikogo w tłumie. Zaczął się nerwowo rozglądać, coraz bardziej wystraszony, gdy wtem usłyszał głos zza

swoich pleców:

- Marian Kłuta?

Odwrócił się błyskawicznie, gotowy do odparcia ataku... Nogi się pod nim ugięły i naraz poczuł wielką ulgę.

Nie przypuszczał, że tak bardzo można ucieszyć się na widok milicjanta.

Poznań, godzina 9.05

Major Marcinkowski wszedł do swojego pokoju. Historia z Brodziakiem cały czas chodziła mu po głowie. Czy to możliwe, żeby Miras tak nieprawdopodobnie się zaplątał? Czy ten facet w ogóle był w stanie popełnić zbrodnię?

Może już mu się zupełnie we łbie pomieszało od gorzoły?

Gdy dzwonił do niego ostatnio, tłumaczył, że morderstwo w akademiku świadczy o tym, że ktoś zaciera ślady i likwiduje świadków, którzy mogliby coś powiedzieć na temat sprawy pociągu berlińskiego. A jeśli założyć, że rzeczywiście winny jest Grubiński, którego za wszelką cenę chce ochronić Miras? Czy Brodziak mógłby posunąć się aż do zamordowania jakiejś dziewczyny, by odwrócić uwagę od swojego starego kumpla? Marcinkowskiemu nie mieściło się to w głowie. Znał przecież Brodziaka dobrze, przyjaźnili się od lat i nigdy nic nie wskazywało na to, że mógłby zrobić coś niegodnego. Owszem, był porywczy, nieraz zdarzało mu się przyłożyć zatrzymanemu bandzirowi, nawet podczas przesłuchania. Ale to wszystko było normalne w tej robocie. Sam Marcinkowski nigdy nie używał siły podczas rozmowy z zatrzymanymi, ale też nie miał nic przeciwko metodom Brodziaka. Zwłaszcza że często przynosiły one pozytywne efekty, skracając czas wydobywania zeznań. Tyle że potrząśnięcie bandziorem podczas przesłuchania dalekie było od morderstwa z zimną krwią.

Trzeba koniecznie pogadać z Mirasem, i to jak najszybciej, myślał Marcinkowski. Tylko gdzie go teraz szukać?

Miejmy nadzieję, że chłopak nie zwariował kompletnie i moje przypuszczenia nie mają żadnych podstaw. Przecież ten stróż w akademiku, facet z łbem zrytym przez gorzołę, mógł coś pokręcić albo wrabia Brodziaka celowo.

A jeśli ktoś mu kazał tak robić, to oznacza, że właśnie tego kogoś szukamy.

Brodziak był w akademiku, bo sam to potwierdził, rozważał dalej Fred, ale mówi, że był tam rano już po odnalezieniu zwłok. Stróż twierdzi, że Miras przyszedł w nocy.

Jeśli założyć, że dziewczynę zabił człowiek chcący zamazać cały obraz sytuacji i zrzucić winę na Grubińskiego, to wizyta Brodziaka mogła być dla niego zrzędzeniem losu. Brodziak, kumpel Grubińskiego, przychodzi do akademika, widzi go stróż, którego można łatwo przekupić. I cieć moczymorda urządza imprezę, bo nagle ma dolce na gorzołę. To się trzyma kupy, ucieszył się Marcinkowski.

Szybko podniósł słuchawkę i połączył się z dyżurnym:

- Słuchaj, daj znać na komendę na Chłapowskiego, żeby bardzo pilnie wysłali radiowóz na Opolską. Niech przywiozą do nas niejakiego Mariana Kołodziejczyka. Tak, Kołodziejczyk, powiedz im, że to bardzo pilne, w sprawie o morderstwo.

Ledwie zdążył odłożyć słuchawkę, gdy rozległo się pukanie do drzwi - szeregowy ze stertą poczty. Położył na biurku przed oficerem papiery i odmeldował się. Chwilę trwało, zanim wśród mało interesujących przesyłek znalazł tę, na którą czekał.

Wczoraj przesyłka z Kluczborka nie dotarła do Poznania, mimo że komendant Martyniuk zapewniał, iż zrobi wszystko, by była na czas. Otworzył grubą kopertę i wydobyl z niej rolkę enerdowskiego filmu ORWO Color.

Jeszcze trochę i będziemy wiedzieć, czy Grzechu Kowal zasłużył na premię, ucieszył się Fred.

Sięgnął po telefon, by wysłać dyżurnego z filmem do laboratorium, ale po sekundzie położył słuchawkę z powrotem na widelki, bo postanowił pójść sam. Film zaniesiony przez szeregowego funkcjonariusza mógł trafić do koszyka z innymi, mniej pilnymi filmami do wywołania.

A w tym wypadku liczył się czas. Zdjęcia musiały być na jego biurku przed południem, bo o tej porze miał przyjść sierżant Kowal, w tej chwili jedyny człowiek, który mógł zidentyfikować bandytę z ulicy Strusia.

Fred spojrzal na wiszącą na przeciwległej ścianie tablicę informacyjną, do której przypiął sporządzony wczoraj portret pamięciowy.

Mam nadzieję, że to jedna i ta sama osoba, pomyślał, spoglądając na nieciekawą gębę przestępcy, który niepodobny był do nikogo.

Katowice, godzina 9.15

Teofil Olkiewicz nie lubił jeździć samochodami. Piesza wycieczka, proszę bardzo. Przejście z Wildy w stronę Jeżyc, dlaczego nie? Ale przejazd z Katowic do Katowic, który trwa pół godziny... Jazda po mieście była tu jakimś koszmarem. Wystarczyło, że wyjechali z komendy, przejechali kilkaset metrów na ulicę Francuską - Teofil odczytał nazwę z tablicy na skrzyżowaniu - i już utkwili w korku. Co gorsza, w tym korku tkwili przez ponad kwadrans, aż skończyła się ta cholerna Francuska. Gdy z niej wyjechali, wcale nie było lepiej. Po kolejnym kwadransie dojechali do wielkiego ronda, przy którym Pytlok z dumą pokazał Teofilowi Spodek. Olkiewicz tylko prychnął na to katowickie чудо i wytłumaczył Erwinowi, że dla niego to nic dziwnego, bo w Poznaniu jest Arena, czyli taka sama wielka hala widowiskowa. Ale gdy okrążali rondo i ich milicyjny fiat 125p podjechał bliżej, w duchu musiał przyznać, że w tym ich cholernym Spodku zmieściłyby się dwie albo i nawet trzy poznańskie Areny. Ale nie mówił tego Pytloкови, bo było mu głupio. Powiedział za to, że jak Erwin przyjedzie do Poznania, zaprosi go do Areny na jakiś koncert albo mecz. Mówiąc to, miał nadzieję, że Pytlok nigdy do Poznania nie przyjedzie, a jeśli już, to nie będzie pamiętać o Arenie i Spodku.

Wyjechali na czteropasmówkę prowadzącą w kierunku Chorzowa. Pytlok pokazał Teofilowi kopalnię Gotwald z jednej i hutę Baildon z drugiej strony szosy. O ile huta nie zrobiła na Teofilu żadnego wrażenia, to kopalnia spodobała mu się wyjątkowo. Zdziwiło go to, że górnicy w samym mieście zjeżdżają na dół. Myślał dotąd, że kopalniane szyby są gdzieś na peryferiach, a tu proszę, środek Katowic i kopalnia. Zapytał Pytloka, jak takie kopanie pod miastem wpływa na życie mieszkańców, a szczególnie na stan domów. Erwin wyjaśnił mu, że kopanie pod miastem zakazano. Ale mówiąc to, miał nietęgą minę, więc Teofil wyczuł, że z tym fedrowaniem nie jest do końca jasne.

Po chwili minęli wesołe miasteczko z ogromnym kołem diabelskiego młyna. Gdy Teofil zobaczył potężną karuzelę, od razu zrobiło mu się niedobrze. Za nic w świecie nie wsiałby na coś takiego. Przypomniał sobie, jak był kiedyś z żoną w wesołym miasteczku na Malcie. Trochę wypił i dlatego zdecydował się na przejażdżkę na takim małym diabelskim młynie. Gdy tylko koło ruszyło, natychmiast zrobił się zielony na twarzy. Obsługa szybko musiała zatrzymać karuzelę i wyprowadzić na wpół przytomnego Olkiewicza w obryzanej marynarce.

- Nie na takich już się jeździło - powiedział, wskazując koło, lecz przezornie nie patrzył dłużej w tamtym kierunku.

Na szczęście samochód zaraz skręcił w lewo, na osiedle Tysiąclecia. Trulka mieszkał w pierwszej, najbliższej im kukurydzy. Olkiewicz z Pytlokiem wysiedli z auta i poszli w stronę klatki schodowej. Samochód z kierowcą zostawili na parkingu przed budynkiem.

Przed wejściem zatrzymali się na chwilę, by sprawdzić, pod jakim numerem mieszka porucznik Trulka. Nie znaleźli jednak takiego nazwiska w spisie lokatorów. Kilkanaście karteczek było usuniętych.

- Muszemy przyfilować na lista lokatorów w siyni, bo tu go niy ma. Te puste place tukej to chyba jeszcze pamióntka po stanie wojennym - wyjaśnił Pytlok. - Na kómyndzie kozoli nóm pościóngać tabulki z nazwiskami, coby ekstremiści z Solidarności niy mogli nos znolyżć. Ale jo zech niczego niy ścióngoł, bo mie i tak wszyscy na Panewnikach znali. Jakby mie kiery chcioł ukatrupić, to by se móg przyść dó mie do chałpy, czyby była tabulka, czy niy. Terozki widać, jako to była rajno gupota, bo po tych pustych placach koždy móg poznać, kaj miyeshkajóm milicjanty.

- Ja też nie usunąłem - pochwalił się Teofil, który dwunastego grudnia zgodnie z poleceniem dowództwa odkręcił miedzianą tabliczkę z drzwi i jeszcze zdjął ze ściany na parterze swojej kamienicy listę lokatorów, którą schował w szafie w mieszkaniu. Długo tam nie poleżała, bo następnego dnia w niedzielę trzynastego grudnia jego żona Jadwiga znalazła tę listę i zawiesiła ją z powrotem na ścianie.

Weszli bez kłopotów do klatki schodowej, bo okazało się, że drzwi nie są zablokowane. Listy lokatorów nie znaleźli, porucznik Pytlok wyciągnął więc z kieszeni swojej kurtki notes i szybko sprawdził numer mieszkania.

- Siódmy sztok - powiedział i ruszył do windy. Teofil Olkiewicz nie lubił wind, ale co było robić, poszedł za kolegą, myśląc, że jakoś musi wytrzymać tę jazdę na górę, bo schodami trochę głupio by było wchodzić.

Godzina 9.30

- Nie, panie Kłuta, nie jest pan zatrzymany. Przywieźliśmy tu pana na komendę, żeby trochę porozmawiać, i tyle - tłumaczył kolejarzowi szeregowy Blaszkowski. Olkiewicz i Pytlak pojechali spotkać się z porucznikiem Trulką, a jemu kazali zająć się kolejarzem.

Nie bardzo mu to szło. Tak się złożyło, że dziś po raz pierwszy samodzielnie przesłuchiwał człowieka. Już nieraz asystował przy przesłuchaniach, które prowadził Marcinkowski, Olkiewicz czy nawet Brodziak. Tych Brodziaka nie lubił, bo porucznik nie uznawał żadnych zabaw psychologicznych czy podchwytliwych pytań. Był konkretny, a jak bandzior się opierał, to lał go w papę do zmiękczenia. A Blaszkowskiemu stanowczo się to nie podobało.

Podchodził do swojej pracy z młodzieńczym idealizmem.

Chciał pracować w milicji, czyli w firmie, która powinna, tak uważał, pomagać ludziom. Chciał, żeby szanowano mundur, który nosił jego ojciec i teraz on, a wiedział, że metodami Brodziaka szacunku nie zdobędzie. Dlatego imponował mu Marcinkowski, spokojny i rzeczowy, wdający się w przesłuchiwanym w dyskusje, spory i inteligentne rozgrywki. Ta metoda przynosiła pożądane efekty - major zwykle osiągał zamierzony cel.

Blaszkowski chciał być taki jak major. Na razie musiał sprawdzić, czy też potrafi tak przesłuchać świadka, żeby coś z niego wycisnąć. Nie był jednak pewny, co chce osiągnąć. Czy ten kolejarz miał

się przyznać do winy i powiedzieć, że zabił kolegę, czy też miał tylko potwierdzić, że zabity handlował sprzętem wideo. Trudna sprawa, myślał szeregowy Blaszkowski. Dlatego trochę się denerwował.

- No więc, jak już mówiłem, panie Kłuta, nie jest pan zatrzymany. Chciałem pana tylko zapytać o ten sprzęt, co go przywoziliście razem z Jerzym Kawulokiem do Polski.

Jak dużo tego było?

- A gdzie tam dużo - machnął ręką kolejarz. - Raz na jakiś czas dla znajomych coś się kupowało, bo tam taniej niż w Peweksie. Ale żeby dużo, to nie.

- A niech pan powie, czy nie przyszedł kiedyś do pana ktoś z propozycją, że może wam pomóc w tym handlu?

Na przykład, że wyłoży pieniądze, żebyście mogli kupować więcej towaru?

Kłuta zbladł momentalnie, ale próbował ukryć zmieszanie za potokiem słów:

- W życiu, panie, mówię, że to nie był żaden interes, tylko okazyjnie coś żeśmy kupowali i tyle, nie wiem w ogóle, o czym pan mówi. Myśmy nie robili żadnego biznesu, tylko uczciwie pracowaliśmy.

Blaszkowski od razu zauważył, że Kłuta coś kręci. Czyżby trafił już na samym początku? Jeśli tak, toby znaczyło, że ten kolejarz mógł widzieć mordercę, zastanawiał się.

- No dobrze, panie Kłuta, to mi wystarczy, tylko nie rozumiem, dlaczego pan nie chce nam pomóc w schwytaniu tego człowieka.

- Jak to nie chcę?

- Mówi pan, że nikt do pana nie przychodził z propozycją, a ja tymczasem wiem, że taka propozycja padła...

- Nic nie wiem o żadnej propozycji - odpowiedział trochę zbyt szybko Kłuta. Jego nerwowość upewniła szeregowego Blaszkowskiego, że nadaje się na oficera śledczego. Musiał mieć talent, skoro choć zadał tylko parę pytań, udało mu się wyczuć, że przesłuchiwany ukrywa coś ważnego. Szkoda, że nie mógł go teraz zobaczyć chorąży Olkiewicz. Chociaż nie, nie Olkiewicz, Teofil na pewno nic by nie zauważył. Człowiek, który podczas przesłuchania nawet nie patrzy na przepytowaną osobę, a interesuje się tylko kartką, na jakiej skrupulatnie zapisuje odpowiedzi, nie mógłby docenić jego dzisiejszego sukcesu. Co innego major Marcinkowski, no ale on jest w Poznaniu.

Przez chwilę Mariusz patrzył na niecierpliwie wiercącego się kolejarza, zastanawiając się, co na jego miejscu zrobiłby Marcinkowski. Po chwili już wiedział.

- Panie Kłuta, wrócimy jeszcze do tej rozmowy. Proszę przyjść tu na komendę jutro o ósmej. Jeszcze trochę pogadamy, w szerszym gronie. A teraz musi pan poczekać trochę, aż zeznanie zostanie przepisane na maszynie, podpisze je pan i na razie to wszystko.

Gdy kolejarz wyszedł, Blaszkowski natychmiast podniósł szarą słuchawkę i wykręcił poznański numer telefonu majora Marcinkowskiego. Musiał się w końcu pochwalić, jak pięknie poszło mu pierwsze przesłuchanie, i powiedzieć, co zamierza dalej robić.

Godzina 9.40

- Bercik, to je mój dobry kamrat z Poznania. Nazywo sie Teofil Olkiewicz. Pomogóm mu w jego śledztwie.

Trulka, w pasiastych spodniach od pidzamy i białej podkoszulce, spojrział badawczo na Olkiewicza i wyciągnął rękę na powitanie. Potem odsunął się od drzwi, robiąc miejsce do przejścia.

Dwaj milicjanci weszli do mieszkania.

- Na prawo, wejdźcie do dużego pokoju - poinstruował ich gospodarz, po czym zamknął drzwi na zamek.

W pokoju panował nieopisany wprost bałagan. Rozłożona kanapa z brudną, od dawna niezmienną pościelą, tuż przy niej ława zastawiona pustymi butelkami po piwie, na podłodze sterty starych gazet. Naprzeciw legowiska segment na wysoki połysk, który lata świetności miał za sobą gdzieś koło roku siedemdziesiątego. Na półkach przykrytych grubą warstwą kurzu można byłoby pisać, gdyby któryś z gości miał na to ochotę. Nie mieli. Chcieli za to gdzieś usiąść, ale nie bardzo było na czym. Trulka spojrzął na swoje gospodarstwo, a potem na obu milicjantów.

- Żona odeszła ody mnie jakiś czas temu - powiedział na usprawiedliwienie, nie przejmując się zupełnie tym, że mówi po śląsku. W pracy mówił zawsze nienaganną polszczyzną, jedynie ze śląskim akcentem, jednak we własnym domu kichał na polityczną poprawność.

Podszedł do tapczanu, zawinął kołdrę i poduszkę w prześcieradło i pakunek wsunął do schowka pod materacem.

Gdy złożył tapczan, obaj goście mogli wreszcie usiąść.

- Napijcie się piwa? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, poszedł do kuchni. Wrócił po chwili ubrany w niebieski frotowy szlafrok, trzymając w ręce trzy butelki tyskiego. Postawił je na stole i otworzył aluminiowym otwieraczem.

- Szklanek nie ma - wyjaśnił - wytrząsały się.

- Nie ma problemu - uśmiechnął się zadowolony Teofil, który od wyjścia z komendy myślał tylko o tym, żeby wreszcie przepłukać gardło.

- Chorują na korzonki - mówił dalej Trulka, jakby chciał się usprawiedliwić. - No i lekarz kazał mi leżeć w ciepłym.

Ale bez piwa to idzie cholery dostać samemu w domu.

- Ja jak mam jakieś przeziębienie czy coś, to se robię herbatę z gorzołą, tak pół na pół, i mówię wam, że stawia na nogi jak diabli. Wypiję dwie czy trzy takie szklanki i zaraz pod kołdrę. A rano to już jestem całkiem na chodzie powiedział Teofil.

- Korzonków to nie do sie taką herbatą wyleczyć. Korzonki to kiepska sprawa. Ale piwo nie przeszkadza - mówiąc to, Trulka podniósł swoją butelkę i pociągnął mocno. Obaj goście również wypili. Teofil łyknął dwa razy i odstawił na stół pustą butelkę.

- Mo chop spust - pochwalił go Pytlok - ciógnie jak kamela woda. Ale my tu do ciebie przisli niy na piwo, ino żeby pogodać o robocie. Idzie o to, że óni tam w tym Poznaniu majom podobno sprawa do tyj twojij.

- A o czym godosz, o jakiej sprawie?

- O tym zabitym kolejarzu - wyjaśnił Olkiewicz. - U nas też ktoś zabił kolejarza, i to tak samo go zabił, jak tego tu w Katowicach, i jeszcze na dodatek obciął mu rękę.

- Tyn nasz tyż miał urznyiнто ręka - wtrącił Pytlok.

- No właśnie, ale nie udało nam się na razie namierzyć sprawcy. Robiłem nad tym kilka miesięcy, ale nic się nie dało zrobić - rzekł Trulka.

- Niy mosz żodnych podejrzyń, Bercik?

- Początkowo wydawało mi się, że to mógł zrobić jego kolega, tyn drugi kolejarz, co z nim jeździł, ale później go wykluczyłem. Myślę, że to ktoś obcy. A teraz widzę, że to mógł być ktoś z Poznania. A jakie są wasze ustalenia? - Zainteresował się Trulka.

- Na razie nic nie wiemy, ale sprawdzamy wszystkie możliwości. Ino że jeszcze nie mamy wyników. No i dlatego mnie tu wysłali do was, żeby się wywiedziało, co i jak i kto to mógł zrobić według was, ale widzę, że niewiele się dowiem. To tak samo jak w pięćdziesiątym ósmym roku, jak jeszcze byłem młodym szczonek i zaczynałem pracę w MO. Mieliśmy taką sprawę na Chwaliszewie. Zgłosiła się do nas jedna kobita, że jej mieszkanie zostało opędzlowane dokumentnie, a drzwi były zamknięte. Złodziej ukradł wszystko, co dało się wynieść z chałupy, jak ona, ta gospodyni, była akurat w robocie. Przyszła do domu, patrzy, a tu nic ni ma, ino jakieś stare klunkry zostały. Nikt z sąsiadów nic nie widział, nikt nic nie wie i żadnych śladów. A klucze jej od domu nie zginęły, tylko że te drzwi były zakluczone.

No to se myślę, jak nic ta baba sama wszystko sprzedała, nas teraz chce wziąć na lewe sanki. No tośmy ją przycisnęli na komisariacie, ale nic się nie okazało, bo ona nic nie wiedziała i nie była winna, a tylko poszkodowana. Gdzieś tak miesiąc później na Łazarzu taka sama sytuacja. Samotna baba w robocie, a tu mieszkanie zakluczone i opędzlowane. Rano poszła do roboty, wszystko było na miejscu, a jak wróciła po trzeciej, to nic w chacie ni ma. No i co tu zrobić, żeśmy myśleli, bo obie sprawy wyglądały tak samo, no to chyba głupi by nie zobaczył na pierwszy rzut oka, że to ten sam sprawca musiał być...

Teofil przerwał opowieść i sięgnął po kolejną butelkę piwa, którą tymczasem Trulka postawił przed nim na stole.

- Nó i co? Fto to w końcu okrodoł te baby? - zainteresował się Pytlok.

- A cholera go wie - wzruszył ramionami Teofil. - Nie dało się gnoja złapać i nie rozwiązali żeśmy tej sprawy, ale ja tylko mówię, że jak są dwie sprawy w różnych miejscach, a wyglądają jak dwie siostry bliźniaczki, to znaczy się, że ojcem ich jest ten sam facet, bo dwóch kolesi, choćby się nie wiem jak starali, nie zrobi takich samych dziecioków.

Poznań, godzina 10.15

- Miałeś być dopiero w południe - powiedział major Marcinkowski, widząc stojącego na korytarzu sierżanta Kowala, który rozmawiał właśnie z panią Olą z działu kadr.

Oparty o ścianę pomalowaną popielatą olejnicą, z wysokości swoich dwóch metrów patrzył rozmarzonym wzrokiem na dziewczynę, ona zaś spoglądała na niego tak, jakby miała przed sobą co najmniej prawdziwego kapitana Żbika.

Zdaje się, że ta historia ze strzałami obudziła w Oli instynkt opiekuńczy i kto wie, czy nie zajmie się Grzechem na stałe, pomyślał Marcinkowski, przyglądając się parze.

- Melduję, obywatelu majorze, że już w chacie nie mogłem wysiedzieć przez te fotki, co je trzeba zidentyfikować.

Chyba już są, nie?

- Dobra, chodź do mnie, bo wszystko już mi dostarczyli, o ile oczywiście pani Ola cię puści.

- Hi, hi, hi - zaśmiała się Ola - gdzie ja bym mogła takiego chłopca zatrzymać - powiedziała, patrząc na Grzecha z podziwem.

- Zdaje się, pani Olu, że nie docenia pani swojej siły.

Chodź, Grzechu, bo jestem ciekawy, czy to nasz klient jest na zdjęciach.

Kowal z gracją ucałował drobną dłoń Oli, po czym ruszył za majorem.

- A wiesz, że wczoraj, jak już poszedłeś po przesłuchaniu tego Wójcika z pociągu, mieliśmy jeszcze trzynaście osób, które wtedy jechały Beroliną?

- Niemożliwe! - zdziwił się Kowal. - Chudeckiemu udało się kogoś znaleźć?

- Gdzie tam Chudecki! - machnął ręką major. - On do dziś nic nie wskórał, tak zresztą jak przypuszczałem.

To wszystko robota Adamskiego. Rozgłosił na Łazarzu, że damy nagrodę temu, kto pomoże w odnalezieniu sprawcy, no i handlarze ruszyli do szturm na komendę. Udało się ustalić portret pamięciowy kolejarza, który zaakceptowało czterech z nich.

- A to cholernik z niego - powiedział z wyraźnym podziwem sierżant.

W gabinecie Marcinkowski usiadł za biurkiem i z szuflady wydobył plik zdjęć. Rozłożył je na blacie. Kowal przysunął sobie drugie krzesło i zasiadł po przeciwnej stronie.

Brał po kolei każdą z fotografii do ręki i uważnie się im przyglądał. W końcu odłożył ostatnie zdjęcie z powrotem na biurko i podniósł wzrok:

- No to, majorze, mamy go. To jest ten klient, co do nas strzelał na Strusia.

- Jesteś pewny? - zapytał Fred, raczej dla porządku, bo był przekonany, że Kowal nie mógł się mylić. W końcu widział kolejarza z bliskiej odległości. Prawda, że było to w sytuacji ekstremalnej, ale wtedy ludzkie zmysły są szczególnie wyostrzone i zapamiętuje się podobno szczegóły, na które w normalnych warunkach nikt nie zwraca uwagi.

- Na sto procent to jest on. Miałem niby mało czasu, żeby wtedy mu się przyjrzeć, ale jak teraz patrzę na tę jego ryfę, to widzę go dokładnie, tak jak wtedy. To jest ten skurwiel, co do nas strzelał. Nie ma dwóch zdań.

- To znaczy, żeś ty go wtedy załatwił. Z przysłanego opisu wynika, że dostał dwie kule. Z postrzałem w brzuch miałby jeszcze szansę na stole operacyjnym, ale on zafundował sobie podróż pociągiem i to go zabiło.

- No to już wszystko jasne - ucieszył się Kowal.

- Niezupełnie, popatrz na ten portret pamięciowy wskazał rysunek wiszący na tablicy. - To według pasażerów jest człowiek z pociągu. I jak by nie patrzeć, ani trochę nie przypomina twojego strzelca.

Grzechu Kowal odwrócił się i podszedł bliżej. Pochylił się nad portretem i zaczął mu się uważnie przyglądać.

- No pewnie, że to nie jest ten mój klient - powiedział, odwracając się do majora - bo to ktoś zupełnie inny.

Ten facet z wąsami jak Wałęsa to przecież jest Rajmund Lebera z Wildy, zresztą dobry znajomy naszego Teosia Olkiewicza.

Fred spojrzał zdziwiony na Kowala:

- Jesteś pewny?

- Jasne, przecież znam obywatela. Byłem kiedyś u Teosia w chacie, jak ten przyszedł do niego z jakimś interesem. Już wiem. - Sierżant zastanowił się przez chwilę. - On mu wtedy opchnął nowe wideo po okazyjnej cenie, to, na którym teraz Teos ogląda ciągle pornolki.

Major sięgnął po słuchawkę telefonu:

- Marcinkowski mówi. Na dziesiątą miał się zameldować do mnie niejaki Wójcik. Macie go tam na dole? Dobra, dawać go tu natychmiast.

Fred usiadł na swoim miejscu i ruchem głowy wskazał Kowalowi fotel pod ścianą.

- Wezwałem go na dziś, żeby zidentyfikował tego klienta ze zdjęcia, ale teraz to już nie będzie potrzebne.

Rozległo się pukanie do drzwi. Po sekundzie stanął w nich podoficer służbowy i zameldował doprowadzenie świadka.

Wójcik wszedł do środka i usiadł na krześle, które wskazał mu major.

- Panie Wójcik, chciałem, żeby pan spojrział na zdjęcia kogoś, kogo podejrzewaliśmy o to morderstwo w pociągu, ale chyba wezwałem pana niepotrzebnie, bo wszystko wskazuje, że to ktoś inny, niepodobny do osoby z pana portretu pamięciowego. Ale skoro pan tu jest, to na wszelki wypadek proszę rzucić okiem na fotki.

Wójcik nachylił się nad zdjęciami, które rozłożył na biurku Marcinkowski. Chwilę się im przyglądał, a potem powiedział z pełnym przekonaniem:

- Na sto procent to nie jest ten z kibla.

- Jest pan pewien? - nie dawał za wygraną major.

- Mówię, jak jest, to nie jest on, co do kibla włąził, to jest ten drugi, znaczy się trzeci, co pomagał temu drugiemu przy wózku ładować towar.

- Jaki towar, do cholery? - nie wytrzymał Kowal.

- No normalnie, towar z przedziału konduktorskiego.

Rano, jak już pociąg stanął na stacji w Poznaniu, pozbierałem te swoje bambetle i wyszłem z wagonu, to przechodziłem koło pierwszego wagonu, gdzie zawsze jest przedział konduktorski. No i pod oknem stał wózek elektryczny, taki, co to po peronach jeżdżą nimi z przesyłkami. No i z okna te kartony ze sprzętem telewizyjnym podawał tyn, co w nocy był w tym kiblu, znaczy się tyn z wąsami, a na platformie od wózka odbierał to tyn tu delikwent ze zdjęcia. Pamiętam go dobrze, bo jak się zatrzymałem, żeby zobaczyć, co za sprzęt ładują, tak z ciekawości stanąłem, to tyn łysy się do mnie odwrócił i kazał mi spierdalać w podskokach.

Godzina 10.20

- Czy ty, Rikardo, Boga w sercu nie masz, żeby kobietę pracującą budzić w środku nocy? - powiedziała Zuza, otwierając drzwi. Miała na sobie krwistoczerwony szlafrok ze złotym smokiem. Widać było, że dopiero co wstała z łóżka, bo nie zdążyła się jeszcze umalować. Brodziak pomyślał, że bez tego nachalnego makijażu wygląda znacznie lepiej niż wieczorem w knajpie.

- Cześć, kwiatuszku, ślicznie wyglądasz - uśmiechnął się do niej radośnie Rychu Grubiński, a potem bezceremonialnie, nie czekając na zaproszenie, wepchnął się do środka.

- Zapraszam do kuchni - westchnęła zaspana Zuza i poszła za nimi.

Kobieta mieszkała w czteropiętrowym bloku przy alei Pod Lipami na osiedlu Wielkiego Października. Rychu wiedział, gdzie jej szukać, bo już parę razy zdarzyło mu się nocować u Zuzy, która w środowisku uznawana była za jedną z najważniejszych postaci w swoim fachu. Miała już prawie trzydzieści lat, a mimo to należała do zawodowej ekstraklasy. Z jej zdaniem liczyły się wszystkie dziewczęta z branży, trochę też za sprawą jej dość zażyłych kontaktów z Rychem. Traktował ją jak starą przyjaciółkę, wymieniał często zarobione przez nią dolary czy marki, dając jej całkiem korzystny kurs. Ona uważała go trochę za kogoś w rodzaju osobistego opiekuna, do którego mogła się zwracać w trudnych sytuacjach i który zawsze stawał w jej obronie i oczywiście w obronie jej interesów.

Dlatego oboje mieli do siebie zaufanie.

Rano na Lampego, pod kamienicę, w której mieszkał Rychu, zajechał swoim mercedesem Zyga, zaprzyjaźniony taryfiarz, który często woził Grubińskiego i jego ludzi podczas załatwiania

wyjazdowych interesów walutowych.

Pan Zygmunt miał ważną cechę, którą cenił Rychu. Chciał znać tylko adres, pod który ma dojechać, a później niepytany nie odzywał się wcale. Dobrze wiedział, że jeśli chce się utrzymać w takiej robocie, musi siedzieć cicho i nie gadać. Dlatego jeździł z Rychem już ładnych kilka lat.

Nie musiał jak inni taksówkarze brać klientów z postojów.

Woził tylko cinkciarzy i całkiem nieźle mu się z tego żyło.

Zyga dziś jak zwykle przyjechał na czas i błyskawicznie zawiózł ich na miejsce.

- Do pokoju nie proszę, bo mam bałagan, ale w kuchni jakoś się pomieścimy - powiedziała Zuza, przeciskając się koło Rycha, który swoim brzuchem tarasował połowę przejścia. Kuchnia, jak to w bloku, była mikroskopijnych rozmiarów. Po jednej stronie standardowa biała meblościanka, biały zlew i piec z Wronek, po przeciwnej mały stół z przystawionymi do niego dwoma taboretami, a obok lodówka polar, luksusowa, bo z oddzielną zamrażarką.

- Siadajcie, chłopaki, może kawy wam zrobić? Mam prawdziwą kawę jacobs z Niemiec przywiezioną. Nasza orient to przy niej mielony węgiel. Mówię wam, warto spróbować.

- Jak prawdziwa niemiecka, to spróbujemy - mówiąc to, Rychu zasiadł na taborecie, wcisnąwszy się między stolik a lodówkę. Po drugiej stronie stołu usadowił się Brodziak.

Zuza postawiła czajnik na gazie i odwróciła się do swoich niespodziewanych gości:

- No dobra, to teraz mówcie, z czym przychodzicie, bo nie uwierzę, że stęskniliście się za mną od rana.

- Słuchaj, piękna - zaczął Rychu - rozchodzi mnie się o ten wieczór w Magnolii, kiedy to na sali był ten napakowany gość z rudą laską i te dwa kacapy. Muszę wiedzieć wszystko dokładnie, co tam się działo. Więc proszę, wysil swoją śliczną główkę i pomóż nam, bo to sprawa gardłowa.

- Aż takie to ważne? - zdziwiła się Zuza. - Nie ma sprawy, Rikardo, wiesz, że na mnie zawsze możesz liczyć, ale mów, co cię interesuje tak najdokładniej.

- Siedziałas tam z nimi przez chwilę. Powiedz, o czym rozmawiał ten Korbol z ruskimi.

- Korbol to on jest za głupi, żeby z kimś rozmawiać. Ten pawian tylko pił. Oni się trochę niecierpliwi i pytali, kiedy przyjdzie jego szef...

- Szef Korbola?

- Jak mówili o jego szefie, to myślałam sobie nawet, że ty tam wpadniesz, bo wiedziałam, że on dla ciebie biega pod Peweksem.

- No ale o mnie nie chodziło. Z ruskimi się nie umawiałem.

- Tyle to ja wiem, bo jak on przylazł, to się już zupełnie zdziwiłam, że ten dziad jest szefem Korbola. No ale to dwa obszcymury, jeden wart drugiego, to się i takie kmioty dwa zwąchały i z ruskimi chcieli lody włoskie kręcić...

- Mów, kobieto, kto to był - przerwał jej zniecierpliwiony Brodziak.

- Rikardo, a co ten twój Miruś taki w gorącej wodzie kąpany? Trochę szacunku dla kobiety, kowboju - zaśmiała się Zuza. - Ten szef Korbola, co to przylazł do Magnolii, to jest ta łachudra z Wildy Rajmund Lebera.

- No to, Miruś, mamy skurwysyna jak nic - ucieszył się gruby Rychu i z radości aż klepnął Zuzę w tyłek. - A teraz możesz nam dać tę kawę, bo już właściwie nie ma pośpiechu.

Biały emaliowany czajnik zaczął gwizdać. Zuza błyskawicznie zalała wodą trzy szklanki. Kuchnię wypełnił aromatyczny zapach.

Godzina 10.40

W barze As na placu Wolności o tej porze było dość pusto. Nie jest to miejsce szczególnie lubiane ze względu na towarzystwo, jakie tu się kręci. As to bar szybkiej obsługi wciśnięty między Komendę Miejską MO i Bibliotekę Raczyńskich. O ile pracownicy biblioteki nie zaglądną tu niemal wcale, o tyle milicjanci nader chętnie - w ich milicyjnym bufecie nie można dostać piwa, a tu owszem.

Ze względu na grodziskie butelkowane prawdziwi pijacy omijają Asa szerokim łukiem, bo serwowane tu pszeniczne piwo ma niezbyt dużo alkoholu, a do tego jeszcze jest tak mocno gazowane, że daje się wypić zaledwie jedną, góra dwie butelki. Za tę samą cenę można dostać w piwiarni na Strzeleckiej cztery piwa poznańskie.

Fred Marcinkowski bardzo lubił grodziskie butelkowane. Przypominało mu młode lata, kiedy to z chłopakami z klasy na początku liceum kupowali takie piwo w budce na Gołecinie i udawali dorosłych, popijając w krzakach.

Słodka licealna dorosłość miała odtąd dla Freda smak piwa grodziskiego i papierosów sport.

Poprosił bufetową o butelkę i po chwili siedział już przy wolnym stoliku pod ścianą. Uważając, by niepotrzebnie nie spienić piwa, wlał je do długiej szklanki, na dnie butelki pozostawiając kilka milimetrów mętnego płynu z drożdżowym osadem.

Zdażył zaledwie umoczyć usta w pianie i poczuć ten niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju smak, gdy do wnętrza weszło dwóch mężczyzn ubranych w ciemne garnitury. Niższy z nich, czarnowłosa i krótko ostrzyżony, rozejrzał się po sali, a dostrzegłszy Freda, machnął w jego kierunku przyjaźnie ręką. Drugi, szczupły dryblas, nie zwracając uwagi na otoczenie, szybko poszedł w stronę bufetu. Po chwili obaj zaopatrzeni w piwo i pokale siedzieli już przy stoliku Marcinkowskiego.

- Nie było trudno z twoją sprawą - powiedział Krawcew, stukając swoją szklanką w brzeg szklanki Polaka. - Miałeś rację, że to niepolityczna sprawa, więc moi przełożeni nie mieli nic przeciwko pomocy dla ciebie. To jest Alik, który odpowie na wszystkie twoje pytania.

Dryblas uśmiechnął się, ukazując kilka złotych zębów, i wyciągnął kościstą rękę w stronę majora.

- Ja charaszo znaju, w czom dieło - zaczął Alik. - Towariszcz Krawcew wsjo mnie skazał. Możecie spraszivat', towariszcz major. Ja otwiczu na wsje waszi waprosy.

Odpowiem na wasze pytania - dodał zaraz po polsku Alik.

- Przed Dniem Kobiet byliście z jeszcze jednym człowiekiem w Magnolii. Tam spotkaliście się z pewnymi ludźmi.

- Kto to był?

- Jeden, imienia jego nie znaju, ale on się nazywał jakoś tak... jak statek, pa ruski statek, znacit karabl.

- Korbol - podchwycił Marcinkowski.

- Da, Korbol! - ucieszył się Alik. - On spotkał się z nami już wcześniej w Magnolii. I zaproponował interes dolarowy, w zamian za elektronikę. No my z nim nie gadali o interesach, tylko pili. Ale on zaprosił nas na specjalne przyjęcie ze swoim szefem. No to my przyszli i właśnie wtedy jego poznali.

- Jak nazywa się ten szef? - zapytał niepewnie Marcinkowski.

- Takoj wielikij parień. Jego imja to Rajmund Dutka.

Major z sykiem wciągnął powietrze. Wszystko nagle stało się jasne. Mieli zleceniodawcę i mordercę. Coś jednak nie dawało mu jeszcze spokoju.

- Co ci dwaj chcieli od was? - zapytał, spoglądając na Alikę.

Ten uśmiechnął się, ukazując piękne złote zęby, i pospieszył z wyjaśnieniem:

- Oni chcieli z nami interesy robić. Sprzedawać nam elektroniku iz Zapadniej Germanii. Mówili, że mogą mieć tego bardzo dużo.

- A wy?

- A na chój nam giemanskie wideo od nich. Od naszych żołdatów z Berlina tego dobra skolko ugodno.

Rozległo się pukanie do drzwi. Szeregowiec, który wszedł do pokoju, zameldował, że doprowadzono Mariana Kołodziejczyka.

- Dawajcie go tutaj - rozkazał porucznik Adamski, któremu major przed wyjściem kazał porozmawiać z cieciem z akademika Jowita.

Po chwili na krześle przed biurkiem siedział wesoły niczym skowronek zastępca stróża. Wraz z nim do pokoju wpłynęła ostra woń wódki pomieszana ze smrodem papierosów popularnych.

- Panie szanowny, jak pragnę jutra dożyć, czy to szanowna władza nie może uszanować świętego czasu odpoczynku ludu pracującego? Dopiero cośmy do flaszki siadali, jak żeście mnie zgarnęli od stołu i od towarzystwa.

A ja żem już wszystko jak na spowiedzi świętej panu majorowi we własnej osobie powiedział.

- Zamknij wrota i słuchaj, łachudro jedna, co mam do powiedzenia, i ino mi nie kręć, bo inaczej pogadamy.

- Ale bez niczego. Już nic nie gadam, ino słucham.

- Panie Kołodziejczyk, teraz to już dla nas jest wszystko jasne. Wiemy, kto w nocy był w akademiku i kto zapłacił, żebyś pan trzymał gębę na kłódkę. Masz pan ostatnią szansę na zmianę swoich zeznań. Spójrz pan na te obrazki i pokaż, który to z tych dwóch delikwentów.

Podpity Kołodziejczyk zrobił zdziwioną minę, a potem niechętnie sięgnął po zdjęcia.

- To będzie ten gruby z wąsami, panie oficerze - powiedział, wskazując na portret pamięciowy przedstawiający Rajmunda Dutkę.

- No to powiedzcie, Kołodziejczyk - Adamski przyjął bardziej oficjalny ton, poprawiając jednocześnie swoje grube okulary - dlaczego wprowadziliście w błąd majora i mówiliście, że ten, co w nocy był w akademiku, był rudy, średniego wzrostu...

- Jak Boga kocham, panie majorze, że taki szczon tam był, tylko że rano. Coś mnie się chyba musiało popierdzielić przez tę gorzołę.

- No to teraz wytyżcie umysł i zastanówcie się jeszcze raz dobrze, kto odwiedził akademik Jowita w nocy. Spokojnie napiszemy sobie zeznanko, które za chwilę podpiszecie - powiedział zadowolony porucznik, wyciągając przy tym na biurko czysty formularz:

- Imię, nazwisko, imię ojca, data urodzenia...

Do komendy miejskiej jest od baru As zaledwie sto metrów. Ten dystans Fred pokonał w kilkanaście sekund.

Wbiegł przez główne drzwi i skierował się od razu do dyżurnego:

- Major Marcinkowski jestem, otwieraj drzwi i łącz mnie od razu z wojewódką.

Nim podoficer zdążył uzyskać połączenie, major już wyrwał mu słuchawkę z ręki.

- Więc tak, za kwadrans chcę mieć radiowóz. Nie, nie chcę fiata, daj mi nyskę z przedziałem

aresztanckim, bo jedziemy zrobić zatrzymanie. Bez kierowcy, Grzechu Kowal jest na górze i pewnie będzie chciał jechać, to mu przecież nie odmówię tej przyjemności. Na rogu Chwiałkowskiego i Gwardii Ludowej niech czeka dzielnicowy, jak on się tam nazywa, chyba Kotecki. Niech tam stoi, aż przyjedziemy, i podeślijcie mu jakichś dwóch krawężników z patrolu, bo mogą się przydać. Weźmiemy ich ze sobą.

Przez chwilę zastanawiał się jeszcze nad czymś, a potem powiedział do dyżurnego:

- Połącz mnie z Kowalem, sam go zapytam, jest w pokoju u Adamskiego.

Kowal oczywiście bez zbędnych ceregieli potwierdził, że jedzie, a potem oddał słuchawkę Adamskiemu, który krótko streścił zeznanie stróża z Jowity. Fred przyjął tę informację z wyraźną ulgą, po czym przerwał połączenie i spojrzał na dyżurnego, którego potraktował przed chwilą tak bezceremonialnie:

- Przepraszam, sierżancie.

- Nic nie szkodzi, obywatelu majorze, taka praca - uśmiechnął się ze zrozumieniem oficer.

W tym momencie Fred poczuł, że ból, który ostatnio dopadł go kilka razy, znów się zbliża. Usiadł na krześle i chwycił się za pierś. W głowie usłyszał dziwne dudnienie, a w oczach mu pociemniało. Wciągnął głęboko powietrze i wszystko się nagle skończyło. Co się, do cholery, ze mną dzieje?, pomyślał.

- To pewnie serducho, panie majorze.

Spojrzał w górę. Pochylał się nad nim dyżurny, wyraźnie zaniepokojony sytuacją.

- W porządku, sierżancie, macie fajkę?

- Papierosy na to nie pomogą. Raczej mogą zaszkodzić...

Mój tata zmarł na serce.

Już miał na końcu języka jakieś przekleństwo, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. W końcu ten chłopak nie miał nic złego na myśli. „Serducho”, powiedział. Może to prawda. Coś jest ze mną nie tak, zastanowił się. Może trzeba zwolnić trochę tempo. W końcu zawał przed czterdziestką to chyba niemożliwe. Zaraz, jak on powiedział, mój tata zmarł na serce... To tak jak mój. Głupio byłoby się tak zwinąć i nie zobaczyć, jak Filip idzie do szkoły...

Przestraszył się nie na żarty. Jak to wszystko się skończy, zaraz idę do lekarza na badania. Trzeba się za siebie zabrać, zdecydował. Mam w końcu jeszcze coś do zrobienia w życiu. Nie zasadziłem jeszcze drzewa.

- Grodziska - powiedział sierżant, podsuwając mu szklanekę z wodą. - Wiele nie pomoże, ale na zaschnięte gardło najlepsza...

Rzeczywiście wyszło mu w gardle, więc z wdzięcznością uśmiechnął się do chłopaka, a potem wypił.

Godzina 10.55

Biały mercedes z kogutem Taxi zatrzymał się przy ulicy Fabrycznej, na wysokości Żupańskiego. Zza chmur ledwie przebijały się słoneczne promienie. Na szczęście nie padało. Grubiński i Brodziak, którzy wysiedli z auta, mieli do kamienicy, w której mieszkał Dutka, zaledwie pięćdziesiąt metrów. Mirek dyskretnie wyciągnął z kieszeni pistolet, który wczoraj odebrał stróżowi Gienkowi, i wcisnął go Rychowi.

- Weź to na wszelki wypadek, może się przydać.

- A ty?

- No co ty, ja mam swój zawsze przy sobie. Ten to zapasowy.

Podeszli pod bramę, której wczoraj pilnował ochroniarz Lebery. Dziś nigdzie go nie było widać. Brodziak zostawił na chwilę Rycha i pobiegł zobaczyć, co dzieje się na podwórku. Ale tam też nie było stróża. Wrócił więc do przyjaciela i razem ruszyli na górę. Po chwili byli przed właściwymi drzwiami. Tu przystanęli, nasłuchując odgłosów dobiegających z mieszkania. Wewnątrz było jedna k zupełnie cicho. Mirek podobnie jak dzień wcześniej wyciągnął z kieszeni uniwersalny klucz i cienutki pasek blaszki. Tej sztuczki nauczył się kilkanaście lat temu na własnym podwórku niedaleko Starego Rynku. Starsi o kilka lat koledzy pokazali mu, jak w łatwy sposób można sforsować każde drzwi zamknięte na zwykły patentowy zamek. Mało brakowało, a zaczęłyby te umiejętności wykorzystywać w praktyce, chodząc ze swoimi nauczycielami na robotę. Jednak paradoksalnie to Rychu Grubiński zakazał mu wtedy kręcenia się w towarzystwie młodych złodziei i pewnie w ten sposób uratował go od poprawczaka.

Gdyby wówczas zaczął szkolić się na włamywacza, dziś pewnie miałby już kilka wyroków. A tak został milicjantem, zaś rozważny Rychu, który nigdy nie miał ochoty na łamanie prawa, dziś był cinkciarzem działającym poza prawem.

Ale nabyta w młodości umiejętność otwierania zamków pozostała i Brodziak poradził sobie znów perfekcyjnie.

Drzwi ustąpiły. Obaj wyciągnęli pistolety i z odbezpieczoną bronią wkroczyli do środka. Wystarczyło im trzydzieści sekund, by przekonać się, że mieszkanie jest puste.

Weszli do kuchni i usiedli przy stole na tych samych miejscach, na których siedzieli jeszcze niedawno.

- To krzesło - wskazał głową Mirek - to krzesło, na którym siedział Lebera, leży na podłodze w tym samym miejscu, gdzie je ustawiłem. Nie podniósł go, a to znaczy, że on zaraz po naszym wyjściu wyszedł z chaty.

- No to ten gnojek nam czmychnął i teraz diabli wiedzą, gdzie go szukać. Ale powiem ci, Miruś, że nie ma takiego miejsca w Poznaniu, gdzie ta gnida mogłaby się przede mną ukryć.

Nagle od drzwi wychodzących na schody usłyszeli jakiś podejrzanym szmer. Obaj spojrzeli po sobie. Brodziak błyskawicznie schował się za kuchennymi drzwiami. Rychu chciał pójść za nim, ale zdążył tylko podnieść się z miejsca. Gdy był mniej więcej na środku kuchni, do pomieszczenia wpadło dwóch ludzi. Zatrzymali się naprzeciw Rycha z pistoletami wymierzonymi prosto w jego pierś.

W tym momencie zza drzwi wyskoczył Brodziak i stanął jak wryty. Pierwszy zaczął się śmiać Kowal. Po chwili śmiała się już cała czwórka.

Dzielnicowy Kotecki, który dopiero teraz wszedł zziębnięty na górę, przez chwilę nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Dopiero gdy zobaczył roześmianego Brodziaka, którego znał, zrozumiał, że mało nie doszło tu do strzelaniny między milicjantami. Nie bardzo mógł tylko zrozumieć, co w tym towarzystwie robi ten cinkciarz Grubiński, i to w dodatku z pistoletem w ręce.

- No to chyba musimy wreszcie pogadać - powiedział Fred, chowając pistolet. - Sierżancie Kotecki, zamknijcie drzwi i pilnujcie. Jakby ktoś tu chciał wejść, to wpuszczać do środka i meldować. A wy, ofiary losu - tu spojrzął na Rycha i Mirka - chodźcie. Jest tu chyba jakiś pokój, w którym można usiąść.

Przeszli w czwórkę do pokoju za ścianą.

- No tośmy się ale spotkali - przerwał ciszę Brodziak, który teraz, stojąc przed swoim szefem,

poczuł się trochę głupio. Przez ostatnich parę dni nieźle narozrabiał. Gdyby jego dowódcą był kto inny, pewnie byłby już wylany z roboty na zbity pysk. Na szczęście Marcinkowski nie myślał nigdy o wyrzuceniu go z pracy.

- Mówcie, co udało wam się ustalić - zaczął Fred - bo chyba nieprzypadkowo jesteśmy tu dzisiaj wszyscy.

- No właśnie - próbował wytłumaczyć Mirek - udało nam się ustalić, że pomysłodawcą tego morderstwa w pociągu był ten Rajmund Dutka, czyli niejaki Lebera. Ale to ustaliliśmy dopiero przed godziną. Miałem nadzieję, że dostarczymy ci go na tacy. Teraz trzeba będzie go poszukać, ale myślę, że to tylko kwestia czasu. Pod ziemią się nie ukryje.

- My znaleźliśmy świadka, który widział, jak w pociągu berlińskim dwaj kolejarze wchodzą razem do kibla - powiedział Fred. - Mamy portret pamięciowy tego większego. Myśleliśmy, że to będzie Korbol, ale okazało się, że to nie on. Rozpoznał go Grzechu.

- Znam go, bo to jest dobry znajomy Teofila Olkiewicza. Kiedyś nawet razem jakąś wódkę wypiliśmy - wyjaśnił Kowal.

- Cholera, gdybyśmy wpadli na to wcześniej, już byśmy go mieli pod kluczem. Wczoraj z nim tu gadaliśmy, a dzisiaj nie ma po nim śladu - zmartwił się całkiem autentycznie Mirek. Było mu głupio, że przegapił coś ważnego, coś, co mogło wcześniej zamknąć sprawę. Gdyby wtedy w knajpie dłużej pogadali z Zuzą...

- Nie ma śladu? - odezwał się wreszcie Rychu, który podczas tej nietypowej narady nie wypowiedział jeszcze ani słowa. Chwycił leżącą przed nim na stole „Gazetę Poznańską” i podsunął ją siedzącemu naprzeciw Fredowi. - Tutaj - wskazał palcem na notatkę, którą ktoś sporządził na białym marginesie strony.

- K 23 30 01 34 - przeczytał na głos Fred. - Diabli wiedzą, co to jest.

- Może to numery totolotka, a może ślad, który nam jest potrzebny - to mówiąc, Rychu wziął do ręki niewielki zeszyt, który leżał dotąd obok gazety na stole. - „Kieszonkowy rozkład jazdy PKP ze stacji Poznań Główny” - odczytał. - Wystarczy tylko sprawdzić, dokąd jadą z Poznania pociągi o dwudziestej trzeciej trzydzieści i trzydzieści cztery po pierwszej. Ale założę się, że K to nic innego jak Katowice.

- O ja pierdzielę! - zaklął Marcinkowski. - Facet pojechał do Katowic, bo tam jest ktoś, kto go może zidentyfikować.

Katowice, godzina 11.20

Szeregowy Mariusz Blaszkowski usiadł na przednim siedzeniu fiata 125p i zatrzasnął drzwi.

- Jeszcze roz piźnij - powiedział do niego sierżant Szołtysik.

- Co? - nie zrozumiał Blaszkowski.

- Nó przeca godom, chyc się, pieronie, za te dźwi i jeszcze roz zawrzij, bo sóm luźne i sie niy dowiyrajóm - wyjaśnił cierpliwie sierżant.

- Aha - zrozumiał wreszcie szeregowy. Złapał ponownie za plastikowy uchwyt i pociągnął z całej siły. Tym razem zamek zaskoczył.

- Nó widzisz, synek - uśmiechnął się szeroko sierżant kierowca. - To niy je auto z efu, ino nasz fiat. Tu trza mieć gowa i umieć kole tego chodzić. W tych niemieckich autach wszystko zawiyro się same, nawet okna. Bez to ci w tych Niymcach niy poradzóm se dać rady z normalnym popsutym autym. A u nos widzisz, nic niy działo i każdy kierowca to je mechanik.

- Mój tata zawsze wozi kij od miotły w swoim maluchu.

Jakby mu się linka rozrusznika zepsuła, to kijem zapali.

- Toż godom! - zaśmiał się znowu Szołtysik. - Widać z tego, że twój fater mo gowa niy do parady

Jo tyż móm w swoim tako szczotka. Nó i w bagażniku jeszcze woża rozmaite dinky do naprawianie
A kaj twój łociet robi?

- W milicji - wyjaśnił Blaszkowski.

Kierowca przekręcił klucz w stacyjce, silnik od razu zaskoczył, jednak po trzech sekundach zgasł.

- O ciulu, zimny pieron - zaklął sierżant i spróbował jeszcze raz. Znow bez rezultatu. - Tu kajś?

W Zagłymbiu robi? - raczej stwierdził, niż zapytał, od razu wyczuwając po sposobie wypowiedzania się Blaszkowskiego, że ten musi być zza Brynicy.

- Nie, nie w żadnym Zagłębiu. Ja jestem z Piły.

- Jerunie, chopie, jo zech był w Pile pora lot tymu na podoficerskiyj szkole! W takich dupnych koszarach, co zarozki sóm przy kolei. A w cyntrum, na Świerczewskiyo, jest tako restauracjo Stylowo, to my tam łazili na dansingi i za miyjscowe dziolchy sie brali.

- No wiem, jest tam Stylowa, ale teraz to już tam dansingów nie ma, a szkołę milicyjną to ja dobrze znam. Mój tata był tam szefem kompanii, zanim poszedł do roboty na komendę wojewódzką - wyjaśnił Mariusz.

Szołtysik spróbował jeszcze raz uruchomić samochód, ale silnik definitywnie odmówił współpracy. Akumulator tylko jęknął kilka razy i ucichł.

- Do rzyci z tym pierónskim szajsym! - zaklął znowu sierżant i z całej siły rąbnął wielką łapą w kierownicę. Muszemy se jakoś radzić, niy? Wylazuj młody i weź go pociś ze zadku, to się może rozruszo.

Blaszkowski, chcąc nie chcąc, wyszedł z samochodu, podszedł do tyłu i oparł się o pokrywę bagażnika.

- Dej pozór synek - zawołał przez uchylone okno kierowca. - Bier i ciś!

Mariusz natarł na auto z całej siły. Fiat powoli zaczął się wytaczać z miejsca parkingowego, a potem nabrał nieco prędkości dzięki niewielkiej pochyłości podjazdu.

Po jakichś dziesięciu metrach sierżant wrzucił dwójkę i o dziwo silnik zaskoczył. Szołtysik natychmiast przegazował go niemal do granic możliwości, potem zatrzymał samochód i wyjrzał w stronę nadbiegającego szeregowego.

- Wskakuj! - zawołał.

Nie ma co, ładnie się zaczyna moja samodzielna akcja, pomyślał szeregowy Blaszkowski i usiadł na miejscu z przodu. Tym razem nie zapomniał trzasnąć porządnie drzwiami.

- Nó to kaj jadymy, synek? - zapytał sierżant, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Bo ja wiem? - odpowiedział Mariusz, wzruszając ramionami. - Mieliśmy jechać za jednym facetem, ale on już dawno poszedł. Jeszcze przed chwilą szedł tam, koło tej bramy z tym kioskiem - mówiąc to, wskazał na oszkloną budkę wartowniczą z szlabanem. - Ale teraz to już go nie widzę.

- Spokojnie, synek, zy mnóm jedziesz. Niy pitnie nóm.

Patrz ino na droga, a zarozki go dostanymy.

Niewiele brakowało, a za tym kolejarzem musiałby iść pieszo. Może to było by i najlepsze rozwiązanie, pomyślał Mariusz. Na pewno by mu nie zginął. Ale ten cholerny samochód zabrał im cenne minuty. Wszystko przez tego pieprzonego dyżurnego, który nie chciał nawet słyszeć, żeby przydzielić jakiemuś smarkaczowi z Poznania samochód, i do tego jeszcze z kierowcą. Blaszkowski

pomyślał bowiem, że po przesłuchaniu Kłuta, który z pewnością miał coś na sumieniu, nie będzie się spodziewał szybkiego zainteresowania milicj i swoją osobą. Postanowił więc zadziałać psychologicznie. Nie ciągnął przesłuchania w komendzie, ale pozwolił Kłucie odejść. Sam chciał zabrać samochód z komendy i pojechać do Siemianowic, gdzie, jak wynikało z danych, mieszkał Kłuta, by poczekać na faceta, aż ten podejdzie spokojnie pod swój blok. Wtedy zamierzał podejść do niego zniemacka, powiedzieć, że sobie coś przypomniał i wprosić się do mieszkania kolejarza. Plan wydawał się Mariuszowi prawdziwym majstersztykiem.

Tyle że chciał koniecznie być na miejscu przed Kłutą, a teraz nie bardzo wiedział, czy mu się to uda, bo ten zniknął, zaś ich milicyjne auto dopiero ruszało. Mariusz chciał się upewnić, że kolejarz jedzie do Siemianowic. Gdyby się okazało, że skierował się gdzie indziej, samochodem milicyjnym mógłby go pośledzić i może na coś wpaść...

Teraz jego misterny plan powoli walił się z powodu auta.

Całe szczęście, że w ogóle jest ten samochód, myślał dalej Mariusz. Gdyby akurat w chwili, kiedy dyżurny skłął go i kazał iść do diabła, nie pojawili się na komendzie radośni i uśmiechnięci Olkiewicz i Pytlok, nic by się nie udało zrobić. Obaj oficerowie wstawili się za nim i potwierdzili, że to z ich rozkazu młody ma jechać na miasto, choć żaden z nich mu takiego polecenia nie wydawał.

Mariusz wyjaśnił swój plan, na co Pytlok tylko machnął ręką i powiedział, że może robić, co chce, bo oni z Teofilem mają jeszcze dużo roboty i nie musi się tu plątać, tylko zająć się tą swoją robótką. Wtedy dyżurny uległ, dał zgodę na auto z kierowcą i teraz oto szeregowy Blaszkowski rozpoczynał akcję inwigilacyjną bez inwigilowanego obiektu, który nie zaczekał, aż milicjanci odpalą auto na pych.

Poznań, godzina 11.40

- Całe szczęście, że Teofil jest w Katowicach. Przecież Teoś zna tego, no jak mu tam? - Fred Marcinkowski zapomniał nazwiska mężczyzny, który według ich ustaleń był mordercą z pociągu, dlatego obejrzał się za siebie. Na tylnym siedzeniu siedział rozwalony w niedbalej pozie porucznik Brodziak.

- Dutka, Rajmund Dutka, zwany na mieście Lebera przypomniał nazwisko szefowi.

- No właśnie, Dutka - podchwycił Marcinkowski, odwracając się znów od Brodziaka. Wyjechali właśnie z brukowanej Towarowej na szeroką, czteropasmową Dworcową, pozostawiając za sobą dworzec autobusowy, a za nim Wildę. Prowadzący nyskę Grzechu Kowal włączył na chwilę koguta, by przedostać się na przeciwległy pas ruchu.

- Trzeba z fasonem przejechać do dworca, nie? - spojrzał zadowolony z siebie na majora. Marcinkowski nic nie odpowiedział, tylko z aprobatą skinął głową.

- Skąd ta wiara ma kartki na benzynę? Wszyscy jeżdżą o tej porze, zamiast siedzieć w robocie. Co za naród? - dziwił się kierowca.

- A ty skąd masz do swojego malucha? Nie mów mi, że te kartkowe dwadzieścia litrów starcza ci na miesiąc zagadnął go Mirek.

- No, kombinuje się trochę...

- Kombinujesz jak wszyscy, to się nie dziw, że wiara obrotna jest - zaśmiał się Brodziak. Dobrze wiedział, że Kowal zaopatrywał się w nigdy niewysychającej milicyjnej stacji benzynowej. Koledzy obsługujący pion transportowy zawsze gotowi byli wypisać dodatkowy kwit paliwowy na służbowe auto. Tam brał benzynę Kowal i wielu innych, w tym również Marcinkowski.

Brodziak zaś nie miał samochodu. Co prawda w zeszłym roku za sprawę „Łowcy Główny” dostał od komendanta wojewódzkiego talon na nową ładę. Nawet przez chwilę zastanawiał się, skąd wziąć pieniądze na kupno auta, bo oszczędności nie miał ani grosza. Gruby Rychu od razu ofiarował się, że mu pożyczy, ale w końcu Brodziak doszedł do wniosku, że najkorzystniej będzie opchnąć talon. Rychu natychmiast znalazł mu kupca, który za bon oferował równowartość ceny samochodu z Polmozbytu.

Mirek pozbył się kłopotu bez żalu, a na pytanie Marcinkowskiego, co z autem, odpowiedział, że nie bardzo lubi jeździć po pijaku.

- Teraz tylko musimy skontaktować się z Olkiewiczem.

Niech się wykaże i może uda mu się jakoś tego pieprzonego Dutkę tam namierzyć, zanim puścimy na kraj list gończy - ciągnął Marcinkowski. - Zresztą mam nadzieję, że w Katowicach udało mu się już coś ustalić.

- Tak mi się widzi - powiedział Brodziak, spoglądając przez boczną szybę na wieżę targową - że śledztwo jest w Katowicach tylko dodatkowym zajęciem Teosia.

- Ha, ha - zaśmiał się Kowal. - Jak nic zważał się z jakimś szkiełem i razem kontrolują miejscowe knajpy.

- Tacy jesteście pewni? - nie dawał za wygraną major.

- A co, pierwszy dzień go znasz? - zaśmiał się Brodziak. - Prędkość wzajemnego odnajdywania się pijaków jest odwrotnie proporcjonalna do odległości między nimi.

- To mi wyjaśnia, dlaczego żeście się tak szybko zaprzyjaźnili - zadrwił Fred.

Brodziak już miał ripostę na końcu języka, ale się powstrzymał. Kolega nie kolega, ale jednak to szef, zresztą po tej mojej ucieczce z więźniem nie ma co się niepotrzebnie wychylać, pomyślał, gdy ich nyska zjechała z Dąbrowskiego na Kochanowskiego, gdzie mieściła się Komenda Wojewódzka. Kowal zaparkował samochód przed schodami prowadzącymi do głównego wejścia. Obaj oficerowie weszli do środka, Kowal pojechał do garażu odstawić samochód. Na komendę przyjechali w trójkę, bo Rychu postanowił doglądać swych interesów na Starym Rynku i wysiadł na Kaponierze. Nie był im już do niczego potrzebny, sprawa właściwie się wyjaśniła. Brodziak poprosił go tylko, żeby jutro wpadł do niego do biura w południe spisać zeznania i w ten sposób zakończyć oficjalnie sprawę jego zatrzymania.

- Obywatelu majorze! - zawołał sierżant Fronckowiak, który siedział na dyżurze. - Jest do was pilna informacja z komendy Nowe Miasto od porucznika Rybarczyka.

- Nie mam teraz czasu - machnął ręką Fred i chciał pobiec na górę, by jak najszybciej połączyć się z Katowicami. Rybarczyka wysłał rano, żeby przesłuchał jeszcze raz kolejarza Zbigniewa Gospodarka, tego, który jechał Beroliną w Dzień Kobiet i jak sam twierdził, był kompletnie pijany, niczego nie widział i niczego nie słyszał.

Dlatego major chciał, żeby porucznik ponownie go przemaglował.

- Ale to jest o zamordowaniu jakiegoś kolejarza - nie dał za wygraną Fronckowiak, wychylając się niebezpiecznie z okienka.

Marcinkowski i Brodziak zatrzymali się jak na komendę i natychmiast wrócili do dyżurki. Fred wziął do ręki kartkę. Szybko przebiegł oczyma krótki tekst i zaraz oddał pismo Mirkowi.

- Kurde, Fred, kto to jest ten Gospodarek Zbigniew? - Nic nie rozumiał Brodziak. Z raportu wynikało, że w mieszkaniu przy Libelta 32 znaleziono dziś rano zwłoki uduszonego mężczyzny. Niejakiego Gospodarka właśnie, z zawodu kolejarza.

- To jest drugi konduktor z berlińskiego składu, jeździł pociągiem w parze z tym facetem, któremu Lebera odciął łapę.

- O kurwa mać! - zaklął Brodziak. - To znaczy, że ten gnój usunął wszystkich, którzy mogli go widzieć w akcji.

- Nie wszystkich - pokręcił głową Fred. - Został mu jeszcze jeden kolejarz z Katowic.

Rozdział X

Katowice, godzina 12.05

- No to żeśmy coś w końcu ustalili - Olkiewicz spojrzał na Pytloka. Ten siedział przy swoim biurku i przeglądał akta sprawy zamordowanego kolejjarza. Od kilkunastu minut nic nie mówił, co Olkiewicza zaczęło trochę irytować.

Dzień zaczął się całkiem nieźle. Wypili po kilka piw u tego chorego milicjanta, później wstąpili jeszcze na kielonka do Fregaty. Co prawda o tej porze nie podawano jeszcze wódki, bo wolno było dopiero od trzynastej, ale od czego znajomości? Pytlok zawołał znajomego kelnera i kazał sobie podać dwie duże oranżady. Okazało się, że patent, który już na początku stanu wojennego wymyślił Olkiewicz, by w niebudzących podejrzeń butelkach podawać mu wódkę zabarwioną oranżadą, doskonale sprawdzał się i tu. Wypili zatem po butelce takiej wzmocnionej oranżady i pojechali na komendę, bo Pytlok się uparł, że musi jeszcze coś posprawdzać. I teraz porucznik przewracał kartki, zapomniawszy o bożym świecie, a co gorsza także o Teofilu.

W końcu Pytlok podniósł głowę znad teczek z aktami i spojrzał na Olkiewicza:

- Tyn twój karlus miał recht.

- Że co? - zdziwił się Olkiewicz.

- Że tyn kolejorz coś tam krynci.

- Ee tam, co on tam wie - machnął niecierpliwie ręką Teofil.

- To je mundry chop, godom ci, Tyjo. Wpod na to i terazki pojechoł za tym Klutom, coby go jeszcze prziskrzynić trocha. Bo mie sie zdo, że to było tak. Ftoś zabił tego kolejorza, bo chcioł przejónć interes, kiery łoni łoba robili, przemyt sprzyntu widyjo do Polski. Zabił go i drugigo chcioł nastraszyć. I to mu sie udało. I to tyż znod tyn mój kamrat, u kierego my byli na Tałzynie.

- Na jakim tałzenie? - nie zrozumiał Teofil. Pytlok ciągnął dalej:

- Bercik Trulka, co miał ta sprawa, tyż do tego doszeł i chcioł wlyźć do tego gyszeftu. A Tałzyn to je osiedle Tysiąclecia, tak się goda, tałzyn.

- A ty skąd to wiesz? - Olkiewicz nadal nie mógł zrozumieć, co Pytlok mu opowiada. Gada i gada o jakichś pierdołach, zamiast zabrać się za porządną robotę we Fregacie.

- Niy widzioeś tego? Jak my przyszli do jego miyszkanio, to Bercik zarozki zawar dźwi do tyj małyj izby. Ale jo zech zoboczył, że tam stojom skrzynki łod sprzyntu elektronicznego. Było ich pora. No i miał nowy telewizor na pilota i magnetowid jeszcze.

- Mógł se kupić - próbował zbić go z tropu Teofil.

- Niy wierza w bojki, Tyjo. Milicjant, co ma tela forsy, co by se kupić pora telewizorów? Bercik gupi niy je. Poczul interes i sie wkryncił. I to jest wszystko piykanie, ino że dalij niy wiymy, fto zabił tego kolejorza, bo eli by to był Bercik, to jo w to niy wierza.

W tym momencie szary plastikowy telefon stojący na biurku Pytloka ożył. Nie zadzwonił, ale zaczął mrugać czerwoną lampką zainstalowaną tuż obok okrągłej tarczy.

- Ja, Pytlok - powiedział porucznik do słuchawki. Zaraz uniósł brwi, a potem spojrzął na Teofila:

- Do ciebie z Poznania dzwonióm.

Tego mi jeszcze brakowało, pomyślał Olkiewicz, pewny, że to Marcinkowski chce sprawdzić, jak idzie mu śledztwo.

Stał w miejscu i tyle, bo to, co mówił mu przed chwilą Pytlok, niby miało sens, ale w żaden sposób nie przybliżało go do znalezienia mordercy. Niechętnie podszedł do telefonu.

Wziął do ręki słuchawkę i okazało się, że miał rację. Po drugiej stronie rzeczywiście odezwał się Marcinkowski.

Ale jego słowa sprawiły, że Teofil najpierw zbladł, a później zrobił się czerwony z wściekłości.

- Kurwa, ten pierdolony jebaniec tak mnie wystawił! - Zdenerwowany nie mógł złapać powietrza. - I teraz se tak tu przyjechał do Katowic? Może chce mnie znaleźć? Sam przestraszył się swojego pytania, bo wyobraził sobie przez moment, jak ten wielki Rajmund Lebera odrąbuje mu rękę. - Tyle że akurat ten drugi kolejarz, co żyje, to pojechał do domu, a za nim my wysłali Blaszkowskiego, żeby się trochę rozejrzał.

Chwilę milczał, słuchając poleceń swojego szefa, i odpowiedział wyraźnie uspokojony:

- Rozumiem, zaraz tam jedziemy. - Podał słuchawkę Pytlokowi i opadł z powrotem na fotel.

- Nó godej chopie, co jest - natarł na niego porucznik.

- Wiedzą już, kto jest mordercą kolejarza z Poznania i gadają, że to ten sam, co w Katowicach zabił. Może i ten sam... - dumiał Teofil.

- Nó to sie samo rozumi - niecierpliwił się Pytlok.

- No i Fred Marcinkowski, znaczy się mój major, powiedział, że ten Lebera, znaczy się Dutka Rajmund, pojechał w dużym prawdopodobieństwie do Katowic. I jak powiedział, że on może chcieć zlikwidować świadka w Katowicach, to se pomyślał, że mnie. Ale major, znaczy się Fred, mi powiedział, że to pewnie chodzi o drugiego kolejarza z wiedeńskiego pociągu. Bo dziś, znaczy się wczoraj, ktoś zastrzelił w Poznaniu drugiego konduktora z pociągu do Berlina, tego, co jeździł z tym bez ręki...

- O kurwa! - jęknął Pytlok.

- Święta prawda. Tak samo se pomyślałem, jak on mi powiedział, że o świadka idzie, bo ja tego Leberę dobrze znam - ciągnął Olkiewicz. - Więc se od razu pomyślałem, że to o mnie mu idzie, bo ja nawet z nim gadałem jakiś czas temu...

Pytlok chwycił mocno za ramię Olkiewicza i potrząsnął nim, jakby go chciał przywrócić do rzeczywistości:

- Tejo, łobudź sie! Jo godom, kurwa mać, chopie, bo u tego kolejarza to terazki tyn twój karlus siedzi...

- O kurwa - krzyknął Olkiewicz i zerwał się na równe nogi. - E, a może pomylił drogę i nie dojechał?

Godzina 12.15

Boże, czy tak głupio ma wyglądać moja śmierć?, pomyślał Marian Kłuta, spoglądając na odbicie swojej twarzy w drzwiach od szafy na wysoki połysk z meblościanki stojącej w jego dużym pokoju. Leżał na podłodze z rękami i nogami związanymi jego własnym sznurem do prania, a na domiar złego w usta miał wepchniętą paskudną szmatę do podłogi, która w czasach swojej świetności była gaciami jego żony. Był tak skrępowany, że nie mógł się ruszyć. Zresztą wołał udawać

nieprzytomnego, bo w dalszym ciągu nie był pewny, jakie zamiary ma napastnik. Być może chciał go tylko przestraszyć. Tak mówił mu ten pierdolony Trulka. Na pewno chciał cię tylko przestraszyć - zapewniał go milicjant.

Zaraz po wyjściu z komendy milicji Kłuta pobiegł na pocztę do aparatu telefonicznego. Co prawda po drodze w urzędzie wojewódzkim czy w Komitecie partii miał publiczne telefony, ale były to automaty wiszące na ścianach, więc każdy mógłby podsłuchać, o czym mówi. Przebiegł szybko przez plac wzdłuż ogromnego budynku dawnego Sejmu Śląskiego, w którym mieścił się teraz urząd wojewódzki, i drugiego, nowego, siedziby Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Pognał w stronę Plebiscytowej. Dojście na Pocztową nie zajęło mu nawet dziesięciu minut.

Wpadł do urzędu i stanął w kolejce do kabin. Przed nim była tylko jedna kobieta, ale nim się nagadała, minęło prawie piętnaście minut. Wreszcie wyszła, odprowadzana nienawistnym spojrzeniem Kłuty. Wszedł do środka, odnalazł w notesie dane Trulki, wrzucił żeton do szpary w automacie i wykręcił numer. Już myślał, że nikt nie odbierze, bo sygnał przedłużał się w nieskończoność.

Gdy wściekły chciał odwiesić słuchawkę, by spróbować jeszcze raz, przecież mógł się pomylić przy wybieraniu cyfr, po drugiej stronie odezwał się bełkotliwy głos Trulki.

- Mówi Kłuta - rzucił, nie zwracając uwagi na to, że jego rozmówca jest zalany w trupa. - Widziałem dzisiaj na dworcu tego faceta, co mi składał propozycję i mówił, że są dla mnie ręce do pracy.

- Ale o co chodzi? - zdziwił się nic nierozumiejący Trulka.

Dopiero po kilku minutach Kłucie udało się wyjaśnić wszystko milicjantowi. Ten w końcu zaczął sprawiać wrażenie, jakby już doszedł do siebie, i starannie artykułując każdy wypowiedziany przez siebie wyraz, kazał mu iść do domu i czekać. A on postara się jak najszybciej przyjechać.

Trochę uspokojony Kłuta poszedł na przystanek tramwajowy naprzeciw głównego dworca. Stamtąd odchodził tramwaj nr 13, którym mógł dojechać na pętlę Alfreda; później wystarczyło przejść tylko kawałek przez Lasek Bytkowski, by znaleźć się na osiedlu. Pokonanie drogi do domu zajęło mu zaledwie pół godziny. Kłuta mieszkał w ogromnym bloku nazywanym przez miejscowych hotelowcem, gdyż był to rodzaj hotelu robotniczego o podwyższonym standardzie. W latach siedemdziesiątych przydziały dostawały tu robotnicze rodziny z dziećmi. Lokale w tym bloku były namiastką normalnych mieszkań, bo składały się z jednego pokoju, ślepej kuchni i łazienki.

Można było wprowadzać się z meblami i mieć poczucie, że się mieszka w normalnych warunkach. Kłuta dostał tu przydział w osiemdziesiątym pierwszym roku i od razu przedzielił pokój ścianką z płyty pilśniowej na dwa mniejsze. W ten sposób mały pokoik miał syn, a duży był dla niego i żony. Teraz Kłuta leżał związany w swoim dużym pokoju i nie wiedział, gdzie jest ten, co go związał.

- No i znów się spotykamy - usłyszał nagle nad sobą głos. Nie odpowiedział, udając w dalszym ciągu nieprzytomnego. W końcu po ciosie, który przyjął w drzwiach, mógł być nadal nieprzytomny. Po powrocie zaledwie zdążył się rozebrać z płaszcza i butów, gdy usłyszał dzwonek.

Natychmiast otworzył, w pełni przekonany, że to Trulka dojechał na umówione spotkanie. Z Tysiąclecia miał na Bytków zaledwie kawałek, swoją syrenką mógł być tu w niecałe dwadzieścia minut. Jednak w drzwiach zamiast Trulki zobaczył najpierw wielkiego faceta, a później jego wielką pięść. Potem już nic nie widział.

- Chciałem ci przedstawić pewną propozycję, tą, o której już ześmy wcześniej gadali, no ale

niestety nie mogę.

Gdybyś wtedy ją przyjął, dzisiaj by mnie tutaj nie było.

Ale teraz sytuacja się zmieniła i że tak powiem moja propozycja się zdezaktualizowała.

Kłuta liczył naiwnie, że dopóki się nie rusza, nic mu się nie stanie. No przecież nie można, myślał, zrobić krzywdy leżącemu. Usłyszał, że facet odchodzi. Zastanawiał się, gdzie mógł pójść. Po chwili doszedł go charakterystyczny odgłos otwieranych kuchennych szuflad. Najwyraźniej czegoś w nich szukał. Potem w kuchni rozległ się zgrzytliwy dźwięk ostrzenia noża na osełce. Kłuta przeraził się śmiertelnie. Rozpaczliwie zastanawiał się nad ratunkiem.

Nie mógł się ruszać, więc o ucieczce nie było mowy. Krzyczeć też nie mógł, bo miał gębę zapchaną gaciami. Więc zaczął wyć na tyle, na ile pozwalał mu knebel. I wtedy okazało się, że można to robić całkiem głośno.

Godzina 12.20

Milicyjna nyska minęła budynki Poltelu, przejechała skrzyżowanie z ulicą Telewizyjną, przy której wznosiła się majestatyczna wieża telewizyjna katowickiego Ośrodka Telewizji i wjechała na Bytków, dzielnicę Siemianowic Śląskich, w której mieszkał Kłuta. Po prawej i lewej stronie ulicy ciągnęły się blokowiska. Kierowca nyski zawczasu uprzedził obu oficerów, że nie zna siemianowickich ulic, trzeba było zapytać o drogę miejscowych. Nyska wjechała w zatokę z przystankiem autobusowym. Jak na złość autobus musiał niedawno odjechać, bo na miejscu nie było nikogo. Na szczęście w ich kierunku zmierzał chodnikiem jakiś mężczyzna. Olkiewicz, który siedział z przodu, natychmiast chwycił za korbkę u drzwi i spuścił szybę.

- Panie, panie, chodź pan ino tu! - zawołał, wychylając się z szoferki.

- Ja? - odpowiedział niechętnie przechodzień w szarym palcie i w czarnym berecie.

- Gdzie tu będzie ulica... - Olkiewicz obejrzał się za siebie. Tuż za nim porucznik Pytlok grzebał w swoim notesie.

- Jako ulica? - spytał facet w berecie.

- Cicho, do cholery, zaraz sprawdzą - zdenerwował się Teofil.

- Co to, szukacie drogi i niy wiyecie jakij? - zdziwił się przechodzień.

- Masz tę ulicę? - spytał Olkiewicz Pytloka.

- Chwila, miołech jóm tukej, ale mi sie kajś straciła.

- Gdzie mieszkacie, obywatelu? - spytał faceta Olkiewicz, uśmiechając się przy tym przyjacielsko.

- Jo na Bytkowie.

- To znaczy, że znacie wszystkie tutejsze osiedla i ulice.

- A co bych miał niy znać. Piętnoście lot już zech tu je.

- Masz ten adres czy nie? - Teofil warknął do Pytloka, który szukał dalej w notatniku. Jednak w tej chwili wstrzymał wertowanie i wygładził kartki ręką.

- Korfantego! - krzyknął zadowolony z siebie.

- Korfantego - powtórzył Olkiewicz temu w berecie.

- A, Korfantego - powtórzył facet i zaczął się rozglądać. To bydzie tak: w lewo, niy, w prawo, a potym na wynglorke, aż bydzie trza, zaś recht i durch...

- Jaką węglarkę, do cholery? - zdenerwował się Teofil. - Wsiadaj, chłopie, i pokazuj nam drogę, bo nie ma czasu.

- Ale jo niy móm czasu, musza iść do dóm...

W tym momencie Pytlok otworzył boczne drzwi nyski i wyszedł z wozu. Złapał mężczyznę za kołnierz i pchnął w stronę samochodu:

- Niy byda ci, pierunie, tłumaczył. Siednij se na rziyci i pokazuj, kaj mómy jechać.

Zatrzymany nie stawiał oporu. Grzecznie przycupnął za kierowcą i wskazał kierunek:

- Terozki to bydzie w lewo, a potym na wynglorke.

Godzina 12.25

Szeregowy Blaszkowski wcisnął przycisk przywołujący windę. Na klatce było ponuro, brudno i śmierdziało mieszaniną zgnilizny, moczu i chloru od zsypu na śmieci. Po chwili kabina zjechała na parter. Otworzył drzwi i wszedł do środka, a potem wybrał szóste piętro. Winda z łoskotem ruszyła. Nim dotarła na górę, zdążył przeczytać na umykających drzwiach poszczególnych pięter, że należy „jechać gołe baby”, że „Legia to kurwa”, a „Ruch pany” i że „Jaruzelski ma przejebane jak w czołgu”. Pomyślał, że nie było w tym nic oryginalnego, bo jego klatka schodowa w wieżowcu w Pile przyozdobiona była podobnymi złotymi myślami, z tym że miejsce Ruchu zajmował Lech.

Gołe baby i Jaruzelski cieszyli się i tu, i tam podobną sympatią.

Wyszedł z windy i ruszył wzdłuż długiego korytarza.

Drzwi należące do Kłuty były trzecie po lewej stronie. Najpierw chciał zapukać, ale zaraz zganił się w duchu za tę pochopną decyzję. Postanowił wzorem doświadczonego oficera sprawdzić, co dzieje się w środku. Przyłożył ucho do drzwi i przez chwilę nasłuchiwał. Nagle odskoczył od nich jak oparzony.

Co jest, kurde? Odgłosy dochodzące ze środka najwyraźniej go zdziwiły i nieco przestraszyły: ktoś jęczał, a można by nawet powiedzieć skomlał jak pies, ale to nie było zwierzę. Nie, nie mógł się pomylić. Tak mógł jęczeć tylko człowiek, i to człowiek śmiertelnie przestraszony.

Blaszkowski szybko wymacał kaburę z pistoletem. Właściwie tego pistoletu nie powinien mieć. Broni służbowej z przydziału jeszcze nie miał. Kaburę z tetetką dał mu Marcinkowski przed wyjazdem chyba tylko po to, żeby poczuł się dowartościowany. A on strasznie się przejął tym niespodziewanym prezentem.

Szybko odbezpieczył broń i lewą ręką sięgnął do klamki. Drzwi nie ustąpiły. Przez chwilę nie wiedział, co robić.

Pomyślał, że może bezpieczniej byłoby pójść szybko po sierżanta Szoltysika, który w samochodzie czytał „Trybunę Robotniczą”. Gdy Blaszkowski szedł na górę, Szoltysik zapytał go, czy nie potrzebuje pomocy, ale Mariusz powiedział mu, że spokojnie może zostać, bo on sobie da radę. A teraz zaczynał wątpić we własne siły. Nagle usłyszał ze środka jakiś przeraźliwy jęk. Zdecydował się błyskawicznie. Podszedł pod przeciwległą ścianę i z rozbiegu natarł na drzwi całym ciężarem ciała. Szaropopielata płyta zrobiona z cienkiej dykty rozleciała się, a szeregowy Blaszkowski wpadł z impetem do przedpokoju.

I wtedy Marian Kłuta po raz drugi tego dnia ucieszył się na widok milicjanta.

Blaszkowski, wparowując do mieszkania, upadł na podłogę. Zerwał się błyskawicznie i spojrzał w głąb mieszkania.

Na środku pokoju po prawej stronie leżał związany sznurem do bielizny kolejarz Kłuta. Mężczyzna patrzył na niego oczami, w których malowało się przerażenie. Blaszkowski, ciągle patrząc na leżącego Klutę, postąpił krok naprzód.

Widząc to, kolejarz zaczął znowu zawodzić, jakby się przestraszył milicjanta. Mariusz zdziwił się, że ten tak reaguje na niego, i zrobił jeszcze jeden krok w głąb mieszkania.

Kłuta zawył jak opętany, bo nagle nie wiadomo skąd pojawił się wielki gruby facet z obandażowaną ręką. Ze zwinnością, o jaką trudno byłoby go posądzić, skoczył na Blaszkowskiego, chwytając jego dłoń z pistoletem, i przygniótł go całym ciężarem ciała do ścianki dzielącej dwa pokoje.

Ściana zachwiała się, a potem runęła. Obaj szamoczący się mężczyźni wpadli do drugiego pomieszczenia. Kłuta leżący na podłodze miotał się i skowyczał, na ile tylko pozwalał mu szmaciany knebel w ustach. Niewiele jednak mogło to pomóc Blaszkowskiemu. Napastnik usiadł na nim i zaczął go okładać pięścią po twarzy. Dwa ciosy wystarczyły, by młody milicjant stracił poczucie rzeczywistości.

- Kurwa, panie Kłuta, co za haja, bo do administracji pójde - powiedział ktoś od drzwi.

Kłuta, który przez chwilę był cicho, teraz znowu zaczął głośno jęczeć. Zaciekawiony sąsiad z naprzeciwka wszedł do mieszkania i stanął w korytarzyku. Nim pan Alojz, emeryt z huty Jedność, zdążył się zorientować, co się dzieje, olbrzymia pięść pozbawiła go przytomności.

Przewracając się, wpadł na drzwi od łazienki i po nich zjechał na podłogę.

Rajmund Lebera rozejrzał się wokół siebie. Ogarnął spojrzeniem pobojuwisko, a potem podniósł z podłogi należący do Blaszkowskiego pistolet. Sprawdził, czy jest odbezpieczony, i wycelował broń w stronę Kłuty.

- No to, panie ładny, koniec pieśni - powiedział, mierząc w kolejarza. Pociągnął za spust, ale pistolet nie wypalił. Choć przyciskał raz za razem, słychać było tylko suchy trzask iglicy.

- Co jest, do kurwy nędzy? - zaklął Lebera.

- Milicja obywatelska jest, panie Rajmund szanowny odezwał się znajomy głos od drzwi. Stał w nich uśmiechnięty od ucha do ucha chorąży Olkiewicz ze swoją zapalniczką imitującą pistolet w ręce.

Ale Teofil, który w pośpiechu nie pomyślał o tym, by na katowickiej komendzie zaopatrzyć się w jakąś broń, zrobił błąd. Pistolet rzeczywiście wyglądał jak prawdziwy.

Niestety, Rajmund był jedną z pierwszych osób, której pochwalił się swoją zapalniczką zaraz po tym, jak kupił ją na Łazarzu. Dlatego teraz Dutka na widok tej pseudobroni wycelowanej w siebie obnażył tylko zęby w uśmiechu i ruszył jak taran na Olkiewicza. Wystarczyły mu trzy sekundy, by powalić milicjanta silnym ciosem wymierzonym prosto w nos, odebrać mu pistolet i wybiec na korytarz. Tu natknął się na zziąjanego Pytloka. Porucznik jeszcze przed chwilą biegł tuż za Olkiewiczem. Pędzili po schodach, bo winda nie chciała dojechać na parter. Jednak dwa piętra niżej Pytlok poślizgnął się na schodach i upadł. Zanim się pozbierał, po Olkiewiczu nie było już śladu. Gdy teraz wreszcie dobiegł do celu, zobaczył przed sobą wielkiego jak dwudrzwiowa szafa faceta z pistoletem w dłoni wycelowanym wprost w jego głowę. Wiele się nie zastanawiając, podniósł ręce do góry. Napastnik spojrział na niego ze zdziwieniem, a potem pchnął go z całej siły, odgarniając z drogi jak niepotrzebną przeszkodę. Pytlok po raz drugi w ciągu dwóch minut upadł na podłogę klatki schodowej, tym razem tak nieszczęśliwie, że przewrócił metalowy stojak z kwiatkami ustawiony przy drzwiach do mieszkania sąsiadów Kłuty. Doniczka z fikusem zleciała wprost na głowę oficera, pozbawiając go na moment świadomości. Dzięki temu Dutka nieniekajony przez nikogo mógł dobiec do windy. O dziwo, kabina stała akurat na piętrze gotowa do drogi. Wskoczył do środka i wcisnął przycisk oznaczony literą P.

Porucznik Trulka czuł się źle. Właściwie można by powiedzieć, że czuł się strasznie źle. Chciało mu się wymiotować, ale najgorsze było to, że bardzo chciało mu się spać. Miał wrażenie, że za chwilę zaśnie na stojąco przed drzwiami windy. Wcisnął co rusz czerwony przycisk, by przywołać kabinę, która utkwiała gdzieś na górnych piętrach. Myślał tylko o jednym: jak najszybciej wsiąść do windy, pojechać na górę, wejść do mieszkania Kluty, zasiąść tam w fotelu i zasnąć choć na chwilę.

Wciąż nie bardzo wiedział, jak to możliwe, że w ogóle dał się wyciągnąć z domu. Leżał kompletnie pijany na łóżku, gdy zadzwonił ten kolejarz. Nieopatrznie, chcąc go uspokoić, powiedział, że zaraz przyjedzie. Dlatego wstał, wypił jedno tyskie, dzięki czemu odzyskał nieco sił, ubrał się i wyszedł z domu. Nie bardzo pamiętał, jak mu się udało przejechać z Tysiąclecia do Siemianowic. Miał dziwne wrażenie, że zasnął, siadając za kierownicą pod swoim blokiem, a obudził się pod blokiem na Bytkowie. Tutaj nie zostało mu już nic innego, jak wyjść z syrenki i ruszyć w górę, bo inaczej zwymiotowałby gdzieś pod blokiem na trawniku, a może jeszcze gdzieś tu zasnął. Zły był więc na siebie, że dał się tak zrobić w tę jazdę, zły na Klutę, że ten zawracał mu głowę jakimiś głupotami, a teraz zły był na windę, która nie wiedzieć czemu pomimo wciskania czerwonego przycisku uparcie stała gdzieś na górze.

Zdenerwowany już chciał ruszyć pieszo po schodach, gdy wtem usłyszał charakterystyczny jazgot dobiegający zza wybitej szybki drzwi od windy. Po paru sekundach dostrzegł światło i kabina stanęła na parterze. Nim zdążył chwycić klamkę, otwarte z impetem drzwi staranowały go i rzuciły na metalową poręcz schodów. Trulka natychmiast oprzytomniał. Tego już napięte nerwy milicjanta nie wytrzymały.

- Ty pieroński skurwysynu! - krzyknął i rzucił się na wychodzącego.

Dutka mógł się wszystkiego spodziewać, ale na pewno nie ataku na parterze. Nim zorientował się, w czym rzecz, już napastnik okładał go pięściami. Trulka był mniej więcej o połowę lżejszy od Dutki, ale efekt zaskoczenia zrobił swoje. Kilkanaście silnych ciosów wyprowadzonych jeden po drugim obezwładniło Leberę zupełnie i powaliło na posadzkę z pięknego lastryka. Ostatkiem sił spróbował wydobyć z kieszeni pistolet zapalniczkę odebrany chwilę wcześniej Olkiewiczowi. Potrzebował czegoś twardego, by uderzyć napastnika. Gdy Trulka zobaczył w ręku leżącego broń, wpadł w prawdziwą furję. Jednym uderzeniem wytrącił Dutce pistolet, potem chwycił pulchną dłoń i wbił zęby w palec owinięty grubo bandażem.

Krzyk, jaki rozległ się na klatce schodowej, sprawił, że mieszkający na dziesiątym piętrze August Masorz, który odsypiał właśnie nockę, wyszedł z mieszkania, stanął na klatce schodowej i ryknął w dół:

- Trzym ryj, ciulu, bo zejda tam i ci ta ożarta morda objaja!

Ale nie musiał schodzić. Rajmund Dutka przestał krzyczeć. Stracił przytomność. Na jego wielką klatkę piersiową opadł zdyszany porucznik Trulka i momentalnie zasnął.

Marian Kluta nie słyszał krzyków na klatce schodowej.

Usłyszał za to jęki łysiejącego korpulentnego mężczyzny z zakrwawionym nosem, który podnosił się z jego podłogi pokrytej wykładziną dywanową kupioną rok temu w Zenicie w Katowicach.

- Co się, kurwa, gapisz?! - warknął Olkiewicz. - Milicja obywatelska w akcji - dodał pospiesznie dla wyjaśnienia.

I wtedy Kluta po raz trzeci dziś ucieszył się na widok milicjanta, a zaraz potem się rozplakał. Z radości. Cieszył się, że żyje. Nie mógł wiedzieć, że zawdzięcza to tylko przezorności jakiegoś gliniarza z Poznania, który wręczając swojemu młodemu podwładnemu pistolet, na wszelki wypadek

nie wyposażył magazynka w naboje, żeby sobie ów Młody przypadkiem krzywdy nie zrobił.

Poznań, poniedziałek, 17 marca, godzina 9.15

Chorąży Teofil Olkiewicz siedział wygodnie w głębokim fotelu, obitym gustownym brązowym materiałem z tworzywa sztucznego, imitującym naturalną tkaninę obiciową. Obok niego stała szklanka prawdziwej kawy, jaką przed chwilą zaparzyła specjalnie dla niego pani Krysia, sekretarka komendanta wojewódzkiego. Szklanka stała na ławie przykrytej szklaną taflą, która przyciskała do blatu wzorzysty kilimek łowicki z Cepelii. W ten sposób kilimek się nie brudził, a i rozlaną kawę łatwiej było zetrzeć. Po drugiej stronie ławy na identycznym fotelu siedział major Alfred Marcinkowski.

Zamiast kawy miał wodę mineralną z gazem. Fred wypił już dzisiaj dwie kawy i dlatego odmówił pani Krysi, gdy ta zaproponowała, że i jemu zaparzy. A Teofil nie odmówił, choć w ogóle nie pił kawy. Czuł się tak onieśmielony tą wizytą, że głupio mu było wybrzydzać i zgodził się, gdy pani Krysia zapytała, czy zrobić mu kawkę.

Z radia stojącego na parapecie płynęły spokojne takty piosenki Kocham cię, kochanie moje i Teosiowi wydało się przez chwilę, że piosenkarka Kora śpiewa specjalnie dla niego. Czuł się dziś taki ważny. Sam komendant wojewódzki chciał go widzieć. Dlatego rano założył swój najlepszy granatowy garnitur, który kupił jeszcze w siedemdziesiątym drugim roku w Alfie. Właściwie to wybrała i kupiła żona, a jego rola ograniczyła się tylko do przymierzenia i pomarudzenia na temat trochę zbyt nowoczesnego kroju. Okazało się jednak, że Jadwiga miała rację, bo garnitur, choć odrobinę według niego ekstrawagancki, był jak znalazł na tę specjalną okazję. Buty też miał porządne, włoskie, z pierwszorzędnej skóry, a nie tam z jakiegoś skóropodobnego paskudztwa. Kupił je na Łazarzu w tym samym czasie co garnitur i dotąd miał je na nogach może ze trzy razy. Dzisiaj specjalnie na tę służbową okazję elegancko je odpastował. Czyścił je wczoraj prawie godzinę i na upartego można się było w nich nawet przejrzeć.

Zdziwił się tylko, że ledwie przyszedł w nich dziś do komendy, gdy poczuł, że go obcierają. Pal licho obtarte giry, myślał Teofil, w końcu nie co dzień dostaje się nagrodę pieniężną od komendanta wojewódzkiego za wzorową służbę i wniosek o awans na podporucznika. Jakiejś nagrody za to śledztwo Olkiewicz nawet się spodziewał, bo w końcu sprawę poprowadził w sposób koncertowy, ale o awansie naprawdę nie pomyślał. Dziś rano zdradził mu to w sekrecie Fred Marcinkowski, któremu szepnął o tym w tajemnicy ich pułkownik Żyto.

Z drugiej zaś strony, myślał Teofil, przyglądając się czubkom swoich eleganckich butów, gdyby tak się dobrze zastanowić, od początku to śledztwo prowadzone było w jakiś niepojęty sposób. Niby wszystko było normalnie, a jednak... Kierowało nim chyba coś dziwnego, jakaś siła wyższa, a może milicyjny instynkt. Bo jak inaczej nazwać to, że znalazł się na Strusia w burdelu i natknął się tam na pomocnika Dutki, tego Korbola, co mało go nie zastrzelił.

Fakt, załatwił go Grzechu Kowal, ale gdyby nie on, Teofil Olkiewicz, to przecież Kowala by tam nie było. I dalej, kto przyskrzynił tego Grubego Rycha od Brodziaka? Też on.

I dzięki temu Gruby dał dyla razem z Brodziakiem i wytropili tu w Poznaniu tego Rajmunda, co to tak się przestraszył, że zlikwidował wszystkich świadków, najpierw tę rudą kurewkę w akademiku, a później drugiego kolejarza z berlińskiego pociągu, i potem uciekł do Katowic. A tam już spokojnie czekał na niego prowadzący śledztwo Teofil Olkiewicz... Prawda, że gdyby nie ten Blaszkowski, który dziś chodzi z obitą gębą po komendzie dumny jak paw, to może by i trzeba było tego Dutkę

jeszcze trochę poszukać. No ale że młody zajął się tym kolejarzem Kłutą, to przecież był zupełny przypadek. Lebera i tak by się znalazł, prędzej czy później. No i się znalazł.

A później, jak w obroty wzięli go we dwóch z Pytlokiem, który, nie ma co ukrywać, trochę mu w śledztwie pomógł, to Dutka w try miga przyznał się do wszystkiego. Gotów był nawet powiedzieć, że z tym obcinaniem rąk to był jego własny pomysł. Ale Teofil dobrze wiedział, że ściągnął go od ruskich. Gdzie by taki Lebera mógł wymyślić sam taki sposób na zastraszenie kolejarzy.

Wziął do ręki szklankę. Chciał już mieć za sobą ten pierwszy łyk kawy, mimo że wszystko się w nim przewracało na samą myśl o czymś takim. Co było robić, nie takie rzeczy w końcu się piło. Przypomniawszy sobie butelkę przemysławki, którą kiedyś opróżnił w akcie desperacji. Odbijało mu się po tym chyba przez tydzień kwiatowym zapachem.

W porównaniu z przemysławką kawa jeszcze nie jest taka najgorsza, pomyślał, tyle że nie ma żadnych procentów.

Już miał się napić, gdy drzwi prowadzące z korytarza do sekretariatu otworzyły się i do środka rażącym krokiem wszedł pułkownik Żyto.

Olkiewicz i Marcinkowski poderwali się z foteli i stanęli na baczność. Pułkownik tylko machnął ręką i podszedł do biurka, za którym siedziała pani Krysia. Z gracją ucałował dłoń, którą mu podała, a później dopiero podszedł do swoich podwładnych.

- No jak tam, moje orły, samopoczucie wasze? - Zagadnął, podając każdemu rękę.

- Melduję, że wszystko jak najlepiej, obywatelu pułkowniku - wyrwało się Olkiewiczowi. Powinien był poczekać i pozwolić odpowiedzieć Marcinkowskiemu, ale nikt ze starszych stopniem nie zwrócił uwagi na ten mały akt niesubordynacji.

- No to idziemy - zarządził Żyto i ruszył pierwszy w stronę gabinetu szefa.

Po chwili wszyscy trzej stali wyprostowani przed biurkiem komendanta. Ten przyjął suchy raport, w którym Żyto meldował mu zakończenie śledztwa w sprawie morderstwa kolejarza i strzelaniny na ulicy Strusia. Komendant podziękował wyraźnie zadowolony i kazał wszystkim zasiąść przy konferencyjnym stole. Sam zajął miejsce na jego szczycie.

- No to, Olkiewicz, jak to było z tym śledztwem i morderstwem, bo akta ja co prawda dostał, ale czytać nie było kiedy - zaczął komendant, który przez długie lata mieszkał wprawdzie w Poznaniu, tym niemniej nie wyzbył się swojego rodzinnego, wileńskiego akcentu. - Mówcie wszystko po kolei, mamy czas - uśmiechnął się.

Teofil poczuł, że nagle ze zdenerwowania zaschło mu w gardle. Chciał coś powiedzieć, ale nie udało mu się wykrztusić słowa.

- Toż to ja nie pomyślał, żeby odrobinę czegoś na przepłukanie gardła podać - zreflektował się gospodarz.

Szybko podszedł do segmentu biurowego ze Swarzędza, otworzył podświetlany barek i wydobyl z niego butelkę starki i cztery kieliszki. Postawił je na stole, polał, a potem podsunął gościom.

- Za pomyślność! - wznosił toast i wszyscy wypili. Olkiewicz poczuł natychmiast, że wraca do życia. Dziś od rana nic nie wypił, bo bał się, że komendant może coś poczuć. A tu proszę, sam mu nalewa kielicha.

- Po prawdzie to było tak, że ja tego Leberę, znaczy się Rajmunda Dutkę, tego, co zabił kolejarza w pociągu z Berlina i wcześniej z Wiednia, to już dawno miałem na oku... - zaczął swoją opowieść Teofil.

Godzina 9.30

Gruby Rychu wyciągnął camela z żółtej paczki z wielbłądem, a potem sięgnął po zapalniczkę zippo. Kupił ją sobie w RFN. Podobną widział na jakimś filmie o wojnie w Wietnamie. Amerykańscy żołnierze mieli takie zapalniczki.

Gdy zobaczył ją na wystawie w jakimś sklepie we Frankfurcie nad Menem, wszedł i kupił od razu. Trochę się zdziwił, że jest na benzynę, jak te zapalniczki z lat siedemdziesiątych, co tam, zapłacił prawie pięćdziesiąt marek i już była jego. W końcu z benzyną nie problem, co prawda w kioskach nie było w Polsce benzyny do zapalniczek, ale zwykłą samochodową, mimo że na kartki, można było dostać bez większych problemów.

Schowwał zapalniczkę do kieszeni dzinsowej kurtki i wyszedł z bramy swojej kamienicy na ulicę Lampego. Za pół godziny otwierają Pewex, musiał więc pójść na Grunwaldzką pod sklep koło Targów Poznańskich - jego ludzie powinni widzieć, że wszystko z nim w porządku. Wprawdzie Tunio Ząbek już dawno rozgadał na mieście, że milicja obywatelska nie ma żadnych osobistych spraw do pana Rycha, ale tak czy inaczej, lepiej było samemu przez parę dni pokręcić się po mieście. Minał ekskluzywny sklep Moda Polska i wszedł na Czerwonej Armii. Nie spieszył się, bo nie miał daleko. Musiał tylko minąć pałac kultury, uniwersytet, a potem już most i Kaponiera...

Rychu raczej nie zwracał uwagi na samochody. Znał różne marki, wiedział, jak wygląda mały fiat, polonez czy syrena. Polskie samochody były nieciekawe i byle jakie, szare jak ludzie przemykający ulicami. Ale ten wóz przykuł jego uwagę. Czerwone bmw na niemieckich numerach parkowało przed Komitetem Wojewódzkim. Samochód otaczała grupka dzieciaków, ale kilka metrów dalej stał milicjant, który spoglądał to na auto, to na dzieci. Gdyby nie jego obecność, maluchy natychmiast przyłgnęłyby do czerwonego cuda, żeby choć dotknąć metalicznego lśniącego lakieru. Rychu też przystanął i zaczął się przyglądać.

Samochód był naprawdę piękny. Wyglądał tak, jakby dopiero opuścił taśmę produkcyjną.

Ciekawe, kiedy po naszych ulicach będą jeździć takie wózki, pomyślał i zaraz potem uśmiechnął się do siebie.

Kurde, to zależy też od nas, nie? I wtedy już wiedział, że chociaż walutowy biznes może się rozwinąć, to prawdziwą przyszłością są zachodnie wozy, bo w końcu kiedyś nasi kierowcy będą chcieli się przesiąść z gównianych polskich aut do takich bryczek jak ta tutaj. Dlatego trzeba im zacząć w tym pomagać.

Odwrócił się szybko i poszedł w kierunku Lampego.

Tam w podcieniach za kioskiem Ruchu był aparat telefoniczny. Wrzucił żeton i wykręcił numer.

- Co jest? - odezwał się zachrypnięty głos z drugiej strony.

- Szacunek, panie Marych, Rychu jest.

- Co jest, panie Rychu? - odezwał się dużo przyjemniejszym tonem Marych.

- Jest ładna bryka do skrojenia spod KW. Czerwona beemka na niemieckich blachach. Stoi tu jeden szkieł, ale tak mi się widzi, że można dać radę...

Godzina 10.30

Mirek Brodziak nie spieszył się do pracy. Zadzwoił wczoraj wieczorem do Freda i powiedział, że przyjedzie dopiero koło południa. Teraz leżał w łóżku i przyglądał się śpiącej obok niego dziewczynie. Oddychała spokojnie, a na jej ustach malował się lekki uśmiech.

Marzena uśmiechała się tak już od kilku dni, od chwili kiedy pojawił się znowu w jej mieszkaniu

na Żydowskiej.

Gdy śledztwo się skończyło, kupił w kwiaciarni na Kramarskiej bukiet goździków i poszedł do Marzeny. Postanowił, że musi wreszcie zakończyć tę głupią sytuację. Albo mu wybaczy, albo wyrzuci go z domu, bo on już dłużej nie może tak się pętać po knajpach. Zresztą powiedział mu Gruby Rychu, że ma natychmiast iść do Marzeny, bo rozmawiał z nią przez chwilę. No i Rychu kazał mu zaraz tam lecieć z wiechciem w dłoni i pogadać z nią, bo ona, takie przynajmniej odniósł wrażenie, czeka na niego.

No więc raz kozie śmierć, poszedł i o dziwo wcale nie zepchnęła go ze schodów. Wręcz przeciwnie, wzięła kwiaty, poprosiła go do środka, a potem ze łzami w oczach rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować.

Po jakiejś godzinie, gdy już zakończyli przeprosiny i pogodzili się, wyjaśniła mu, że Rychu opowiedział jej, co Mirek dla niego zrobił. Że narażając swoją reputację, wyciągnął go z więzienia i pomógł oczyścić dobre imię i w ogóle dzięki niemu Rychu może normalnie żyć. Ale gdyby się nie udało, to Mirek mógłby wylądować w pudle razem z Rychem. No i opowiedział jej jeszcze, że dlatego właśnie przez te kilkanaście dni nie pojawiał się u niej, bo musiał ratować tyłek Rycha.

I jak tu nie ratować takiego skurczybyka, pomyślał Brodziak, patrząc na starą fotografię w ramce, stojącą na szafonierce: chudy jak szczapa rudzielec z lewej, zgrabna czarnowłosa dziewczyna o semickich rysach w środku i pucułowaty potężny grubas z prawej. Obaj chłopcy obejmują dziewczynę, a ich dłonie znikają gdzieś za jej plecami. Ona rozkłada szczupłe ramiona i wspiera się na ich barkach. Chłopcy są w kąpielówkach, a dziewczyna w jednoczęściowym stroju kąpielowym. Cała trójka radośnie uśmiecha się wpatrzone w obiektyw aparatu smiena, którym robi zdjęcie siostra Mirka. Stoją na plaży nad Rusałką. Za ich plecami kąpiące się dzieci, w oddali na wodzie facet ze śmiesznymi bokobrodami, w kajaku, z wiosłem w rękach. Właśnie skończyli szkołę podstawową. Wszyscy mają po piętnaście lat. Gruby Rychu, przyjaciel Mirasa, kocha się w Marzenie, Miras też kocha się w Marzenie, a ona, ona kocha ich obu.

Godzina 11.00

Major Alfred Marcinkowski przez otwarte okno swojego gabinetu spoglądał na ulicę. Po przeciwległej stronie stało kilka niebieskich nysek i cztery stary z budami przystosowanymi do przewozu ludzi. Wokół samochodów uwijał i się milicjanci. Część aut pełna już była funkcjonariuszy, do pozostałych dopiero wsiadali zomowcy. Wszyscy wyposażeni byli w sprzęt bojowy: hełmy z plastikowymi przyłbicami, długie pały „koncertowe”, nakolanniki ochronne i potężne przezroczyste tarcze z napisem „milicja”. Transport zmierzał na Wybrzeże. Podobno szykowały się tam jakieś demonstracje, dlatego poznański garnizon jechał wzmocnić siły Trójmiasta.

Major zamknął okno i odwrócił się do Blaszkowskiego, który przyniósł mu przed chwilą raport opisujący jego poszukiwania w Katowicach:

- Widzisz, Młody, ile ty masz szczęścia. Gdybyśmy cię nie wzięli do siebie w zeszłym roku, teraz jechałbyś z tymi tam na dole rozpędzać demonstracje w Gdańsku. I może tam by ci ładniej łeb obili niż ten Lebera w Katowicach.

Blaszkowski zaczerwienił się. Było mu głupio, bo wiedział, że w mieszkaniu kolejarza dał się zaskoczyć, i mało brakowało, a już by dziś nie stał przed majorem.

- Siadaj - major wskazał mu krzesło po przeciwnej stronie biurka, a sam usiadł na swoim fotelu. Młody położył przed Marcinkowskim teczkę z raportem.

- Wszystko napisałeś? - raczej stwierdził, niż zapytał, officer.

- Tak jest, obywatelu majorze. Mam tylko takie jedno pytanie... - zaczął nieśmiało Blaszkowski.

- No co tam?

- Ten Korbol, co to go zastrzelił sierżant Kowal, jaka była jego rola w tym wszystkim?

Fred uśmiechnął się pod wąsem i spojrzał na Blaszkowskiego. Teraz mógł już bez problemu wyjaśnić wszystkie zawiłości śledztwa. Większości Marcinkowski się domyślił, ale szczegóły poskładały mu się w spójną całość dopiero wczoraj, po przesłuchaniu Dutki, gdy ten wyznał wszystko.

- Korbol był pomysłodawcą. Gdy mieszkał na Śląsku, dowiedział się, że dwaj kolejarze wożą elektronikę z Austrii. Postanowił wejść do interesu. Umówił się z jednym z nich, Kawulokiem, i zaproponował mu współpracę.

Ten wyśmiał go i kazał iść w cholere. Mało tego, opowiedział o całej sprawie drugiemu kolejarzowi, temu Kłucie.

Zlekceważyli Korbola i dalej robili swoje. Ale Korbol nie dał za wygraną. Postanowił się zemścić i jednocześnie zastraszyć drugiego kolejarza. Czekał na Kawuloka na przystanku niedaleko jego domu. Zwabił go na rozmowę do tego rowu i tam go zabił. Zrobił to w taki okrutny sposób, by Kłuta wiedział, że nie ma z nim żartów. Ale nie zdążył już złożyć mu propozycji. Musiał zwijać się ze Śląska, bo groziło mu aresztowanie za pobicie w dyskotecce. Zupełnie przypadkowa sprawa, ale na tyle poważna, że mógł za to natychmiast trafić do więzienia, zwłaszcza że miał już za coś zawiasy. Zmienił więc klimat i zawitał do Poznania, odkładając sprawy z kolejarzem na później. Tu zaczął pracować pod Peweksem dla Grubego Rycha i jednocześnie rozglądał się za jakimś innym interesem. Tak dotarł do Rajmunda Lebery. Jemu też złożył propozycję, ale Rajmund oczywiście ją odrzucił. I pewnie na tym by się wszystko skończyło, gdyby Lebera nie chciał zmonopolizować interesu wideo. Odszukał więc Korbola i wykorzystał go.

Powiedział, że przyjmie go do spółki. Rajmund wyczuł, że nadarza mu się niesamowita okazja; angażując Korbola, rzucał jednocześnie podejrzenie na Grubego Rycha. Gdybyśmy Grubińskiego zamknęli, on mógłby zająć się przejmowaniem rynku walutowego w Poznaniu i jednocześnie zarobione w ten sposób pieniądze inwestować w wideo.

Ale potrzebne mu były jeszcze inne kanały przerzutowe.

Pojechał więc do Katowic i zaproponował współpracę Kłucie, ale ten odmówił, pewny, że ochroni go jego nowy kolega milicjant.

Rajmund zaczął od swojego podwórka. Przebrany za kolejarza jak zwykle wsiadł do pociągu berlińskiego w Kunowicach. Tak robili już wcześniej, on i Klemens Brokowski.

Mundur był potrzebny, bo nie budził podejrzeń celników.

Płacił im za przymknięcie oka na towar i od razu rozliczał się z kolejarzem. Tym razem w połowie drogi zabił swojego współpracownika. Nie musiał mu obcinać ręki, ale zrobił to dokładnie tak jak psychopata Korbol w Katowicach.

Mieliśmy więc dwa takie same morderstwa i podejrzanego, który miał nam natychmiast wpaść w ręce. Dutka chciał Olkiewiczowi wystawić Korbola i jego szefa, Grubego Rycha. Dowodem był nóż ze śladami krwi, którym Dutka obciął rękę kolejarzowi. Znaleźliśmy go w mieszkaniu Korbola. Podrzucił go tam Dutka.

Tyle że misterny plan się zawalił przez Olkiewicza. Dutka chciał sprzedać Teosowi mordercę, ale nie mógł wiedzieć, że Teofil napatoczy się na niego na Strusia. Ranny Korbol zniknął, więc

Rajmund realizuje drugą część planu, wydaje Grubego Rycha i jednocześnie szuka Korbola.

Dziewczyna, z którą Korbol spędził ostatnią noc, informuje Rajmunda, że jego człowiek ledwo żywy ucieka milicji.

Dutka, zacierając ślady, zabija dziewczynę i zaraz potem kolejarza z berlińskiego pociągu. Wszystko zaczyna mu się walić. Ostatnim tropem jest kolejarz Kłuta. On może go zdemaskować. Więc Dutka jedzie na Śląsk, by się go pozbyć.

- Na co czekał w tym mieszkaniu? - przerwał mu wywód Blaszkowski. - Przecież mógł zastrzelić kolejarza w drzwiach i uciec.

- Nie bardzo miał czym. Jego pistolet zarekwirował mu Mirek Brodziak podczas wizyty, którą złożył mu razem z Grubym Rychem. Zabrali go stróżowi, u którego Lebera przechowywał broń. Ekspertyzy już potwierdziły, że z tego pistoletu zabito dziewczynę. W Katowicach nie miał broni, więc musiał coś wymyślić. Znokautował Kłutę, wszedł do mieszkania i wtedy pojawiłeś się ty, a zaraz po tobie Teofil z zapalniczką. Obaj uratowaliście Kłucie życie.

- Obywatelu majorze, co będzie z tym Dutką, znaczy się co mu grozi za to wszystko?

- Jak to co? Czapa! Tacy popaprańcy jak on nie zasługują na nic innego.

Major otworzył szufladę swojego biurka i sięgnął po ostatnią paczkę marlboro. Zajrzał do środka. Wewnątrz był jeden papieros. Wydobył go, powąchał i włożył z powrotem. Chyba trzeba będzie się odzwyczaić od tych cholernych ćmików, pomyślał, zamykając szufladę.

Wczoraj wieczorem podjął decyzję o rzuceniu palenia.

Chciał nawet powiedzieć o tym żonie, ale po namyśle zdecydował, że jeszcze poczeka. Musiałby przecież przyznać się przed nią, że przestraszył się bólu w klatce piersiowej, wtedy ona na pewno kazałaby mu natychmiast pójść do lekarza, a tego bał się najbardziej.

Bo lekarz jeszcze mógłby, nie daj Boże, coś wykryć i co wtedy. A jak przestanę palić, to może bóle już się więcej nie pojawią i jakoś samo to przejdzie, pocieszał się w myślach.

Teraz, po zakończeniu sprawy, powinien mieć trochę wytchnienia i spokoju, więc będzie mu łatwiej zadbać o siebie.

No i musi też bardziej dbać o kondycję fizyczną. Nadarzy się wkrótce zresztą okazja.

Krawcew umówił się z nim w przyszłą środę na basenie Olimpij.

Cerekwica-Siemianowice Śląskie 2008

Słownik

bamber - gospodarz, ktoś znaczny, ogólnie szanowany

bamber po wybierkach - gospodarz po wykopkach, tu: zadowolony z siebie

bana - pociąg

bejmy - pieniądze

bimba - tramwaj

blajba - chata, mieszkanie

blubrać - gadać głupoty, mówić coś niezrozumiale

bryniol - alkoholik niegardzący nawet bryną, czyli denaturatem (od niemieckiej nazwy denaturatu

Brennspritus)

bulaj - grubas

był nie do mówienia - nie dało się z nim rozmawiać

chlor - pijak, nicpotem

chorlipa - brzydka kobieta

ćmik - papieros

dinks - rzecz, przyrząd, sprzęt; słowo wytrych, mogące określać niemal wszystko

durch - przez, ciągle, stale

dylać - tańczyć

flepy - papiery, dokumenty

fufla zdalasiąta - żartobliwie: stary, wynędzniały, zmęczony dziad

fyrtel - dzielnica

garować - tu: spać, leżeć w łóżku

gemela - bałagan

gemela na Łazarzu - targowisko staroci na Rynku Łazarskim w Poznaniu

giry - nogi

glapami nitrowany - głupi, bezmyślny (futrować - karmić, glapa - wrona)

haja - rozróżba, zamieszanie

halba - pół litra płynu (najczęściej wódki)

hawira - mieszkanie, lokal

heklować - robić na drutach

Junikowo - dzielnica Poznania znana ze swojego cmentarza; „nie wybierać się na Junikowo”

oznacza nie szykować się jeszcze na śmierć

kanciapa - kantorek, niewielkie pomieszczenie na narzędzia

karlus - chłopak, młody mężczyzna

kaszok z pyrami - kaszanka z ziemniakami

kejter - pies

kielczyć się - szczerzyć się, uśmiechać
kij - piętro
klara - jasno
klofta - kłoda
klubry - kluski
kluk - nos
klunkry - pakunki
knypek - niewysoki człowiek, kurdupel
kربول - dynia, również tanie wino
Koziołki - regionalna gra liczbowa popularna w Wielkopolsce; jej zasady przypominały totolotka
ksiuty - pieszczoty, również złośliwe żarty
kwinta - nos
labija - impreza
lebera - rodzaj pasztetowej, wątrobianka
lufcik - małe okienko
łon tak wczas to z wyra nie zlezie - on tak wcześnie nie wstaje
mela - dziewczyna
mosz recht - masz rację
na czwartym kiju - na czwartym piętrze
na wynglorke - prosto
niy pitnie nóm - nie ucieknie nam
nylonbojtel - siatka albo worek plastikowy
ofyfla - brudas
Okrągłak - popularny dom handlowy w Poznaniu
ożarty - pijany
papudrok - partacz, niezdara
pener - człowiek z marginesu, menel
pierdoła z Gadek - człowiek opowiadający głupoty (Gadki - miejscowość pod Poznaniem)
pitać - uciekać
plendze, plyndze - placki ziemniaczane
pokal - puchar, tu: szklanka albo kufel do piwa
poraszplowany - podrapany, poszarpany
poruta - wstyd
pory - spodnie
posznupać - poszperać
przijdź sam ino i wejrzyj sie - chodź no tu i zobacz
pyry pokrychane - tłuczone ziemniaki
rapła mieć - mieć coś z głową
raszpla - stara kobieta (pogardliwie)
rychło śrubę sprawił - szybko się upił
ryczka - niewielki taboret
ryfa - twarz
rzyć - pośladki, tyłek

siora - siostra
sprawić se śrubę - upić się
stara oma - stara baba (dosłownie: babka)
strucel - makowiec
szczon - chłopak
szkiejty - nogi
szkieł - milicjant
szlus - koniec
sznylcug - pociąg pospieszny
szuszfól - byle kto, człowiek spod budki z piwem
ściepa - składka, zrzutka
trzepać - kontrolować bagaże
trzymają sobie ciepło - mieć z kimś dobry układ
tyta - torba papierowa, również głowa
tytę mieć - być pijanym
umarasić - ubrudzić, pobrudzić
uślomprano - pobrudzona
wiara, wiaruchna - ludzie, znajomi
wija - awantura
wulce z wulcoka - mieszkańcy hotelu robotniczego (pogardliwie)
wulcok, wulc-haus - hotel robotniczy
wywijas - rozrabiaka
zawiasy - wyrok w zawieszeniu
znod żeś co? - znalazłeś coś?